

Name

genaue Anschrift

Buch Nr.	Entliehen am	Zurück am	Leih- gebühr	Buch Nr.	F



DZIEJE 1863 ROKU

Dzieje 1863 roku

924/II
9(438)

PRZEZ

AUTORA „HISTORYI DWÓCH LAT”

TOM DRUGI



Z KSIĘGOCZYNÓW
STEFANA HEMPLA

KRAKÓW

NAKLAD I Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1899

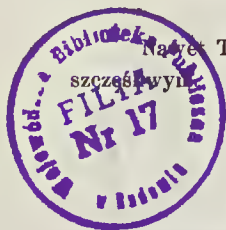
2614-1

943,8

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu

Bo to rzemiosło (polityka) nie jest jako filozofia i teologia, której się z ksiąg w komorze nauczyć możesz. Ale rządzenie ludzi jest jako siekiera z młotem i koń z szablą i wojskiem, do których jeśli się nie przyuczysz, a rękami swymi nie przyłożysz, nic nie będziesz umiał. Nie tylko myśleniem, ale działaniem i dotykaniem się rzeczy i długiem doświadczeniem rośnie i nabywa się mądrość do rządów ludzkich.

Ks. Piotr Skarga (Kazania sejmowe).



Najlepiej Tyberyusz, byłby wielkim w historii, gdyby zawsze był szczerzywym.

A. Thierry (Historia Attyli).

4275 943.8.071

Przy opracowywaniu tego tomu korzystaliśmy z materiałów rękopiśmiennych następujących:

1) *Rok 1863*, pamiętnik bezimiennego, zawierający historię obozu Ojcowskiego pod Kurowskim, aż do klęski Miechowskiej; historią oddziału Langiewicza od Goszczy do Grochowsk, i na koniec historią oddziału Zygmunta Chmińskiego. Pamiętnik ten w kopii wierzytelnej z oryginału, znajduje się w naszych zbiorach.

2) *Pamiętniki Tomasza B.* z lat 1861—63, spisane w lecie 1894 r. dla autora niniejszego dzieła. Są one o wiele obszerniejsze od pamiętników tegoż Tomasza B. pomieszczonych w tomie IV „Wydawnictwa materiałów do historii powstania” p. t. „Wspomnienia z czasów młodości”. Obejmują one głównie zdarzenia i wypadki, zachodzące w łonie organizacji warszawskiej. Rękopism oryginalny jest naszą własnością.

3) *Relacya Konstantego R.* ziemianina sandomierskiego, zawiera nieco szczegółów o Langiewiczu, opis usiłowań wydobycia go z więzienia w Krakowie i Tysznowicach. Znajduje się tu także charakterystyka panny Pustowojtów. Relację tę autor posiada w swych zbiorach.

4) *Pamiętniki Anonima o kampanii Z. Padlewskiego w Płocku 1863 r.* Pamiętnik ten, którego wierzytelna kopia z oryginału, znajduje się w rękach autora, został spisany przez ziemianina z Płockiego, towarzysza Padlewskiego, na żądanie rodziny tegoż. Pamiętnik kończy się na starciu pod Radzanowem. Do niego dołączona jest relacya

o więzieniu i śmierci Padlewskiego, spisana przez jego kuzynkę p. Klementynę z Krajewskich Aleksandrową Potocką. Oryginał znajduje się dotąd w posiadaniu rodziny Padlewskiego, która udzieliła manuskryptu autorowi niniejszego dzieła, dla zrobienia zeń kopii. Jest tu mnóstwo ciekawych i wiarogodnych szczegółów o działalności wojewody płockiego.

5) Do opisu kampanii Padlewskiego i operacji innych oddziałów w Płockiem, służyły nam także krótkie, rękopiśmienne notaty pp. G. i M., którzy w ówczesnych wypadkach osobisty brali udział. Notaty te w oryginalnych manuskryptach, posiadamy w naszych zbiorach.

6) *Pamiętniki Romana Rogińskiego*, skopiowane z oryginału dziś już nie istniejącego i o wiele obszerniejsze od tych, jakie ukazały się w 1896 r. w „Przeglądzie Poznańskim“¹⁾.

7) *Relacya Edwarda Siwińskiego*, członka Rządu Narodowego od kwietnia do zamachu czerwcowego. Zawiera ona mnóstwo interesujących szczegółów o działalności i zamiarach Rządu Narodowego, o ludziach i rzeczach z tej epoki. Spisana była w r. 1893 pod dyktandem niewidomego już wówczas starca, dla autora niniejszej książki i znajduje się u niego.

Nie wymieniamy tutaj mnóstwa drobnych notatek, spisywanych z opowiadań osób wiarogodnych. Notatek tych zebrała się taka ilość, że stanowią zeszyt o paruset stronicach bitego pisma.

Co się tyczy map, których używaliśmy przy opisywaniu działań wojenaych, to mieliśmy pod ręką mapę sztabu jeneralnego rosyjskiego, wydaną w r. 1870, nie różniącą się zatem zbyt wiele od topografii kraju w r. 1863. Prócz tego korzystaliśmy ze znacznie wcześniejszych kart

¹⁾ Już gdy tom niniejszy był przygotowany do druku, wyszła w Krakowie książeczka p. t. „Z pamiętników Romana 1859—1863, wydał A.“ Jest to przedruk pamiętników Rogińskiego z „Przeglądu Poznańskiego“, z małemi zmianami i dodatkiem dość pobieżnie opisaney historyi szkoły podchorążych w Cuneo.

niemieckich sztabu jeneralnego austriackiego, których kilka sekcyi, poczynawszy od Nru 54 A. mieliśmy przed sobą. Co do Litwy, posiadamy fotograficzną kopię mapy sztabu jeneralnego rosyjskiego, dokonaną w r. 1863 w Paryżu z rozkazu Rządu Narodowego. Rzadki ten niezmiernie, a może nawet jedyny w świecie egzemplarz, złożony z 40 sekcyi, znajduje się w naszych zbiorach.

ROZDZIAŁ V.

Dyk t a t u r a.

Goszcza. Źródła dyktatury. Niepopularność Mierosławskiego w Poznaniu. Zjazd w Krakowie. Wysocki. Lubieński i hr. Adam Grabowski. Mierosławski w Krakowie. Narada w hotelu Saskim. Uchwała dyktatury. Obozowisko w Goszczy. Napływ ochotników. Czapski. Organizacja oddziału i jego liczebność. Sztab. Intendentura. Uzbrojenie. Wewnętrzna administracja. Karność. Stamirowski. Życie obozowe. Dwór w Goszczy. Langiewicz. Intrygi Jeziorańskiego. Mierosławczycy. Badanie gruntu. Narada w Goszczy. Redakcja odezwy dyktatorskiej. Jej treść. Wizyta Wysockiego. Ogłoszenie dyktatury. Marsz do Sosnowki. Przysięga. Dekret o władzy cywilnej. Wrażenie w Warszawie na wieść o dyktaturze. Nowy Rząd Tymczasowy. Pertraktacje z Dyрекcyą Białych. Narada Rządu. Wysłka delegatów do obozu. Dyrekcyja Biała poddaje się Rządowi Tymczasowemu. Raport Biechońskiego. List Rządu do Dyktatora. Stolzenwald w Miechowie. Plan Czengierego. Langiewicz w Sosnowce. Misja Koźmiana. Protest Mierosławskiego. Plan ks. Szachowskiego. Marsz Langiewicza do Marchocic. Bentkowski wyrusza za nim w pogoń. Powstańcy w Antolcu. Rzeź w Giebułtowie. Marsz do tej wsi, Zarzysyna i Gór. Sprawa otrucia dyktatora. Przybycie Łukaszewskiego. Pobyt w Górach. Marsz do Chrobrza i powody tego marszu. Rozmowa z Łukaszewskim. Marsze Czengierego, Bentkowskiego i Jabłońskiego. Manewra Czengierego. Langiewicz cofa się z Chrobrza. Czengiere rozpoczyna ogień. Langiewicz rzuca Czachowskiego na lewe skrzydło nieprzyjaciela. Dzielny opór Rochebruna. Koniec potyczki. Czengiere we wsi Leszcze. Marsz Langiewicza do Welcza. Pojawienie się Czachowskiego. Obozowisko w lesie Grochowskiego. Ruchy Czengierego. Decyzya Langiewicza. Atak rosyjski. Popłoch. Atak Wierzbńskiego. Peregrynacya Langiewicza po lesie. Zamiar dostania się do granicy

austryackiej. Czengiery się cofa. Czachowski i Bentkowski. Operacje Zagriażskiego. Wkracza do lasu. Atak kosynierów. Rozbicie kompanii rosyjskiej. Ogólne uwagi. Marsz do Welcza. Rada wojenna. Wyjazd Langiewicza. Dwa raporty Śmiechowskiego i jego marsz do Wiślicy. Przeprowadzenie Langiewicza przez Wisłę, jego aresztowanie i odwiezienie do Tarnowa. Odwrót Śmiechowskiego. Operacje Czengierego. Rzeź w Igołomii. Ogólne uwagi.

Goszcza, do której Langiewicz po tylu walkach i tylu przygodach, przybywał w d. 6 marca, jest małą wioszczyną, stanowiącą podówczas własność kapituły krakowskiej, leżącą między Słomnikami a granicą austriacką, w odległości czterech kilometrów na wschód od drogi bitej miechowsko-krakowskiej. Od kordonu galicyjskiego, wolnego w tej chwili zupełnie od nieprzyjaciela i straży pogranicznej, dzieliło Goszczę około jedenastu kilometrów, a od Krakowa około trzech mil polskich. Sama wieś rozłożona w kotlinie, otoczonej w owe czasy lasami, nie przedstawiała żadnej pozycji strategicznej, jakkolwiek do upartej obrony miała wiele warunków korzystnych. Od szosy, po której nieprzyjaciół mógł operować, osłaniał Goszczę gęsty las, zawierający kilkadziesiąt morgów przestrzeni, i szereg wzgórz, dających możność wstrzymania bardzo niewielkimi siłami pochodu Rosjan. Wszędzie zresztą było mnóstwo pagórków, kępek krzaków gęstych, drobnych wąwozów i rowów, co pod względem taktycznym czyniło pozycję Goszczy bardzo mocną.

Ale nie te powody kazały Langiewiczowi rozbić obozowisko w cichej i smutnej wiosce krakowskiej. Przedewszystkiem szło mu o wyciągnięcie jak największej możliwej pomocy z pobliskiego Krakowa w ludziach, broni i sprzęcie wojennym. Jako odpowiadającą tym warunkom miejscowość, wskazał Goszczę Langiewiczowi ziemianin tamtejszy, Mayzel. Ponieważ, jakśmy rzekli, „objeszczyki“ zostali zupełnie spędzeni z kordonu, więc granica była wolna. Dla zabezpieczenia obozu goszczańskiego z tej strony, jak również dla odbierania dowozów z Krakowa,

wysunięto do Michałowic silną grangardę, złożoną z 220 ludzi wszystkich trzech broni, t. j. strzelców, kosynierów i plutonu jazdy, pod wodzą świeżo przybyłego oficera wojsk pruskich, Stanisława Wierzbńskiego, który, zaopatrzony w piśmienne instrukcje, już d. 8 marca zajął Michałowice¹⁾. Ze strony austriackiej nie robiono też żadnych przeszkód w swobodnem przechodzeniu granicy; owszem urzędnicy celni okazywali nadzwyczajną uprzejmość i stale mieli oczy zamknięte na całe setki ludzi uzbrojonych, przekradających się do Goszczy, na wozy z amunicją, żywnością, bronią lub sprzętem wojennym wszelkiego rodzaju. Ta niezwykła powolność, była zapewne następstwem znanych nam już poglądów hr. Rechberga²⁾, aby nie przeszkadzać odpływowi do Królestwa żywiołów gorętszych, których tym sposobem rząd austriacki szczęśliwie się pozbędzie.

Ta możność dobywania z Galicji zasobów, była, jakśmy powiedzieli, niewątpliwie jednym z powodów, który kazał Langiewiczowi zatrzymać się w Goszczy, w odległości paru mil od granicy, narażając się na to, że mógł być przez nią przerzucony przy łada energiczniejszym ataku nieprzyjaciela. Ale były jeszcze inne względy, które go zmusiły do rozbicia tutaj obozu. Jedną z najważniejszych i najbardziej pochłaniających w tej chwili uwagę wodza powstańczego, była sprawa dyktatury. Dla niej to położył się w Goszczy, wystawiając się na widoczne niebezpieczeństwo, mając oczy i całą duszę zwróconą w stronę Krakowa, nadsluchując nie tego, co się dzieje w Miechowie lub Kielcach, ale chwytając chciwie głosy z pod Wawelu. Położenie takie pod względem wojskowym było jedno z najdziwniejszych, ale na jego wytworzenie składało się mnóstwo czynników mniejszej lub większej doniosłości, faktów nieraz drobnych z pozoru, niemniej przeto mających wpływ na przebieg wypadków. Dyktatura Mierosław-

¹⁾ S. Wierzbński, Opisanie wypraw wojennych, w których udzielał brałem (Polska w walce I, 150).

²⁾ Patrz tom I, 273 niniejszego dzieła.

skiego, o której dość późno w kraju i wśród emigracji się dowiedziano, oplakana z wielu względów katastrofa krzywosądzka i nowowiejska, wywarła jak najprzykrzejsze wrażenie. Dla stronnictwa Białych, dla koła Czartoryskich, zawiązujących teraz mozolnie nici porozumienia z cesarzem Napoleonem, dyktatura Mierosławskiego była poprostu klęską; świadczyła ona bowiem, że w rządzie powstańczym warszawskim wzięły górę żywioły skrajne; dla Napoleona zaś, że rząd ten jest w ścisłym związku z rewolucją europejską, z Mazzinim, Hercenem i komitetem rewolucyjnym londyńskim. Oczywiście rzecz, że w takim położeniu o niesieniu jakiegokolwiek pomocy Polsce, nie mogło być mowy. Czartoryscy więc nalegali z Paryża na żywioły umiarkowane, by starały się wziąć rządy powstania w swe ręce¹⁾. Nie wiedziano, że Mierosławski właściwie nie był już dyktatorem, że godność tę Rząd Tymczasowy warszawski mu odebrał; nie wiedziano, kto jest w tym Rządzie; z Warszawą było trudne porozumienie się, więc zwracano się głównie do Poznania i Krakowa. W Zaborze pruskim nie potrzebowano pod tym względem zbytecznie nalegać. Sama wiadomość o dyktaturze Mierosławskiego, na całe ziemianstwo miejscowe, na wszystkich ludzi chwytających się robot publicznych, jak najgorsze wywarła wrażenie, które spotęgowało się wieścią o klęsce krzywosądzkiej i nowowiejskiej, i o ucieczce dyktatora do Paryża. W Księstwie od czasu 1846 i 1848 roku, znano doskonale Mierosławskiego i wiedziano dobrze, czego po nim spodziewać się należy; że ten Falstaff polski zdolny jest wszystko popsuć i wszystko własnej osobie poświęcić. Nienawidzono go też tam powszechnie i co gorsza nie szanowano wcale²⁾ i ży-

¹⁾ H. v. Sybel, Die Begründung des deutschen Reiches. II, 502.

²⁾ A. Guttry, Pan Ludwik Mierosławski p. 3 i nast. Wł. Bentkowski, Notatki osobiste (Wydawnictwo materiałów do historii i powstania, II, 13), powiada: „jawną mi było bowiem, jak na dłoni, rzecz, iż samo ogłoszenie tej dyktatury, płaczliwy i skarykaturowany położy koniec powstaniu, z jednej strony doprowadzając je przez jego niesumienną błagę i szarlataneryę francusko-rewolucyjną ad

wiono przekonanie, że sprawę ojczystą na najzgubniejsze może poprowadzić koleje. Niefortunna jego trzydniowa kampania kujawska, dotkliwie odbiła się na miejscowych stosunkach zaboru pruskiego, gdyż obudziła i zwiększyła czujność władz niemieckich¹⁾, co oczywiście nie przysporzyło wcale przyjaciół Mierosławskiemu w Poznańskim. Przytem w początkach marca zawiązano tam komitet, mający nieść pomoc powstaniu w zaborze rosyjskim. Na czele tego komitetu stanął zacny hr. Jan Działyński, a należeli doń Niegolewski, hr. Roger Raczyński, Jaroczyński, Bogusław Łubieński i Aleksander Guttry²⁾. Większość więc członków komitetu przez stanowisko już swoje, należała do stronnictwa Białych i w żadnym razie nie mogła patrzeć obojętnie na to, że wodze powstania są w rękach takiego rozczochranego rewolucjonisty, jakim był Mierosławski.

W Krakowie niepokojono się także tem mocno, że kierownictwo powstania dostało się Mierosławskiemu i ludziom nieznanym, poza nim stojącym. Na skutek nalegań z Paryża powzięto zamiar utworzenia w tem mieście jakiejś władzy zwierzchniej, rodzaj ministerjum, do którego, między innymi, miał wejść generał Wysocki i Kruszewski³⁾. Dla wytworzenia takiego ciała, zawezwano Komitet poznański, aby wysłał delegata w celu wspólnego ustanowienia tej nowej władzy. Komitet Działyńskiego odebrawszy to wezwanie, wysłał jednego ze swych członków, mianowicie Bogusława Łubieńskiego⁴⁾ (posła na sejm pruski,

absurdum, z drugiej strony odwracając stanowczo od rzeczy powstania, pod tak niebezpiecznym sztandarem. całe prowincje i całe warstwy narodu, a nie zyskując bynajmniej (jak to sobie Mierosławscy pochlebiali) samem nazwiskiem Mierosławskiego dla rewolucyjnej sprawy ludu wiejskiego“.

¹⁾ A. Guttry, Pamiętniki II, 122.

²⁾ Loc. cit. II, 115.

³⁾ Loc. cit. II, 127.

⁴⁾ Loc. cit. A. Giller, Historia powstania II, 45. powiada, że hr. Raczyński „bawił bez urzędowej misji jakiś czas w Krakowie na

właściciela wsi Książczyń w ks. Poznańskim), któremu między innym hr. Raczyński radził, „iżby dla większej kraju pewności, najbliżej dowodzący generał polski kontrasygnował rozporządzenia Rządu narodowego, a nawet aby delegat głosował raczej za dyktaturą, niż za rządem tajnym, nikomu nieznanym“ ¹⁾).

Myśl więc powierzenia dyktatury w przeciwieństwie Mierosławskiemu, innej jakiej osobistości, powstała właściwie w głowie hr. Raczyńskiego, a w każdym razie w zaborze pruskim ²⁾. Wiedzano przytem, że na ów zjazd w Krakowie ma przybyć ze Lwowa ks. Adam Sapieha, że będzie generał Wysocki, Leon Skorupka, Leon Chrzanowski, ówczesny redaktor „Czasu“, Jan Tarnowski, Stanisław Koźmian ³⁾, Adam hr. Potocki i inni, najwybitniejsi mężowie krakowscy. Mieli być nawet pełnomocnicy z Litwy i Rusi ⁴⁾, miał zjechać z Warszawy komisarz pełnomocny Rządu tymczasowego. Nie wszyscy jednak wezwani chcieli udać się do Krakowa. Generał Wysocki, który w sprawie przygotowującej się wielkiej wyprawy na Wołyń, bawił podówczas we Lwowie, stanowczo oparł się temu wezwaniu, które mu przywiózł Władysław Siemieński, ziemianin z Królestwa, biorący czynny udział we wszystkich działaniach stronnictwa Białych. Wysocki mówiąc, że „z Rządem

początku marca 1862 r. mieszając się do różnych narad i spraw“. Zdaje się, jest to podanie błędne i Giller wziął Łubieńskiego za Raczyńskiego.

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ J. Łukaszewski, Zabór pruski w czasie powstania styczniowego, 279, wyraźnie powiada: „w Wielkopolsce urodziła się pierwsza myśl dyktatury, w zasadzie“.

³⁾ St. Koźmian, Rzecz o r. 1863, I, 59 powiada, że „grono nasze (Koźmian, St. Tarnowski i Szujski) nie brało udziału w wytworzeniu dyktatury, już dla tego, że nie moglibyśmy powiedzieć, kogo ogłosić dyktatorem“. Temu twierdzeniu, przynajmniej co do p. Koźmiana stanowczo zaprzecza autentyczna relacja rękopiśmienna, jednego z lwowskich uczestników zjazdu. W niej powiedziano jest nawet, że „w całej tej sprawie Koźmian pierwsze skrzypce trzymał“.

⁴⁾ Wł. Bentkowski, Notatki osobiste, loc. cit. II, 13.

tymczasowym krucho być musi“, mocno podejrzewał, czy istotnie owa walna rada krakowska dzieje się z jego wiedzą. „Jednej rzeczy nie rozumiem, mówił, t. j. że w ekspedycjach i listach, które temi czasy, całkiem nawet niedawno od Rządu narodowego otrzymałem, żadnej zgody nie czynią o tym zjeździe wzmianki“. Przytem, na wręczonym mu przez Siemieńskiego wezwaniu, brakowało jakiejś formalności, co tak silne podejrzenie wzbudziło w starym i pocziwym generale, że stanowczo odmówił udania się do Krakowa i wzięcia udziału w owej naradzie ¹⁾).

Tymczasem, wszyscy inni zawezwani, zjeżdżali się do Krakowa. Bogusław Łubieński, delegat poznański, chodził z kwaśną i zgnębioną miną, i opowiadał każdemu, kto tylko słuchać chciał, a zawsze pod wielkim sekretem, że „rzeczy najfatalniej i najsmutniej stoją w Kongresówce, że wszyscy prawie członkowie Rządu tymczasowego zostali wylapani lub rozprószeni, że dwóch tylko zostało, którzy wszystko prowadzić muszą, ale którzy już sobie rady nie dadzą, i że tymi dwoma są Adam Grabowski i Leon Królikowski“ ²⁾. Wiemy, że do pewnego stopnia tak było, że w Warszawie, po wyjeździe trzech członków Rządu do obozu Mierosławskiego, pozostał tylko Stefan Bobrowski i Włodzimierz Lempke, ale miało się to zaraz, jak zobaczymy, skończyć, i że członkiem Rządu nigdy nie był ani Grabowski, ani Królikowski. Jeżeli zaś Łubieński tak o tem mówił, to dlatego, że intryga cała była już przygotowana, i że w niej pośrednią rolę miał odegrać Królikowski, a bezpośrednią i główną Grabowski. Że Łubieński w intrydze tej był bardzo czynnym, świadczy list jego, jaki napisał do komitetu poznańskiego. W liście tym najwyraźniej po-

¹⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. 11. Opowiada on, że Siemieński był mocno zgniewany tym oporem generała, i wychodząc od niego zawołał z furją dość głośno, tak że Wysocki może to słyszał: „nieznośny mazgaj, stara baba, sam nie wie, jak się ma“.

²⁾ Loc. cit. 7. Łubieńskiego nazywa on Łubą, ukrywając dla nieznanym nam bliżej powodów właściwe jego nazwisko.

wiada, że „wasz wysłaniec przyczynił się niepomału do ustanowienia dyktatury Langiewicza“¹⁾.

Nakoniec zjawił się w Krakowie ów zapowiadany komisarz pełnomocny Rządu tymczasowego, w osobie niejakiego hr. Adama Grabowskiego, to jest tego samego, o którym Łubieński głośno rozповідаł, że razem z Królikowskim stanowią w tej chwili rząd powstańczy. Grabowski była to jedna z tych osobistości, których wielkie konwulsje społeczne wyrzucają na wierzch z cieniów, w jakich dotąd pograżone były, i dzięki temu na chwilę odgrywają rolę historyczną, zwykle nie bardzo zaszczytną. Był zanużyć się znów w ciemności, z których nigdy wyjść nie były powinny. Poznańczyk rodem, kamerjunker dworu pruskiego, miał młodość nadzwyczaj burzliwą; należał do grupy lekkomyślnej i marnotrawnej młodzieży, która traciła mienie ojczyste na karty, konie i ladacznice. Zamieszkawszy w Paryżu, hulał tam na wspólną z Chojeckim, Kaszycem, Mniewskim, Kołaczkowskim i innymi, którzy na bruku paryskim rozpraszali złoto, zapracowane ciężko przez chłopą polskiego, tracili zdrowie i dobre imię polskie. Ożeniwszy się z księżniczką Lubomirską, nie zaprzestał swego życia hulaszczego, tak że zbankrutował, i teść, ks. Lubomirski zmuszony był ogłosić w gazetach poznańskich, że zięć jego odebrał już cały posąg żony i żadnego nie ma prawa ani tytułu do czynności, obciążających majątek ks. Lubomirskiego²⁾. Ścigany przez wierzycieli, przeniósł się do Warszawy i zamieszkał w pałacu, zwanym Tarnowskich, na Krakowskim Przedmieściu, który wówczas należał, jak się zdaje, do jego żony. Tu, u hr. Andrzeja Zamoyskiego zapoznał się z naczelnikiem zarządu żeglugi parowej, Leonem Królikowskim, który był jednym z wybitniejszych członków organizacji powstańczej, był nawet później po-

¹⁾ A. Guttry, Pamiętniki II. 123. Prócz tego w notatkach rękopiśmiennych, spisanych przez nas z opowiadań osób. naocznych świadków powstania dyktatury, jest kilkakrotna wzmianka o czynnej działalności w tej sprawie Łubieńskiego.

²⁾ Wł. Bentkowski loc. cit. 28.

mocnikiem Bobrowskiego¹⁾, ale nigdy pierwszorzędnego nie zajmował stanowiska. Przez niego Grabowski wszedł w stosunki z całą partią Czerwonych, a zwłaszcza z blizkim kuzynem Królikowskiego, Zdzisławem Janczewskim, któremu nawet podobno dał pieniędzy na założenie jakiejś drukarni²⁾, mieszał się do wszystkiego, był elegancki, wymowny, wyborczy gawędziarz, ale głowa słaba. Dlatego też w kołach Czerwieńców widziano go chętnie, ale stanowiska nietylko w organizacyi, a cóż dopiero w Rządzie nie zajmował, zresztą, jak się zdaje, nie starał się o to wcale. Temu to mieszanin się do wszystkiego zawdzięczał, że doskonale był obznajmiony z ludźmi i rzeczami, ze stosunkami, celami i nadziejami stronnictwa ruchu, i ta to znajomość, jak zobaczymy, przydała mu się potem bardzo.

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 9. A. Giller, Historia I, 280, nazywa go „członkiem komisji wykonawczej“. Coby to była za komisja, nie wiemy. W pamiętniku zatytułowanym „Wspomnienia z czasów młodości“, a wydrukowanym w tomie IV „Wydawnictwa materiałów do historii powstania“, znajduje się na str. 189 wiadomość, że hr. Grabowski zajmował jakieś stanowisko w żegludze parowej Andrzeja Zamoyskiego, i że wziął pieniądze od komitetu centralnego, obowiązując się statkami broń sprowadzić. „Czy broń kupił rzeczywiście (pisze autor tych „Wspomnień“) i jaką, niewiadomo, to tylko pewna, że komitet ani broń, ani pieniędzy nie otrzymał, a Grabowski usprawiedliwiał się rewizją niespodziewaną statków i konfiskatą broni; o tej konfiskacie istotnie mówiono wówczas w Warszawie“. Tenże sam autor w rękopiśmiennym pamiętniku, spisanym dla nas, nazywa Grabowskiego wprost „urzędnikiem żeglugi parowej“ (stąd się tłómaczy jego zażyłość z Królikowskim, który był dyrektorem tego przedsiębiorstwa), i w sprawie owej broni dodaje: „od nikogo nie słyszałem, aby owa konfiskata rzeczywiście miała miejsce; sam Gr. był wolnym, o aresztowaniu kogokolwiek ze służby na parostatku, zatrzymanym z powodu przewożenia broni, nigdy nie słyszałem. A jednak nie ulega wątpliwości, że Moskale, gdyby rzeczywiście na statku znaleźli transport broni, nie omieszkiliby ogłosić i nietylko broni, ale i statek, jeżeli nie wszystkie statki, uległyby konfiskacie. Bardziej złośliwi mówili o skonfiskowaniu dwóch starych karabinów na jednym ze statków“.

²⁾ N. Berg, loc. cit. III, 9.

Był to do pewnego stopnia typ wykolejonego panicza mar-notrawcy i awanturnika ¹⁾,

Zdarzyło się, że Grabowski w chwili tak silnie roz-winiętych namiętności politycznych, wybrał się do Krakowa, oświadczając swym przyjaciołom, że „jedzie bić się z Mo-skalami w oddziale Langiewicza lub Wysockiego“, i doda-wał, że ostateczną decyzją, do którego z tych oddziałów ma wstąpić, powezmie w Krakowie ²⁾. Zdaje się, że isto-tnie takie miał zamiary, i że w Warszawie nie myślał wcale o odegraniu jakiegokolwiek wybitniejszej roli w krwawym dramacie powstańców. Ponieważ organizacja warszawska potrzebowała w tej chwili wysłać generałowi Wysockiemu 1000 rubli ³⁾, więc za radą Królikowskiego skorzystano z wyjazdu Grabowskiego i pieniądze te mu dano, zaopa-trując przytem w kartkę z pieczętką, ażeby poseł mógł się wylegitymować przed Wysockim, oraz by go mógł łatwiej znaleźć, gdyż stary generał bardzo starannie się ukrywał ⁴⁾.

W Krakowie tymczasem poczuło potrzeby stwore-nia jakiejś władzy, wzrosło znacznie wskutek tego, że zja-wił się tam Mierosławski. Niewyleczony jeszcze zupełnie

¹⁾ W liście Rządu tymczasowego do Langiewicza z dnia 16. marca 1863 r., opublikowanym w broszurze „W tył“, taką znajdu-jemy charakterystykę Grabowskiego: „pan hrabia *... jest prosty szalbierz i oszust polityczny, który nigdy swoją obecnością nie po-winien był kłaść swego obozu“... „kto jest p. *... odsyłamy cię, je-nerale, do generała Wysockiego, a dowiesz się o historii pewnych kwitów, na problematyczne pieniądze przez pana *... fabrykowanych Co do politycznych przekonań p. *... nie mogących mieć żadnych styczności z przekonaniem takiego, jak ty generale, rewolucyjnego organizatora, odsyłamy cię do zeszłorocznego „Czasu“. Pan *... jest awanturnikiem, o którym mówić człowiek polityczny wstydzić się musi“. Charakterystyka może za surowa i za ostra, widocznie na-cechowana namiętnem podrażnieniem stronnictwa politycznego. Tak niegodziwym i nieuczciwym Gr. nie był, i są ślady, że został na-rzędziem intrygi w dobrej wierze, jak to zobaczymy później.

²⁾ *N. Berg* loc. cit. III, 10.

³⁾ *Güller*, loc. cit. I, 280.

⁴⁾ *N. Berg*, loc. cit. kartkę tę niektóre relacje nazywają wprost „karteczką legitymacyjną“

ze swej choroby, jakiej nabawił się w ciągu kilkudniowej wyprawy kujawskiej, przybył do starej stolicy polskiej za paszportem francuskim na imię kupca Chamiera. Wiedzano o jego przybyciu, gdyż liczni stronnicy exdyktatora, pod-niesli głowę i nie ukrywali tego wcale, lecz nie wiedzano, gdzie mieszka. Tymczasem pomieścił on się na ulicy Sto-larskiej u niejakiego Gniewosza, a przyszedłszy nieco do siebie, zgolił swą piękną, jasną brodę, i przebrany w kitel przekupnia chodził po mieście z koszykiem pomarańcz ¹⁾. Nie ulegało dla nikogo żadnej wątpliwości, że pobyt Mie-rośławskiego w Krakowie ma na celu opanowanie władzy; partyzanci jego głośno się odgrażali, że „Targowiczanie“ rozpędzą na cztery wiatry i ciągle wyprawiali z przeciwni-kami awantury. Wszystko to wśród tych ostatnich ogro-mny wywołało popłoch; skoro więc zjawił się hr. Grabowski z przesyłką pieniężną z Warszawy, i z kartką świadczącą, że jest wysłańcem z Rządu tymczasowego, gdy natknął się na Łubieńskiego, z którym się znał z Poznania, na Ko-łaczковского, dawnego hulankę paryskich towarzysza, i Siemieńskiego, ci postanowili skorzystać z tego i użyć Grabowskiego jako narzędzie zamierzonej intrygi. Zapewne wyjaśnili mu położenie i z łatwością namówili w imię do-bra ojczyzny, awanturniczo usposobionego utracjusza, do przyjęcia na siebie roli Komisarza nadzwyczajnego Rządu tymczasowego ²⁾. Juźci do jego arystokratycznych przy-zwyczajen, lepiej przypadało takie działanie, jak szukanie krwawych przygód gdzieś w cieniu lasów, jako prosty i nieznanany nikomu powstaniec, i zakończenie ich może śmiercią lub niewolą ³⁾.

¹⁾ „Dziennik Warszawski“ Nr. 27 z r. 1866. Opowiada przytem, że stronnictwo przeciwne wysłało czterech sztyletników dla zamor-dowania Mierosławskiego, ale ci znaleźć go nie mogli.

²⁾ Tak twierdzą niektóre relacje piśmienne o tej sprawie, ja-kie posiadamy w naszych zbiorach. Utrzymują one, że Grabowski działał w dobrej wierze.

³⁾ Że swoją drogą Grabowski, przyjmując na siebie taką mi-sję, niekoniecznie działał wtrew intencjom Rządu tymczasowego.

Z jego przybyciem do Krakowa, Łubieński i Kołaczkowski coraz usilniej poczęli rozpuszczać pogłoskę o tem, że Rząd tymczasowy nie istnieje, że przybył już komisarz nadzwyczajny tego Rządu i że trzeba radzić jak nieszczerściu zapobiedz i zgubnym intrygom Mierosławskiego koniec położyć. Gdy przytem wszyscy wezwani na naradę byli już obecni w Krakowie, więc naznaczono walną sesyą na dzień 8 marca (w dwa dni po przybyciu Langiewicza do Goszczy), wieczorem w hotelu Saskim, w mieszkaniu Leona Skorupki¹⁾. Zebranie składało się z kilkunastu osób; oprócz Skorupki jako gospodarza, był tu generał Kruszewski, Adam ks. Sapieha, Bogusław Łubieński, Mieczysław Waligórski²⁾, Leon Chrzanowski, Stanisław Koźmian, Jan Tarnowski, hr. Adam Potocki i wielu innych. Znalazł się tu także przypadkiem Władysław Bentkowski, syn Feliksa, znanego historyka literatury ojczyściej, oficer 5 brygady artylerji pruskiej i poseł na sejm ze Środy w W. Ks. Po-

świadczy list Bobrowskiego do Padlewskiego, pisany w nocy z d. 6 na 7 marca, a wydrukowany w przekładzie rosyjskim u Berga, Zapiski IV. 190 i nast. W liście tym znajduje się taki znaczący ustęp: „skłoniłem Rząd narodowy do zawiązania stosunków z kilku politycznymi osobistościami dla przygotowania kombinacji, mogącej doprowadzić do utworzenia stałego i jawnego Rządu Narodowego. W tym celu wyjeżdża jutro agent do Krakowa i Poznania. Z drugiej strony wysyłam także jutro dwóch kurjerów od siebie do Wysockiego i Langiewicza, żeby im objaśnić istotny stan polityczny w Warszawie i zarazem wytworzyć harmonię wśród naszych znakomitości wojskowych, tak w widokach przeciwdziałania intrygom reakcyi, jak i naciskowi anarchii“. Otóż, zdaje się, że Grabowski musiał mieć pewne wiadomości o tych zamiarach, i wina jego w tem leży, że samowolnie przyjął na siebie charakter jednego z onych kurjerów rządowych, o których wspomina Bobrowski. Jeżeli się nie mylimy, takim kurjerem do Krakowa był p. Maryan Sokołowski, ale przybył podobno zapóźno, by zapobiedz intrydze. Jeżeli wierzyć niektórym doniesieniom (*J. Łukaszeński*, Zabór pruski, 255) p. Sokołowski był także w obozie Langiewicza, ale dyktator z nim, jako nieznanym sobie, układać się nie chciał.

¹⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. II, 14.

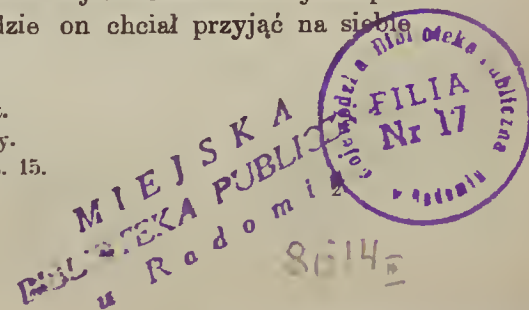
²⁾ Postać dość zagadkowa, Poznańczyk rodem. Ciekawe o nim szczegóły podaje *T. Żychliński*, Wspomnienia z r. 1863, p. 35.

znańskiem, człowiek liczący teraz lat 47, bardzo rozumny, bardzo wytrawny, który przybył do Krakowa w zamiarze przedostania się do obozu Langiewicza i który pozostawił po sobie wyborne pamiętniki swych przygód powstańczych. W naradzie jednak obecnej udziału czynnego nie brał; był tylko wiernym jej widzem i słuchaczem. Oczywiście rzecz, że zjawił się tu także Grabowski, którego, jako wysokiego dygnitarza powstańczego, posadzono na honorowym miejscu stancyi hotelowej, na kanapie¹⁾. Pokazywał on wszystkim swe pełnomocnictwo, niewątpliwie sfalszowane, w którym Rząd tymczasowy nakazywał mu udać się do obozu Langiewicza, sprowadzić go nad granicę galicyjską i namówić do ogłoszenia się dyktatorem²⁾. Nikt nie przypatrywał się skrupulatnie temu pełnomocnictwu, nikt nie wątpił o jego autentyczności, a jeżeli był taki niedowiarek, to nie odzywał się z tem wcale. Ponieważ Langiewicz stał już nad granicą, więc sprowadzać go nie trzeba było i mówiono już tylko o samej dyktaturze. Rozpoczęto więc od obrazu, niezwykle trudnego położenia powstania bez rządu, rozprawiano o grożącej dyktaturze Mierosławskiego, o potrzebie rządu jawnego i t. p. Grabowski, odgrywając ciągle rolę komisarza nadzwyczajnego, ilekroć do niego się zwracano, odpowiadał powoli, rozmyślnie, gładko, z pewną wymową i urzędowem, dyplomatycznem namaszczeniem, mając zawsze spuszczone oczy, i nigdzie nie odzywał się w swoim imieniu, lecz stale używał formuły: „Rząd narodowy jest zdania“, lub „Rząd narodowy musi na to odpowiedzieć, że...“³⁾. Wreszcie weszła na stół kwestya dyktatury Langiewicza, jako jedynego wodza, który wypłynął na wierzch, który zdołał się dotąd utrzymać, stoczył kilka pomyslnych potyczek i stworzył z niczego małą armię, która się bije i rozbić się nie daje. Podnoszono tylko pewne wątpliwości, czy będzie on chciał przyjąć na siebie

¹⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit.

²⁾ Relacya ks. A. Sapiehy.

³⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. 15.



ten wielki i pełny odpowiedzialności ciężar. Poddano na koniec sprawę tę pod głosowanie i wszyscy się zgodzili na dyktaturę Langiewicza, i komitet krakowski, i ks. Adam Sapieha w imieniu komitetu lwowskiego i wreszcie Łubieński w imieniu poznańskiego. Grabowski zaś, przemawiając zawsze w imieniu Rządu narodowego, wśród różnych omówień i zastrzeżeń, przychylił się do ogólnego zdania ¹⁾. Trzeba było o tej uchwale walnego zjazdu uwiadomić przede wszystkim Langiewicza, i tej misji podjął się Grabowski, któremu, już z samego stanowiska jego, posłannictwo to się należało i nazajutrz, dnia 9 marca, w towarzystwie nieodstępnych Kołaczkowskiego i Siemieńskiego udał się do Gószczy.

Tutaj rozwijało się czynne i ruchliwe życie, pozornie noszące wyłącznie cechę wojskową, w głębi jednak wrzały napiętności polityczne i silne dawało się spostrzegać wzburzenie umysłów. Napływ ochotników był znaczny. Młodzież z Krakowa i innych miejscowości zaboru austriackiego, rozbitki miechowskie, tłumnie ciągnęli do obozowiska gószczańskiego. Granica z obu stron zupełnie ogołocona ze straży, ułatwiała komunikację. A przytem Langiewicz przesyłał rozkazy do Krakowa, ażeby wszyscy, przebywający tam powstańcy, natychmiast stawili się w Gószczy ²⁾. Rozkaz ten z wielu względów był konieczny, gdyż Kraków roił się od młodzieży, „wrzał dosłownie (jak się wyraża

¹⁾ Loc. cit. Jak dalece uważano dyktaturę Langiewicza za jedyne wyjście z ówczesnego rozpaczliwego, jak mniemano, położenia, świadczy następujące Bentkowskiego opowiadanie: „Tegoż jeszcze wieczoru spotkałem na korytarzu, czy też w sali jadalnej A. Sapiehę, który wynurzał mi się z obawą, czy Langiewicz będzie chciał dyktaturę przyjąć i czy wogóle rzecz ta da się zrobić, oraz z gorącem, jak się zdawało, pragnieniem, żeby się to zrobiło. Odpowiedziałem mu na to... Kiedy wszyscy, prócz Mierosławczyków, tego pragnąć się zdają i Rząd dotychczasowy mają za sobą, robić, ale najmniej gadać; skoro bowiem zamysł przetranspiruje na zewnątrz, Mierosławski nie omieszką uprzedzić go jakim śmiałym zamachem stanu bądź to w obozie, bądź gdzieindziej“.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, *Wojennyja dziejstwa*, 100.

jeden ze świadków naocznych) od ruchu wszelakiego“. „Hotele i domy prywatne przepełnione były już to uciekającymi lub przejezdniemi familiami, już to rozbitkami i rannymi powstańcami, już to takimi, co się do powstania dopiero wybierali, już to najrozmaitszemi półtajemniczymi figurami, powstańcami, agentami, emigrantami, kuryerami, członkami różnych komitetów i na własną rękę wojującymi dyplomatami. Rynek przedstawiał widok powstańczego obozowiska; roiło się na nim od młodzieży w długich butach, futrzanych kurtach, butach i konfederatkach. W hotelu Saskim głowa puchła od różnych nowin, opowiadań, tajemnych zwierzeń i stronnich obgadywań, plotek i intryg“ ¹⁾. Rozkaz więc Langiewicza, wzywający całe to zbiegowisko wszelkiego rodzaju ludzi do szeregów, był bardzo odpowiedni i oczyszczał miasto z żywiołów burzliwych i z wielu względów niebezpiecznych. Jakkolwiek bowiem władze austriackie dotąd na wszystko patrzyły przez palce, nikt jednak nie mógł zaręczyć, że jutro nie zmienią swej postawy. Pierwszy do Gószczy przyciągnął stary, sześćdziesięcioletni generał Waligórki, pułkownik wojska szwedzkiego, późniejszy dyrektor szkoły podchorążych w Genui i Cuneo. Z oddziałem stu kilkudziesięciu ludzi, wśród których znajdowało się wielu Poznańczyków, a z oficerów major Niewiadomski, Stanisław Wierzbński i Rochebrun, pomaszzerował on na Szyce i już dnia 7 marca stanął w Gószczy ²⁾. Potem z rozbitkami miechowskimi, którzy po fatalnej tej klęsce szukali schronienia w Krakowie, przemaszerował na Michałowice, Wanert ³⁾; wreszcie z ca-

¹⁾ *Wł. Bentkowski*, loc. cit. 12.

²⁾ *St. Wierzbński*, *Opisanie wojennych wypraw (Polska w walce I, 149)*. *Jeziorański*, *Pamiętniki I*, 227, powiada, że Waligórski przyprowadził ze sobą tylko kilkadziesiąt jazdy, co się nie zgadza z podaniem Wierzbńskiego. Ale ponieważ ten ostatni był w tym oddziale i wogóle jego pamiętnik ma cechę prawdy, czego o relacji Jeziorańskiego powiedzieć nie można, więc poszliśmy za podaniem pierwszego.

³⁾ *Ks. S. Szulc*, *Pamiętnik (Polska w walce I, 101)*.

lym swoim oddziałem zjawił się Teodor Cieszkowski, znany nam ze swej waleczności w Sosnowcu, który stoczywszy dwie dość szczęśliwe utarczki pod Pankami i Mrzygłodem ¹⁾,

¹⁾ O utarczkach tych posiadamy szczegóły następujące: Cieszkowski, jak wiemy, po ataku Sosnowca, zajął się w Dąbrowie formacją osobnego oddziału, który bardzo szybko wzrósł w liczbę, gdyż nieprzyjaciela w całej tej okolicy nie było. Ściągnął on do siebie z Wieluńskiego rozbitków z oddziału niejakiego Makarego Drahomireckiego (*Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 279, mylnie go nazywa Drahomirskim. Szczegóły o tym dowódcy u *Kolumny*, Pamiętniki II, 59). Pułkownik rosyjski w Częstochowie, Alenicz, wobec pogłosek o wielkich siłach Cieszkowskiego, nie śmiał się ruszyć, zwłaszcza, że obiegały wieści, jakoby dowódca polski zamyślał atakować Częstochowę. W rzeczy samej Cieszkowski, którego siły *Gesket-Puzyrewskij* oblicza na 500 do 700 ludzi, szybko przerzucił się pod Siemień i Kozięglazy, wreszcie stanął w Pankach, gdzie zamierzał połączyć się z ciągnącym z pod Kalisza Oksińskim i atakować Częstochowę. Alenicz o tych zamiarach dowiedział się od chłopów, bardzo źle w tych stronach usposobionych dla powstańców, i chcąc uprzędzić ich atak, wyruszył na nich na czele dwóch kompanij piechoty, dwóch dział i stu kozaków. Działo się to dnia 26 lutego, w samo południe (*Gesket-Puzyrewskij* utrzymuje, że o godzinie 4 po południu wbrew ks. *Szulcowi* (Pamiętniki, Polska w walce I, 100) i po krótkiej strzelaninie i ogniu granatami z dział, Cieszkowski wycofał się pod Siemieczka, nie ścigany wcale przez Alenicza, który zaraz zawrócił do Częstochowy. Według relacyj rosyjskich, Cieszkowski dlatego się tak prędko z Panek wyniósł, że na granicy od strony Prus ukazał się oddział Prusaków, złożony z 2 batalionów piechoty, 4 szwadronów jazdy i artylerji. Dowódca polski, lękając się, by Prusacy udziału w boju nie wzięli, wolał się cofnąć (*Gesket-Puz.* 281) i skierował się do Mrzygłodu. W Myszkowie, na stacyi kolei Warsz.-Wiedeń. stał garnizonem kapitan, także Alenicz nazwiskiem, na czele jednej kompanij piechoty. O pobycie powstańców w Mrzygłodzie donieśli mu chłopci. Ruszył on natychmiast na Mrzygłód i w nocy na 1 marca zaatakował miasteczko. Powstańcy, mimo niespodziewanego napadu, sformowali się jako tako i uparcie, przez cztery godziny (ks. *Szulc*, loc. cit. 101) się bronili. Pojawienie się na tyłach rosyjskich małego oddziału powstańczego, wysłanego poprzednio dla zepsucia kolei pod Myszkowem, spowodowało, że Alenicz się cofnął, za co komendant pułku witebskiego, a zwierzchnik Alenicza surową z Warszawy otrzymał naganę (*Gesket-Puz.*, 283). Cieszkowski po tej potyczce skierował się ku południowi i wreszcie połączył się w Goszczy z Langiewiczem.

pociągnął teraz do Goszczy. Ale oprócz tych liczniejszych oddziałów, ciągnęło tu mnóstwo pojedynczych ochotników, i obozowisko w Goszczy rosło z każdą chwilą. Przybywało też wielu oficerów: oprócz Waligórskiego i Rochebruna, zjawił się наконец tak niecierpliwie i napróżno oczekiwany przez Kurowskiego w Ojcowie, Józef Czapski, z nominacją, poprzednio mu wydaną, na naczelnika województwa krakowskiego. Ponieważ Langiewicz także był wojewodą krakowskim i sandomierskim, więc mogło z tego powodu, świadczącego jaki nieład panował w Rządzie tymczasowym, przyjść do nieporozumień. Ale Czapski szlachetnie oświadczył, że mu nie idzie wcale o wysokie stanowisko, że pragnie tylko służyć ojczyźnie i chętnie poddaje się pod rozkazy Langiewicza, który oddał mu dowództwo nad całą jazdą ¹⁾. Czapski, zamilowany w tej broni, ćwiczył ją nieustannie na obszernych równinach Goszczy ²⁾, i doprowadził do pewnej doskonałości, o ile tego można było dokonać w ówczesnych warunkach.

W ogólności Langiewicz, korzystając z niezagrożonego pobytu nad granicą, i z pomocą, jaką mu dawał blizki Kraków, zajął się energicznie reorganizacją swego oddziału. Starano się nadać mu postawę bardziej wojskową. Liczebność całej tej małej armii, dochodziła 3000 ludzi wszelkiej broni ³⁾. Z piechoty utworzono brygadę, którą oddano staremu burczymusze Śmiechowskiemu, „bugrem“ zwanemu przez żołnierzy, gdyż takie miał przysłowia. Awansowany przytem został na brygadiera z tytułem generała ⁴⁾. Ta brygada piesza składała się z dwóch pułków, noszących

¹⁾ A. Jeziorański, Pamiętniki II. 227 i inni.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. 32 pisze: „W istocie siły nie dochodziły 3000 ludzi“. Tak samo ocenia obóz goszczański ks. *Szulc* loc. cit. 105. Wierzbński, loc. cit. 151, cyfrę tę podnosi do 3600 ludzi, co jest bezwarunkowo za wiele. W *Dzienniku Warszawskim* Nr. 107 z r. 1865 w artykule „Prawda o powstaniu polskim“, oddział Langiewicza w Goszczy obliczony jest na 3060 ludzi.

⁴⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. 32 i inni.

numera porządkowe. Pierwszy pułk oddał Langiewicz Teodorowi Cieszkowskiemu ¹⁾, którego jednak zaraz potem wysłano w Kaliskie dla podniesienia tam upadającego powstania ²⁾, a pułk oddano majorowi Wanertowi. Z nowego dowódcy żołnierze byli dość zadowoleni, zwłaszcza, że wielu tam było rozbitków z pod Miechowa, którzy Wanerta znali i lubili. Z tem wszystkiem, jak to zaraz zobaczymy, Wanert nie długo dowodził pułkiem pierwszym. Pułk drugi powierzył Langiewicz staremu Czachowskiemu, który na to zasłużył ze wszech miar, jakkolwiek był krzykliwy, bezwzględny i nieraz okrutny. Każdy pułk pieszy składał się z trzech batalionów, a każdy batalion z trzech kompanij, tj. dwóch strzeleckich i jednej kosynierów. Ile właściwie ludzi liczył batalion? trudno jest dojść; wszelako nie oddalimy się zbyt daleko od prawdy, gdy podamy go na 250 do 260 ludzi ³⁾. Tym sposobem cała brygada piechoty mogła liczyć 1560

¹⁾ Ks. Szulc, loc. cit. 102. tak charakteryzuje Cieszkowskiego: „prędko zaprowadził on porządek w swoim pułku. Wymagania karności umiał pogodzić z ludzkością i swą szorstkość z łagodnością. Żołnierze szanowali go i lubili. Cieszkowski nie był też bezbożnikiem, nosił religijne oznaki na piersiach; wydał rozkaz, ażeby co wieczór i zrana kapelan odmawiał wraz z całym pułkiem pacierz i litanie do Matki Boskiej“.

²⁾ Cieszkowski, odjeżdżając, przedstawił Wanerta pułkowi i zapowiedział go gorąco: „przed odjazdem, mówił, starałem się, ażeby nasz pułk oddać pod dowództwo człowieka doświadczonego już w bojach majora Wanerta, i wierząc mi, że on was nie wystawi na rzeź i nie opuści w niebezpieczeństwie, zginie razem z wami lub zwycięży! ufajcie mu, a on was nie zawiedzie. Bądźcie walecznymi żołnierzami, przechowajcie imię i honor polski, przekażcie go, jako drogą spuściznę przyszłości“ Wspominał, jakby przecuciem wiadziony, że umie zginąć i polecał swą duszę modłom żołnierzy. (Czytaj ks. Szulc, loc. cit. 108).

³⁾ Taką cyfrę podaje nieznany autor „Prawdy o polskom wozstaniu“ (*Dziennik Warsz.* loc. cit.). Wierzbński w swym „Opisie wypraw wojennych“ (Polska w walce II, 150) ocenia batalion na 420 do 450 ludzi, ale zaraz potem dodaje: „bataliony, jak mi później mówiono, nie posiadały każdy 450 głów“. Wobec tego cyfra „Prawdy o polskom wozstaniu“ zdaje się być najautentyczniejszą.

do 1600 głów. Poza tymi dwoma pułkami piechoty, którą nazwalibyśmy liniową, był jeszcze osobny oddział, zwany „pułkiem żuawów“, dowodzony przez Rochebruna, podzielony na dwie kompanie i ogółem liczący 350 ludzi ¹⁾, oraz oddziałek saperów, mogący zawierać około 100 ludzi ²⁾. Tak więc ogólna liczba piechoty dochodziła do 2050 ludzi ³⁾.

Kawaleria pod naczelną komendą generała Czapskiego, tworzyła brygadę, złożoną z dwóch pułków. Pierwszym pułkiem dowodził pułkownik Ulatowski, drugim Beyer ⁴⁾. Ogółem miało być 400 koni ⁵⁾. Prócz tego w obozie znajdował się dobrany oddziałek, liczący około 20 koni, t. zw. „gwałtygierów“, który w teorii miał pełnić obowiązki policyi obozowej, a w rzeczy samej używany był, przez Langiewicza do spełniania różnych misyj ⁶⁾; ogółem więc cała jazda liczyła od 420 do 450 koni. Artyleria posiadała dwa małe działka z kutego żelaza, jednofuntowego kalibru. Tabor obozowy składał się z 92 wozów ⁷⁾, na których mieściły się bagaże wodza i kwatery głównej, drukarnia polowa, apteka, bagaże oficerskie, amunicja, zapasy chleba, mięsa, mąki i furaju. Służba taboru oraz rzemieślnicy i różni łazęgi, wieszający się koło oddziału, nie nale-

¹⁾ „Prawda o polskom wozstaniu“, *Wierzbński* za loc. cit. oblicza żuawów na 400 ludzi; różnica więc z podaniem bezimiennego autora w *Dzienniku Warsz.* jest niewielka. *Gesket-Fuzyrenskij* loc. cit. 103 za *Wł. Bentkowskim* loc. cit. 32, liczy żuawów „około 200 ludzi“.

²⁾ „Prawda o pols. wozst.“ *Wł. Bentkowski* nazywa ten oddziałek plutonem, w takim razie cyfra 100 ludzi byłaby za wysoka. *Wierzbński* loc. cit. nic o saperach nie wie.

³⁾ W Chrobrzu, cyfra szeregowców samych bez oficerów, miała według *Bentkowskiego* loc. cit. 94. wynieść dwa tysiące dziewięćset kilkadziesiąt ludzi.

⁴⁾ *Wierzbński*, loc. cit. 151.

⁵⁾ „Prawda o pols. wozst.“ *Wierzbński* zgodnie z tem podaniem powiada, że „kawaleria nie dochodziła nawet 500 koni“, z czego *Gesket-Fuzyrenskij*, loc. cit. 103 zrobił 600 koni.

⁶⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 12. *Wierzbński* 151 powiada, że tych gwałtygierów „była bardzo wielka liczba“. Zdaje się, że pomieszał ich ze sztabem, który był dość liczny.

⁷⁾ „Prawda o pols. wozstaniu“.

żący do żadnej broni, których w ogólnym chaosie nie łatwo było wcielić w szeregi, mieli dochodzić do 460 ludzi ¹⁾. Jeżeli dodamy do tego dość liczny stosunkowo sztab, wynoszący około 100 ludzi ²⁾, będziemy mieli takie cyfry:

Piechota	2050 ludzi
Jazda	450 „
Artylerya, tabor, sztab	560 „
Ogółem	3060 ludzi.

Liczba ta wydaje się najprawdopodobniejszą i z pewnością niewiele się różni od istotnej siły małego korpusiku Langiewiczowskiego. Uderza w nim znaczna ilość ludzi pozaszeregowych i sztabu. W rzeczy samej koło kwatery głównej wieszalo się mnóstwo osób, niemających właściwie określonego zajęcia, a liczących się do sztabu, który wskutek tego przedstawiał się zbyt wielkim w stosunku do potrzeb drobnego tego korpusiku, i wywołując z jednej strony słuszne skargi i narzekania, z drugiej powodował częstokroć nieopisany zamęt i chaos. Policya obozowa właściwie nie istniała, gdyż wspomnianych przez nas, owych 20 gwałtygierów konnych, doskonale uzbrojonych i dobranych z młodzieży inteligentnej, albo nawet z oficerów ³⁾, używał Langiewicz do wszystkiego, do czego zaufanych, wykształconych i zdeterminowanych ludzi potrzeba było. Pełnili oni też bardzo często służbę adjutantów ⁴⁾. Mimo tak wielkiej stosunkowo liczby osób, sztab

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Autor „Prawdy o polskom wozstaniu“, a za nim i inni twierdzą, że sztab był bardzo liczny (*Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 105, nazywa go „ogromnym“), że dochodził do 150 osób. Zdaje się jednak, że to jest przesada. W zbiorach autora niniejszego, znajduje się rękopiśmienna notatka osoby, która była w Goszczy podczas pobytu Langiewiczza, i umiała patrzeć na rzeczy; w notatce tej powiedziano: „wogóle sztab z gwałtygierami i adjutantami dochodził cyfry kilkudziesięciu ludzi“. Ponieważ gwałtygierów było 20 koni, więc cyfra sztabowców nie musiała być znowu tak znaczna i obliczenie nasze na sto koni, z pewnością jest za duże.

³⁾ Wł Bentkowski, loc. cit. 32.

⁴⁾ Loc. cit.

ten właściwie nie miał żadnej organizacji i ściśle mówiąc nie był sztabem. Audytoryatu polowego wcale nie było. Audytor, który miał się pierwotnie przy sztabie znajdować, gdzieś się zapodział ¹⁾; żadnego kodeksu wojskowego, żadnych artykułów wojennych korpus nie posiadał. Wprawdzie zbierały się od czasu do czasu sądy wojenne, wieszaly chłopów, ale wyroki nie były oparte na stałych artykułach prawa i zależały od widzimisię sędziów. Karność wojskowa zależną była od dowódców pojedynczych i od ich charakteru. U Rochebruna np. był wielki ład i porządek; u Czachowskiego posłuch znaczny; u innych trzymało się wszystko kupy poczuciem patryotycznym, ale właściwej karności wojskowej nie było. Z chwilą dopiero, gdy znany nam już Władysław Bentkowski przybył do Goszczy i mianowany został szefem sztabu, zaprowadzono w tej części organizacji wojennej pewien porządek. Mianował on sztabaudytorem niejakiego Krausa, młodego prawnika z uniwersytetu wiedeńskiego i polecił mu ułożyć projekt artykułów wojennych i procedury sądów polowych ²⁾. Zdaje się jednak, że rzecz ta dla krótkości czasu i, szybko po sobie następujących wypadków, nie weszła wcale w wykonanie. Co się tyczy służby zdrowia, to pomimo, że w obozie lekarzy nie brakowało, a nawet mianowany był sztablekarzem młody Dr. Bukowiecki z uniwersytetu wrocławskiego, szła ona bardzo lichy. Szpitali stałych nie było; chorych i rannych nie miano gdzie pomieszczać; dopóki w Goszczy komunikacja z Krakowem była wolna, tam odsyłano chorych; później zostawiano ich po wsiach na Boskiej opatrności, lub wlekli się na wozach za oddziałem, nie chcąc się dostać w ręce nieprzyjaciela. Aptekę miano na furgonie; Leon Chrzanowski przywiózł nawet z Krakowa kompletne instrumenta amputacyjne, ale służba sanitarna stale szwankowała przez cały czas powstania, nie z winy dowódców i lekarzy, ale fatal-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Loc. cit.

nych warunków samej wojny. Służba duchowna w obozie goszczańskim była bardzo liczna; księży świeckich i zakonników było podostatkiem. Sztabskapelanem był ks. Paweł Kamiński, niegdyś misyonarz z klasztoru warszawskiego, następnie emigrant, kapelan w obozie Kurowskiego, z którym razem po klęsce miechowskiej udał się do Krakowa, a stąd do Goszczycy; ksiądz niespokojny, autor później wydanego, pełnego kłamstw i fałszów, pamfletu o powstaniu ¹⁾. Kapelanem pierwszego pułku był ks. Antoni Majewski, reformator z klasztoru stopnickiego ²⁾, zamordowany przez żołnierzy rosyjskich w chwili, gdy spowiadał umierających powstańców pod Grochowskimi ³⁾; drugiego pułku kapelanem był ks. Serafin Szulc, który napisał pamiętnik swych przygód wojennych. Oprócz nich znajdowało się w obozie kilku jeszcze księży, z pomiędzy których znamy już ks. Kotkowskiego, wojewódzkiego sandomierskiego; wspomnieć również wypada ks. Agrypina Konarskiego, kapucyna, który w kilka miesięcy później miał umrzeć na szubienicy na stoku cytadeli warszawskiej. Teraz zaś nie mając stałego zajęcia w obozie, kręcił się po nim ciągle i dawał bardzo często hasło do okrzyków: „niech żyje Langiewicz!“ ⁴⁾. Wszyscy ci księża mieścili się na plebanii goszczańskiej, u proboszcza miejscowego, ks. Józefa Nieużytki. Nabożeństwa wszelako wspólne prawie nigdy się nie odbywały, gdyż poprostu czasu na to nie było.

Jedną z najważniejszych gałęzi administracji wojskowej, intendentura była w opłakanym stanie, albo raczej wcale nie istniała. Zarządzał nią pod tytułem magazyniera, znany nam już Jago powstańczego Otella-Jeziorańskiego,

¹⁾ Tytuł tego pamfletu jest następujący: „Głos wymuszony na ks. Kamińskim. Przyczynek do historii polskiej z lat 1861—64“. Paryż, 1866 r.

²⁾ W tomie I, 317 napisano, że ks. Majewski był bernardynem z Karczówki pod Kielcami. Drobną tę pomyłkę niniejszem prostujemy.

³⁾ Ks. S. Szulc, loc. cit. I, 102.

⁴⁾ Loc. cit.

Tomasz Winnicki ¹⁾, który prócz tego, do czasu przybycia Bentkowskiego, pełnił obowiązki szefa sztabu. Zarząd intendencji polegał na tem, że na bryczce sztabowej doglądał starannie będących tam smakołyków, o żywność zaś oddziału samego niewiele się troszczył. Zapasów i magazynów, oraz piekarni obozowej wcale nie było; tam, gdzie rozłożono się obozem, dwór lub sąsiedni ziemianin musiał dostarczyć mięsa i chleba. W Goszczycy padła ofiarą dość zasobna obora miejscowego dzierżawcy Szczepanowskiego; z Krakowa dostawiano chleb, odzienie i buty, gdzie Langiewicz miał swoich agentów, jak: Mayzel, Lewkowicz i inni ²⁾. Żołdu żołnierzom nie płacono i płatnika ani kasy oddziału nie było. Za żywność i furaz zwykle wystawiano bony, a z agentami swymi Langiewicz sam się rachował, nosząc wszystkie pieniądze w torebce przy sobie. Rachunków ani z wpływów, ani z wydatków nikomu nie zdawał, czego zresztą nikt nigdy od niego nie żądał.

Uzbrojenie tego małego korpusiku było w ogólności bardzo liche. Broń palną, przeważnie jednak zwykle strzelby myśliwskie, posiadał jeden tylko batalion w każdym pułku. Zato pułk żuawów Rochebruna najlepiej był uzbrojony, wyłącznie prawie w karabiny i sztucery austriackie. Tym więc sposobem w całym korpusie było 500 do 600 ludzi posiadających broń palną. Jazda była dobrze uzbrojona. Każdy kawalerzysta miał lancę, pałasz i pistolet, a nawet jakie takie umundurowanie ³⁾, a przynajmniej czerwoną krakuskę na głowie. W piechocie zaś, w ogromnej większości, żołnierze te suknie nosili, w jakich przyszli do obozu. To też dzięki temu, oraz nieładowi, jaki tu panował, obozowisko goszczańskie miało raczej wygląd ruchliwego i różnobarwnego zjazdu szlacheckiego na polowanie, jak wojska, mającego walczyć z jedną z najpotężniejszych mo-

¹⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. 34.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Loc. cit.

narchii europejskich¹⁾. Spoczywało ono teraz na równinie, roztaczającej się dokoła wsi, szeroko i swobodnie, tak że ktoś, sądzący z tych ognisk, które nocami krwawą luną błyszczały, mógł przypuszczać, że korpusik powstańczy liczy co najmniej 8 do 10.000 ludzi²⁾. Panował tu przytem, jakeśmy już wspomnieli, wielki nieład. Oprócz granardy w Michałowicach, mającej raczej na celu ułatwienie donosów z Krakowa, jak bezpieczeństwo obozowiska goszczańskiego, znajdował się jeszcze konny posterunek pod wodzą majora Koskowskiego w karczmie przydrożnej w pobliżu Słomnik³⁾. I była to cała osłona od strony Miechowa, gdzie wiadano, że nieprzyjacieli się znajduje. Nie wysyłano też żadnych podjazdów i patroli, wszystko leżało na opatrności Bożej i patryotyzmie okolicznych mieszkańców. Forpoczty, dzięki niedbalstwu dowódców i oficerów, stały nieraz po cztery, a nawet sześć godzin. Wedet konne ustawione były w odległości kilometra od obozu tak w dzień jak w nocy, i oczywiście w żadnym razie nie mogły strzedz dobrze. W nocy zmiany odbywano ze świecą w ręku, owiniętą w papier, co z jednej strony wyglądało dość zabawnie, z drugiej świadczyło o braku wszelkiej ostrożności i lekceważeniu nieprzyjaciela, którego jednak lekceważyć nie można było. Na pikietę i podjazdy wysyłano przeważnie młodych ludzi, bo ci byli posłuszniejsi od starszych. Jakiś Janowski, oficer kawalerji, głośno zawsze wołał przy zmianach wedet: „młodych wysyłać na pikietę, bo starzy nie głupi stać po kilka godzin“⁴⁾.

Karność w tem zbiegowisku ludzi, w ogromnej swej większości nie wojskowych, była bardzo słaba, i jakeśmy to już powiedzieli, zależała od pojedynczych dowódców. Podczas gdy żuawi Rochebruna przedstawiali oddział sforny,

¹⁾ S. Koźmian, Rzecz I, 62.

²⁾ „Prawda o polskom wozstaniu“ loc. cit.

³⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. 35.

⁴⁾ „Rok 1863“. Pamiętnik bezimiennego (rękopism).

karny i mający postawę wojskową¹⁾, gdy w pułku Czachowskiego, dzięki srogości dowódcy posłuch był wielki, gdy kosynierzy Wierzbńskiego, ćwiczeni nieustannie, przedstawiali niemałą wartość, inne zato bataliony i kompanie wyglądały raczej na gromadę uzbrojonych ludzi, jak na oddziały wojskowe. Zdarzyło się raz, że Langiewicz, już po ogłoszeniu dyktatury, przechadzając się po obozie, zbliżył się do stajni, w której stał szwadron jazdy, dowodzonej przez niejakiego Stamirowskiego. Ten ostatni stał z fajką w ustach i gdy dyktator, przechodząc zatrzymał się i coś rzekł do Stamirowskiego, ten wprawdzie salutował, ale fajki z ust nie wypuścił. Rozgniewany tem Langiewicz, zauważył głośno: „gdy się mówi do dyktatora, to należy fajkę z pyska wyjąć!“ Słowa te tak się nie podobały Stamirowskiemu, że niezwłocznie kazał szwadronowi sięść na koń i obóz opuścić²⁾, rozpoczynając odtąd partyzantkę na własną rękę i zyskując sobie z czasem sławę prostego rozbójnika i rabusia, co doprowadziło go do tego, że przez własnych rodaków stracony został. Fakt ten świadczy o nadzwyczaj małej spójności korpusiku Langiewicza i o niemniej niezwyczajem pojmowaniu karności wojskowej przez dowódców. Takich, lub tym podobnych przykładów możnaby wiele przytoczyć.

Poza tem w obozowisku goszczańskim dość wesoło i swobodnie czas spędzano. Od rana odbywały się musztry, ruch był wielki, pieśni brzmiały nieustannie i większość tej najlepszej polskiej młodzieży marzyła o zwycięstwach i o chwale oswobodzenia od wroga ojczyzny. Chłopi miejscowi i ze wsi okolicznych zrazu nie pokazywali się wcale, lub z za węgłów przypatrywali się czynnemu i ruchliwemu życiu powstańczemu, później jednak poczęli tłumnie nawiedzać obóz, zwłaszcza, że ich tu ochotnie karmiono i po-

¹⁾ Byli oni nawet do pewnego stopnia jednakowo umundurowani. Józef Kościuszko Ożegalski, „Wspomnienia krwawych czasów“, 20, pisze: „żuawy nosili tureckie fezy, oficerowie ich białe sukienne krzyże, wyszyte na czarnych kamizelkach“.

²⁾ Relacye ustne.

jono. Jeden z gospodarzy w Goszczy, nazwiskiem Błażej Tłustowski, był stałym gościem obozu i gdy sobie podpił, co się zresztą codzień przytrafiało, głośno wołał zawodząc: „oj, przegracie panowie, bójcie się Boga przegracie!“ Za tę złowróżbną przepowiednię, w obawie niczem nieuzasadnionej, że może ona popsuć ducha powstańczego, wsadzano Tłustowskiego do aresztu, który był przy kuchni czeladnej, skąd wieszczbiarza wypuszczano dopiero po otrzeźwieniu, by z nim nazajutrz to samo powtórzyć ¹⁾.

Sam Langiewicz, w tych dniach pobytu swego w Goszczy, był nadzwyczajnie zamyślony, niespokojny i chmurny. Zajmował on ze swym sztabem dworek goszczański, zawierający oprócz kuchni i spiżarni, siedm pokoi; murowany z cegły, gontem kryty. W tyle był sad owocowy; zresztą całe to obejście niczem się nie różniło od zwykłych dworów wiejskich w Polsce. Znać tu było pewną zamożność, co było jednym z powodów, dla których rozbito obozowisko tutaj; Langiewicz był bowiem uprzedzony, że znajdzie w Goszczy dostatek żywności i furazu ²⁾, co w rzeczy samej się sprawdziło. Długoletni dzierżawca rzeczzonej wsi, p. Józef Szczepanowski ³⁾, w chwili przybycia Langiewicza, znajdował się w domu, ale zaraz nazajutrz, powodowany zapewne strachem, wyjechał do Krakowa, tak że nikogo z osób miejscowych, oprócz służby, we dworze nie zostało. Sztab więc zajął całe domostwo. Langiewicz sypiał w pokoiku narożnym na prawo od wejścia, przedzielonym od przedpokoju a raczej sieni, izbą, która była poprzednio kancelaryą dzierżawcy Szczepanowskiego. Na lewo od sieni znajdował się pokój jadalny, dość ciasny, na środku którego był długi stół ⁴⁾; tu się odbywały ważniejsze narady. Do Goszczy, dzięki swobodnej komunikacji z Krakowem,

¹⁾ Relacya piśmienna pana Z. znajdująca się w zbiorach autora.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Szczepanowski mieszkał sam w Goszczy, gdyż rodzina jego znajdowała się wtedy w Lubelskiem.

⁴⁾ Stół ten zakupiony na pamiątkę przez jednego z okolicznych obywateli, znajduje się dotąd w jego ręku.

zjeżdżało się mnóstwo osób ciekawych zobaczyć niezwykle widowisko obozu powstańczego w XIX wieku; przybywali nawet korespondenci pism zagranicznych, by opowiedzieć czytelnikom swym o tym wodzu, na którego w tej chwili zwrócone były oczy całej nieomal Europy. Jeden z nich tak opisuje przyszłego dyktatora polskiego: „siedział on na końcu stołu, nieco z boku i pilnie coś pisał. Widocznie, dość głośna rozmowa w pokoju, nie przeszkadzała mu wcale. Według świadectwa otaczających go, posiada on w tym względzie osobliwszą przytomność umysłu. Pisząc odpowiadał na pytania, wzajem je zadawał oficerom, wydawał rozkazy. Odpowiedzi jego były krótkie, ale trafne. Podniósł nakoniec głowę i mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Jenerał jest małego wzrostu, liczy około trzydziestu lat, szczupły ale muskularny, z głową proporcjonalną, twarzą nieco ściągłą, opaloną lecz zdrową; broda ciemno-blond słabo zarasta; oczy duże, ciemne i piękne, wejrzenie spokojne, skupione w sobie, jak u wszystkich ludzi myślących. Na głowie miał rogatywkę granatową z czarnym barankiem i białem piórem; na nogach długie buty lakierowane, szare spodnie; czarna czamarka obszyta takimże barankiem uzupełniała strój. Jako jedyną oznakę zwierzchnictwa zauważyłem trójkolorową szarfę, przewieszoną przez lewe ramię. Gdy mówi, twarz mu się ożywia; nie jest to ruchliwość płytkiego człowieka, lecz raczej zapal wewnętrzny, który dostrzedz się nie daje, ale domyślać się pozwala. Słowem cała postać uderza każdego. W rozmowie jest grzeczny i pełen prostoty; widać, że ceni wartość czasu i słowa, a do wypowiedzenia swych myśli, nie używa wielu wyrazów. Takimi są zwykle ludzie czynu“ ¹⁾. Potrzeba było w rzeczy samej nie małej przytomności umysłu, by w tym chaosie, przy braku organizacji należytej, dać radę wszystkiemu. Co chwila zaprzątano go najbłahszymi drobiazgami, któreby do sierżanta, a najwyżej adjutanta należeć były powinny; to musiał przykładać pie-

¹⁾ „Die Glocke“ z d. 20 marca 1863 r.

część do kartek przepustnych z obozu, to decydować o świeżo przywiezionych kilku burkach, lub parach butów i t. p.¹⁾. Musiał posiadać niewyczerpaną cierpliwość i bystrość ducha, by w tem wszystkim nie zgubić się i nie zapomnieć o głównem swem zadaniu.

Nie dziw, że był chmurny i niespokojny; najcięższe nerwy w takim stanie rzeczy rozstroić się musiały, zwłaszcza, że czuł, iż stoi na prawdziwym wulkanie, że obok niebezpieczeństwa, grożącego mu zewnątrz od nieprzyjaciela, w obozie własnym, wewnątrz co chwila podnosiło głowę widmo wyraźnego rokосу. Stronnicy Jeziorańskiego i on sam na ich czele, odgrywali ciągle rolę niezadowolonych, wszystko ganili i skrycie, ale stale podkopywali wśród wojska znaczenie Langiewicza, sądząc, że tym sposobem przyczynią się do wywyższenia swego wodza. Sam on, pozornie zachowując lojalne postępowanie względem swego zwierzchnika, potajemnie intrygował przeciw niemu. Gdy stary Śmiechowski wyjeżdżał z Gószczy na kilkudniowy urlop do Krakowa i namawiał Jeziorańskiego, by to samo zrobił, i „raz już wyrwał się z matni, w jaką wpadł“, ten trzymając się ciągle pozorów legalności, odrzekł: „nie wypada mi opuszczać mego oddziału bez rozkazu Rządu narodowego. Gdybyś spotkał się w Krakowie z kim z Warszawy, to powiedz, że życzyłbym sobie takiego rozkazu; na czem sprawa powstania nie nie straci, gdyż tu nie widzę, abym był potrzebny“²⁾. Tomasz Winnicki, jego przyjaciel, a obecnie szef sztabu u Langiewicza, niegdyś członek komitetu centralnego, gorąco a zrećźnie popierał ambitne zamiary Jeziorańskiego. Ze swą wielką, ospowatą twarzą, włosiem długim, rzadkim i rozstrzępionym, swemi oczami blademi i dzikiemi³⁾, wywierał silne wrażenie, a wiadomość, że w zeszłym roku należał do składu komitetu, czyniła go w oczach nieświadomych, niejako wyrazem pragnień tej

¹⁾ *Wł. Bentkowski*, loc. cit. 30.

²⁾ *A. Jeziorański*, *Pamiętniki* II, 226.

³⁾ *Wł. Bentkowski*, loc. cit. 17.

władzy i słowom jego nadawała znaczenie. On to wraz z Jeziorańskim, co chwila, gdzie mogli i jak mogli, szeptali każdemu: „po co będziemy słuchali tych gryziopiórków w Warszawie, co się na rzeczach wojskowych nie znają i wydają nierozsądne rozkazy. Władza powinna być w ręku wojskowego. Ogłosmy dyktaturę. Niechaj dyktatorem będzie pierwszy lepszy: Mierosławski, Langiewicz, albo... a będzie lepiej niż jest“¹⁾. Oczywiście myślał on nie o Mierosławskim i Langiewiczu, ale o sobie przedewszystkiem, i nie mogąc jawnie i czynem zdobyć władzy, pragnął ją osiągnąć drogą intrygi i podstępu.

Ale poza tą frakcją Jeziorańszczyków, niezbyt zresztą liczną, ale bądź co bądź wprowadzającą do obozowiska goszczańskiego ferment rozkładu i niezadowolenia, istniała o wiele silniejsza partya Mierosławskiego. Bliskość Krakowa, gdzie ich wódz ubóstwiany przebywał, spowodowała, że tłumnie napływali do obozu i otrzymywali rozkazy i wskazówki od samego Mierosławskiego. Siali oni niechęć i rokosság wśród większości prostych i szczerych natur powstańczych, głośno wołali, że „panicze i pochlebcy na szczególne zasługują względy Langiewicza, że biedniejsi jak ostatnie żołdaki są traktowani, że dowódzca otoczył się sztabem dwupłciowym, kongregacją czarną i białą modlącą się, intrygującą w obozie; że wódz ten zamiast rumaków arabskich, złocistymi okrytych haftami, powinien przy ogniskach kosynierskich zakładać swoją kwaterę główną, zyskiwać zaufanie i szacunek podwładnych“²⁾. Słowa te, wobec nędzy panującej wśród powstańców, wśród braku wszelkich potrzeb a często i żywności, wobec niewątpliwie za zbyt wielkiego sztabu, musiały robić i robiły swój skutek. Było w obozie trzech braci Koskowskich, z których jeden, Władysław, należał w r. 1862 przez bar-

¹⁾ *A. Giller*, *Historja* I, 279.

²⁾ *Karol Borkowski*, *Kilka uwag nad obecnem powstaniem w Polsce*, 15.

dzo krótki czas do składu komitetu centralnego, a teraz w stopniu majora, dowodził batalionem¹⁾. Wszyscy trzej, zwłaszcza najmłodszy, Genuśczyk, był zapalonym zwolennikiem „jenerała Ludwika“, a choć przy Langiewiczzie pełnił obowiązki adjutanta, głośno zapowiadał, że Mierosławski lada chwila zawita do obozu i obejmie władzę nad całym krajem w swe ręce²⁾. Jakoż nie były to czcze przechwałki. Liczni jego stronnicy w obozie goszczańskim, zamierzali w istocie sprowadzić go z Krakowa, i opierając się na akcie z d. 25 stycznia, który mianował go dyktatorem, ukrywając uchwałę rządu tymczasowego, mocą której już d. 8 marca Mierosławski przestał być samowładnym panem losów Polski, ogłosić go w Gószczy naczelnikiem. Langiewicz doskonale o tem wiedział; wszak mówił później, że „gdybym d. 10 marca nie ogłosił się dyktatorem, d. 11 zostałby nim w moim obozie Mierosławski“³⁾.

Wszystkie te względy wpłynęły na to, że gdy d. 9 marca przybyli z Krakowa, Grabowski, Kołaczkowski, Siemieński i inni, z projektem objęcia dyktatury, zostali dobrze przyjęci. Oczywiście rzecz, że propozycja ta nie była dla powstańczego wodza czemś nowem i niespodziewanem. Jeżeli sprawa dyktatury dość głośno agitowała się w Krakowie, to przy ciągłych stosunkach obozu goszczańskiego z tem miastem, musiał Langiewicz doskonale być obznajmiony z całym jej przebiegiem. Już pierwszego dnia pobytu w cichej krakowskiej wioszczynie, kilka osób przyjechało z Krakowa do obozu i mieli długą, tajemną konferencję z Langiewiczem, a gdy odjeżdżali, ten ostatni wysłał z nimi dwóch swych oficerów Tomczyńskiego i Prędowskiego⁴⁾, a d. 8 marca zjawił się w Gószczy, Kołaczkowski, i wśród oficerów wyższych i sztabu, rzucił myśl o dyktaturze, jakby dla wybadania, jakie ona wrażenie

¹⁾ Szczegóły o nim można znaleźć w „Rachunkach“ J. I. Kraszewskiego z r. 1869 p. 617.

²⁾ Ks. Szulc, Pamiętnik loc. cit. I, 110.

³⁾ A. Giller, Historia I, 280.

⁴⁾ A. Jeziorański, Pamiętniki II, 226.

zrobi¹⁾. Langiewicz więc doskonale był poinformowany o wszystkim i sam ze swej strony rozpoczął badanie, jak projekt ten wśród jego oficerów uważany będzie. Przede wszystkim szło mu o Jeziorańskiego, tego trawionego zazdrością politycznego Otella powstańczego, i o Wojciecha Biechońskiego, komisarza rządu narodowego. Jeziorańskiemu więc powiedział, że mu już wprawdzie (zapewne miał na myśli Pieskową Skalę) proponowano dyktaturę, ale jej nie przyjął. „Miałeś słusność“, odrzekł na to Jeziorański, i twierdził, że warunki, w jakich powstanie się znajduje, wprost dyktaturę czynią niemożliwą. Potem wyrzekał na tych, „którzy nie występują w powstaniu czynnie“, a więc na „gryziopiórków“ Rządu tymczasowego, na wyraźny u nich brak rozumu, skoro mogą proponować takie głupstwo, jak dyktatura²⁾. Langiewicz dość niechętnie miał przyjąć te uwagi, zwłaszcza wiedząc doskonale, że źródłem ich nie jest dobro sprawy, ale obrażona ambicja osobista Jeziorańskiego. W parę dni później uwiadomił tego ostatniego, że Rząd narodowy rozwiązał się, że powstanie jest bez władzy, na co zgryźliwy Otello wyraził pewną wątpliwość i twierdził, że skład Rządu często się zmienia, że się już nieraz rozwiązywał, wszelako przyznał, że, gdyby teraz istotnie tak było, to byłaby to dla powstania klęska stanowcza³⁾. Bądź co bądź ze słów tych, Langiewicz mógł nabyć tego przekonania, że Jeziorański jest przeciwny dyktaturze przez zazdrość, ale że, będąc niezdolnym do energicznego i jawnego czynu, skutecznego oporu jej ogłoszeniu nie stawia.

Co się tyczy komisarza Biechońskiego, z tym mogła być trudniejsza sprawa. Młody ten człowiek, Genuśczyk, wychowany w gorącej powstaniej, na którą kraj chorował od kilku lat, nie kierował się poziomą ambicją jak Jeziorański, ale jedynie dobrem sprawy, tak jak on to do-

¹⁾ Loc. cit. 227.

²⁾ Loc. cit. 228.

³⁾ Loc. cit.

bro rozumiał. Należąc przytem oddawna do organizacji powstańczej, wszelki zamach na władzę tej organizacji, wcieloną w Rząd tymczasowy, uważał za zamach na dobro samej ojczyzny. To też, gdy Langiewicz, wśród tych dni niespokojnych, przesyconych miazmatami burzy, jaka unosiła się nad gwarным obozem goszczańskim, pewnego razu wyprowadził młodego komisarza wojewódzkiego w pole, zdala od dworu przepelnionego zawsze sztabem i nie sztabem, i zapytał, coby Biechoński na to powiedział, gdyby on, Langiewicz ogłosił się dyktatorem, to otrzymał na to odpowiedź jak najkategoryczniejszą, żeby tego nie robił, że zgubi kraj, siebie i powstanie¹⁾. Ale rzeczy już tak daleko zasły, że Langiewicz mimo tych odradzań, wobec niebezpieczeństwa, grożącego mu ze strony Mierosławczyków, wobec uchwały, zapadłej na walnej radzie w Krakowie, cofnąć się nie mógł. Niewątpliwie w duszy jego toczyła się wielka i uparta walka; chwile zapału i nadziei ustępowały chwilom zwątpienia i rozpacz, i dni te zapewne głęboki na zawsze w sercu i głowie jego ślad zostawiły. Czuł on i wiedział, jak to później piśmiennie oświadczał²⁾, że „jak cała jego służba krajowa, tak i przyjęcie dyktatury było z jego strony ofiarą“; wiedział, że „Moskwa także siły zgromadzi, tak często będzie obóz dyktatorialny atakować, iż go musi zniszczyć“; że swój hufiec „zbratany z nim biedą i bojami, poprowadzi na niezawodną zagładę i swą wojskową reputację skompromituje, bo czemuż jest dowódzca, który stracił wojsko?“ Mimo to jednak powiada dalej, że „ofiarował siebie i towarzyszków, ażeby całemu powstaniu przyjść w pomoc“.

Obok hr. Adama Grabowskiego, Kołaczkowskiego i Siemieńskiego, przybyłych, jakeśmy rzekli, do Goszczy d. 9 marca z misją ofiarowania dyktatury wodzowi po-

¹⁾ Relacye ustne od jednej z osób, biorących udział w tej rozmowie.

²⁾ J. N. Janowski, Moja korespondencja z ks. Wł. Czartoryskim, 42 (ustęp z listu Langiewicza).

wstańczemu, zjechali się tu i inni. Zjechał mianowicie Bentkowski, który wybrał się już na dobre do obozu powstańczego i zaraz objął po Winnickim szefostwo sztabu, zjechał i Chrzanowski. Langiewicz przyjmował ich na dziedzińcu przed dworkiem, poczem zaprosił wszystkich na śniadanie obozowe. W pokoju, na lewo od wejścia, znany nam już ów długi stół zapelniony był masłem, szynką, wódką, cygarami, wszystko pomieszanę z bronią, czapkami, papierami, mapami, pieczęciami. Zebrało się koło 30 osób, a po śniadaniu Langiewicz kazał tym wszystkim, którzy tu byli niepotrzebni, wyjść i na straży przy drzwiach postawić dwóch kosynierów z rozkazem niewpuszczania nikogo. Zostali więc Jeziorański, Waligórski, Winnicki, Grabowski, Kołaczkowzki, komisarz Biechoński¹⁾, Bentkowski i Chrzanowski²⁾. Pomieszczono się jak można było i zrazu rozmowa toczyła się pomiędzy pojedynczymi osobami. Jeziorański, którego niezdrowa ambicja nie przestawała pożerać i trawić potajemnie, ubrany w czapkę z kitką (bo wszyscy w czapkach siedzieli), z szarfą przez piersi, z miną teatralną i napuszoną, odezwał się do Bentkowskiego, że cho-

¹⁾ Tak twierdzi Wł. Bentkowski, loc. cit. 18; opisuje nawet szczegółowo Biechońskiego: „młody człowiek, w czarnej cywilnej czamarze, bez broni“. Za Bentkowskim to samo twierdzi A. Giller, Historia I. 281. Mamy wprawdzie relację od osoby bardzo blizkiej ówczesnych wypadków, która utrzymuje, że Biechoński w naradzie tej udziału nie brał, że nie było go nawet wcale wtedy w Goszczy. Relacja ta zapewnia, że Biechoński po przytoczonej w tekście rozmowie z Langiewiczem w polu, natychmiast pojechał do Krakowa, a stąd do Warszawy, gdzie o wszystkim Rząd tymczasowy uwiadomił. Wobec jednak twierdzenia Bentkowskiego, które nosi cechę szczerzej prawdy, wobec nakoniec Gillera, który w swej „Historji“ I, 43 powiada, że „nadszedł raport do Warszawy komisarza rządowego wojew. krakowskiego Wojciecha Biechońskiego, donoszący o zabiegach stronnicych i intrygach... przy wywoływaniu dyktatury“ — relacja owa o nieobecności w Goszczy Biechońskiego i o jego podróży do Warszawy z raportem ustnym, nie może wytrzymać krytyki.

²⁾ Jeziorański, loc. cit. powiada, że w naradzie tej brał także udział Prendowski.

ciaż nie jeden tu może większe ma prawa do dyktatury (widocznie siebie miał na myśli), on jednak dla dobra ojczyzny i żeby nie wywoływać rozdrożeń, nie nie będzie miał przeciw dyktaturze Langiewicza i gotów jest ją popierać¹⁾. Chrzanowskiemu znowu proponował rzecz najnie rozsądniejszą i najnieuczciwszą, ażeby zawiązał rząd tajny za granicą, co Chrzanowski odrzucił²⁾. Wówczas Jeziorański zgodził się na dyktaturę, ale pod warunkiem, że przy Langiewiczu nie pozostanie dowództwo oddziału; licząc oczywiście na to, że tym dowódcą on zostanie. Chrzanowski zbył te arcyprzejrzyste propozycje obietnicą, że o tem już mówiono, że rachują na Jeziorańskiego i na Bentkowskiego³⁾. Potem narada formalnie się rozpoczęła; Langiewicz, ponieważ o jego osobie miała być mowa, zrazu chciał wyjść, żeby zostawić zgromadzonym swobodę dyskusji, ale jednogłośnie zaprotestowano przeciw temu⁴⁾. Wówczas Grabowski zabrał głos, i ze zwykłą sobie płynnością słowa, z miną dyplomatyczną i oczami spuszczone, oznajmił, że Rząd tymczasowy w Warszawie rozwiązał się, widząc niepodobieństwo skutecznego działania w granicach tajnego spisku; że wobec spodziewanej interwencji zagranicznej mocarstwa muszą i mogą wchodzić w stosunki tylko z władzą jawną; że sam Rząd tymczasowy to uznał i dał jemu, Grabowskiemu, piśmienne pełnomocnictwo do utworzenia takiej głośnej i wszystkim znanej władzy, które to pełnomocnictwo wręczył mu Leon Królikowski w Warszawie; że na skutek tego zwołane zostało wczoraj do Krakowa zgromadzenie reprezentantów wszystkich trzech zaborów, i że oni uchwalili ustanowienie dyktatury i powierzenie jej generałowi Langiewiczowi⁵⁾. Po tej mowie, obecni kolejno wypowiadali swe zdania i Jeziorański teraz głosował za

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 19.

²⁾ Jeziorański, loc. cit. II, 231.

³⁾ Loc. cit.

⁴⁾ Bentkowski, loc. cit. 19.

⁵⁾ Loc. cit. Giller, *Historia* II, 181, Jeziorański, II, 229, *Koźmian*,

I, 60 i inni.

dyktaturą¹⁾; to samo Waligórski. Chrzanowski warunkowo się na to zgodził; Bentkowski, jakkolwiek zastrzegł się, że głos jego jest tu przypadkowym, także był za dyktaturą, zaznaczając w końcu, że opinia Grabowskiego, jako komisarza pełnomocnego, ma tu największe znaczenie. Podniosły się jednak pewne wątpliwości, czy Grabowski w rzeczy samej ma takie pełnomocnictwo. Według jednych, wątpliwość tę wyraził Jago-Winnicki²⁾, co jest bardzo prawdopodobnem, gdyż działał tu w interesie Jeziorańskiego. Grabowski w odpowiedzi na to powołał się na Prędowskiego i Chrzanowskiego, którzy mieli potwierdzić, że istotnie wymagane pełnomocnictwo istnieje; według innych³⁾, wątpliwość tę podniósł sam Langiewicz, na co Grabowski pokazał znaną nam kartkę Królikowskiego⁴⁾. Biechoński, który jako komisarz wojewódzki powinien był w tej sprawie głos zabrać, i który także podejrzewał prawdziwość misji Grabowskiego⁵⁾, milczał przez cały czas narady jak zakłęty. Rzecz więc została w zasadzie przyjętą i poczęto teraz dyskutować nad tem, kiedy i jak ma być dyktatura ogłoszona. Na wniosek Bentkowskiego rzecz tę odłożono do dnia następnego, z tego względu, że, jeżeli rzecz ma się udać i naraz wszystkich pociągnąć, wszelkie intrygi i opór Mierosławskiego udaremnić, to trzeba wynik narady utrzymać w tajemnicy, do czasu dopóki wszystkie formalności ogłoszenia nie będą ułożone, potrzebne odezwy do narodu i wojska spisane i wydrukowane, jednym słowem, że trzeba z zupełnie gotową rzeczą wystąpić. Zgodzono się na tę rozumną radę i Langiewicz polecił Bentkowskiemu, Chrzanowskiemu i Grabowskiemu, którzy jechali do Krakowa,

¹⁾ Bentkowski, loc. cit.

²⁾ Jeziorański, loc. cit.

³⁾ Berg, *Zapiski* III, 12.

⁴⁾ Jeziorański, II, 230 utrzymuje, że Grabowski nie pokazał owej kartki, twierdząc, że ją zostawił w Krakowie u jen. Wysockiego, ale przyrzekł, że nazajutrz Wysocki zjedzie do obozu i pełnomocnictwo owe okaże.

⁵⁾ A. Giller, I, 281.

ażeby zrobili to wszystko, odezwy zredagowali, wydrukowali, pieczęcie wyrzneli i aby to jutro do obozu przysłali¹⁾. Wyjechali więc popołudniu do Krakowa, ułożywszy się, że o godz. 10 wieczorem zejdą się w mieszkaniu Chrzanowskiego i do zredagowania wymaganych odezw się zabiorą.

Jakoż o naznaczonej godzinie zeszli się trzech wymienieni panowie i postanowili, ażeby każdy z nich osobny wygotował projekt odezwy dyktatorialnej i żeby potem odczytać je sobie i ten, który przeważające między nimi uzyska uznanie, przyjąć. Bentkowski wprzód jednak zażądał, ażeby ułożyć zasadnicze punkta projektu, do których zaliczył wypowiedzenie, że objęcie dyktatury dzieje się z wiedzą i wolą dotychczasowego Rządu narodowego; że należy odwołać się do manifestu z d. 22 stycznia i wygłoszonych w nim zasad, oraz że dyktatura w niczem tych zasad nie zmienia; że osobny dekret dyktatora ustanowi organizacją rządu cywilnego; i nakoniec, że objęcie dyktatury nastąpiło w porozumieniu się z jenerałem Józefem Wysockim²⁾. Zgodzono się na to i zabrano się do roboty; ale podczas gdy Bentkowski dość szybko swój projekt wygotował, gdy Chrzanowski pisał go ciągle, Grabowski miał przed sobą zawsze jeszcze czysty arkusz papieru i gryzł pióro zamysłony; wreszcie na pytające spojrzenia swych kolegów, rzekł, że nie wie, jak zacząć, gdyż to, co proponował Bentkowski względem woli Rządu narodowego niezupełnie zgadza się z położeniem rzeczy, gdyż właściwie rządu już nie ma, a zatem woli swej objawiać nie mógł i t. p. Widocznie budziła się w nim pewna obawa wobec jawnej publikacji kłamstwa i intryg, o której w Warszawie nic nie wiadano. Ale na to Chrzanowski dość szorstko odrzekł, że teraz nie czas na podnoszenie tego rodzaju skrupułów; że Grabowski jako komisarz pełnomocny Rządu, objawił wczoraj na naradzie i dziś w Goszczy życzenie

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 21.

²⁾ Loc. cit. 23.

utworzenia dyktatury; że nie pojmuje jakim sposobem, gdy już wszystko według jego woli się stało, można jakieś kwestye i wątpliwości podnosić¹⁾. Grabowski odpowiedział na to kilka słów, że on rzeczy dokonanych nie podaje w wątpliwość; że to są jego osobiste poglądy i zabrał się do roboty. Ale gdy Bentkowski i Chrzanowski swe projektu w zupełności skończyli, on jeszcze jednej litery nie postawił, i oświadczył: że zgadza się z góry na redakcyę tych panów. Ostatecznie Chrzanowski z dwóch projektów, swego i Bentkowskiego, skleił trzeci, w którym znajdowało się zdanie: „z wolą Rządu narodowego i w porozumieniu z jenerałem Wysockim“. Odezwę tę odniesiono do drukarni, żeby ją przez noc w kilku tysiącach egzemplarzy odbić z datą: „główna kwatera Goszcza, d. 10 marca“. Co do owego porozumienia się z Wysockim, to rzeczywiście ono nastąpiło. Bentkowski bowiem, powróciwszy z obozu Langiewicza do Krakowa, pośpieszył do Wysockiego i prosił go, aby dla lepszego umocnienia nowej władzy, poparcia jej powagą jedyne go z dawniejszych czasów imienia wojskowego i przekonania wszystkich, że dyktatura nie jest objawem ambicyi osobistej, ani też kontrrewolucyą, pozwolił na pomieszczenie w odezwie powyższego ustępu. Zrazu Wysocki wzdragał się, wreszcie przystał na to; w nocy jednak inaczej się rozmyślił; powstały w nim znowu wątpliwości, czy Grabowski istotnie jest komisarzem Rządu; przypatrując się rzeczom, miał mnóstwo wskazówek, wątpliwość tę uzasadniających; wreszcie tejże nocy nadbiegł z Warszawy goniec w osobie p. Maryana Sokołowskiego z rozkazami, w których ani słówka nie było o dyktaturze²⁾, co wszystko w starym jenerale wzbudziło cały szereg bardzo poważnych podejrzeń. Nie mogąc wszelako zapobiedz rzeczy, prawie już dokonanej, wolał jednak nie mieszać się do niej i dlatego tejże nocy do drukarni

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Relacye ustne.

posłał i wzmiankę o swej osobie z odezwy wyrzucić kazał¹⁾.

Sama odezwa, której tysiące egzemplarzy zaraz nazajutrz po Krakowie, a w kilka dni potem po kraju się rozeszło, niczem się nie różni pod względem stylizacji od wszystkich tego rodzaju utworów tej doby. Zobrazowawszy z początku okropność walki, toczonej na całym obszarze zaboru rosyjskiego, jej trwałość pomimo przewagi nieprzyjaciela, odezwa zaznacza, że „Polska widzi z boleścią... brak jakowego i ześrodkowanego kierunku, któryby wydobytym siłom marnować się nie pozwalał, a uśpione dotychczas rozbudził“; że położenie rzeczy i rodzaj wojny dotychczasowej sprawił, iż okrom obozów powstańczych, nie masz miejsca na ziemi ojczystej, gdzieby taki jawny i ześrodkowany rząd naczelny mógł stanąć“. Wobec tego Langiewicz oświadcza, że, „zważając na nagłość okoliczności, które potężnym głosem o zarządzenie złemu wołają, zważając na konieczność, aby w chwili tej śmiertelnej walki przeciw licznym wojskom najeźdźczym, jedną wolą kierowanym, spotężnić siły i dzielność narodu przez skoncentrowanie w jednym ręku wszelkiej władzy wojskowej i cywilnej, porozumiewszy się z tymczasowym tajnym Rządem narodowym“, bierze najwyższą władzę dyktatorską, którą obiecuje „po zrzuceniu jarzma moskiewskiego złożyć w ręce narodu, w osobie jego reprezentantów“. Dyktator zachowuje sobie bezpośredni kierunek działań wojennych, lub powierzanie naczelnej władzy wojskowej osobnym dowódcom w pewnych oznaczonych prowincjach; władzę cywilną oddaje w ręce osobnego Rządu cywilnego, z umocnienia i pod kontrolą dyktatora działającego. Atrybucje i organizacja tego Rządu oddzielnym dekretem określona i uregulowana zostanie. Zapewnia, że nie rozpoczyna nic nowego, „ale prowadzi tylko dalej dzieło przez tymczasowy Rząd narodowy rozpoczęte“; potwierdza i na nowo ogłasza „podstawowe zasady wypowiedziane w odezwie tegoż

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 23.

Rządu z dnia 22 stycznia r. b., w imię których chorągiew walki narodowej o wolność i niepodległość ojczyzny podniesioną została, a mianowicie obywatelską wolność i równość wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary, stanu i pochodzenia, oraz bezwarunkowe uwłaszczenie ludu wiejskiego ziemią, którą posiada na prawach czynszu lub pańszczyzny, a za wynagrodzeniem poszkodowanych właścicieli z ogólnych funduszy państwa“¹⁾.

Ponieważ wydrukowanie tej odezwy, przygotowanie pieczęci i t. p. zajęło dość czasu, więc odłożono opublikowanie dyktatury na dzień 11 marca²⁾, w którym wszystko

¹⁾ Odezwa ta jest dość pospolitą w różnych zbiorach z tej epoki, czy to w oryginalnym druku krakowskim, czy też w odbitkach warszawskich. *N. Berg*, *Zapiski* III. 36, twierdzi, że proklamacja dyktatorska ukazała się także w języku żydowskim, co wśród Żydów miało wywołać „nieopisany zachwyt“, że wielu płakało czytając „żydowski manifest dyktatora“. Podanie to nie znajduje potwierdzenia w innych, znanych nam źródłach, jak również nie zdarzyło nam się nigdzie spotkać z żydowskim tekstem rzeczony odezwy.

²⁾ *Ks. Szulc*, *Pamiętnik* loc. cit. I, 111, utrzymuje, że dyktatura w Górszycy ogłoszona została dnia 10 marca, i że zaraz potem wyruszone do Sosnowki. Wielu piszących o tych wypadkach poszło za tem zdaniem, zwłaszcza, że odezwa dyktatorska nosi datę 10 marca. *Berg*, *Zapiski* III, 24, trzymając się *Szulca*, też datę podaje, ale zaraz potem pisze, że uroczystość przysięgi odbyła się dnia 12 marca, co się sprzeciwia stanowczo relacji tegoż *ks. Szulca*, który utrzymuje, że do Sosnowki przybyto dnia 10 wieczorem, a nazajutrz t. j. 11 marca odbyła się rzeczona uroczystość. *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 102 odkłada tę uroczystość do 13 marca, idąc w tym względzie za *Jeziorskim* (*Pamiętniki* II, 235); ale jak wiadomo, *Jeziorskiemu* nie zawsze dopisuje pamięć i podania jego należy bardzo ściśle kontrolować. *Pawliszczew*, *Siednicy* II, 59 wyraźnie powiada, że *Langiewicz* z *Górszycy* wyszedł dnia 11 marca. Według *St. Wierzbńskiego* (*Wyprawy wojenne*, loc. cit. II, 151) dnia 13 marca obozu *Langiewicza* już nie było w Sosnowce. *Wł. Bentkowski* (loc. cit. II, 29) powiada, że przybył do Sosnowki dnia 12 marca, „dobrze po południu“ i dodaje, że wszystko było w nieco świątecznym usposobieniu, bo przed południem odbywało się... uroczyste składanie przysięgi dyktatorowi przez wojsko“. Otóż, reasumując to wszystko, twierdzimy, że wizyta *Wysockiego* odbyła się 11 marca i tegoż dnia

miał przynieść osobiście do obozu generał Wysocki, o czym Langiewicz wcześniej uwiadomiono. Stary, poczciwy Wysocki, chciał przez ten krok zatrzeć ujemne wrażenie, wywołane tem, że z odezwy dyktatorskiej wykreślił swe nazwisko, a zarazem zaznaczyć, że uznaje fakt spełniony ¹⁾. Jakoż w rzeczy samej, dnia 11 marca rano, w towarzystwie kilku osób przyjechał powozem na komorę Baran, gdzie Langiewicz z Jeziorańskim na bryczce, otoczony dość licznym sztabem, zaraz się zjawił. Spotkano się pieszo; Wysocki na powitanie podał dłoń dyktatorowi, poczem zwróciwszy się do Jeziorańskiego i chwyciwszy go za rękę, począł zaklinać na miłość ojczyzny, żeby niezgody nie wszczynał, gdyż obecna chwila potrzebuje jedności. Jeziorański udął, że tego nie rozumie i zażądał wyjaśnień; więc Wysocki prosić go począł, by był oddany i posłuszny Langiewiczowi, a gdy Jeziorański powołał się na świadectwo samego dyktatora, że mu zawsze był posłuszny i gdy Langiewicz, potakująco skinął głową, oświadczył, że inaczej mu mówiono, że cieszy się, iż zgoda panuje i t. p. W końcu Wysocki podał Jeziorańskiemu proklamację o dyktaturze i polecił mu odczytać ją wojsku. Jeziorański, którego zazdrość i zawiedzione nadzieje, ciężko zapewne w tej chwili dręczyły, nie omieszkiał zaznaczyć, że „dyktatura nie zgadza się z jego osobistym przekonaniem, wszelako uczyni to, czego odeń żądają“. Wysocki uściśkał go ze łzami i pomimo zaproszeń, by wstąpił do obozu, siadł zaraz do powozu i odjechał ²⁾.

nastąpiło ogłoszenie dyktatury i wymarsz do Sosnowki, gdzie nazajutrz, dnia 12 marca odbyła się wzmiankowana wyżej przysięga.

¹⁾ Że odwiedziny Wysockiego odbyły się wtedy, kiedy Langiewicz stał jeszcze w Goszczy, świadczy Jeziorański, II, 232, i zresztą nie mogło być inaczej, bo później nie łatwo już było dostać się z Krakowa do obozu powstańczego, najpierw wskutek zamknięcia zaraz po ogłoszeniu dyktatury granicy przez Austriaków, a potem, że obóz wskutek marszu do Sosnowki znacznie się oddalił, i między nim a granicą kozacy snuć się poczęli (Bentkowski, loc. cit. 29).

²⁾ Jeziorański, loc. cit. II, 233.

Teraz miał nastąpić najważniejszy akt całej tej tragicomedyi: ogłoszenie dyktatury wojsku. Wobec prądów, nurtujących obozowisko goszczańskie, niewątpliwie w duszy Langiewicza musiały powstać obawy; wprawdzie Jeziorański został zręcznie przez Wysockiego zaszachowany i sam musiał ogłosić tryumf swego znenawidzonego współzawodnika, ale pozostali jeszcze Mierosławczycy, którzy przepełniali szeregi i może gotowi byli dopuścić się jakiego czynu, jakiegoś zamachu, któryby dyktaturze w zaczątku samym koniec położył. Adjutant Langiewicza, jeden z braci Koskowskich, mówił głośno do znajomych: „za chwilę ogłoszone zostanie pewne głupstwo i zaraz wymarsz dalej“ ¹⁾. Położenie więc nie było zbyt pogodne i Langiewicz musiał pod maską powagi kryć żywy niepokój. gdy kazano całemu oddziałowi sformować na błoni pod Goszczą czworobok, i gdy Jeziorański zsiadłszy z konia, głośno i dobitnie odczytał znaną nam proklamację. Zrazu zapanało w szeregach kłopotliwe milczenie, ale potem zagrzmiął wielki okrzyk: „niech żyje dyktator!“ Na tem skończyła się uroczystość w Goszczy ²⁾, zwłaszcza, że zaraz miano wyruszyć w pochód. Na upamiętnienie tego dnia, dyktator na przedstawienie jakoby generała Jeziorańskiego i Waligórskiego, ulaskawił kilku chłopów, skazanych na śmierć za szpiegostwo i łapanie powstańców ³⁾. Prócz tego rozkazem dziennym ogłoszono kilka nominacyj wojskowych: Jeziorański i Waligórski zostali generałami (pierwszy generałem dyżurnym, drugi generałem-kwatermistrzem); Czapski brygadą brygadą i generałem inspektorem kawalerii, Śmiechowski brygadą piechoty, Tomasz Winnicki in-

¹⁾ Ks. Szulc, Pamiętnik loc. cit. II, 111.

²⁾ Jeziorański, loc. cit. II, 237 i Szulc, loc. cit. twierdzą, że zaraz w Goszczy dyktator i wojsko składało przysięgę, ale temu sprzeciwiają się wszystkie inne relacje.

³⁾ Ks. Szulc, loc. cit. powiada, że ulaskawiono dwóch chłopów; N. Berg, loc. cit. III, 25, że ośmiu, i dodaje, że „ulaskawieni złożyli przysięgę na wierność władzom narodowym, a ks. Kamiński wygłosił do nich kilka słów pouczających“.

tendentem jeneralnym w stopniu pułkownika, Bentkowski szefem sztabu ¹⁾).

Po dokonaniu tych wszystkich czynności, wyruszone z Goszczy po sześciodniowym w niej pobycie, w kierunku północnym. Na opuszczone obozowisko, ledwie ostatni powstaniec z niego się wysunął, rzuciło się chłopstwo okoliczne, rabując wszystko, co tam pozostało, drobne sprzęty, naczynia, drwa, przyczem i dworowi się dostało ²⁾. Jakie powody kazały Langiewiczowi opuścić tak szybko Goszczę, kiedy od strony nieprzyjaciela w tej chwili nie groziło mu niebezpieczeństwo, trudno dziś odgadnąć. W szeregach mówiono, że dyktator zamierza uderzyć na Miechów; zdaje się jednak, że nie miał on tej myśli, i że główną przyczyną wymarszu był brak żywności ³⁾, gdyż w czasie pobytu w Goszczy objedzono doszczętnie tę wieś i całą okolicę. A może pozycya, tuż nad granicą, leżąca, wydawała mu się niezbyt bezpieczną, i załatwiwszy sprawę dyktatury, postanowił jak najprędzej odsadzić się od kordonu, za który mógł być przy pierwszym silniejszym ataku wyparty. Jakkolwiek bowiem w tej chwili Rosyanie bezpośrednio mu nie zagrażali, ale tak być zawsze nie mogło i wcześniej czy później, zwłaszcza po ogłoszeniu dyktatury, należało przypuszczać, że większe siły rosyjskie się zbiorą i uderzą na niego, na co się w rzeczy samej, jak to zaraz zobaczymy, zanosilo. Marsz ten jednak z dyktaturą ku północy, miał także swe złe strony. Najprzód oddalał korpusik polski od Krakowa, skąd czerpał i długo mógł jeszcze czerpać zasoby w ludziach, broni, sprzęcie wojennym i pieniądzech. Wprawdzie Austriacy, dotąd patrzący przez palce na ciągle stosunki Krakowa z Goszczą, z chwilą ogłoszenia dyktatury, nagle przybrali postawę surową, zatrzymywali na granicy ochotników, żywność i broń, jednym słowem nikogo i nic nie przepuszczali. Mimo to wielu, ob-

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 31.

²⁾ Relacye piśmienne.

³⁾ Gesket-Puzyresukij, loc. cit. 106.

chodząc bokami komory i posterunki austriackie, przedstawiało się jeszcze do Królestwa, co jednak w miarę oddalania się obozu polskiego, stawało się coraz trudniejszym. Z drugiej strony marsz Langiewicza ku północy zbliżał go do Miechowa, gdzie stało załogą trzy kompanie piechoty i setka kozaków ¹⁾, siły aż nadto dostateczne nie tylko dla stawienia oporu oddziałowi powstańców, ale nawet dla pokonania go zupełnego. *

Bądź co bądź, czy takie czy inne względy kazały Langiewiczowi opuścić Goszczę, dość że to zrobił, i teraz maszerowano wśród dnia pochmurnego i przesyczonego wilgocią, po drogach rędzinowatych, błotnych i grzązkich, na których wozy, konie i ludzie więzgli. Posuwano się zwykłym szykiem langiewiczowskim, trójkami, tworząc przeto nadmiernie długą kolumnę, która co chwila zatrzymywała się musiała, gdy wóz jaki się wywrócił, lub ugrzązł w błocie ²⁾. Straży bocznych wcale nie było i pochód odbywał się na oślep, a całe bezpieczeństwo oddziału spoczywało, że tak powiemy, na Opatrzności Boskiej. W ten sposób dostano się do Słomnik, miasteczka leżącego na gościńcu krakowsko-mieleckim, skąd skrócono nieco w bok i nad wieczorem dobitą się do leśnictwa Sosnowki, znanego nam już z chwilowego tamże pobytu Kuróńskiego po klęsce miechowskiej, i ukrytego wśród dość znacznego boru. Rozłożono się obozem w lesie i na małej polanie, na której wznosił się dworek leśniczego i kilka chałup. Głodno tu było i chłodno; żywiono się ziemniakami, które zabierano z dołów, gdzie były na zimę przechowane ³⁾. Sam dyktator pomieścił się w dworku w małej izbie; obok niego w drugiej większej, sztab.

Nazajutrz w południe cały oddział na polanie uformował się w czworobok; w środku którego na wzniesieniu umieszczono ołtarz z krzyżem i obrazem Matki Boskiej

¹⁾ Loc. cit. 107.

²⁾ Prawda o polskom wozstaniu (Dzien. Warsz. z r. 1865).

³⁾ Ks. Szulc, loc. cit. II, 113.

Częstochowskiej i z dwoma gorejącymi świecami. Przed ołtarzem stał ksiądz Paweł Kamiński, przybrany w komżę i stulę, otoczony innymi księżmi i sztabem obozowym. Chorażowie trzymali skrzyżowane sztandary, a sam Langiewicz w szarfię trójkolorowej, oparty na szabli stał z wyrazem zamyślenia i niepokoju. Po odprawionem krótkim nabożeństwie, dyktator przyklęknął i za ks. Kamińskim głośno powtórzył rotę przysięgi na wierność ojczyźnie. Potem kolejno wojsko batalionami składało przysięgę; wielu żołnierzy jednak zamiast przysięgać „dyktatorowi Maryanowi Langiewiczowi“, mówiło: „ojczyźnie“ lub „Polsce“, co miało bardzo gniewać dyktatora, tak że jednego z takich opornych, z pułku Czachowskiego, kazał nawet aresztować¹⁾. Cała zresztą uroczystość odbyła się z wielką powagą, i ciągle brzmiały okrzyki: „niech żyje dyktator!“, „niech żyje Polska!“. W końcu zdawało się, że i niebo sprzyja tej niewątpliwie szczytowej chwili w życiu Langiewicza, gdyż dotąd pochmurne i połure, nagle zajaśniało blaskiem złocistym i ukazała się tęcza trójkolorowa w kształcie wieńca²⁾. Wszyscy to uważali za cud, za znak Boży, i w mistycznym nastroju ducha najświetniejsze żywili nadzieje.

Tegoż dnia, z datą 12 marca, ukazał się dekret dyktatora, organizujący rząd cywilny. Była to jedna z najważniejszych spraw i w Krakowie od kilku dni, w kołach, które tworzyły dyktaturę, żywo się nią zajmowano, układano listę ministrów, proponowano to stanowisko niektórym osobom. Chciano np. by Władysław Bentkowski wszedł do tego nowego rządu, ale odmówił stanowczo, bo mu się cała mechanika tego rządu wydawała niejasną³⁾; zamierzano tekę spraw wewnętrznych oddać hr. Adamowi Grabowskiemu, ale temu tenże Bentkowski oparł się znowu, mówiąc że taka nominacja jak najgorsze wywołałaby wra-

¹⁾ Jeziorański, loc. cit. II, 237.

²⁾ Loc. cit. Bentkowski, loc. cit. 29.

³⁾ Loc. cit. 28.

żenie w Wielkopolsce, gdzie Grabowski bardzo źle używał opinii. To tylko było pewnem, że ministerium wojny obejmie generał Wysocki, gdyż stanowisko to należało mu się z wieku i z urzędu, a sekretarzem przy nim miał zostać Chrzanowski¹⁾. Szefostwo biura w ministerium spraw zagranicznych chciano oddać znakomitemu polskiemu pisarzowi Zygmuntovi Kaczkowskiemu, wezwano go nawet w tym celu do Krakowa, ale autor „Grobu Nieczui“ ofiarowanego mu stanowiska przyjąć nie chciał²⁾. Sam Langiewicz nie miał dokładnego wyobrażenia o tem, kogo mianować do składu Komisji Wykonawczej; nie wiedział nawet kto wchodził do ostatniego Rządu narodowego w Warszawie. Oczywiście rzecz, że zapytał się o to przede wszystkim Grabowskiego, który jako Komisarz pełnomocny powinien był mieć jak najlepsze pod tym względem wiadomości. Grabowski, szczerze mówiąc, nic nie wiedział, ale grając dalej niegodną rolę kłamcy i intryganta, powiedział, a nawet podobno spisał na kartce, że do tego Rządu wchodził ks. Marceł Lubomirski, hr. Henryk Potocki, hr. Stanisław Zamoyski, jakiś Prażmowski i Boski³⁾. Langiewicz, przeglądając te nazwiska i urzędy, zauważył, że niema tu naczelnika miasta. Zapytany o to Grabowski odrzekł, że jest nim jego kuzyn, noszący to samo nazwisko, imieniem Stefan. W rzeczy samej słyszał, on będąc jeszcze w Warszawie, że naczelnikiem miasta jest jakiś Stefan Grabowski, pod którym to pseudonimem ukrywał się Bobrowski⁴⁾. Czy Langiewicz, korzystając z tych wskazówek Grabowskiego i innych, pomianował ministrów, nie wiemy i nigdzie śladu tego doszukać się nie mogliśmy. Prawdopodobnie szybko rozwijające się teraz wypadki nie pozwoliły mu na to; są tylko ślady, że do Warszawy przesłał

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Z. Kaczkowski, Rewolucyjne sądy i wyroki, 24.

³⁾ N. Berg, loc. cit. III, 36. Prawda o polskim wozstaniu, loc. cit.

⁴⁾ Loc. cit.

zatwierdzenie dla Stefana Grabowskiego na naczelnika miasta, czem wielkie tam wywołał zdziwienie¹⁾.

Mimo to wszystko, przygotowano i ogłoszono w Sosnowcu dekret dyktatorski o organizacji władzy cywilnej powstania. Dekret ten zawiera dziesięć artykułów i stanowi, że Rząd narodowy cywilny ma się składać z czterech członków, będących współcześnie dyrektorami wydziałów, (ministerów): wojny, skarbu, spraw wewnętrznych i zagranicznych; że Rząd ten aż do dalszych postanowień, ma być tajnym; że wszelkie rozporządzenia i rozkazy dyktatora, dotyczące spraw cywilnych, będą wydawane za pośrednictwem Rządu narodowego; że wszystkie dekreta Rządu będą ogłaszane w imieniu dyktatora, który odpowiednio dał Rządowi pełnomocnictwo; że rozkazy dyktatora do Rządu mają być kontrasygnowane przez jednego z sekretarzy dyktatora, mianowanych na tę godność przez osobny dekret. Współcześnie z tem w art. 6, Langiewicz mianował trzech komisarzy, po jednym na każdy z zaborów, którzy mają zależeć od Rządu i od niego otrzymywać instrukcje; w art. 7 zatwierdza reprezentantów Polski przy dworach zagranicznych; art. 8 znosi wszystkie władze cywilne i wojskowe, istniejące do tej chwili, z tem, że mają pełnić swe obowiązki do chwili otrzymania odpowiednich rozkazów. W końcu, w art. 10, mianuje tymczasem Walerego Tomczyńskiego (niegdyś urzędnika rządu gubernialnego radomskiego), sekretarzem jenerałnym przy dyktatorze. Dekret ten podpisał Langiewicz i Tomczyński²⁾.

Tak proklamacja goszczańska, jak i dekret powyższy, oraz wieść o objęciu przez Langiewicza dyktatury, wywarła w całym kraju, a szczególnie w Warszawie piorunujące, rzecz można, wrażenie. Jeżeli u ludzi, stojących zdala od spisku, u młodzieży, dyktatura wyrobiła po prostu entuzjazm, skoncentrowanie władzy w jednym ręku wydawało się skrzepnięciem siły powstania, to wśród członków

¹⁾ Prawda o polskom wozstaniu loc. cit.

²⁾ Dekret ten czytać można w całości w Nr. 14 „Ruchu“.

Tymczasowego Rządu, wiadomość ta spadła niby piorun z jasnego nieba. „Rząd osłupiał“, pisze jeden z jego członków na tę nowinę¹⁾, „dyktatura huknęła jak piorun, nie mogliśmy pojąć co się stało!“ woła drugi²⁾. Na razie nie wiadano, co robić, i jak się wobec tego nieoczekiwanego faktu zachować. Bobrowski, jakkolwiek młody, ale inteligencyą swoją i lotnością umysłu przewyższający wszystkich kolegów, „drżał ze strachu, myśląc jak Warszawa ten fakt przyjmie“, bo sądził, że „jeżeliby i ta kombinacja nie miała powodzenia, odrzucona przez naród, dyktatura leżałaby u nóg jego, i niktby się nie schylił, by ją podnieść³⁾. Na szczęście, jeżeli to szczęściem nazwać można, Warszawa, t. j. Warszawa spiskująca odczytywała proklamację dyktatora z uniesieniem, nawet zacięci Mierosławczycy uznali fakt za spełniony niepowrotnie⁴⁾. Wszystko to było tem przykrzejszem dla Rządu tymczasowego, że po rozbiciu styczniowym, po peregrynacjach i szukaniu Mierosławskiego, w tych właśnie czasach, w początkach marca sformował on się na nowo i szerokie snuć począł plany. Usunąwszy księdza Karola Mikoszewskiego-Sykstusa, którego uważać poczęto za „pustego plotkarza i samoluba“, wciągnięto do Rządu Agatona Gillera, który pragnął tego usilnie, i „ponury a skryty, umiał poświęcić wszystkie namiętności, dla jednej namiętności panowania“. Słowem, teraz oprócz Bobrowskiego i Gillera, Rząd składali: Leon Królikowski, ów znany nam dyrektor żeglugi parowej, i dwaj bracia: Witold i Bronisław Marczewscy, a później jeszcze Aweyde⁵⁾. Ostateczne to sformowanie się Rządu

¹⁾ List Bobrowskiego do Padlewskiego (*N. Berg*, Zapiski IV, 194).

²⁾ List Aweydego (jeżeli się nie myliny) do Padlewskiego (*N. Berg*, loc. cit. IV, 188).

³⁾ List Bobrowskiego do Padlewskiego, loc. cit.

⁴⁾ Loc. cit. Bobrowski dodaje przytem: „jeden z nich (Mierosławczyków) stary, osobisty przyjaciel p. Ludwika, pił dzisiaj, ze zrozumiałą zresztą goryczą, razem ze mną za zdrowie dyktatora“.

⁵⁾ *Ustimowicz*, Zagowory i pokuszenia, 96. *Giller*, Historia I, 37, dość inężnie tę fazę przedstawia.

nastąpiło dnia 6 marca ¹⁾, t. j. tego samego dnia, w którym Langiewicz stanął w Goszczy i intrygi krakowskie rozsnuć swe sieci poczęły. Nowy Rząd uczuł się dość silnym i na wniosek Bobrowskiego zamierzał utworzyć Rząd jawny; i w tym celu, jakśmy to już wyżej wspomnieli, wysłał nawet agentów do Krakowa i Poznania dla porozumienia się z tamtejszemi osobistościami ²⁾.

Inni, mianowicie Giller i Ruprecht, który wszedł teraz w bliższe stosunki z organizacją powstańczą, utrzymywali, że Rząd jawny jest wprost niemożliwy, w czym mieli zupełną rację, i proponowali półjawność tej władzy. Chcieli oni mianowicie, aby zamianowano prezesa i sekretarza Rządu, których nazwiska miały być ogłoszone i którzy pozornie mieli niby przebywać w Warszawie, w rzeczy zaś samej pod obcemi imionami winni się ukrywać w Szwajcaryi. Miejsce ich pobytu miało być zachowane w jak największej tajemnicy. W tych warunkach tak ów jawny prezes, jak i jego sekretarz posiadaliby tylko pozór władzy, byliby parawanem dla Europy, właściwy zaś, czynny rząd miał być nadal tajnym i po dawnemu kierować sprawami powstania. Jedynie w ważniejszych aktach, jak zmiana członków Rządu, wyższe nominacje, dekrety i manifesty, miały być komunikowane prezesowi i jego oraz sekretarza podpisem stwierdzone. Zato sprawy zagraniczne, komunikowanie się z państwami obcemi oddawano szwajcarskim zwierchnikom, jak również rząd warszawski winien im składać raporta o stanie spraw powstańczych, by wiedzieli, jak postępować w swych stosunkach zagranicznych. Nawzajem prezes obowiązany był uwiadamiać swych warszawskich kolegów o rzeczonych stosunkach i o wszystkim, co się w tym zakresie dzieje ³⁾. Projekt ten w zasadzie

¹⁾ List Bobrowskiego, loc. cit. IV, 193. Pisany on jest w nocy z 6 na 7 marca i powiada, że to sformowanie się Rządu „dziś nastąpiło“.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ O. Awcyde, Zeznania IV, 58.

przyjęto, i jak wiemy, zaczęto działać w tym kierunku, wysyłając agentów do Poznania i Krakowa dla porozumienia się w tej sprawie.

Najważniejszą jednak czynnością nowej władzy było zawiązanie pertraktacy z Dyrekcyą Białych. Ciało to, jak widzieliśmy, po półtorarocznej walce z Czerwieńcami, walce, która zaznaczona była ciągłemi ustępstwami i klęskami umiarkowanych, bezsilne w sobie, czyniące bezpłodne usiłowania, by zażegnać burzę, która zbliżała się szybkimi krokami, teraz, gdy powstanie zbrojne wybuchło, gdy krew się lała obficie, gdy Czerwieńcy samowładnie rozporządzali się w kraju, zeszło zupełnie na drugi plan i w niemem osłupieniu patrzyło na to co się dzieje. Nikt już na Dyrekcyę Białą się nie oglądał, nikt się z nią nie liczył, gdyż tam, gdzie armaty grzmiały, o pokojowem i systematycznym działaniu nie mogło być mowy. Z tem wszystkiem Dyrekcyja nie miała nawet wyobrażenia o tem, że nie jest ona tak bezsilną, jak jej się zdawało. Miała najprzód pieniądze, których czerwonemu Rządowi warszawskiemu ciągle brakowało; miała za sobą większość szlachty, która, jak to widzieliśmy, była jak najprzeciwiejszą ruchowi zbrojnemu, a bez pomocy której ruch ten dwóch dni nawet utrzymałby się nie był w stanie. Pomoc ta udzielana była wprawdzie pod przymusem, pod groźbą przemocy, a okazywany tu i owdzie opór rozporządzeniom lub domaganiom się dowódców powstańczych, karany był przez nich surowo i bezwzględnie, co miało ten skutek, że oburzało szlachtę głęboko i tem większą do powstania niechęć budziło. Dyrekcyja jednak, mimo takich warunków, w poczuciu bezsilności, opuściła zupełnie ręce i nie robiła; próbowała nawet stawiać zapory rwącemu potokowi rewolucyi, jakkolwiek ciągle zachowywała postawę niechętną powstaniu i Czerwieńcom. Skoro jednak dzięki konwencyi lutowej pruskiej, sprawa polska weszła, że tak powiemy, na porządek dzienny w Europie, gdy Francya i Anglia głośno poczęły o tej kwestyi mówić, a nawet ślać noty do Petersburga; gdy z Paryża nadchodziły nalegania, by na-

dać powstaniu charakter wszechnarodowy, nie pozostawiało nic innego, jak zrobić akces do ruchu i do jego władzy tajnej. W tym celu zawiano w pierwszych dniach marca pertraktacje, które ze strony Rządu tymczasowego prowadził Oskar Aweyde, a ze strony Dyrekcyi, Karol Ruprecht¹⁾. Rząd powstańczy oczywiście z wielką radością widział to oświadczenie Dyrekcyi, ale udawał, że mu to jest obojętne i mówił, że „trzeba się potargować“²⁾. Tę skłonność organizacji szlacheckiej do zgody, tłumaczył on sobie i słusznie „wiadomościami dyplomatycznymi z hotelu Lambert“, oraz tem, że „miłość własna szlachty podrażniona jest wyrażeniem lorda Russela, że obywatele ziemscy przeciwni są ruchowi“. Oczywiście Czerwieńcy chętnie, jak powiadamy, gotowi byli przyjąć pomoc Dyrekcyi, ale mieli się na ostrożności, gdyż w miarę współdziałania, wzrastać także będą ich (szlachty) żądania“³⁾. Swoją drogą

¹⁾ A. Giller, *Historja II*, 44. Utrzymuje on, że rozwiązanie Dyrekcyi nastąpiło dnia 5 marca, a więc przed dyktaturą Langiewicza. Powtarza to samo w swym szkicu biograficznym p. t. „Karol Ruprecht“. Powiada tam: „powszechne jest mniemanie, że połączenie stronnictw nastąpiło wskutek dyktatury Langiewicza. Jest to zupełnie mylnem. Umowa o połączeniu zawartą została przez Ruprechta w imieniu Dyrekcyi obywatelskiej dnia 3 marca 1863 r. Dyrekcyja ta już nie istniała, a Ruprecht był członkiem Rządu narodowego, gdy ogłoszoną została dyktatura Langiewicza“. Nie jest to prawdą. W liście Bobrowskiego do Padlewskiego, pisanym w nocy z 6 na 7 marca, jest powiedziane, że toczą się w tej materji pertraktacje, rozwiązanie więc nie mogło ani dnia 3, ani d. 5 nastąpić. W drugim swym liście z dnia 13 marca Bobrowski donosi, że Dyrekcyja dopiero „wobec jawnej dyktatury“ się rozwiązała.

²⁾ List Bobrowskiego do Padlewskiego (*Berg*, loc. cit. IX, 193).

³⁾ Loc. cit. Dodać tu wypada, że już dnia 11 marca, konsul angielski w Warszawie, pułkownik Stantosz pisał o tej sprawie do lorda Russela: „mogę powiedzieć milordzie i mam uzasadnione powody do tego, że w ostatnich dniach członkowie stronnictwa umiarkowanego skomunikowali się z naczelnikami powstania, w celu wzięcia udziału w ruchu; obiega nawet pogłoska, że ci ostatni gotowi są zrzec się swej władzy w chwili, gdy osoby posiadające stanowisko i powagę ogólną, ogłoszą się jawnie za naczelników ruchu. Wszelako w okolicznościach obecnych nie można mieć nadziei, ażeby

Rząd tymczasowy tak był zadowolony z tego kroku Dyrekcyi, że w odezwie do narodu, wydanej w tym czasie (datowana jest 5 marca), nie mógł się powstrzymać, by nie ogłosić krajowi tej adhezji szlachty do powstania. „Nie zrażaliśmy się, wołał, gdy ludzie małej wiary wątpili o możliwości powstania. Skutek wszystkich przekonał. Dziś w gronie właścicieli wiejskich niema ani jednej polskiej duszy, któraby nie dzieliła powszechnego zapału, a postanowienia Rządu narodowego znajdują uznanie w obywatelstwie całego kraju“. Ponieważ przytem w kołach szlacheckich oskarżano Rząd tymczasowy z powodu dekretu o uwłaszczeniu chłopów, o skrajnie demagogiczne i socyalistyczne tendencje, więc w odezwie rzeczonoj tłumaczył się, że „siła ludu wiejskiego, największym zawsze dla wrogów była postrachem“, że wróg ten, „ześrodkował wszystkie zasoby swej przewrotności, żeby uwikłać Samsona“, że „pierwszem słowem Rządu narodowego było wyrzeczenie wolności dla wszystkich synów świętej ziemi naszej“, że „przecinając źródło niesnasek lat tyle żywionych przez wroga, Rząd narodowy postanowił niezwłoczne uwłaszczenie włościan“. W postanowieniu tem nie kierował się żadną fantastyczną teorią, grożącą obaleniem zasad społeczeństwa europejskiego, ale spełniał tylko dawne pragnienia właścicieli ziemskich i oczekiwania ludności wiejskiej, zawsze tamowane przez najazd. Uszczerbek powstały stąd dla własności prywatnej sprawiedliwie wynagrodzony zostanie z funduszków państwa. Rząd narodowy bierze na siebie odpowiedzialność za ścisłe wykonanie swego postanowienia, stwierdzonego wolą właścicieli ziemskich, z chwilą

wyższa szlachta (notables) Królestwa, jawnie przystąpiła do działania, gdyż bez broni, bez magazynów i organizacji, bez jednego nawet miasta lub punktu znacniejszego, w którymby można ustalić Rząd tymczasowy, tego rodzaju wystąpienie byłoby dla nich zgubą. Negocjacje te z konieczności prowadzone są w takiej tajemnicy, że nie mogę Waszej Dostojności żadnych pozytywnych co do tego dać informacji“ (czytaj: *La Pologne et la diplomatie*, 160).

wydania którego ustają w łonie społeczeństwa naszego wszelkie powody do wzajemnych niechęci¹⁾.

W czasie tych pertraktacyj z Dyrekcyą, nagle na Rząd tymczasowy spadła wiadomość o dyktaturze. Dowiedziano się o niej z drukowanej proklamacji dyktatora, która w dniu 12 marca przybyła i w tysiącach egzemplarzy rozbiegła się piorunem po Warszawie¹⁾, i wszelką akcyę na razie wstrzymała. Wszyscy, jakeśmy to już powiedzieli, faktem tym byli mocno skonsternowani, a w organizacyi miejskiej przewidywano stąd jak najgorsze skutki, przepowiadano i słusznie, że nieprzyjaciel zgromadzi znaczne siły, pobije dyktatora niezawodnie, wyrzuci za granicę lub schwyta i katastrofa taka koniec stanowczy i haniebny powstaniu położy. Bobrowski, który doskonale rozumiał sytuacyę i zorientował się w niej odrazu, wiedział, że tylko dwie drogi pozostały do wyboru: jedna wyjęcie Langiewicza z pod prawa, ze wszystkimi konsekwencyami takiego kroku, co nie było rzeczą łatwą, ze względu na entuzjazm powszechny, jaki dyktatura obudziła, oraz że dyktator stał na czele najpoważniejszej siły w powstaniu; druga, dyktaturę przyjąć i podać się pod jej władzę, co było jedynem rozumnem wyjściem, jeżeli nie chciano narobić i światu dawać gorszącego widowiska rozwojenia i niesnasek w naczelnych władzach powstania. To też Bobrowski, zdecydowany na to drugie, uspakajał obawy wyższych sfer organizacyi i udawał zadowolonego²⁾. Tegoż dnia, w którym w Warszawie pojawiła się odezwa dyktatorska, wieczorem zwołano posiedzenie Rządu tymczasowego, na które, jak to zawsze bywało, przybyło wielu członków organizacyi miejskiej. Zrazu w tem zgromadzeniu, przywykłem do kierownictwa, w tem ciełe, które wywołało ruch zbrojny i nadało mu pęd tak potężny, że wszystko wywracał i obalał, powstało silne oburzenie na tego wodza powstańczego, tego uzurpatora, który śmiał

¹⁾ A. Giller, *Historja* I. 42.

²⁾ Tomasz B. *Pamiętniki* (rękopism).

bez wiedzy niczyjej schwycić w swe ręce władzę najwyższą i niezem nieograniczoną. Ustęp w proklamacji goszcząskiej, że Langiewicz objął tę władzę, „porozumiewawszy się z tymczasowym tajnym Rządem narodowym“, co nie było prawdą, budził podejrzenie, że w tem wszystkim odegrała rolę jakaś intryga skryta i podstępna. Obiegała przytem pogłoska, że dyktator mianował pierwszym swoim sekretarzem Agatona Gillera, drugim posła na sejm pruski Kantaka, ministrem wojny generała Wysockiego, a ministrem spraw wewnętrznych Leona Królikowskiego¹⁾. Ponieważ znano dobrze nienasyconą Gillera ambicyę, jego żądę panowania i wywyższenia się, więc wierzono temu. Przytem nominacya Gillera i Królikowskiego, dwóch członków Rządu tymczasowego, świadczyła, że Rząd ten wiedział o gotującej się dyktaturze, i może nawet w jej przygotowaniu ręce maczał. To wszystko oburzało organizacyę miejską. To też, gdy na owej sesyi Rząd domagał się, aby przeciw dyktaturze zaprotestować i zmusić Langiewicza do zrzeczenia się władzy, członkowie rzeczzonej wyższej organizacyi wprost oburzyli się na taką, jak mówili, hipokryzyę. Oczywiście ani Giller, ani Królikowski nie tu nie byli winni, o dyktaturze nie nie wiedzieli, a owe nominacye były zwyczajną plotką, ale trudno było tłumaczyć to wszystko w chwili, gdy namiętności polityczne owładnęły umysłami. Projekt zresztą protestacyi przeciw dyktaturze nie był mądry, i znalazł opór tak w Bobrowskim jak i Awejdem, i we wszystkich przedstawicielach organizacyi miejskiej, obecnych na sesyi. Bobrowski wyłożył swe widzenie rzeczy, znane nam już, i oświadczył, że wystąpienie przeciw Langiewiczowi jest niemożliwe, bo jest to „jedyne dotąd człowiek, który umiał w lot schwycić i uorganizować zasady powstania w wielkich masach“, wołał, że „powinniśmy się rzucić naprzeciw kombinacyi, wręczającej ster rządu człowiekowi młodemu, silnemu, przeciw

¹⁾ „Wspomnienia z czasów młodości“ (Materiały do historyi powstania IV, 188).

któremu dotąd nikt nie powstaje, i który ma za sobą sześciotygodniową energiczną walkę, zdobną w nazwiska Staszowa, Małogoszcza i Skały¹⁾. Członkowie organizacji miejskiej twierdzili ze swej strony, że gdy przysłała do Warszawy proklamacya dyktatorska, to nikt inny, tylko oni właśnie za pośrednictwem niższych agentów, rozpowszechnili ją w mieście; wystąpienie więc teraz przeciw temu dowodziłoby grubej niekonsekwencji; mówili, że miasto z entuzjazmem przyjęło dyktaturę, protestacya więc przeciw niej na nicby się nie zdała i tylko skompromitowałaby władze powstańcze; że protestacya taka oddziaływałaby demoralizująco na kraj i zgubnie odbija się na opinii publicznej zagranicą; że wreszcie Rząd tymczasowy nie będzie wstanie niczem takiego zwrotu usprawiedliwić²⁾. Po długiej, gorzkiej i nieraz namiętnej dyskusyi, odrzucono stanowczo projekt protestu, postanowiono uznać dyktaturę, proklamacyę Langiewicza w licznych odbitkach rozpowszechnić; do niego zaś samego do obozu wysłać dwóch członków Rządu, pozornie niby z uznaniem władzy szczęśliwego wodza, a w rzeczy samej dla zbadania źródeł dyktatury i dla wyrwania jej, jak mówiono, „z rąk reakcyi“. Posłowie ci przytem mieli oświadczyć Langiewiczowi, że uznanie jego władzy pod tym tylko warunkiem może nastąpić, jeżeli rząd cywilny i otoczenie dyktatora składać się będzie z osób, na które dyktator wspólnie z Rządem tymczasowym się zgodzi³⁾. Na takich delegatów wybrano Agatona Gillera i Józefa Janowskiego, którzy jeszcze tej samej nocy puścili się w podróż do Gószczy⁴⁾. W wypełnieniu tych postanowień odbito zaraz w mnóstwie egzemplarzy proklamacyę gószczańską, z takim chłodnym i lichym wystylizowanym na czele dopiskiem: „Komitet centralny, jako Tymczasowy Rząd narodowy, ogłaszając odezwę jene-

¹⁾ List Bobrowskiego do Padlewskiego. loc. cit. IV, 194.

²⁾ Tomasz B. Pamiętniki (rękopism).

³⁾ A. Giller, Historia I, 43.

⁴⁾ Tomasz B. loc. cit. i A. Giller loc. cit.

rała Langiewicza, którą oznajmia krajowi, że objął władzę najwyższą dyktatora, zawiadamia, że dotychczasową swoją władzę składa w jego ręce i wzywa cały naród do posłuszeństwa dyktatorowi¹⁾.

Ci, którzy na sesyi owej twierdzili, że dyktatura przez miasto dobrze została przyjęta, mieli zupełną słuszość. Na wszystkich, jakieśmy to już parokrotnie wspomnieli, wywarła ona jak najlepsze wrażenie. Po mieście obiegała z inicjatywy Aweydy i Bobrowskiego lista, wzywająca do składek dla ofiarowania dyktatorowi szpady honorowej, na co chętnie i stosunkowo dość znaczne dawano sumy¹⁾. Kobiety, owe łatwo zapalne, entuzjastyczne Warszawianki, które stanowiły jeden z głównych motorów całego tego nieszczęśliwego ruchu, podnosiły temperaturę tego zapалу do najwyższego stopnia²⁾. Fotografie Langiewicza i panny Pustowojtów rozkupowano na gwałt, płacąc po rublu za sztukę; portret jego noszono na paskach i broszkach; imię jego, to ciche, nieznane, mieszczańskie i z niemiecka trochę brzmiące imię, było na wszystkich ustach. Ludzie chłodni, niechętni powstaniu, zadowoleni byli z tego, że kierownictwo ruchu, który ciało narodowe wprawiał w stan gorączki szalonej, wyrwane zostało z rąk osobistości nikomu nieznanym i przez nikogo niekontrolowanym, i ukrytych gdzieś w ciemnościach społecznego organizmu. Wszelka, mówili oni, choćby najgorsza władza jawna, jest lepszą od tajnej. To też dyrekcyja Białych, która już wobec postawy mocarstw zachodnich rozpoczęła była pertraktacye z Rządem tymczasowym o uznanie go, teraz po ogłoszeniu dyktatury, tem skwapliwiej chciała te pertraktacye do skutku doprowadzić. Jakoż zaraz nazajutrz po ukazaniu się w Warszawie odezwy dyktatorskiej, Karol Ruprecht zjawił się na posiedzeniu Rządu i oświadczył, że „Dyrekcyja wobec jawnej

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 38.

²⁾ Loc. cit. Opowiada on, że jedna z takich kobiet mówiła mu, że niczego więcej wtedy nie pragnęła, jak rzucić się pod nogi koniulańskich dyktatora, żeby ją stratowały. Mówiąc to bladła od silnego wzruszenia i łzy w jej oczach błyszczały.

dyktatury nie widzi dalszej potrzeby swego trwania i rozwiązuje się, a z nią cała organizacja biała¹⁾. Współcześnie Ruprecht wręczył Rządowi sumę 30.000 franków, jaka znajdowała się w kasie Dyrekcyi, uwiadamiając, że takąż sumę posłano do obozu dyktatora. W końcu Ruprecht uwiadomił zebranych, że bankier Leopold Kronenberg podejmuje się przeprowadzić dla powstania pożyczkę w wysokości jednego do dwóch milionów rubli, pod warunkiem, że odpowiedni dekret będzie wyjednany u dyktatora²⁾. Wszystko to oczywiście wywarło na Rząd wielkie i dodatnie wrażenie. W sprawie pożyczki rozpoczęto bliższe pertraktacje³⁾; żywiono jak najlepsze nadzieje. I w rzeczy samej tryumf Rządu tymczasowego był zupełny i mógł on się słuszną napawać dumą. Któżby przypuszczał przed rokiem, że ta garść młodzieży, nikomu nieznaney, studentów, lub drobnych urzędników, dojdzie do takiego znaczenia i do takiego stanowiska, jakie w tej chwili zajęła? Czyż można było wierzyć w to, ażeby ci ludzie ostatecznie odnieśli tryumf zupełny nad najwybitniejszymi mężami kraju, by wbrew ich woli wywołali powstanie, by wstrząsli Europę tym faktem i teraz stali się panami samowładnymi kraju i jego losów? Zaiste, to co się w Polsce od dwóch lat działo, wygląda raczej na fantastyczną opowieść wschodnią, jak na prawdę rzeczywistą. Takiego widowiska, w którymby ludzie dojrzeli, ojcowie narodu, obywatele zajmujący przez swe majątki lub imiona historyczne pierwszorzędne miejsce w kraju, by tacy ludzie poddawali się w pokorze kierownictwu młokosów, różnym nieznanym przez nikogo Aweydom, Bobrowskim, Gillerom, Królikowskim, zaprawdę, świat nigdy nie przedstawiał. Tylko w narodzie tak chorym, tak zgębionym i tak nieszczęśliwym jak polski, coś podobnego przytrafić się mogło.

Wśród tego wszystkiego, koło 15 marca nadeszły

¹⁾ *A. Aweyde*, Zeznania IV, 50.

²⁾ *Loc. cit.*

³⁾ List Bobrowskiego do Padlewskiego (*loc. cit.* IV, 194).

pierwsze wiadomości od dyktatora, a mianowicie zatwierdzenie Stefana Grabowskiego na naczelnika miasta. Bobrowski otrzymawszy tę nominację, której źródło powyżej już opowiedzieliśmy, zdziwił się bardzo; zrazu widział w tem jakieś nieporozumienie, potem podejrzawać począł coś mętnego¹⁾. W mniemaniu tem utwierdził się, gdy niebawem nadszedł raport komisarza rządowego, znanego nam już Wojciecha Biechońskiego, który tak uporczywie milczał na sesyi w dworze goszczańskim, donoszący o wszystkim, co się stało. Pisał więc o zabiegach stronnicych i intrygach, towarzyszących powstaniu dyktatury; twierdził, że ludzie, którzy ją wywołali, są przeciwni Rządowi tymczasowemu i dążą do stłumienia powstania. Niemniej Biechoński opowiedział rolę, jaką w całej tej sprawie odegrał hr. Adam Grabowski, jego samozwańcze przyjęcie na siebie charakteru komisarza rządowego, jego oświadczenie, że Rząd tymczasowy pragnie i domaga się, by Langiewicz ogłosił się dyktatorem i t. d.²⁾. Wiadomości te wywarły na członków Rządu piorunujące wrażenie, zwłaszcza na zapalną i ognistą duszę Bobrowskiego, który najwięcej się przed paru dniami przyczynił do tego, że dyktatura przez władzę powstańczą uznaną została. Teraz w jego oczach i w oczach kolegów podniosło się nagle z poza skromnej postaci goszczańskiego wojownika, ponure widmo reakcyi; przekonani oni byli, że dyktatura jest narzędziem stronnictwa przeciwnego powstaniu, partyi, którą z powodu dekretu o uwłaszczeniu chłopów, nazywała rząd bandą socyalistów i komunistów; że stronnictwo to dąży widocznie do ogarnięcia władzy i stłumienia powstania. Gdyby ich nie zaślepiała namiętność polityczna i stronnicza, gdyby w tym wirze, pędzących z szaloną szybkością wypadków, zdolni byli zastanowić się chłodno nad położeniem, byłiby nabyli przekonania, że tego rodzaju przypuszczenia są niemożliwe wobec niedawnego rozwiązania się Dyrekcyi białej, która

¹⁾ *Prawda o polskom wozstaniu*, *loc. cit.*

²⁾ *A. Giller*, *loc. cit.* I, 43.

przecież była głową owego oskarżanego stronnictwa. Ale wśród tych młodych, rozgorączkowanych umysłów, spełnionych wizjami zdrad i zbrodni przeciw ojczyźnie, chłodne rozumowanie przystępu nie miało i mieć nie mogło. Cóż jednak robić? pytano się nawzajem; powstać przeciw dyktaturze, skoro ją przed kilku dniami uznano i skoro wezwano publicznie naród do posłuszeństwa dla „żołnierza św. Krzyża i Staszowa, który żadnej konsekracji oprócz błogosławieństwa rewolucji nie potrzebował“, było niemożliwem. Postanowiono więc napisać list do dyktatora, wyjaśniający mu położenie rzeczy, i z tym listem ofiarował się jechać do obozu sam Bobrowski¹⁾, któremu powierzono także redakcyę tego pisma²⁾.

List ten ognisty, pełen siły i zapału młodzieńczego, zaznacza w początku, że Rząd dyktaturę, „choć za zamach stanu mogła być poczytywaną“, przyjął z radością. „Wszyscy, bez różnicy przekonań, gotowiśmy byli przyjąć rewolucyjną legalność, dać absolucyę faktowi, mogącemu uchodzić za akt człowieka, poczuwającego się na siłach dźwignięcia ojczyzny z upadku“; ale teraz dowiadują się, że dobra wiara dyktatora „w najhaniebniejszy została pochwycona sposób“. „Nie nie mamy przeciwko zasadzie dyktatury, pisał dalej Bobrowski, nie nie mamy przeciwko twojej osobie, która dotychczas tylko na nasz szacunek i wdzięczność zasługiwała, nie zatem nie możemy mieć przeciwko sprawowaniu dyktatury przez ciebie, bylebyś ją tylko dzielnie i na pożytek kraju sprawował; ale ci szczerze, wręcz raz na zawsze oświadczamy, że twego dzisiejszego otoczenia nie zniesiemy, nie możemy i nie chcemy znieść przez wzgląd na dobro kraju i powstania, przez szacunek dla siebie i dla ciebie“ „...gdy w pamiętnej nocy na hasło wyszło od nas, powstał naród... ludzie, których ajenci obecnie pełzają u nóg twoich, by cię łatwiej zgubić i sromotą okryć rewolucyę, ludzie ci, powtarzamy, oświad-

¹⁾ A. Giller, loc. cit. I, 43.

²⁾ N. Berg, loc. cit. III, 39.

czyli się przeciw powstaniu, i z bezczelnością, dostępną tylko reakcyi, proponowali ci rentę, pod warunkiem opuszczenia szeregów, zdradzenia sprawy i kraju. Bez zaprzeczenia partya rewolucyjna, reprezentowana przez Tymczasowy Rząd narodowy, nie mogła ci wówczas spieszyć z militarną pomocą, ale nie zapominaj o tem, że tylko jej (partyi rewolucyjnej) dawnym działaniom i pracom, obowiązany jesteś tem, żeś znalazł niewyczerpany materiał poświęcenia i patriotyzmu, z którego, z wyższym talentem, zawsze przez nas godnie ocenianym, skorzystałeś dla sformowania walecznych swych hufców. Pamiętaj o tem zawsze, jenerale, i ze słabości militarnych przygotowań nie sądz o słabości rewolucyjnej partyi, która sama jedna, pomimo wszelkich zawad przez reakcyę stawianych, wywołała obecne wypadki, z których ty, jenerale, wyrosłeś. Przechodząc następnie do tych, którzy przygotowali i ofiarowali Langiewiczowi dyktaturę, list powiada: „wszyscy ci ludzie nie przedstawiają nikogo; nie mając nic w ręku, nie ci ofiarować, a ty od nich przyjmować nie mogłeś. Dyktaturę, według naszego przekonania, dał ci Staszów, Małogoszcz i Skala; ludzie ci zatem są niepotrzebni, nie cię do nich nie wiąże; rozstań się z nimi, bo w tem tylko jedynie spoczywa sprawa i twoje zbawienie. Zastanów się, jenerale, do czego oni dążą; lista ministrów i rozmaitych urzędników, przez nich do twego zatwierdzenia przedstawiona, tylko dla przyzwoitości zawiera nazwisko jenerała Wysockiego i kilku innych pocziwych ludzi, którzy rozumie się, pod żadnym pretekstem zasiadać nie mogą na jednej ławie z księciem Marcelim Lubomirskim i szalbierzami, co dla zagłady powstania starają się wkraść do twego obozu“. „Uznajemy fakta zaszłe, ale żaden rząd cywilny bez naszego zezwolenia nie stanie i stać nie może, bo cała część kraju, przez nieprzyjaciela zajęta, tylko przez nas jest trzymana i tylko za naszym zezwoleniem może być rządzona. Pamiętaj, że, biorąc na siebie dyktaturę, wzięłeś na siebie odpowiedzialność przed historią, krajem i nami za jej sprawowanie, a wszelkie wyniknąć mogące

stać komplikacje spadną na ciebie jedynie. W tej chwili masz jeszcze zupełne nasze uznanie i poparcie, jako bohater naszego powstania, jako zwycięzca z pod Staszowa i Małogoszcza; oni niosą ci tylko poparcie jako odpychaczowi (tak!) generała Mierosławskiego; dla nas jesteś przedstawicielem nowej idei, dla nich tylko narzędziem — wybieraj¹⁾. Ten ostry, pełen grózb i stronniczego zabarwienia list, tak się kończy: „jeżeli na nieszczęście kraju i powstania, nasze nadzieje nadspodziewanie nas zawiodły, pamiętaj wtedy, że równie szczerze, jak ci obecnie ofiarujemy nasze poparcie, wstąpimy z tobą do walki. Jeżeli raz jeszcze powstanie zmarnowaniem zostanie, to przez twoją generała winę, a my w całości przynajmniej dla przyszłości kraju, zachowamy niewzruszenie nasze zasady. A teraz z całej piersi krzyczymy: niech żyje dyktator, precz z reakcją!“ Z listem tym, datowanym 16 marca, Bobrowski natychmiast wyjechał do obozu powstańczego¹⁾.

Cóż się jednak przez ten czas działo w tym obozie? co robił nieprzyjaciel, że przez te kilka dni, brzemienne tytuł wypadkami, nic o nim słyhać nie było? W Miechowie, w najbliższej miejscowości obozów Langiewiczowskich, stał, znany nam już ze swego tchórzliwego zachowania się w Skale, major Stolzenwald na czele czterech kompanii piechoty²⁾, setki kozaków i takiejże ilości straży nadgra-

¹⁾ List ten w całości wydrukowany został w broszurze A. Szczepańskiego p. t. „W tył“, która się ukazała w Krakowie w 1863 r.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 108, utrzymuje, że Stolzenwald miał pod swoją komendą tylko trzy kompanie, a mianowicie: dwie batalionu strzeleckiego i jedną pułku Smoleńskiego. Nie zgadza się to z doniesieniem samego Stolzenwalda (*Potto-Pochodnyja Zapiski*, loc. cit. 141), który wyraźnie powiada: „w Miechowie jest tylko 4 kompanie“ (tolko 4 rot). Sami zresztą autorowie ci, opowiadając o wyprawie na Goszczę piszą, że major Bentkowski z Kielc przyszedł do Miechowa z 3 kompaniami i że Stolzenwald wyruszył na Langiewicza z 5 kompaniami, zostawiwszy w Miechowie dwie załogę, czyli że razem było 7 kompanii. Gdyby przed przybyciem Bentkowskiego było w Miechowie 3 kompanie, to Stolzenwald nie mógłby na wyprawę wyruszyć z pięcioma i zostawić w mieście dwóch.

nicznej. Oczywiście rzecz, pobyt Langiewicza w Goszczy, wkrótce doszedł do wiadomości majora rosyjskiego, ale oficer ten, umięjący z nieporównaną odwagą zabierać kasy polskie¹⁾, nie myślał wcale o zaczepianiu oddziału polskiego, choć z temi siłami, jakie posiadał (około 800 bagnetów i 200 szabel) mógł był roznieść na cztery wiatry niekarne, źle uzbrojone i targane namiętnościami stronnictwami obozowisko goszczańskie. Przeciwnie, przycał on się tak cicho w Miechowie, że z niego wychylić się nie śmiał i w niczem nie zakłócił wszystkich tych scen, których teatrem była głucha wioska krakowska. Do Kielc, do Czengierego, pisał z wyraźnem przerażeniem: „przed chwilą otrzymałem autentyczne i dokładne wiadomości, że oddział rokoszan (miateżników) liczący kilka tysięcy, pod dowództwem Langiewicza obozuje w Goszczy i codziennie wrasta w siłę przez napływ nowych powstańców z zagranicy. Jeńcy, wzięci przez moje podjazdy, jednogłośnie zeznają, że w Krakowie odebrano uroczyste przyrzeczenie od wszystkich, mających 16 do 38 lat, iż zaciągną się do tego świętego oddziału. Od księcia Szachowskiego i barona Medema dotąd nie mam żadnych wiadomości, i dlatego proszę, jeżeli to możliwe, pomocy pańskiej dla zniszczenia tego zbiegowiska. W Miechowie znajduje się tylko cztery kompanie, a z taką drobną siłą nic nie mogą przedsięwziąć, tym więcej, że kompanie te obowiązane są także bronić miasta“²⁾.

Czengiery, otrzymawszy takie doniesienie, powziął plan, zwykły w tej dobie u dowódców rosyjskich, otoczenia Langiewicza i wzięcia go z całym oddziałem do niewoli. W tym celu rozkazał majorowi Bentkowskiemu, ażeby wyruszył z Kielc na czele trzech kompanii piechoty (pułku Smoleńskiego, 50 kozaków, pół szwadrona strzelców konnych i dwóch dział, do Miechowa. Przybywszy do tego

¹⁾ W d. 31 stycznia, będąc w Olkuszu, napisał odezwę do kasjera, by mu wydał wszystkie fundusze, a gdy ten odmówił, zagroził siłą i wziął 13.064 ruble. (Archiwum komisji skarbu).

²⁾ *Potto*, *Pochodnyja Zapiski* (Wojen. Sbornik z 1867, p. 141).

miasteczka, ma się tam zatrzymać, a natomiast Stolzenwald ze swemi czterema kompaniami, wzmocniony jedną Bentkowskiego (ogółem pięć kompanii), z kozakami, dragonami i artylerją, ma wyruszyć i stanąć d. 14 marca we wsi Szczepanowice, leżącej przy szosie między Miechowem i Słomnikami. Z tej pozycyi nazajutrz d. 15 marca o świcie winien zaatakować las niedźwiedzki, osłaniający Goszczę od północy. Współcześnie z Olkusa maszerują dwie kompanie do wsi Iwanowic, którą zajmąwszy mają osłaniać drogę do Skąły i zatamować ewentualny odwrót Langiewicza na zachód. Sam Czengiery (z jaką siłą, nie wiemy), wyrusza z Kielc na Skalbierz, i jednocześnie ze Stolzenwaldem zaatakują powstańców od wschodu. W obawie, by Langiewicz nie rzucił się między Stolzenwalda i Czengierego, działających w dość znacznej odległości, i nie przemknął się za Nidę, rozkazano Zagriażskiemu, temu samemu, który przed miesiącem niespełna bił się z powstańcami w Staszowie, ażeby wyruszył ze Stobnicy do Wiślicy, i baczenie miał oko na wszystkie na rzece przeprawy¹⁾. Tym sposobem Langiewicz, zaatakowany z dwóch stron przez siły jeżeli nie przeważne, to prawie równe i uzbrojone doskonale, mając odwrót na zachód i wschód odcięty, musiałby albo broń złożyć, albo przejść granicę austriacką.

Jakśmy rzekli, wspólny atak Stolzenwalda i Czengierego na Goszczę miał być dokonany d. 13 marca; tymczasem Langiewicz, wiedząc prawdopodobnie o tych zamiarach, Goszczę dość pośpiesznie opuścił d. 11 marca i wieczorem tegoż dnia stanął w Sosnowce. Tym sposobem odsadzał się od granicy i wsuwał się między Czengierego i Stolzenwalda, który zresztą jeszcze nie ruszył się z Miechowa²⁾. Załatwiwszy się z najpilniejszymi sprawami dyktatury, postanowił parę dni zatrzymać się w Sosnowce,

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Wł. Bentkowski, Notatki loc. cit. 35, utrzymuje, że Langiewicz w Sosnowce, „żadnych ogólniejszych nie miał planów, albo też nie chciał mi ich powierzać“. To drugie jest najprawdopodobniejsze.

w tym celu zapewne, ażeby lepiej wyjaśniły się plany rosyjskie, oraz dla ukończenia pertraktacyi w sprawie organizującego się w Krakowie rządu cywilnego¹⁾. Dla utrzymania łączności z tem miastem, jakkolwiek od strony austriackiej już przerwanej, zatrzymano posterunek w Michałowicach, z odwodem silniejszym pod Słomnikami w karczmie przydrożnej, pod wodzą majora Koskowskiego, jednego z trzech braci, zapalonych Mierosławczyków. Od strony Miechowa posterunek, wysunięty znacznie, w charakterze straży przedniej, zajmował ze swymi żuawami Rochebrun. Z jądrem swego oddziału stał on we wsi i tylko pojedyncze plutony w polu straż trzymały²⁾. W obozie, spoczywającym w posępnej, leśnej okolicy, wśród poróżdżystej, pomimo niedawnych uroczystości i przysięgi, panował ciągle rozdzwiek i niezadowolenie. Już w chwili przybycia do Sosnowki zaszła przykra scena między dowódcą pierwszego pułku Wanertem, a brygadyerem Śmiechowskim, tak że Langiewicz musiał Wanertowi odebrać komendę pułku a oddać ją Dąbrowskiemu³⁾. Niemniej zdarzyła się w Sosnowce scysła z Rochebrunem. Obrażony

gdyż marsze Langiewicza świadczą aż nadto wymownie, że wiedział o oblławie rosyjskiej, i że mu szło o wymknięcie się z niej, czego też dokonał.

¹⁾ Jeziorański, Pamiętniki II, 240 powiada pod datą 14 marca jakoby Langiewicz w Sosnowce nosił się z zamiarem uderzenia na Miechów. „Mam zamiar pomścić oddział Kurowskiego i uderzyć na Miechów“, mówił jakoby do Jeziorańskiego, ale ten, oraz Bentkowski stanowczo mu odradził. Całe to opowiadanie mocno jest podejrzane, najprzód dlatego, że Langiewicz d. 14 marca nie znajdował się już w Sosnowce, a potem że Bentkowski, tak sumienny pamiętnikarz, ani słówkiem w swych „Notatkach osobistych“ o tem nie wspomina, owszem wyraźnie powiada, że nic nie wiedział o planach Langiewicza.

²⁾ Bentkowski, loc. cit. 35.

³⁾ O powodach i przebiegu tego zajścia Ks. Szulc (Pamiętnik loc. cit. I, 112) opowiada co następuje: „Wanert rozstawiał pułk według przepisów wojskowych, a Śmiechowski chciał inaczej. Gdy mu Wanert zrobił uwagę, Śmiechowski krzyknął: „milcz, jestem wyższy rangą, każę cię aresztować!“ Żołnierze kochający Wanerta wyrzuli

o to, że żołnierza z jego oddziału, który się był dopuścił krnąbrności przeciw swemu dowódcy, sąd wojenny skazał nie na śmierć, ale na lekką jakąś karę, odesłał dyktatorowi szarfę wraz z piśmiennem żądaniem dymisji. Langiewicz z uwagi, że Rochebrun był najlepszym oficerem w całym korpusiku powstańczym, wysłał Bentkowskiego do Francuza, ażeby się go starał ułagodzić. Ale Rochebrun uparł się i nie dał sobie gadać o niczem, tak że dyktator słusznie urażony, dowiedziawszy się o tem, zawołał: „toć prosić go się nie będziemy; kiedy nie chce zostać, niechże sobie idzie“. Mimo to Bentkowski, doskonale rozumiejący znaczenie dla oddziału tak dzielnego oficera, odesłał szarfę z pismem, w którym donosił, że wyrok ulegnie zapewne kasacyi, zanim zaś rewizya wyroku i udzielenie dymisji nastąpi, winien on pełnić dalej swą służbę. Rzecz tym sposobem puszczona w odwłokę, uległa zapomnieniu wśród wiru następnych wypadków¹⁾.

Przy tem wszystkiem, jak to zwykle bywało u Langiewicza, brakowało żywności, co oczywiście zwiększać musiało niezadowolenie i szemranie. Mimo że Austriacy granicę zamknęli od chwili ogłoszenia dyktatury, a kozacy snuli się między Sosnówką i kordonem, komunikacja z Krakowem ciągle trwała. Do Sosnówki przyjechał fotograf krakowski p. Walery Rzewuski w celu odfotografowania obozu i dzielił się swymi zapasami żywności z głodnymi powstańcami²⁾. Przybyli tu także korespondenci jakichś gazet zagranicznych, których wieczorem cały sztab wraz z Langiewiczem oprowadzał po biwakach piechoty, rozłożonej w lesie, opodal od wsi; kosynierzy przytem urządzili rodzaj

się na brygadiera i niezawodnie byłaby go tam z ich strony nieprzyjemność spotkała, gdyby dowódzca pułku nie był uprosił swoich podkomendnych o spokojność. W zejściu tem znaleziono pretekst do odebrania pułku nie będącemu w lasce Wanertowi i powierzono go (oczywiście pułk) Dąbrowskiemu. Zmiana ta nie dobrze oddziaływała na nasz pułk“.

¹⁾ *Wł. Bentkowski*, loc. cit. 37.

²⁾ *Szułc*, loc. cit. I, 113.

iluminacyi ze słomy¹⁾, tak że obóz musiał się malowniczo przedstawiać i figurował potem w nieco fantastycznych rysach po wszystkich ilustracyach europejskich. Zjawił się tu także p. Stanisław Koźmian, któremu polecono z Paryża od ks. Czartoryskich, aby udał się do obozu i starał się przedstawić Langiewiczowi położenie zewnętrzne i wobec tego potrzebę trwania bądź co bądź, unikania rozbicia, wreszcie zalecano mu w razie wystąpienia Mierosławskiego, który knuje niebezpieczne przeciw dyktatorowi zamachy, żeby ten ostatni energicznie się zachował. Polecono przytem p. Koźmianowi, aby przypatrzył się dobrze obozowi i samemu Langiewiczowi, i zdał z tego sprawę²⁾. Rozmowa między posłem a dyktatorem toczyła się w cztery oczy, w ogrodzie, do którego się udano, dla uniknięcia niepotrzebnych uszów. Koźmian przedstawił położenie polityczne sprawy polskiej; utrzymywał, że skoro dyktatura ogłoszoną została, przedewszystkiem potrzebne jest jej trwanie ze względu na pomyślny obrót układów między mocarstwami, jak również dla trzymania na wodzy żywiołów skrajnych. Mówił dalej, że zdaniem ks. Czartoryskich i ich otoczenia, potrzeba unikać wszystkiego tego, coby mogło siły dyktatora rozprószyć, lub na szwank je wystawić, że „należy mu choćby w lasach przetrwać czas jakiś, byle się nie narażać na rozbicie“. Twierdził, że w Paryżu uważają za stronę dodatnią dyktatury, iż wywiodła ona sprawę z fazy

¹⁾ *Bentkowski*, loc. cit.

²⁾ *S. Koźmian*, *Rzecz I*, 62, utrzymuje, że widział się z Langiewiczem w Goszczy. Nam się zdaje, że pamięć mu w tym względzie nie dopisała. Sam powiada, że Langiewicz przyjął go w ciasnej izdebce, gdzie znajdował się szef sztabu Bentkowski. Ten ośtatni występuje jako szef dopiero w Sosnówce; w Goszczy bawił zaledwie kilka godzin podczas narady d. 9 marca. Mówi dalej p. Koźmian, że między Goszczą a Michałowicami pojawiali się kozacy; ponieważ ci dopiero po wyruszeniu do Sosnówki poczęli się kręcić nad granicą, więc jest to jeden dowód więcej. W Goszczy zresztą nie było czasu na dłuższe rozmowy; i dlatego kombinując wszystko, pewni jesteśmy że p. Koźmian był w Sosnówce. Zresztą kwestya ta jest drugorzędного znaczenia.

rewolucyjnej, że zatem strzedz się należy środków, a nawet pozorów, przypominających tę ostatnią, a zwłaszcza współnictwa z Mierosławskim, „który, jak o tem przestrzega dyktatora hotel Lambert, ma zamiar działać i wystąpić przeciw niemu”. Langiewicz, który wogóle zachowaniem się swem korzystne wywarł na pośle wrażenie, odrzekł, że o intrygach Mierosławskiego wie doskonale, że gdyby się w obozie jego ukazał, to każe go pochwyć i rozstrzelać. Co zaś do owego unikania nieprzyjaciela, ukrywania się w lasach w obawie narażenia się na rozbięcie, oświadczył, że przeciwnie szukać będzie z nim spotkania, że pewny jest zwycięstwa, że za parę dni oczyści krakowskie z nieprzyjaciela, że nie potrzebuje się go obawiać i t. p.¹⁾ Na tem skończyła się rozmowa, która na Koźmiana wywarła wrażenie, że zguba Langiewicza i dyktatury wcześniej czy później jest nieuniknioną. Jeżeli owe zapewnienie o oczyszczeniu krakowskiego z nieprzyjaciela, były z jednej strony wyrazem właściwej niekiedy Langiewiczowi zarozumiałości i brawury, to z drugiej zdradzały one całą grozę i całe niebezpieczeństwo jego położenia. W tem wyrzeczeniu, że nie tylko nieprzyjaciela unikać, ale owszem szukać go będzie, krył się głęboki i dręczący niepokój, by Mierosławski go nie ubiegł, by Rząd tymczasowy warszawski, o którym wiedział, że pomimo wszystkiego istnieje i jest mu niechętny, nie skorzystał z jego nieczynności, którą mu Koźmian zalecał, i nie obalił go przy pierwszej lepszej sposobności. Wiedział on przytem, znał przecież dobrze historię, że wszelkie ociąganie się, temporyzowanie wywołać musi dlań, jak dla Skrzyneckiego niegdyś, jak dla ks. Józefa, gdy oddawał Austryakom Warszawę, nazwę zdrajcy i sprzedawczyka! Wiedział, że każdy, kto działa ostrożnie i powolnie w Polsce, musi upaść pod naciskiem rozgorączkowanej, chorej, drażliwej opinii publicznej, któraby chciała, żeby jednym ciosem i w ciągu jednego dnia, zbu-

¹⁾ Loc. cit.

dowano Polskę od Dniepru po Wartę. Dlatego też rada działania ostrożnego, unikania nieprzyjaciela, krycia się po lasach, nie mogła mu się podobać i nie mogła być przezeń przyjętą, bo byłaby prostą zgubą dyktatury; lepiej więc już rzucić się na wroga i jeżeli upaść, to upaść ze sławą i rozgłosem.

Że te wszystkie obawy, podnoszące się w duszy Langiewicza, nie były płonnemi, świadczył protest Mierosławskiego przeciw dyktaturze. Napisany i wydrukowany z datą 11 marca w Krakowie, gdzie wódz krzywosądzki ciągle przebywał, dostał się do rąk Langiewicza w Sosnowce, rozszedł się w mnóstwie egzemplarzy po całym obozie¹⁾, i licznym stronnikom eksdyktatora dodał otuchy i do dalszych intryg zachęcił. Mierosławski, w dokumencie tym opowiedziawszy historię swojej dyktatury, przyczem utulił wiadomość, że z d. 8 marca władza jego istnieć przestała, tak się odzywa o Langiewicz: „z bezprzykładnem nadużyciem mojej sumienności politycznej, podchwyciwszy porę ciężkiej choroby, która mnie na czas krótki zmusiła do szukania ochronnego ukrycia, z podeptaniem najuroczystszo postanowienia Rządu tymczasowego, Maryan Langiewicz ogłosił się na kilku milach kwadratowych drugim dyktatorem narodu polskiego. Tego rozmyślnego wyzywu do wojny domowej nie przyjmuję; odwołuję się tylko do namysłu narodowego, protestując w imieniu żywych czy poległych ręcycieli aktu z 25 stycznia, przeciw znieważeniu takowego przez Maryana Langiewicza”. Protestacyę tę, będącą dowodem jak dalece Mierosławski sprawy publiczne odsuwał na plan drugi wobec swych spraw osobistych, ten akt w najwyższym stopniu niepatryotyczny, podpisali Władysław Daniłowski i Władysław Jeska, „w imieniu Komitetu centralnego, działającego jak Rząd tymczasowy”, przyczem sami protestowali „przeciw nieprawnemu i samowolnemu zamachowi naczelnika wojennego powstania sando-

¹⁾ „Rok 1863”. Pamiętnik bezimiennego (rękopism).

mierskiego¹⁾. Ten dodatek, te lekceważące słowa o „naczelniku wojennym powstania sandomierskiego“, tym więcej oburzały ludzi świadomych rzeczy, że Daniłowski od lata przeszłego roku nie był członkiem komitetu centralnego, Jeska zaś nigdy doń nie należał; potwierdzenie więc protestacyi w imieniu tegoż komitetu było prostem i ze wszech miar karygodnem nadużyciem, jakich tyle zawsze bywa we wszystkich rewolucyach i we wszystkich spiskach tajnych. Oprócz tego Mierosławski słowem i drukiem, gdzie mógł i jak mógł, powstawał przeciw Langiewiczowi, mówiąc, że „dyktatura leśna jest szaleństwem“, w czem do pewnego stopnia miał słuszość, a samego dyktatora szkalował, zowiąc go „bombardyerem spanoszonym“.

Wśród takich to okoliczności Langiewicz przebywał w Sosnowcu, z okiem i uchem bacznie zwróconem w kierunku burzy, zbierającej się nad jego głową, a przygotowywanej mozolnie przez Czengierego. Przez szczególny jednak zbieg okoliczności, rzeczy zupełnie inną przybrały postać, niż sądził i miał prawo przypuszczać Czengier. W chwili bowiem, gdy się zabierano do wykonania jego planu, przyszła wiadomość, że naczelnikiem wojennym powiatu miechowskiego i olkuskiego mianowany został generał-major książę Szachowski i że wszystko wojsko, konsystujące w rzeczonych powiatach, ma wyłącznie od jego zależać rozkazów²⁾. Nikt oczywiście opierać się temu nie śmiał; wiadano, że książę ten, syn, jak się zdaje dowódzcy korpusu grenadierów w 1831 r., ma szerokie stosunki i dobre plecy³⁾, i że wogóle dość niepodległe zachowywał się wobec swych zwierzchników; przytem bawił on w War-

¹⁾ Protestacyę Mierosławskiego i jej zatwierdzenie przez Daniłowskiego i Jeskę, czytać można w całości w broszurze Mierosławskiego: „Dokumenta urzędowe do dziejów organizacji jeneralnej powstania narodowego“ p. 5 i 6.

²⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 110.

³⁾ N. Berg, Zapiski II, 540.

szawie¹⁾, i teraz wraz z nominacją swoją przywoził instrukcyę sztabu jeneralnego a zapewne i samego W. księcia odnośnie do Langiewicza. Sztab polecał mu, ażeby się starał wszelkimi siłami wyprzeć oddział dyktatorski do Galicyi; współcześnie Uszakow zalecał Czengieremu, ażeby wzmoenił załogi miechowską i stopnicką, i „nie wypuszczał powstańców za granicę zajmowanej przez nich obecnie miejscowości“, żeby „nie przedostali się do leśnistej okolicy gubernii Radomskiej“²⁾. Co W. książę radził czynić Szachowskiemu, nie wiemy; to pewna, że sądząc po postępowaniu tego ostatniego, rady te musiały być wręcz przeciwnie instrukcyom sztabu jeneralnego warszawskiego³⁾. Szachowski dość znacznemi rozporządzał siłami; miał mianowicie trzy bataliony piechoty, setkę kozaków, oddział straży pogranicznej (150 konnych i 150 pieszych) i dział cztery. Ogółem obliczają go źródła rosyjskie na 2500 ludzi. Do tego dodać należy kolumnę majora Bentkowskiego, który, jakśmy rzekli, z rozkazu Czengierego stanął już d. 11 marca w Miechowie z siłą trzech kompanii, dwóch dział, nieco kozaków i pół szwadronu strzelców konnych, tak że ogółem można liczyć Szachowskiego na 3000 ludzi.

Wobec tej zmiany dowództwa, plan Czengierego sam przez się upaść musiał. Szachowski, przypuszczając, że Langiewicz ciągle zajmuje Goszczę, zamierzał uderzyć nań od skrzydeł, z jednej strony od Skały, z drugiej od Proszowic i odpowiednio wydał rozporządzenia, naznaczając atak na dzień 14 marca. Tymczasem w nocy z d. 12 na 13 marca, na skutek doszłych do Miechowa głuchych i niepewnych

¹⁾ Przybył do Warszawy d. 9 marca, wyjechał zaś d. 11 marca (Patrz odnośne numera „Dziennika powszechnego“).

²⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 110, oraz raport Czengierego do Urszakowa z d. 16/28 marca.

³⁾ Zamierzano jakiś czas powierzyć wyprawę przeciw Langiewiczowi, księciu Sayn-Wittgenstein, który w tym czasie przybył do Warszawy i był bezczynny, ale zamiar ten nie przyszedł do skutku (czytaj „Souvenirs et correspondance du prince Emil de Sayn-Wittgenstein“ II, 9).

wieści o przybyciu powstańców do Sosnówki, wyruszył na rekonesans major Bentkowski, zamienił kilkanaście strzałów z posterunkami Rochebruna (przyczem zginął 1 żuaw, a 4 czy 5 było rannych), i oczywiście przekonał się, że obóz dyktatorski stoi w Sosnowce. Wódz rosyjski poleciwszy kozakom obserwować powstańców, sam uwiadomił o wszystkim Stolzenwalda w Miechowie, a ten ks. Szachowskiemu. Wskutek tego musiał on pierwotny plan zmienić i rozkazał: Medem ma z Olkusza wyruszyć na czele jednego batalionu piechoty (pułku witebskiego), setki kozaków i zająć pozycję we wsi Ulinie Wielkiej; Stolzenwald drugi (dowódca batalionu w pułku witebskim), stojący dotąd w Wolbromiu, ma na czele trzech kompanii, 4 dział i 160 objeszczyków, osadzić się w Miechowie; Stolzenwald zaś miechowski ma ruszyć na Działoszyce i stąd, obszedłszy skrzydło Langiewicza, współcześnie wraz z Medmem i Stolzenwaldem wolbromskim zaatakować d. 15 marca powstańców, odeprzeć i wyrzucić za granicę¹⁾. Ogółem miało uderzyć na nędzny korpusik Langiewiczowski, 11 kompanii piechoty, cztery działa, dwie setki kozaków i 160 objeszczyków, razem 2300 ludzi, i oczywiście rozbicie jego było nieuniknionem, pod tym jednak warunkiem, żeby dyktator tkwił ciągle i nie ruszał się z Sosnówki.

Jakoż książę rosyjski przekonany był, że tak będzie i dlatego cios jego zawisł w powietrzu i mimo mnóstwa przygotowań, krwawej tragedii nie było. Langiewicz bowiem, sądząc ze wszystkiego, doskonale był poinformowany o planach i ruchach nieprzyjacielskich²⁾. Przeczekałszy w szyku bojowym pod Sosnówką do południa d. 13 marca, rzucił się nagle z dyrektywą północno-wschodnią ku Nasiechowicom, widocznie w zamiarze obejścia Miechowa

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 111.

²⁾ *Jeziorański*, *Pamiętniki* II, 240 powiada, że „obywatel S***, dał nam znać, że Moskale w sile 1200 ludzi idą z Kielc do Miechowa“. Jakkolwiek doniesienie to nie było dokładne ani co do siły, ani kierunku marszu nieprzyjaciela, przecież świadczy ono, że Langiewicz miał ciągle wiadomości o ruchach rosyjskich. W pamiętniku

i przemknęcia się między dwoma Stolzenwaldami: miechowskim i działoszyckim. W czasie tego marszu ofiarowano Langiewiczowi karabelę Kościuszki¹⁾. Znajdowano się bowiem nieomal na polach Raclawickich, na których przed sześćdziesięciu laty pierwszy swój tryumf święciła Polska ludowa i chłopska. Słusznie więc, że tutaj nie gdzieindziej ofiarowano wodzowi powstającemu jeszcze raz do walki o niepodległość narodu. szablę tego, który pierwszy niejako rozpoczął ten wielki, śmiertelny, stuletni bój o wolność z najazdem. Jest to zarazem dowodem, jak ogromny entuzjazm budziła we wszystkich dyktatura.

Maszerowano całe pół dnia po drogach bocznych, błotnistych i pogodą marcową zepsutych. Wozy i podwozy grzęzły, łamały się, wywracały, tamując co chwila pochód długiej kolumny. Gdy noc zapadła i gdy wkroczone do jakiegoś lasu, kolumna ta całkiem się rozewała. Langiewicz wobec tego nużącego marszu i niebezpieczeństwa pogubienia się, postanowił zatrzymać się w najbliższej wsi Marchocicach²⁾, dość dużej osadzie, dokoła nieomal otoczonej lasami. W dworku, opuszczonym przez właścicieli, roztasowali się już różni powstańcy, którzy tu wprzód przybyli, tak że trzeba ich było nieomal przemocą rugować, by zrobić miejsce dla dyktatora i sztabu³⁾. Oddział rozłożył się we wsi, a część piechoty stanęła biwakiem

rękopiśmiennym p. t. „Rok 1863“, autor opowiada, że szwadron, w którym on służył, wysłany był na rekonesans w okolice Miechowa i dowiedział się: „że wojsko z Miechowa i Kielc wychodzi na oddział Langiewicza celem rozbicia go, a resztek wpędzenia na terytorium austriackie“. „To są słowa, dodaje, w jakich dowódca szwadronu przy mnie zdawał raport Langiewiczowi“. Dyktator więc informację miał dobrą.

¹⁾ *T. Żychliński*, *Wspomnienia* z r. 1863, 22, zapewnia, że stało się to w czasie marszu z Goszczy do Sosnówki „opodal Raclawic“. Ponieważ Raclawice leżą za Sosnówką, więc prawdopodobnie stało się to podczas pochodu z Sosnówki do Marchocic.

²⁾ *Wł. Bentkowski*, loc. cit. 41. Nazywa on mylnie Marchocice: Markowicami.

³⁾ Loc. cit.

w ogrodzie dworskim. Nie wiadano dobrze, gdzie się znajdowano, ani też jakie jest położenie Marchocic, a choć Langiewicz ze względu na znużenie ludzi zamierzał tu odbyć dniówkę, przecież nazajutrz d. 14 marca o świcie, gdy w towarzystwie Bentkowskiego, Waligórskiego, Jeziorańskiego, Czachowskiego i Śmiechowskiego rozpatrzył pozycję, postanowił, jak najprędzej ją opuścić, tak się wszystkim wydawała niebezpieczną. Wieś bowiem i dwór leżał w kotlinie, nad którą panują wzgórza w części nagie, w części zarosłe i oddalone od dworu na strzał karabinowy. Sam dwór oddzielony był od wsi rzeczką o głębokich brzegach, a wzdłuż grzbietów wzgórz biegła droga bita z Miechowa do Skalbmierza. W razie ataku nie było się gdzie rozwinąć, ani też nie miano swobodnego wyjścia z kotliny¹⁾. Zdecydowano się więc natychmiast wyruszyć²⁾.

Langiewicz postanowił teraz zrobić marsz bardzo ryzykowny, a współcześnie śmiały: mianowicie, okrążyć Miechów i zająć pozycję na gościńcu bitym między tem miastem a Kielcami. Do otaczających go mówił, iż powodem tego ruchu jest to, że chce się wydostać z okolicy bezleśnej, w jakiej się obecnie znajdował, i szukać schronienia

¹⁾ Loc. cit. 42.

²⁾ Bentkowski, loc. cit. 42 powiada, że dyktator w Marchocicach nie był zdecydowany dokąd pomaszeruje; na str. 44 zaś pisze, że „dyktator nie czując się bezpiecznym w tej bezleśnej okolicy, miał zamiar przerzucić się w dość rozciągle lasy, ciągnące się na zachód szosy z Miechowa do Jędrzejowa“. Wiedział więc dokąd ma maszerować. W Marchocicach miał się zdarzyć przykry wypadek. Pozostała we dworze stara gospodyni oskarżyła powstańców, że odbili szafkę kredensową i wszystkie srebra zabrali. Aresztowano podejrzanego o to porucznika od żuawów, ale mimo śledztwa sreber odnaleźć się nie dało. Tak opowiada Bentkowski; nasze poszukiwania przekonały nas, że nic podobnego nie było. Bądź co bądź ten wypadek miał dać powód do wydania przez dyktatora rozkazu dziennego, grożącego karą śmierci za rabunek, oraz do ustanowienia żołdu, po 20 groszy dziennie dla żołnierzy. Żołd miano wypłacać z góry za 10 dni.

w znacznych borach, rozciągających się na zachód od szosy kielecko-miechowskiej. Wątpliwą jest jednak rzeczą, czy ten powód kazał mu wykonywać marsz długi i niebezpieczny, w którym narażał się na uderzenie z boku załogi miechowskiej. Zdaje się, że, wiedząc doskonale o zamiarach ks. Szachowskiego wyparcia oddziału polskiego do Galicji, chciał je udaremnić przez wydobyć się z oblavy rosyjskiej i postawienie jej między sobą a ową granicą galicyjską. Wiedział przytem, że atak jeneralny wszystkich kolumn rosyjskich na Sosnowkę naznaczony został na dzień 15 marca; podczas więc, gdy nieprzyjaciół będzie dążył na południe, Langiewicz będzie siedł spokojnie na północ i przetnie komunikację Miechowa z Kielcami. Jakoż, gdy on mozolnie po ciągle grząskich drogach posuwał się z Marchocic na Góry z wytyczną do Książa Wielkiego, nieprzyjaciół zupełnie odwrotne czynił ruchy. Ks. Szachowski rano d. 14 marca, t. j. w chwili gdy Langiewicz wyruszał z Marchocic, osobiście wykonał rekonesans w stronę Sosnowki i na bardzo zapewne przykre dla siebie zdziwienie przekonał się, że powstańców tam od wczoraj nie ma i nie wiadomo dokąd poszli. Cały więc plan, cała wyprawa, na którą zgromadzono przeszło dwa bataliony piechoty, 500 jeźdźców i cztery działa, zawisła w powietrzu i jak większość wypraw rosyjskich w tej wojnie, miała się skończyć na niczem. To też Szachowski, nie tracąc czasu wysłał natychmiast majora Bentkowskiego z czterema kompaniami piechoty, pół szwadronem dragonów, 40 kozakami i objeszczykami¹⁾, z rozkazem wyszukania śladów Langiewicza i deptania mu po piętach. Jakoż major rosyjski natrafił na te ślady w Marchocicach i już trop w trop szedł za oddziałem polskim, zachowując jednak zawsze przyzwolitą odległość.

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 114, powiada, że Bentkowski miał tylko 3 kompanie piechoty, 1/2 szwadronu dragonów i 25 kozaków. Nie zgadza się to z raportem Czengierego („Petersburskija Wiedomosti“ z d. 5 kwietnia n. s. 1863 r.), za którego podaniem w tekście poszliśmy.

Tymczasem Langiewicz włókł się cały dzień. Od wsi Kaliny Wielkiej nagle skręcił na lewo, zmieniając pierwotną dyrektywę na Książ, i już o zachodzie słońca, po całodziennym, uciążliwym i bardzo forsownym marszu, w czasie którego zaledwie parę razy krótko odpoczywano, a jeść wcale nie gotowano, oddział polski znalazł się w pobliżu szosy i tu się zatrzymał przy karczmie, Antolką zwaną, a odległej od Miechowa o niecałe ośm kilometrów. Dokonał więc swego niebezpiecznego marszu, i jak w tej chwili mógł mieć do czynienia tylko z Bentkowskim. Od żyda, stałego swego szpiega, dowiedział się, że od Jędrzejowa maszerują dwie kompanie piechoty i setka kozaków¹⁾, co było bajką. Rozłożono na ziemi mapy i badano owe lasy, z drugiej strony szosy będące, widocznie w zamiarze schronienia się do nich (o czym jednak Langiewicz, jak to zaraz zobaczymy, wcale nie myślał), a tymczasem z zapadnięciem nocy, postanowiono pod karczmą rozbić obozowisko, tuż przy samej szosie. Oprócz owej karczmy Antolki, którą dyktator i sztab zajął, znajdował się tu jeszcze domek dróżnika, zresztą było szczere pole i las, ciągnący się wzdłuż obu stron szosy. Rozłożono się czterema liniami, czołem do szosy, o dwadzieścia kroków od niej. Szyk ten z wielką trudnością szef sztabu Bentkowski zdołał ustawić, zwłaszcza, że noc zapadła, a wozy wśród zarośli wywracały się, łamały, przejścia innym zawałając. Z powodu, że znajdowano się w odległości ośmiu niespełna wiorst od Miechowa, zabroniono jak najsurowiej ogni palić²⁾; zimno

¹⁾ „Prawda o polskom wozstaniu“ (Dziennik Warszawski N. 173 z 1865 r.).

²⁾ Loc. cit. jest powiedziane, że Langiewicz na wiadomość o mniemanym marszu nieprzyjaciela od Jędrzejowa, zamierzał uczynić nań zasadzkę. W tym celu po obu stronach szosy ustawiono z jednej 25 strzelców, z drugiej tyluż żuawów, a w karczmie i domu dróżnika wybijano całą noc strzelnice, przyczem „taką piekielną wrzawę robiono, że na milę po nocy słycać ją było“. Wiadomość ta jest wątpliwą. Bentkowski, któryby przecież coś o tem wiedział, ani słówkiem nie wspomina o zasadzce. O zasadzce tej mówi także

więc było i głodno i mokro. Na szczęście przybyło kilku obywateli okolicznych i przywiozło parę wozów chleba i żywności. Bentkowski dla ubezpieczenia się od nagłego napadu, kazał Rochebrunowi wystawić posterunki na wsie od Miechowa i Jędrzejowa, oraz zająć silnym oddziałem boczną drogę, wiodącą na tyłach obozu przez las do Miechowa.

Noc przepędzono spokojnie i nikt drzemiących wśród wilgotnej nocy zimowej powstańców nie myślał napadać. Major rosyjski Bentkowski, który miał rozkaz iść śladem Langiewicza, widząc jego zwrot na zachód ku szosie, uznał za rozsądne nie posuwać się za nim dalej, ale ostrożnie dowłókł się do wsi Giebułtowa, leżącej w odległości czterech wiorst na wschód od obozowiska polskiego. Tutaj wojsko jego dopuściło się strasznych, krzyczących gwałtów i morderstw. Niejaki Bielski, syn właściciela Giebułtowa, służący w kawalerii powstańczej, znajdując się tak blisko domu ojcowskiego i mając w perspektywie noc zimną i mokrą, namówił czterech jeszcze kolegów i potajemnie, bez pozwolenia swej zwierzchności, wymknął się z obozu do Giebułtowa. Wlokący się już dość późno w nocy oddział rosyjski, natknął się w lesie pod wsią Górą najprzód na dwie bryczki; na jednej z nich, napełnionej koszulami, siodłami i kociolkami miedzianymi, siedziała jakaś kobieta; na drugiej mężczyzna, który zrazu twierdził, że jest korespondentem pism angielskich i odzywał się po angielsku, ale gdy go zaczęto bić batami, a z wozu wydobyto ogromną pakę z listami w języku polskim, z których jeden był zaadresowany do dyktatora, przyznał się, że jest bankierem krakowskim, nazwiskiem Ludwik Finkenstein¹⁾. Zawleczony do Giebułtowa, tutaj, gdy spostrze-

ks. Szulc, Pamiętniki, loc. cit. I, 115 i Jeziorański Pamięt. I, 241, ale ten wiadomość tę czerpie z Szulca, gdyż mówi za tym ostatnim, że oddział rosyjski do Giebułtowa przyszedł z Kielc. (Pamiętnik Jeziorańskiego wyszedł z druku w r. 1840 a Szulca w r. 1868). Dodać tu trzeba, że cała relacja Jeziorańskiego o morderstwie w Giebułtowie jest błędna.

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 45, mylnie zowie go Falkensteinem.

żono ułanów polskich, spokojnie się bawiących, rzucono się na nich i okropnie pomordowano, przyczem i Finkenstein padł ofiarą, otrzymał 26 ran, ale żył¹⁾. Zginął tu Seweryn Mieszkowski, syn rejenta z Kielc, Mięta i Arciszewski, a trzech (między nimi niejaki Wieszcłowski) wraz

X Wł. Bentkowski, loc. cit. 50 raz Funkenstein, to znów Frankensteinem wreszcie Fulkensteinem.

¹⁾ Z. Kolumna, Pamiątka II, 70, mylnie donosi, że Finkenstein w „bitwie pod Giebułtowem“ śmiertelnie ranny, umarł. Żył on i nie na tem się sprawa skończyła. W liście do dyktatora, który przy nim znaleziono, było jakoby doniesienie, że oddział wojska austriackiego z dwoma bateriami dział gwintowanych, gotów jest do połączenia się z powstańcami, tylko nie wie gdzie i jak. List był podpisany przez 15 oficerów austriackich Polaków, a w ich liczbie był dowódca onych baterij. Władze rosyjskie uwiadomiły o wszystkim rząd austriacki. Wiadomość tę podaje N. Berg, Zapiski III, 45 i dodaje, że miał ją od majora Bentkowskiego, który opowiadał o tem wobec samego Czengierego. O ile w tem prawdy, trudno dociec. Co się dotyczy samego Finkensteina, był on żydem, poddanym angielskim, i wtedy gdy go napadnięto miał przy sobie paszport angielski. Trudnił on się dostawianiem broni i różnych utensylii do obozu Langiewiczza. W zbiorach autora niniejszego znajduje się rachunek Finkensteina z r. 1864, w którym powiada, że dostawił do obozu dyktatora 150 sztuków gwintowanych, 200 palaszy kawaleryjskich, 450 płaszczy, 202 pary spodni, 100 koszul i t. p., za które mu się należało złotych reń. 14.273; a że otrzymał od Lewkowicza tylko 10.725 w. austr., więc upomina się u Rządu narodowego o 3548 złr. „Tem bardziej upraszam, pisze dalej, o zwrot tej sumy, gdyż w Giebułtowie zabrana mi została suma rs. 5800, a którą siostra ś. p. J. Bema pani Twarduska, widziała. Na jej świadectwo powołuję się, sądząc, że Rząd narodowy mając świadectwo strat, na jakie narażony zostałem, uwzględni moją prośbę, w razie, jeżeli proces z rządem moskiewskim nie wypadnie na moją korzyść“. Jakoż w rzeczy samej wyleczywszy się z ran w Krakowie (Bentkowski, Notatki osob. 50), widział go w parę miesięcy potem), korzystając ze swego charakteru poddanego angielskiego, wytoczył proces rządowi rosyjskiemu o straty. Sprawa nabrała rozgłosu, weszła na drogę dyplomatyczną. Lord Bloomfield, ambasador angielski w Wiedniu, już dnia 19 marca przesłał hr. Russel wycinek z gazety wiedeńskiej „Fremdenblatt“, w którym tak opisano krwawy wypadek Finkensteina: „Ludwik Finkenstein, poddany angielski, posiadacz paszportu wydanego w dniu 27 marca 1862 r. przez lorda Russell, przejechał komorę Baran dnia

z Finkensteinem, było ciężko poranionych¹⁾. Syn gospodarza, Bielski, uratował życie wpadłszy do alkierza, i przebrany w suknie kobiece wymknął się szczęśliwie do obozu powstańczego. Rozjuszeni żołnierze rosyjscy, zaprawieni na tyłu rzeziach (pułk Smoleński) chcieli i właściciela dworu zamordować i dwór spalić, a gdy major Bentkowski temu się oparł, grozili mu karabinami i w oczy mu przy ludziach wyrzucali, że jest Polak i że musi być z buntownikami w porozumieniu, kiedy ich oszczędza²⁾. Swoją drogą dwór zrabowano zupełnie³⁾.

14 b. m. (marca) w celu zakupienia zboża w Miechowie. We wsi Górka (właściwie Góra), niedaleko Giebułtowa, został zatrzymany przez żołnierzy i zaprowadzony do komendanta. Ponieważ nie znaleziono przy nim broni, major dał mu eskortę i odesłał do Szachowskiego. Miał on przepędzić noc w powozie, a jeden z junkrów miał go bronić przeciw żołnierzom. W nocy przyprowadzono wielu Polaków rannych. Żołnierze na wiadomość, że Polacy się zbliżają, poczęli się domagać wymordowania jeńców. Junkier stawiał opór z pistoletem w ręku, ale nadaremnie. Z krzykiem „hura!“ żołnierze rzucili się na bezbronnych i wielu wymordowali. Finkenstein wyciągnięty z powozu za włosy, otrzymał 26 pchnięć bagnetem, skradziono mu 5800 rubli, wraz z wszystkim co posiadał. Gdy Polacy nadeszli, Langiewicz na żądanie Finkensteina kazał go zawieść do Krakowa“. („La Pologne et la diplomatie“ 192). Sprawa ta dzięki gazetom, nabyła ogromnego rozgłosu, dyplomaci o niej pisali, i skończyła się na tem, że rząd rosyjski zapłacił Finkensteinowi podobno 10.000 funtów szterlingów. (Wł. Bentkowski, Notatki osobiste, loc. cit. 50)

¹⁾ „Prawda o polskom wozstaniu“ loc. cit.

²⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. 50. Takie zachowanie się żołnierzy rosyjskich nie było w tej porze nowiną. Berg (loc. cit. III, 46), opowiada ze słów Czengierego i Bentkowskiego taki wypadek, zaszły w czasie pościgu za Langiewiczem: „na jednym z przystanków, żołnierze pilnujący jeńców zaczęli okazywać niezadowolenie, że „pełnią przeklętą służbę“, że „lepiej wymordować jeńców niż męczyć się ich strzeżeniem“. Niezadowolenie to zmieniło się wkrótce w głośny szmer. Nadbiegli oficerowie, ale było już zapóźno; żołnierze wzięli na bagnety jeńców, nawet poturbowali jednego oficera, który zbyt energicznie przywracał porządek. Takie wypadki, takie wyraźnie nieposłuszeństwo żołnierzy względem oficerów, w czasie powstania przydarzało się często, zwłaszcza jeżeli oddziałem dowodził Polak“.

³⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 115, rzeź tę nazywa potyczką

Langiewicz, wśród tego wszystkiego, przenocowawszy spokojnie w Antolce, wczesnym rankiem dnia 15 marca zmienił pierwszy swój plan zanurzenia się w lasy Książa Wielkiego, a natomiast postanowił wyruszyć w Stopnickie. Czy właściwie miał on zamiar maszerowania w lasy Jędrzejowskie, jest bardzo wątpliwem. Zdaje się, że posunięcie się do Antolki było tylko w tym celu zrobione, by zwieść nieprzyjaciela co do istotnych swoich zamiarów, a w rzeczy samej miał on myśl przedostania się, jak można najprędzej, w góry i lasy Świętokrzyskie¹⁾. I zamiar ten udał mu się w części, jak udawały mu się dotychczas wszystkie jego manewra, obmyślane wybornie i wykonywane śmiało, co świadczy o dobrej jego głowie wojskowej. Nieprzyjaciel tak dalece ruchów wodza polskiego nie rozumiał, że mając przeważne siły z jednej strony w Giebułtowie, o cztery wiorsty od Antolki, z drugiej w Miechowie o milę, nie przedsięwziął żadnego kroku, by zaatakować

(styczka)!!! J. K. Ożegalski, Wspomnienia krwawych czasów, 62, zapewnia, że o pobycie powstańców w Giebułtowie doniósł Bentkowskiemu „dzwonnik kościelny, który został przez nas schwytany i powieszony“. Dodaje przytem, że trup powieszzonego „jeszcze nie ostygł, gdy przybiegła jego pijana żona, a przyskoczywszy do niego, uderzyła go kilka razy w twarz, mówiąc: „a widzisz bestyo! a nie mówiłam ci, abyś nie chodził po Moskali, masz teraz!“ Ta okropna scena, przypominająca Małgorzatę Andegawęską, może być prawdziwa; co zaś do owego dzwonnika, rzecz wydaje nam się wątpliwą. Bentkowski siedł na noc do Giebułtowa i bez dzwonnika byłby tam zaszedł i napadł na lekkomyślnych a tak nieszczęśliwych młodzieńców.

¹⁾ Langiewicz w czasie swego pierwszego pobytu w Welczu, wyraźnie, jak to później zobaczymy, oświadczył Jeziorańskiemu (Pamiętniki II, 248), że chce się przedostać w góry Świętokrzyskie. Nie ulega więc to żadnej wątpliwości. *Verstorbene Diplomaten* w swym pamiętniku (Deutsche Revue z r. 1893) powiada, że Langiewicz z nad granicy galicyjskiej zamierzał zbliżyć się do Warszawy. Może miał takie marzenia, i z pewnością twierdzić można, że je miał, ale był to cel późniejszy, dalszy; w tej chwili myślał tylko o tem, by się osadzić w dogodnej i nieprzystępnej pozycji górskiej, w wielkich lasach Świętokrzyskich i zaprowadzić ład i karność w swych szeregach.

powstańców z dwóch skrzydeł w nader niebezpiecznej dla nich pozycji. Major Bentkowski zajęty rzezią bezbronných we dworze giebułtowskim, nie uznał nawet za stosowne uwiadomić Szachowskiego o bytności powstańców w Antolce¹⁾; ten ostatni zaś zamiast silnymi podjazdami rozświecać sobie położenie, siedział przyczajony w Miechowie, marząc niby o wykonaniu swego planu, którego już wykonać nie można było, w czem zresztą, szedł zapewne za tajnymi radami W. Ks. Konstantego. Śmiałym fortuna sprzyja; dzięki bowiem temu wszystkiemu Langiewicz dnia 15 marca mógł wyruszyć cały i bezpieczny z Antolki wyłotem na północo-wschód. Ukrywając ze zręcznością swe myśli i zamiary, przychodzącym do głównej kwatery tego dnia różnym dowódcom mówił: „ofiarowaliśmy Moskwie bitwę, stawiając jej się tuż pod nosem, zlekła się i nie przyjęła; więc przekonawszy, że się jej nie boimy, w inną ruszymy stronę i to natychmiast“²⁾. Ta gaskonada byłaby śmieszna, gdyby wódz nie wygłaszał jej z rozmysłem, kryjąc pod nią swe istotne zamiary³⁾. Nie pozwolono palić ogni ani gotować i o godz. 8-ej rano wyruszoano na Suchobów do Giebułtowa. Gdy koło godz. 11-tej zbliżono się do tej wsi, rozrzuconej w kotlinie wśród parowów i ogrodów, ludzie idący drogą ostrzegali, że we wsi jest nieprzyjaciel i że strasznie tam gospodaruje. Chłopi zapytani, jak silni mogą być Rosyanie, odpowiadali, że jest ich „chmara“, „straszna moc“, „wiele tysięcy“, „pieszo i na koniach“⁴⁾. Langiewicz, kombinując różne stanowiska i ru-

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 115.

²⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. 47.

³⁾ Loc. cit. 57. Bentkowski choć ciągle oskarża Langiewicza, że nie miał w swych ruchach żadnego zdecydowanego planu, sam jednak powiada, że Langiewicz najczęściej „przemysliwał sam w sobie, bo mało był w wojskowych rzeczach udzielający się“; nie więc dziwnego, że o planach jego szef sztabu nie wiedział. Marsz jednak z Marchocic do Antolki, a potem nagły zwrot do Giebułtowa świadczy, że ruchy te były mądrze obmyślane, a nie przypadkowe, jak chce Bentkowski.

⁴⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. 48.

chy nieprzyjaciela, nie przypuszczał, by tutaj, na uboczu, zdala od dróg, mogła się znajdować większa siła; więc postanowił na nieprzyjaciela uderzyć i swoją przewagą liczebną zgnieść. Szef sztabu Bentkowski sformował oddział w szyk bojowy; na skrzydłach umieścił strzelców, rozsypanych w tyraliery; część piechoty rozwinął w linię, z rezerwą i taborem na tyłach. W takim szyku postępowano i już do wsi wkraczano, gdy przyszła wiadomość, że nieprzyjaciela niema, że przed pół godziną wieś opuścił. Major Bentkowski bowiem, „nie ośmielając się ze swym oddziałem nic przedsięwziąć przeciw silniejszemu przeciwnikowi“, jak go tłumaczy historyk rosyjski ¹⁾, wyszedł z Giebułtowa, dotarł inną drogą do szosy i pociągnął do Miechowa, gdzie uwiadomił Szachowskiego, że Langiewicz stoi obecnie pod Antolką ²⁾. Szachowski z tej wiadomości wyprowadził taki wniosek, że dowódca polski zamierza ruszyć ku Częstochowie, czem przerażony, natychmiast wysłał do Żarnowca dla zabiegnięcia drogi powstańcom, dwie kompanie piechoty z dwoma działami ³⁾, a Czengierego w Kielcach zawiadomił, że dyktator polski opuścił Goszczę, że obszedł ze strony wschodniej Miechów i rozłożył się w okolicach Książa Wielkiego. W końcu Szachowski wzywał Czengierego, ażeby wystąpił z Kielc i przyczynił się do wytępienia powstańców ⁴⁾. Tym sposobem Langiewicz swym śmiałym marszem na Antolkę zrobił to, czego pragnął; wprowadził w błąd nieprzyjaciela, rozbił jego mozolnie usnuty plan i na teraz uwolnił się całkowicie od jego pościgu.

Z Giebułtowa wzięto się bardziej na północ. Po ciężkiej przeprawie z taborem, który z trudnością mógł wdrapać się na strome wzgórza giebułtowskie, maszerowano dzień cały na Książ Mały, i o zachodzie słońca zatrzymano

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 116.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Loc. cit.

⁴⁾ Raport Czengierego, loc. cit.

się we wsi Zaryszynie. Ludzie i konie tymi trzydniowymi marszami wśród zimna i głodu, po okropnych drogach, byli straszliwie pomęczeni; mimo to szef Bentkowski sam osobiście rozprowadził strażę i posterunki. We dworze ¹⁾, gdzie stanął dyktator i sztab, w pogawędce wieczornej, rozbierano, niewiadomo przez kogo podsunęty plan niespodziewanego ataku na Stopnicę, gdzie miały się znajdować tylko dwie kompanie piechoty i szadron dragonów, pod wodzą majora Zagriażskiego ²⁾. Szef Bentkowski usilnie popierał ten projekt, z uwagi, że tylko tym sposobem można będzie zaprawić młodego żołnierza do zaczepnego boju i walki w otwartym polu; zwracał uwagę na upadek ducha w oddziale, na intrygi i narzekania licznych w obozie Mierosławczyków, i twierdził, że tylko takim działaniem i prawdopodobnem zwycięstwem dzięki przemagającym siłom powstańców, będzie można tego ducha podnieść, szemrania stłumić i luźne wiązania powstańczego oddziału wzmocnić ³⁾. Zapomniano tylko o tem, że do Stopnicy było z Zaryszyna mil kilkanaście po drogach bocznych i błotnych, że nieprzyjaciel zwiedziony i oszukany w tej chwili, po paru dniach zorientuje się w położeniu i tego dalekiego i nużącego marszu spokojnie odbyć nie da; że na koniec Czengierey, wezwany właśnie dzisiaj, dnia 15 marca, przez Szachowskiego, wyruszy jutro z Kielc i zagrozi skrzydłu polskiemu; wszystkiego tego nie brano w obrachunek. To też Langiewicz słuchał tej pogawędki i tych

¹⁾ „Liczna familia właściciela wsi (opowiada *Bentkowski*, loc. cit. 50 i nast.) na wpół była nam rada, na wpół trwożna losem, jaki ją czeka, kiedy za nami kozacy do wsi wpadną. Właściciel, żeby się zakryć wobec Moskali, prosił Langiewicza, żeby mu na piśmie zostawił rozkaz dostawy żywności i furaju dla powstańców pod karą śmierci, co też dyktator uczynił“. Maluje to okropne położenie ziemian.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 116. Nie Zwierowa, jak mówi *Bentkowski*, loc. cit. 50.

³⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 51.

planów, mieszał się do rozmowy, ale myśli swej i zamiarów istotnych zwyczajem swoim nie odkrył.

Nazajutrz dnia 16 marca, o świcie dano rozkaz do pochodu. Miano tego dnia dojść do wsi Zawarzy, leżącej na prawym brzegu Nidy, w odległości czterech od niej wiorst, w głębokim wąwozie, w okolicy, jak mówiono, górzystej i lesistej, przedstawiającej pozycję mocną i obronną. Tam Langiewicz zamierzał się zatrzymać na czas dłuższy, odpocząć, uporządkować i wyćwiczyć swój oddział. Z Zaryszyna do Zawarzy było cztery mile polskie i szef Bentkowski zrobił uwagę, że „doświadczeniem dni poprzednich nauczony“, mniema, że należy krótszy marsz naznaczyć, żeby raz przecie nie po ciemku wkraczać do stanowiska noclegowego“. Uwaga była słuszną, ale słuszną także była odpowiedź Langiewicza, że „powstańcy powinni i ośm mil dziennie robić, kiedy potrzeba“¹⁾. Wytknięto marszrutę na Przecławkę, Góry i Młodzowy, (marszrutę nieco okólną i dłuższą, niż gdyby wprost maszerowano z Przecławki na Kozubów), i wyruszono na koniec między godziną 8-mą a 9 rano w drogę. Gdy się zbliżano do Przecławki, zaszedł wypadek dziwny, tajemniczy i dotąd niewyjaśniony należycie. Mianowicie połączył się tam z oddziałem niejaki kapitan Gierzkowski²⁾, agent wojskowy Langiewicza w Krakowie, i oprócz kilkunastu zupełnie umontowanych kawalerzystów i kilku wozów z potrzebami wojennymi, przywiódł ze sobą dwie kobiety przebrane po męsku, jakoby agentki rosyjskie, wysłane z Warszawy dla otrucia dyktatora. Zdaje się, że Langiewicz był wcześniej już o tem uprzedzony³⁾, gdyż posiadał nawet fotografie owych mnie-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Loci cit. 52. Dlaczego *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 118, nazywają go Mierkowskim, nie wiemy.

³⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 52, twierdzi, że policja narodowa o tem doniosła. To samo utrzymuje *Giller*, *Historia* I, 304, dodając, że zrobiła to policja narodowa warszawska. W artykule „Prawda o polskom wozstaniu“ (*Dziennik Warsz.* Nr. 173 z 1865 r.), jest wiadomość, że Biali uprzedzili o tem Langiewicza.

many truciścielek. Dyktator na razie uniósł się i chciał owe damy wieszać, ale na wniosek Śmiechowskiego wstrzymał się od tego i wprzód polecił je zrewidować¹⁾, czego dokonano w pobliskiej przydrożnej chałupie, ale nie przy nich nie znaleziono i obie młode i niebrzydkie dziewczyny zostały w sztabie²⁾.

Wśród tego wszystkiego maszerowano dalej dość wygodną drogą boczną, wzięwszy się z Przecławki na północ, w kierunku wsi Góry, należącej do Juliusza Dembińskiego, syna słynnego z 1831 r. generała Henryka Dembińskiego, i krewnego Wielopolskich. W pobliżu Gór złączył się z kor-

¹⁾ *Jeziorański*, *Pamiętniki* II, 243.

²⁾ *Bentkowski* loc. cit. 52. W opisie tej sprawy poszliśmy za *Bentkowskim*, jako, zdaniem naszym, najwiarogodniejszym. Zresztą wszystkie relacje, jakie posiadamy o tem zdarzeniu, różnią się ze sobą znacznie. Polscy pisarze (*Bentkowski*, *Giller*, *Jeziorański*) utrzymują, że było dwie tych panien; *N. Berg* w jednej ze swych korespondencji do gazety „*Petersburskija Wiedomosti*“ z d. 19 marca (v. s.) 1863 r. utrzymuje, że było ich trzy, nazywa je tancerkami (nawet wymienia ich nazwiska: *Michalska*, *Chmielewska* i *Dobronoki*. *H. v. Sybel* (*Begründung des deutsch. Reiches* II, 503) zgadza się z *Bergiem* co do liczby, ale mówi o agentach rodzaju męskiego. W cytowanym wielokrotnie paszkwilu „*Prawda o polsk. woz.*“ jest mowa tylko o jednej „przystojnej i młodej kobiecie, żonie urzędnika“. Polscy autorzy jednomyślnie zapewniają, że owe truciściełki wysłane były przez rząd rosyjski, jakkolwiek *Bentkowski* i *Jeziorański* sam fakt wysłania truciściełek uważają za plotkę, jeden tylko *Giller* twierdzi to stanowczo. Autor „*Prawdy o pol. wozstaniu*“, utrzymuje, że tego rodzaju zamachu na życie dyktatora zamierzał dokonać ówczesny Rząd narodowy. Podobną opinię wygłasza bezimienny autor w „*Dzienniku Warszawskim*“ (No 173 z r. 1866) i truciściełkę nazywa „żoną urzędnika, panią D.“, która przybyła do obozu z panią M. swą córką; że gdy kazano te damy zrewidować i znaleziono przy nich flaszeczkę z podejrzanym płynem, to na rozkaz Langiewicza zostały obie powieszone. To samo twierdzi *H. v. Sybel*. *Berg* sumienniejszy od pruskiego historyografa, daje poznać w cytowanej korespondencji, że wysyłka truciściełek wyszła od rządu rosyjskiego. Pisz on tak: „ponieważ ajenci tajni Polaków wiedzą, co się robi w każdym domu warszawskim, więc wiedzieli także, co robią i te tancerki i z kim obcują“. Źródła polskie twierdzą, że przy kobietach tych nie podejrzanego nie znaleziono; *Jeziorański* powiada wyraźnie: „okazało się,

pusikiem dyktatorskim oddział stu pięćdziesięciu koni, uzbrojony należycie i prowadzony przez Dra Łukaszeńskiego, Poznańczyka i autora późniejszej interesującej pracy o „Zaborze pruskim w czasie powstania styczniowego”¹⁾. Po rozmaitych przygodach i niebezpieczeństwach, tak że Łukaszeński zdecydowany już był wracać do Galicji, udało mu się na koniec przedrzeć do Langiewicza, niedaleko Gór z całym oddziałem i kilku wozami z bronią i amunicją²⁾. Powitała go garstka jeźdźców, która od korpusu się odłączyła, a cienki głosik panny Pustowojtów zadzwieczał w powietrzu: „bracia, oto nasz dyktator, niech

że podejrzenie było całkiem nieuzasadnione”; to samo Bentkowski. Jeden tylko Giller pisze, że damy te ostrzeżone, „już nie miały śmiałości pokazać się w obozie”, czemu sprzeciwia się wiarogodne świadectwo Bentkowskiego i Jeziorańskiego. Źródła rosyjskie zapewniają, że przy rewizji owych dam, znaleziono truciznę, a „Prawda o pol. woz.” wie nawet jaką: kokodyl. Niemniej co do losu owych mniemyanych trucieli znajduje różnicę. Bentkowski pisze co następuje: „to tylko pamiętam, że na najbliższym noclegu w Chrobrzu uwijały się one, po męsku ubrane, wśród adjutantów i sztabu po pokoju dyktatora, pijąc wino i herbatę”. Jeziorański zapewnia, że „pod strażą kawalerii kazano je odwieźć do Krakowa”. Z dalszego opowiadania widać, że stało się to w Chrobrzu, co faktycznie nie sprzeciwia się relacji Bentkowskiego. Zato pisarze rosyjscy utrzymują, że damy owe niezwłocznie powieszono, a Sybel, przerobiwszy je na mężczyznę powiada, że „posłów wykryto, skazano na śmierć i miano powiesić, gdy Rosjanie d. 19 marca napadli na obóz polski, rozbili go” i tym sposobem owych skazanych od stryczka ocalili. Takie są szczegóły o tej mętnej i ciemnej sprawie, która prawdopodobnie już nigdy wyjaśnioną nie będzie. Co do owych nazwisk, zacytowanych przez Berga w jego korespondencji, dodać tu wypada, że w dziele *Z. Kolumny*, Pamiętka II, 55, znajdujemy nazwisko Dobronoki, widocznie mężatki, bo dodano „ze Sztencłów”, która zabita została po bitwie pod Małogoszczem podczas napadu na furgony Langiewicza (a więc pod Ewiną), otrzymawszy 8 ran od kul nieprzyjacielskich. Autor niniejszego, kobietę tego nazwiska, młodą i piękną, widział na własne oczy w sztabie Langiewicza w czasie jego noclegu w Korzennem, gdy maszerował ze Staszowa do Małogoszcza. Czy ma jakiś związek ta zabita Dobronoki z trucielią Berga, nie wiemy.

¹⁾ Wyszła ona w Jassach w r. 1870.

²⁾ J. Łukaszeński, Zabór pruski, 282.

żyje!” i ukazała się mała figurka Langiewicza z gęstą miną. Przybyli huknęli: „niech żyje!” Dyktator dla rozmowy z Łukaszeńskim, który przywiózł ważne papiery, wyprzedził oddział wraz ze sztabem, dojechał do Gór i na trawniku przed pałacem na krześle, przy stoliczku, zasiadł¹⁾. Koło niego zebrało się grono różnych dowódców i oficerów, którzy, puszczać swe komendy, chwilę się przy nim zatrzymywali. Między papierami, wręczonymi Langiewiczowi przez Łukaszeńskiego, znajdował się także niewyraźnie nabazgrany francuski list słynnego emigranta rosyjskiego, niedawno zbiegłego z Syberyi Bakunina, który proponował wodzowi polskiemu utworzenie legionu z ochotników rosyjskich²⁾. Langiewicz odłożył z Łukaszeńskim rozmowę na później, zwłaszcza, że w miarę przeciągania powstańczego korpusu, mnożyły się usiłowania, żeby wejść do pałacu pod pozorem wyszukania posiłku dla ludzi i furazę dla koni. Żołnierze i oficerowie głośno szemrali, że „Demiński jest Moskal, Austriak, zdrajca, że niema powodu go oszczędzać” i t. p. Winnicki, intendent jenerałny, chcąc zapobiedz jakiej awanturze, sam się zakwaterował do pałacu, drzwi zamknął i przy nich straż postawił. Dopiero, gdy ostatnia kolumna powstańców przeciągnęła, dyktator ze sztabem poszedł do pałacu na śniadanie, a od-

¹⁾ Bentkowski loc. cit. 53, opowiada, że „niebawem wyszła z pałacu jakaś gospodyni (sami właściciele w Krakowie przebywali podówczas), zapraszając dyktatora na śniadanie do pałacu. Kiedy jednak Langiewicz oświadczył, że do pałacu nie wnijdzie (zapewne, żeby nie wzniecać zazdrości i nieukontentowania w przeciągających mimo pałacu głodnych i zmęczonych powstańcach i nie dawać innym pochopu do zatrzymania się podobnie i wchodzenia do pałacu, co, jak doświadczenie uczyło, prowadziło często do nieprzyzwolonych scen zabierania różnych drobiazgów z tytułu niby rekwiizycji i potrzeby żołnierskiej), wyniosła też gospodyni na przedpałacowy trawnik stoliczek, parę krzeseł i parę butelek starego węgryna”. Łukaszeński, loc. cit. 284, twierdzi, że dyktator usiadł nade drogą przy prostym stoliku, popijając wodę i jedząc suchy kawałek chleba czarnego“.

²⁾ Bentkowski, loc. cit. 53.

dział tymczasem włókł się otwartem polem, długą, na pół mili może, kolumną, z licznymi odstępami, wśród szemrań i przekleństw na sztab i generałów, którzy sami dobrze się karmią, a o żołnierzy nie dbają. Liczni Mierosławczycy nie przestawali podsycać tego powszechnego niezadowolenia i oddział przedstawiał ciągle gromadę ludzi, targaną i rozstrajaną przez namiętności polityczne.

Tak, o samym zachodzie słońca, zbliżono się do Młodzowy. Do Zawarzy jeszcze było daleko i przed zapadnięciem ciemności nie zdążonoby tam nigdy. Szef Bentkowski zatrzymał więc oddział i posłał adjutanta do dyktatora z zapytaniem, co robić. Miejscowi włościanie starsi (bo młodzi wcale się nie pokazywali), kobiety i dzieci tłumnie się zgromadzali, patrząc na przeciągających powstańców. Kapelan, ks. Konarski Kapucyn, począł gorąco do zebranych perorować, wywijać krzyżem, krzyżeć, zadawać pytania chłopom, czy chcą za ojczyznę umierać? mówił, że pan ich, margrabia Wielopolski, jest zdrajcą, że Moskali trzeba wypędzić i t. p. Chłopi kłaniali się do kolan, drapali się po kudłatych głowach i ze zwykłą dyplomacją chłopską, odpowiadali: „alboż my ta wiemy, dobrodzieju, co prawda i co robić trzeba; jedni nam gadają tak, inni znowu inak, my prości ludzie i na tem się nie rozumiemy“¹⁾. Nadjechał wreszcie dyktator i rozpytawszy się o drogę i wsie okoliczne, wyszukawszy dobrego przewodnika, zdecydował, że nocleg będzie w Wojsławicach, oddalonych stąd o ćwierć mili i posiadających dobrą wodę. Marsz ten trwał do godziny 10 wieczorem dlatego, że w drodze Langiewicz zmienił postanowienie i skierował się na noc do Chrobrza, głównej rezydencji margrabstwa pinczowskiego Wielopolskich.

Cały ten długi, uciążliwy marsz od Goszczy aż do Chrobrza, jeżeli w pojedynczych swych odłamach dobrze świadczy o zdolnościach Langiewicza, jeżeli od Marchocic do Antolki, a potem do Zarzysyna był wybornie wyko-

¹⁾ Loc. cit.

nany, w dalszym ciągu mimowoli budzi pytanie, po co wódz polski przyszedł do Chrobrza? Możliwość wytłomaczyć go tem, że chciał się oddalić od oblawy Szachowskiego, że na północ nie mógł iść, bo mu zagrażał tam drogę Czen-giery, że zatem musiał posuwać się na wschód, by uniknąć spotkania z tym ostatnim. Jeżeli atoli w planie dyktatora leżało dostanie się w wielkie lasy Świętokrzyskie¹⁾, a zdaje się, że miał taki plan, to powinien był wziąć się więcej na północ, przejść Nidę pod Motkowicami, skąd już jednym marszem można było zanurzyć się w wielkie bory, poczynające się podówczas od wsi Lipy i ciągnące się już nieustannie wśród górskich wąwozów i jarów. Marsze te należało szybko i energicznie wykonać, jeżeli chciano wymknąć się Czengieremu. Mimo to Langiewicz włókł się wolno (jakkolwiek usprawiedliwiają go opłakane drogi i wycieńczenie powstańców), i skręcił do Chrobrza, czyli wszedł w okolicę podówczas całkowicie pozbawioną lasów, przedstawiającą po obu stronach rzeki wielkie błotne i piaszczyste przestrzenie, gdzie niekarni, niewyćwiczeni i źle uzbrojeni powstańcy nie znajdowali żadnej zasłony i żadnego schroniska, a tem samem z trudnością mogli stawić czoło nieprzyjacielowi. Niewątpliwie Langiewicz doskonale to rozumiał, i jeżeli poszedł do Chrobrza, to musiał mieć jakieś bardzo ważne powody, oczywiście natury politycznej nie wojskowej, bo niepodobna przypuszczać, by mu szło tylko o spustoszenie majątków Naczelnika rządu cywilnego. Jakkóż są pewne dane, o których później powiemy, a które sądzić każą, że Langiewicz tym razem, jak to już parokrotnie w ciągu swej kampanii zrobił, względem politycznym poświęcił względy wojskowe.

W Chrobrzu rozlokowano się w pysznym pałacu margrabskim, a Langiewicz pomieścił się w obszernym gabinecie samego Naczelnika rządu cywilnego. Szef Bentkow-

¹⁾ A. Jeziorański, Pamiętniki II, 248 wyraźnie o tem wspomina. Langiewicz w Welczu rzekł do niego: „przejdziemy w lasy Świętokrzyskie, tam wypocznie żołnierz“.

ski, lękając się o cenną bibliotekę ordynacką, zakwaterował w niej adjutanta swego Borzysławskiego, zalecając mu, by przeszkadzał wszelkim zbytecznym wizytom. Zajęto wogóle parter, a paradne pokoje pierwszego piętra zostały zamknięte i choć zgłaszali się rozmaici, chcąc rozlokować się w tych apartamentach, dyktator stale wzbraniał. Dopiero później na skutek nalegań lekarzy, którzy skarżyli się, że nie mają gdzie rannych i chorych pomieścić, otwarto pierwsze piętro i już kto chciał, to się tam mieścił¹⁾. Z uwagi, że Wielopolski w oczach tych wszystkich ludzi, oszołomionych namiętnościami politycznymi i źle pojętym patriotyzmem, uchodził za prostego zdrajcę, zapewne nie oszczędzano wcale jego mienia. Tutaj to w Chrobrzu nakoniec rozmówił się Langiewicz ze wspomnianym wyżej Łukaszczyńskim. Tak dalece nie miał żadnych wiadomości o tem, co się dzieje w kołach rządowo-powstańczych w Warszawie, iż wyraził najprzód zdziwienie, czemu dotąd nikt nie przybył do niego z Warszawy, mimo, że kilku wysłał do Rządu tymczasowego gońców; a „przecież, dodał, należałoby jak najprędzej uregulować stosunki, nowym stanem zmienione“²⁾. Łukaszczyński ze słów wodza nabrał przekonania, iż on w dobrej wierze rozumiał, że dyktaturę ofiarowano mu z wiedzą i wolą Rządu tymczasowego. Co do Bakunina, proponującego formacyą legionu rosyjskiego, oświadczył, że zgodzić się na to nie może, motywując to swe postanowienie tem, że „obecność emigranta rosyjskiego w jakimkolwiek obozie, uważa za szkodliwą i niebezpieczną; przybycie bowiem takiej osobistości na plac boju, ściągnąć musi za sobą wielkie siły Moskali, którzy wiedzą, że Bakunin piwa dobrego by im nawarzył“. Wreszcie oznajmił, że „liberałom moskiewskim nie ufa i jest przekonany o bezpłodności całego związku z nimi“, w czem, przyznać musimy, miał zupełną rację. Mówił jeszcze, że dyktaturę przyjął na żądanie wielu poważnych ludzi ze

¹⁾ *Wł. Bentkowski*, loc. cit. 58. Powiada on: „co i jak się tam działo, nie wiem, bom nie miał serca już tam zaglądać“.

²⁾ *J. Łukaszczyński*. Zabór pruski 285.

wszystkich dzielnic kraju, że, gdyby tego nie był zrobił, to Mierosławski niezawodnie w jego obozie byłby się ogłosił dyktatorem. Łukaszczyńskiemu potem kazał jechać w Poznaniańskie w charakterze pomocnika przy Guttrym, i obiecał mu wygotować instrukcyę, które w rzeczy samej później mu wręczył¹⁾.

Nazajutrz, d. 17 marca, dyktator oświadczył szefowi sztabu Bentkowskiemu, że zamierza w Chrobrzu parę dni zabawić, żeby się ludzie i konie mogły dobrze wywczasować, odpocząć, najeść, wreszcie podowiczyć nieco i zorganizować²⁾. Ale już koło godziny 2-iej³⁾, przyleciał bryczką tajny szpieg Langiewicza z wiadomością, że wojsko rosyjskie, stojące w Pińczowie, już wie o pobycie powstańców w Chrobrzu, i wyrusza zaraz drogą po prawej stronie Nidy, by ich atakować. Wiadomość wydawała się dość niejasną i wątpliwą; w Pińczowie bowiem od czasu koncentracji nie było wcale garnizonu, dlatego też Langiewicz przyjął to doniesienie z powątpiewaniem. „No, niech przyjdą, mówił, to im damy odprawę, jak należy“; że nie ośmielił się go tu atakować, że „ich tam nad kilka rot (kompanii) być nie może“ i t. p. Z tem wszystkiem polecono, aby oddział był gotowy na pierwszy znak stanąć pod bronią. Ale zaraz wieści przyniesione przez szpiega miały się sprawdzić. W pół godziny bowiem zajęła przed pałac pędem bryczka z niejaką panią *Deskur* i inną damą i przywiozła wieść, że jedzie z Pińczowa i wyminęła na szosy długą kolumnę piechoty rosyjskiej i kozaków, dążących w kierunku Chrobrza. Wydano więc natychmiast rozkazy gotowości do marszu. Langiewicz, poradziwszy się mapy, postanowił wyruszyć do wsi Grochowska, leżącej

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 58.

³⁾ Loc. cit. Powiada on, że koło godz. 1-iej po południu. Czen-giery w swym raporcie utrzymuje, że przybył do Pińczowa o godz. 2-iej. Poszliśmy za tym ostatnim, ze względu na odległość, którą przebył w tym dniu, by dojść do Pińczowa, dość znaczną (przeszło 3 mile polskie) i wymagającą czasu.

wśród znacznego lasu w pozycji błotnistej i silnej, na lewym brzegu Nidy, którą to rzekę w tej porze dość dużą i bystrą, chciał zapewne jako zaporę postawić między sobą i nieprzyjacielem.

W rzeczy samej nieprzyjaciół ten zbliżał się szybko. Był to Czengiery, który, jakśmy wspomnieli, uwiadomiony przez Szachowskiego o wystąpieniu Langiewicza z Goszczy wezwany o pomoc, ulegając zapewne naciskowi sztabu jeneralnego z Warszawy, wyruszył z Kielc d. 16 marca o godz. 5-ej rano na czele czterech kompanii piechoty, dwóch szwadronów dragonów, dwóch plutonów dział i 65 kozaków, ogółem około tysiąca ludzi¹⁾, po szosie do Miechowa. W Chęcinach od żydów dowiedział się, że Langiewicz z pod Antolki puścił się w kierunku Stopnicy. Czengiery dla wyjaśnienia sobie sytuacji wysłał natychmiast silny podjazd, złożony z pół szwadronu dragonów i 40 kozaków, pod wodzą kilkakrotnie tu wspomnianego pamiętnikarza sztabkapitana dragonów Potto i esawuły Jemilianowa²⁾, z rozkazem dotarcia wybrzeżem Nidy aż do Sobkowa, zasięgnięcia języka i połączenia się z głównym oddziałem w Jędrzejowie, dokąd sam Czengiery pociągnął. Podjazd w rzeczy samej przybył wieczorem do Jędrzejowa z dokładną wiadomością, otrzymaną od dzierżawcy Sobkowa, że Langiewicz dnia tego po całodziennym marszu, zatrzymał się na nocleg w Chrobrzu. Czengiery, nie tracąc czasu, natychmiast wysłał podchorążego (praporszczyka) Burakowa do księcia Szachowskiego z tą wiadomością, oraz uwiadomieniem, że on, Czengiery, jutro d. 17 marca o świcie skieruje swój marsz na Pińczów dla zaatakowania powstańców w Chrobrzu. Burakow w pobliżu Książa Wielkiego natknął się na oddział (4 kom. piechoty,

¹⁾ Raport Czengierego. Miał on 2, 5 i 10 kompanię strzelecką pułku Smoleńskiego, 7-ą Halickiego, 2 i 4 szwadron dragonów Noworosyjskich, pluton artylerii gwintowanej i pluton polowej.

²⁾ Raport Czengierego, wbrew relacji samego A. W. Potto (Pochodnyja Zapiski, Wojennyj Sbornik z 1867 r.) utrzymuje, że w rekonesansie tym wzięło udział tylko 20 kozaków.

pół szwadronu dragonów, 40 kozaków i objeszczyków) majora Bentkowskiego, którego tegoż dnia rano ks. Szachowski wysłał był z Miechowa dla odszukania śladów Langiewicza. Bentkowski, wlokąc się leniwie po drodze bitej, dotarł do Książa Wielkiego, zatrzymał się tutaj na nocleg, spotkał się z Burakowem i rozpieczętował list Czengierego. List ten po przeczytaniu posłał dalej do Miechowa, a Burakowa zawrócił do Jędrzejowa z doniesieniem, że jutro o świcie ruszy także na Chroberz drogą równoległą do marszu Czengierego. Szachowski ze swej strony, dowiedziawszy się na koniec, gdzie się znajduje Langiewicz, uznał, że trzeba coś także zrobić, i nazajutrz wysłał majora Jabłońskiego na czele 3-ch kompanii, 120 kozaków i 2-ch dział, do Działoszyc, z rozkazem skomunikowania się tam z Bentkowskim¹⁾. Prócz tego Czengiery wysłał najprawdopodobniej z Jędrzejowa²⁾ porucznika Bek-Uzarowa z sześciu kozakami do Stopnicy, do stojącego tamże, znanego nam już majora Zagriańskiego, ażeby w chwili, gdy dowie się o marszu Czengierego na Pińczów, natychmiast wystąpił ze swymi dwoma kompaniami strzeleckimi, ze szwadronem dragonów, 25 kozakami, inwalidami, żandarmami i starał się ze swym zwierzchnikiem połączyć w Pińczowie. Tak więc około półtrzecia tysiąca bagnietów, siedmiuset szabel i dział czterech, zagrażało ze wszystkich stron jednoczesnym atakiem, słabemu, prawie bezbronnemu i trawionemu wewnętrzną rozterką polityczną, korpusikowi polskiemu.

Czengiery d. 17 marca jak świt wystąpił z Jędrze-

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 120.

²⁾ Czengiery w swym raporcie powiada, że rozkaz ten wysłał z Kielc w przeddzień swego wymarszu. Wydaje nam się to wątpliwem ze względu, że, wyruszając na swą wyprawę, przekonany był, że Langiewicz znajduje się w okolicy Książa Wielkiego i o Pińczowie nie mogło być mowy. O marszu wodza polskiego na Chroberz dowiedział się dopiero w części w Chęcinach, a dokładnie dopiero w Jędrzejowie. Prawdopodobnie więc rozkaz do Zagriańskiego o współdziałanie, wysłany był albo z Chęcin, albo z Jędrzejowa.

jowa i maszerując na Dalechowy, Imielno, Skowronno, po bardzo forsownym pochodzie dotarł około godz. 2-iej po południu do Pińczowa (z Jędrzejowa do Pińczowa jest przeszło 3 mile polskie). Zbliżając się do tego miasteczka, ujrano kilku jeźdźców, szybko wymykających się w pole; kozacy puścili się za nimi w pogoń i schwytali czterech ułanów powstańczych, oraz wóz naładowany pieczywem¹⁾. Od nich wódz rosyjski dowiedział się, że Langiewicz istotnie stoi od wczoraj w Chrobrzu na czele dziewięciu tysięcy ludzi²⁾, że zamierza zabawić tam kilka dni, a potem uderzyć na Kielce. Ta wiadomość o dziewięciu tysiącach ludzi, dała do myślenia Czengieremu; wykoncypował więc bardzo uczone, według siebie, manewra w zamiarze jakoby zwiedzenia Langiewicza, a które w rzeczy samej chyba dziecko zwieść mogły. Z obawy, by, wymierzając atak na powstańców po prawym brzegu Nidy, Langiewicz nie przeszedł na lewy i nie ruszył w górę rzeki do Pińczowa i Chmielnika³⁾, postanowił uderzyć z lewego brzegu, licząc, że od prawego naciśnię Polaków major Bentkowski. Czengierzy dla ukrycia tego zamiaru przeszedł w Pińczowie na prawy brzeg, odpoczął tu przez godzinę i znowu wrócił na lewą stronę Nidy, oświadczając głośno, że nocować będzie we wsi Pasturce, dokąd władzom miasteczka nakazał dostawę drew dla ugotowania jedzenia i na paliwo. Pewny był, że manewr ten udał mu się w zupełności i że Langiewicz nabył przekonania, iż atakowany będzie po prawym brzegu rzeki⁴⁾. Tymczasem, gdyby nawet wódz polski początkowo mógł tak myśleć, to głośny nakaz dostawy drew do Pasturki, która leży na lewym brzegu, byłby go zupełnie z błędu wyprowadził. Zdaje się jednak, że Langiewicz

¹⁾ Raport Czengierego.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 120.

³⁾ Wyraźnie to powiada w swym raporcie: „człoby Langiewicz... nie mog brosisia na Pinczow i dalejże k Chmielniku“. Nie myślał więc o Stopnicy, jak to w niego wmawiają *Gesket-Puzyrewskij* loc. cit. 120.

⁴⁾ Raport Czengierego: „manewr etot sowierszenno udał sia“

o owych uczonych manewrach Czengierego nie nie wiedział, gdyż jakkolwiek oprócz szpiega i pani Deskurowej, otrzymał jeszcze kilka wiadomości o nieprzyjacielu od chłopów i podróżnych¹⁾, to jednak wszystkie te doniesienia brzmiały tylko, że Rosyanie się zbliżają, a o ich ruchach wcale nie mówiły. Zresztą czy tak, czy owak, wiemy, że wódz polski postanowił przejść na lewy brzeg Nidy i pomaszerować w kierunku północno-wschodnim, do Grochowisk, a na postanowienie to w niczem nie wpływały uczone manewra Czengierego, o których Langiewicz, powtarzamy, nie nie wiedział.

Czengierzy, dokonawszy dwukrotnego przejścia Nidy, zachwycony mądrością swych manewrów, pomaszerował do Pasturki, a stąd do Krzyżanowic, gdzie kozacy, postępujący przodem, z wierzchołków wzgórz, oddzielających Krzyżanowice od Chrobrza, ujrzeli wysuwające się kolumny powstańcze, i już w większej części będące na lewym brzegu rzeki²⁾. Jakoż w rzeczy samej Langiewicz, jak wiemy, dość wcześnie ostrzeżony o marszu Czengierego, śpiesznie zabrał się do opuszczenia niebezpiecznej pozycji Chrobrza, mającej jedną tylko linię odwrotu przez most na Nidzie. Wprawdzie dyktator, wydawszy już rozkazy, rzekł do szefa Bentkowskiego, iż „wedle tego, co z obozu rosyjskiego odebrał, może on dysponować, żeby Moskale atakowali go lub nie“³⁾. Bentkowski uważał to za przechwałkę lub lu-

¹⁾ *Wł. Bentkowski*, loc. cit. 60. *Jeziorański*, loc. cit. II, 243, utrzymuje, że Langiewicz wiadomość o zbliżaniu się nieprzyjaciela zawdzięczał tej okoliczności, iż właśnie tego dnia wysłał pod strażą kawalerii do Krakowa, owe dwie mniemane trucicielki, o których wyżej mówiliśmy; że kawaleria, eskortując owe panie „obaczyła Moskali i nie dopełniwszy swej misji, wróciła do obozu i uwiadomiła nas o zbliżającym się nieprzyjacielu“. Mogło to być, ale z uwagi, że Bentkowski nic o tem nie wspomina, oraz że odsyłka owych trucielek musiała się odbywać w kierunku południowym na Wiślicę lub Szkalbmierz, Czengierzy zaś szedł od północy do Pińczowa, więc relacya Jeziorańskiego wydaje nam się podejrzaną.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 121.

³⁾ *Wł. Bentkowski*, loc. cit. 35.

dzenie się co do wagi związków z oficerami rosyjskimi, zdaje się jednak, jak później zobaczymy, że nie była to próżna przechwałka i nie o związki z oficerami tu szło. Bądź co bądź odwrót rozpoczęło między godziną 2 a 3 po południu. Ponieważ szef Bentkowski rankiem tego dnia bardzo starannie zbadał całe położenie Chrobrza, więc Langiewicz, siadając na koń, rzekł: „szefie, oglądałeś wieś i znasz dobrze jej pozycję, będziesz więc wsi bronił, póki się przez most nie przeprawimy“. Bentkowski, zachrypnięty i szeptem ledwie mogący mówić, zauważył, że w takim stanie komenderować nie może, na co mu dyktator odparł: „cóż robić, kiedy nikt inny pozycji nie zna“. Bentkowski przed takim argumentem uległ i radził sobie w ten sposób, że adjutantowi wyszeptywał rozkazy, a on je głośno powtarzał¹⁾. Z tego wszystkiego, z tego zamiaru obrony wsi, okazuje się najoczywistej, że Langiewicz przekonany był, iż zaatakowany zostanie z prawego brzegu rzeki, że o uczonych manewrach Czengierego nic nie wiedział, które tym sposobem nie osiągnęły zamierzonego celu, i jak ów rapsod ślepego śpiewaka u poety, utonęły na zawsze w falach nie błękitnego morza Egejskiego, ale mętnej i błotnej Nidy polskiej.

Obrona wsi przed spodziewanym na nią atakiem, zwłaszcza jeźliby ten natychmiast nastąpił, była dość trudną ze względu na długość kolumny korpusiku, mogącej się bardzo wolno posuwać po jedynym i wązkim moście, oraz ze względu na liczny tabor obozowy. Mimo to Bentkowski postanowił spełnić swe zadanie, i w tym celu zatrzymał przy sobie batalion piechoty (kosynierów i trochę strzelców), oddział żuawów Rochebruna, pluton saperów i pół plutonu ułanów. Co do samej obrony, tak się rozporządził: pół plutonu ułanów ma wyruszyć za wieś naprzeciw nieprzyjaciela, z rozkazem dotarcia do niego jak najbliżej i przywiezienia języka, którądy i w jakiej sile maszeruje; Rochebrun ma osłonić garścią tyralierów pałac

¹⁾ Loc. cit.

i wieś od strony drogi pińczowskiej, z główną zaś siłą winien obsadzić rów, a raczej odnogę Nidy, przebiegającą wieś półkolem. Batalion piechoty ma zająć cmentarz obok kościoła, niedaleko mostu leżący, usadowić się tutaj i stać aż do dalszych rozkazów; sapersy pod kapitanem Hajkowskim, zaopatrzeni w słomę i smołę, mają stanąć przy moście i także czekać na rozkazy¹⁾. Żuawi, okazując wielką ochotę i wesołość, poczynili najodpowiedniejsze dyspozycje do boju; obsadzili rów, płoty, przesmyki, w kilku chałupach i stodołach powyrzynali sobie strzelnice, tworząc tym sposobem improwizowane, niemniej przeto doskonałe blokhausy. W takim porządku szef Bentkowski oczekiwał na nieprzyjaciela, a tymczasem ludność wsi, widząc na co się zanoszą, uciekała wśród płaczu i narzekań w pole, wprowadzając ze sobą bydło i dobytek. Korpus tymczasem leniwo i wolno przeprawał się przez most, i zaraz skręcił na prawo, drogą do wsi Zagościa²⁾.

¹⁾ Loc. cit. 62.

²⁾ W chwili gdy wychodzono z Chrobrza, zaszły dwa, bardzo charakterystyczne epizody, które Bentkowski (loc. cit. 61) tak opowiada: „wiedziałem, że wypróżniono w pałacu piwnicę i porozbięrano sobie broń myśliwską i zbytkową, garderobę margrabiego, różne drobne retenta (biblioteka została nietknięta) i konie zbytkowe ze stajni; ale że to wszystko były artykuły mniej więcej bezpośrednio powstańcom przydać się mogące, przymykałem więc oczy na te nieprawidłowości. Zdziwiło mnie jednak i obruszyło niepomalu, kiedy, siedząc już na koniu przed pałacem, usłyszałem, jak intendent jenerałny p. Tomasz (Winnicki) dawał rozkaz zabierania z pałacu obrazów i przedmiotów sztuki (jak np. marmurowych posążków, popiersi i t. d.) i pakowania ich coprędzej na stojące przed pałacem wozy. Wyrzuciłem mu moje zdziwienie i opozycję. Odparł, że poco oszczędzać takiego gałgana i zdrajcę, ile że będzie można założyć w Krakowie z zabranych tym sposobem przedmiotów, muzeum narodowe. Zaapelowałem do stojącego opodal dyktatora, przedstawiając gorąco, że jeśli Wielopolski zdrajca, to starać się go dostać i śmiercią ukarać; ale dopuszczać się na jego obrazach i posągach nietylko już nie rabunku, ale poprostu wandalizmu, gdyż to wszystko potłucze się i poginie, zanim cośkolwiek do Krakowa odesłać zdołamy — jest to rozmyślnie ściąganie na dyktatora i na wojsko powstańcze naj-

Tymczasem nadbiegli pędem ułani wysłani na podjazd, donosząc, że kozacy idą, ale nie dokładniejszego od tchórzliwego tego podjazdu dowiedzieć się nie można było. Owi kozacy były to forpoczty zbliżającego się do Chrobrza majora Bentkowskiego¹⁾. Ponieważ polskiemu Bentkowskiemu zaraportowano, że już koniec kolumny most przechodzi, więc kazał Rochebrunowi tyralierów ściągnąć i ograniczyć się na obronie odnogi Nidy, przez wieś przechodzącej, do oddziału zaś umieszczonego na cmentarzu wysłał adjutanta Borzysławskiego z rozkazem, ażeby także most przeszedł i u tamtego brzegu zajął pozycję, aż do

niepotrzebniejszą zakale. Langiewicz zgodził się w końcu na moje racje i zaboru przedmiotów sztuki zakazał. Ocalały więc one, a wywarło nienawiść do Wielopolskiego tylko na ustawionych przed pałacem posągach zwierząt, którym łby pootłukano. Kiedym po tej scenie podjechał na chwilę ku oficynom i prowentowi, gdzie stał pod bronią już oddział żuawów, przypadła do mnie jakaś kobieta rozczochrana z dwojgiem dzieci w koszulkach, lamentując, że wszystko jej zrabowano i z wszystkiego ją i dzieci obdarto. Była to żona propinatora, ekonoma, czy też pisarza prowentowego. Oburzony podwójnie (gdyż ci co w tej chwili rabowali, dopuszczali się także opuszczenia stojących już pod bronią szeregów) poleciłem pikiecie żuawów przeszukać dom, rabusiów aresztować i oddać ich audytorowi i gwałtygierom do dyspozycji, kobiecie zaś zabrane retenta powrócić. Posłana pikietą wyprowadziła niebawem pod strażą z owego domu dwóch młodych rabusiów, którzy nawet poduszki pruli i wysypując pierze na korytarz, poszewki zabierali. Jednym z nich był żuaw, drugim młodziutki jakiś i ładny powstaniec w krakusce z orzełkiem. J. K. Ożegalski w swych „Wspomnieniach krwawych czasów“ 67, opowiada, że powstańcy przed wejściem jeszcze do Chrobrza, schwytali na drodze plenipotentą margrabiego, który chciał unieść kasę swego pana. Pieniądze, około paru tysięcy rubli zabrano mu i obrócono na rzecz powstania. Autor ten dodaje, że żuawi zakwaterowani w pałacu, porąbali płoty i parkany na ogień, że w piwnicach wszystko wypili wino, że śpichlerz dworski na oścież roztworzono, a co nie dało się zabrać, chłopom rozdano. Pobyt więc Langiewicza w Chrobrzu grubo margrabiego kosztował.

¹⁾ Tak przypuszczać należy, gdyż Czengiery w swym raporcie nie nie mówi o wysłaniu pod Chroberz po prawym brzegu Nidy jakiegokolwiek oddziału. Takie przypuszczenie robią i *Gesket-Puzrewskij*, loc. cit. 128.

dalszego polecenia. Okazało się jednak, że na cmentarzu nikogo nie było, gdyż dowódzca batalionu, pragnąc widocznie dostać się jak najprędzej na lewy brzeg, spostrzegłszy przejeżdżającego generała Jeziorańskiego, zapytał go, czy może ze swym batalionem przeprowadzić się także przez most. Jeziorański, nie wiedząc nic o dyspozycji szefa Bentkowskiego, nie wiedzący zresztą naprawdę o niczem co się działo w obozie¹⁾, ciągle zadąsany i frondujący, odrzekł: „ma się rozumieć, toż przecie wszyscy na tamten brzeg przechodzimy“. Korzystając z tego, ów oficer szybko przeszedł most, połączył się z główną kolumną Langiewicza, i nawet nie raczył o tem donieść Bentkowskiemu, który gdyby był zmuszony do obrony Chrobrza, mógł być narażony na zgubę wskutek tego tchórzliwego i samowolnego postępu owego dowódcy batalionu²⁾. Tym razem jednak szczęśliwie rzecz się skończyła; bronić wsi nie trzeba już było, bo cały oddział Langiewicza przeszedł bez strzału Nidę; więc Bentkowski ściągnął żuawów, przeszedł z nimi most, i gdy kozacy koło pałacu i po wsi poczęli się kręcić, kazał saperom most rzeczony zapalić, przy którym ustawił Rochebruna z żuawami i pół plutonem ułanów z rozkazem, że ma czekać aż cały pomost runie, i gdyby nieprzyjaciół chciał go gasić lub po szczątkach przedostawać się na drugą stronę, ma mu tego niedopuszczyć. Rochebrun, zaniepokojony nieco swą odosobnioną pozycją, zapytał: „a jeżeli Rosyanie zaatakują mię z tej strony (po lewym brzegu), co zrobię sam jeden w otwartym polu?“ (et si les Russes m'attaquent par ici, que ferais-je tout seul en champ decouvert). Pytanie to świadczy o bardzo bystrej przenikliwości Francuza, który nie przypuszczał, by nieprzyjaciół mógł z jednego brzegu tylko atakować powstańców, a w czem, jak wiemy, miał zupełną rację. Ale Bent-

¹⁾ Dochodziło to do tego stopnia, że w pamiętnikach swoich (II, 244) powiada, że pod Chrobrzem Langiewicz miał do czynienia nie z Czengierem, ale z „brygadą generała Szachowskoja“.

²⁾ Wł. Bentkowski, loc. cit. 64.

kowski, któremu nawet na myśl nic podobnego nie przyszło, odrzekł: „najprzód Rosyanie nie zaatakują pana z tej strony, gdyż idą po prawym brzegu, a wreszcie, gdyby cię zaatakowali, podam ci rękę; licz na to i bądź spokojny¹⁾. To rzekłszy, pokłusował do dyktatora, żeby zwolnił kroku i poczekał do nadejścia Rochebruna¹⁾.

Gdy się to działo, Czengiery doszedłszy do Krzyżanowic, dowiedział się, że Langiewicz wychodzi z Chrobrza po drodze do Buska²⁾. Szybko więc posunął się naprzód, a kozacy pędzący na czele kolumny, wyskoczywszy na wzgórze krzyżanowickie, ujrzeni maszerujących powstańców i coprędzej zawrócili do Czengierego, donosząc mu o tem, a ich uрядnik zawołał: „kozacy żądają armat!“ Wskutek tego wódz rosyjski wysłał pluton dział gwintowanych pod porucznikiem Baranowem, i dywizyon dragonów z rozkazem rozpoczęcia ognia i powstrzymania pochodu powstańców³⁾. Była godzina 5-ta po południu, gdy szef Bentkowski pędzący od gorejącego mostu do dyktatora, spostrzegł na wzgórzach zupełnie nagich, czerniące się linie ruchome rosyjskie w odległości 1500 do 2000 kroków, i działa, zajeżdżające na pozycję; dostrzegła je także maszerująca kolumna polska. Widok ten wywołał tam wielki popłoch. Ciągający za korpusem olbrzymi tabor wozów, który jeszcze nie zdążył skręcić na drogę do Zagościa, na widok ukazującego się nieprzyjaciela, począł uciekać na przełaj przez pola z koni spadając, gubiąc broń i czapki, wywracając bryczki i wózki. Kawalerya, która szła na tyle kolumny, zarażona tym popłochem, także poczęła kłusować drogą do Zagościa, wprowadzając nieład i zamęt we wszystko, co przed nią się znajdowało. Już też i armaty grać zaczęły, a wielkie pociski stożkowe, pękając z trzaskiem, jakkolwiek żadnej szkody nie przynosiły, popłoch jednak zwiększały. Wśród tego wszystkiego Langiewicz, ze zwy-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Raport Czengierego.

³⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 121.

kłym sobie trafny rzutem wojskowym oka, spostrzegł, że, dzięki pozycji, może posuwanie się naprzód nieprzyjaciela powstrzymać. Plac boju przedstawiał bowiem zupełnie otwarte pole, rzykiem lub zasiewem zimowym pokryte, gdzieniegdzie płytkimi rowami poprzeryzane, po lewej ograniczone rzeką Nidą, po prawej pasmem wzgórzy, krzakami i lasem zarosłych, ciągnących się mniej więcej równolegle do rzeki. Kolumna powstańców na tem nagiem i widnem polu posuwała się ku południowi; nieprzyjaciel zaś siedł od północy, rozwijając front od rzeki do owych wzgórz, lasem pokrytych. Ponieważ jednak przestrzeń między rzeką a wzgórzami wynosiła około dwóch wiorst i Czengiery w marszu swym trzymał się rzeki, więc wzgórzy owych leśnych na swem lewem skrzydle nie zajął wcale. Langiewicz od razu spostrzegł ten błąd nieprzyjaciela i porwawszy batalion strzelecki Czachowskiego, nie zatrzymując wcale w marszu kolumny samej, obsadził owe wzgórza i tym sposobem zagroził lewemu skrzydłu Czengierego. Strzelcy Czachowskiego rozsypawszy się w tyraliery, dobrze ukryci, gęstą palbą powitali wroga, i w rzeczy samej w ruchu go powstrzymali. Rochebrun ze swej strony zagroził drogę prawemu skrzydłu rosyjskiemu.

Dzielny ten oficer, zostawiony przez szefa Bentkowskiego przy gorejącym moście, nagle ujrzał pędzących ku niemu wzdłuż rzeki dragonów rosyjskich. Jakkolwiek ta garść żuawów znajdowała się w szczerem polu, zostawiona sama sobie, i widząc popłoch głównej kolumny, nie mogła liczyć na rychłą i skuteczną pomoc, mimo to, dzięki energii swego komendanta, sfornie i rześko zwróciła się czołem do wroga i pluć mu poczęła w ślepie ogniem plutonowym, raz po raz. Ta zdeterminowana postawa żuawów odniosła swój skutek; dragoni zatrzymali się natychmiast i w części zsiadłszy z koni rozpoczęli niezbyt szkodliwy i nużący ogień karabinowy¹⁾. Rochebrun zaś, doczekawszy

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 63. Potto, loc. cit. (No 11, str. 148) utrzymuje, że nie ogień żuawów powstrzymał atak dragonów, ale głęboki

się zupełnego spalenia mostu, ruszył na przełaj przez pola ku głównej sile, zatrzymując się co jakiś czas, robiąc front ku nieprzyjacielowi i dając ognia. Szedł wolno i spokojnie, choć teraz z poza rzeki, od Chrobrza, pojawiający się наконец major rosyjski Bentkowski, poczał żuawów smagać z boku ołowiem. Mimo to, w zupełnym porządku doszli oni do głównej kolumny i uszykowali się na jej lewem skrzydle. Kiedy do nich szef Bentkowski podjechał, Rochebrun rzekł na pół zartem, na pół seryo: „pięknieś mi pan podał rękę“ (vous m'avez joliment donné la main). Ale Bentkowski wytłómaczył mu, że stało się to nie z jego winy.

I rzeczywiście tak było. Bentkowski, wracając od gorącego mostu, spostrzegł, jakieśmy rzekli, na wzgórzach od strony Krzyżanowic ciemne kolumny nieprzyjaciela, i pomny na dane przyrzeczenie Rochebrunowi, oraz z uwagi, że na wojnie jeden drugiego zarówno się boi, i że skoro jeden trochę odwagi pokaże, to drugi zaraz w ataku folguje, pędem pośpieszył do kawalerii z zamiarem utworzenia z niej frontu i osłonięcia tym sposobem wkradającego się w kolumnę popłochu. Ale gdy przybiegł do pierwszego od tyłu szwadronu i zawołał: „stój rotmistrzu! uszykuj się frontem szwadronowym!“ rotmistrz odparł mu niecierpliwie, że nie może, bo tu jest pułkownik. Co żywo więc Bentkowski skoczył do pułkownika, ale i ten zasłonił się brygadyrem Czapskim; gdy i do tego dopadł nieszczęśliwy szef sztabu, Czapski sądząc zapewne, że wymagają od niego jakiej rozpaczliwej szarży, mruknął niechętnie, że konie są pomęczone, że trzeba czekać na rozkazy dyktatora i t. p. i prędzej jeszcze ruszył drogą ku Zagóściowi¹⁾. Bentkowski poczał więc szukać dyktatora, który, jak wiemy, znajdował się przy batalionie Cza-

rów; oraz że nie zsiadli oni z koni, ale konno strzelali. Bentkowski jednak, który zawsze prawdę mówi, musiał widzieć spieszonych dragonów, skoro o tem opowiada.

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 66.

chowskiego. Tymczasem rozegrały się owe, opowiedziane wyżej, dwa epizody na prawem i lewem skrzydle, które powstrzymały posuwanie się nieprzyjaciela naprzód. Ta okoliczność, zabiegi Bentkowskiego, który nieomal błagał, by się zatrzymano i uszykowano, wreszcie pojawienie się Langiewiczza, spowodowało, że popłoch ustał, że cały korpusik poczał porządnie się szykować czołem do nieprzyjaciela. Bentkowski, widząc płatające się pod nogami dwie armatki, wezwał ich dowódcę, by dla podniesienia w oddziale otuchy, dał z nich parę razy ognia. Ale dowódzca wymawiał się, że za daleko, że kule nie doniosą, wreszcie oświadczył, że strzelać z nich niebezpiecznie, bo pęknąć mogą. Słusznie też Bentkowski pyta się w swych pamiętnikach, po co w takim razie „włóczyć taki niepotrzebny ciężar za sobą?“

Była godzina szósta i noc się zbliżała. Cały korpus stał nieruchomy, nieprzyjaciel strzelał z armat, ale naprzód nie postępował. Wreszcie Czengiery, gdy noc zapadła, zniknął z oczu i rozłożył się biwakiem we wsi Leszcze¹⁾, tuż pod Krzyżanowicami. Straty z obu stron były bardzo małe²⁾; największą szkodę poniósł korpusik powstańczy w utracie taboru, którego część dostała się w ręce rosyjskie, a reszta odskoczyła w bok i błądząc jakiś czas przeszła w końcu do Galicyi³⁾. Do Leszcz przywieziono z Pa-stórki drwa, a wzięte Langiewiczowi wozy z żywnością i wódką dostarczyły obfitego pokarmu nietylko oddziałowi Czengierego, ale i Bentkowskiego, który przeprawił się w bród przez Nidę i połączył ze swym pułkownikiem.

Tym więc sposobem, tak uczenie przygotowywany

¹⁾ Czengiery w swym raporcie powiada, że „powstańcy uciekli ku Woli Zagójskiej“. Nie uciekali wcale, owszem on pierwszy cofnął się z pobojuwiska.

²⁾ Czengiery, loc. cit. utrzymuje, że miał jednego szeregowca rannym w nogę poniżej kolana, przyczem kula kość mu strząsała.

³⁾ Bentkowski, loc. cit. 71. „Wiadomości z pola bitwy“ No 7, donoszą, że część taboru przeprawiła się w bród przez Nidę i ruszyła w kierunku Opatowca.

przez Czengierego zamysł uderzenia na powstańców z dwóch stron i zniszczenia ich doszczętnego, zupełnie się nie udał. Historycy rosyjscy skarżą się, że major Bentkowski za późno przyszedł, choć miał krótszą do przebieżenia drogę (30 wiorst, Czengiery zaś 33)¹⁾, ale nie mówią, że atak Czengierego był słaby, chwiejny, niezdecydowany; że gdyby działał śmielej, mógł sam jeden, bez Bentkowskiego pokonać powstańców. Potyczka chroberska zaszczyt przynosi Langiewiczowi, którego ruch z batalionem Czachowskiego na skrzydło nieprzyjaciela, był bardzo trafny i dobrze świadczy o uzdolnieniu wojskowym dyktatora. Niemniej dzielna obrona żuawów zasługuje także na zaznaczenie. Bądź co bądź potyczka ta w niczem nie zmieniła planów dyktatora. Wyszedł z niej cało i maszerował teraz do Zagóścia, a stąd wziął się na lewo i flankowym marszem obchodził, pijącego wódkę polską, wodza rosyjskiego. Marsz ten z wytyczną do Grochowsk, doskonale pomyślany, jest jednym z tych pięknych ruchów, których tyle już podziwialiśmy w kampanii Langiewicza. Poza tem jednak, pochód ten należał do najuciążliwszych w tej wojnie. Noc była niezwykle ciemna i burzliwa; wskutek tego kolumna co chwila się rozrywała, wozy się wywracały, powodując zamęt i zatrzymanie tych wszystkich, którzy za nimi szli. Radzono sobie w ten sposób, że palono łuczywa i niesiono kilka latarni, które jednak, nie wiele rozświecając drogę, narażały oddział na dostrzeżenie go przez nieprzyjaciela, który rozesłał podjazdy kozackie²⁾, i którego łunę od ognisk po lewej stronie widziano³⁾. Przewodnicy, prowadzeni u czoła oddziału pod pistoletami dwóch ułanów, co chwila uciekali i musiano ich szukać, lub innych łapać. Czapski, idący z jazdą w przedniej straży, kazał koniom dowolnie puścić cugle, polegając na ich instynkcie⁴⁾. W kolumnę wdarł się

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 124.

²⁾ Raport Czengierego.

³⁾ Bentkowski, loc. cit. 71.

⁴⁾ Jeziorański, loc. cit. II, 246.

zupełny nieład; ciągle słychać było wołanie na kosynierów, aby w górę trzymali kosy; sarkania na dowódców, wyrzekania na głód i zmęczenie. Nadzwyczaj silny wiatr marmcowy, drobny deszcz, połączony ze śniegiem, noc zimna i wilgotna, przejmowała do kości źle ubranych powstańców. Wszyscy dygotali z głodu i chłodu. Koło godz. 10-ej dobito się do wsi Welcza, leżącej pod Buskiem, i tutaj dyktator, ze względu na ciemność i znużenie ludzi, zdecydował się zatrzymać i przenocować, a nazajutrz do Grochowsk wyruszyć. Dokonano zresztą w zupełności zamierzonego marszu flankowego, okrążono nieprzyjaciela i znajdowano się na wschód od niego, na równej linii z Leszczami, po lewej Czengierego. Nie było więc zbyt nagłego powodu maszerowania dalej wśród tych ciemności i zimna, oddziaływającego zgubnie na porządek i ducha oddziału.

Langiewicz w Welczu pomieścił się ze sztabem w szczupłym dworku dzierżawcy, a oddział jak mógł, rozłożył się we wsi. Na szczęście znaleziono tu nieco żywności i furazę, i przebiedziano tę noc ciężką i przykrą¹⁾. Około godziny 3-ej rano zjawił się ze swym batalionem Czachowski, który, jakśmy rzekli, rzucony w zarośla w czasie potyczki pod Chrobrzem, zawsze żywiący chęć działania samostnie, gdy noc zapadła puścił się w bok w zamiarze dostania się w góry Świętokrzyskie. Maszerując przez za-

¹⁾ Jeziorański, loc. cit. II, 247 opowiada, że w Welczu Śmiechowski doniósł mu o nadzwyczajnem rozgoryczeniu i zgłodzeniu żołnierzy, że gdy Jeziorański odrzekł, iż nic na to nie poradzi, Śmiechowski miał się odezwać: „na furgonie sztabowym jest chleb, może i co więcej. Trzeba się z żołnierzem dzielić”; że na skutek tego, Jeziorański wziął dwa bochenki chleba i fiaskę wódki, zostawiwszy w owym furgonie jeden bochenek i fiaskę wódki, oraz kilka żywych kaczek. Z zapasem owym udali się do kosynierów, do których Jeziorański przepił i zapewnił ich, że po żywność posłano. „Mybyśmy ją sami sobie znaleźli, gdyby nam zółd, jak się należy wypłacono“, mówili kosynierzy i skarżyli się, że przed tygodniem dostali po 20 gr. i potem już nic więcej. Jeziorański przyrzekł im, że powie o tem dyktatorowi.

rośla, pola i błota, znalazł się z wielkiem zapewne nieukontentowaniem w Welczu, utraciwszy zaledwie kilkunastu ludzi w maruderach i zbłąkanych¹⁾. Langiewicz, odgadując kryjące się w duszy Czachowskiego zamysły, przyjął go surowo, ale Jeziorański zażegnał burzę i pogodził po szlachecku niesforne pułkownika z dyktatorem. Tutaj wreszcie w Welczu, Langiewicz wyraźnie oświadczył Jeziorańskiemu, że ma zamiar udać się w góry Świętokrzyskie, że spodziewa się tam dostać najpóźniej za trzy dni, że tam, w cieniu wielkich borów i skalistych wąwozów znajdzie pożądaną spokój a przy nim możność uporządkowania mocno zdeorganizowanego oddziału²⁾.

Nazajutrz, d. 18 marca wyruszono dalej w kierunku drogi, prowadzącej z Chrobrza do Buska, za którą zaraz rozciągały się obszerne lasy z folwarkiem Grochowiska. Bór ten w owe czasy zajmował znaczną przestrzeń; był w części tylko zagajnikiem z olszyny, brzeziny, wierzby i drzew, rosnących tylko na moczarach i źródłiskach. Tu i owdzie zieleniały duże łąki, po kilkanaście mórg przestrzeni mające, oraz bagniska dość znaczne³⁾. Pozycja więc była silna i łatwo obronna. Na skraju lasu, przy drodze

¹⁾ *Jeziorański*, loc. cit. II, 249, opowiada, że Langiewicz o północy wymaszerował z Welcza, i w jakimś folwarku, którego nazwy nie daje, zastał spoczywającego Czachowskiego. *Bentkowski*, loc. cit. 70, zaś utrzymuje, że Czachowski zajęty nieprzyjacielem, nie wiedział o odwróceniu całego oddziału; że nie miał rozkazu od dyktatora do połączenia się z główną kolumną, że na pozycji noc go zaskoczyła i wtedy na oślep przez błota i krzaki ruszył i wypadkiem dotarł do Welcza. Opowiadanie to jednak nie wytrzymuje krytyki. Niepodobna przecież przypuścić, żeby Czachowski stojąc pod Chrobrzem w zaroślach, nie miał oka na to, co się dzieje z resztą korpusu, i żeby jak to twierdzi Bentkowski, nie wiedział co się z nim stało i gdzie się podział. Szef sztabu owej nocy był chory, dostał silnej gorączki, i w głównej kwaterze położył się zaraz spać, pookrywany różnemi burkami i futrami, mógł więc o szczegółach postępowania Czachowskiego nie wiedzieć dobrze.

²⁾ *Jeziorański*, loc. cit. II, 248.

³⁾ *S. Wierzbński*. Opisane wypraw wojennych (Polska w walce I, 155).

od Welcza, Borzysławski, który od Chrobrza dowodził strażą tylną, przy budce przydrożnej ustawił batalion Czachowskiego dla strzeżenia tyłów korpusu, zwłaszcza, że spodziewano się przypuszczalnego ataku rosyjskiego tylko od strony Welcza. Reszta korpusu, dotarłszy do folwarku Grochowiska, z kilku chałup złożonego w szczerym borze, rozłożyła się poza nim w otwartym miejscu po wyciętym na sági lesie. Sági te stały jeszcze opodal. Tutaj to ostatecznie między godz. 10 a 11 rano rozbito obozowisko, porozpalano ognie i poczęto jeść warzyć. Intendent Winnicki rozesłał kilka wozów pod eskortą do sąsiednich wsi: Welcza, Galowa, Bogucic i Szańca, żeby rekwirowały chleb i furaz dla koni; Bentkowski zajął się rozpatrzeniem tej leśnej pozycji, i przy drodze do Galowa postawił na straży oficera z plutonem piechoty. Dyktator oświadczył, że w tem miejscu, jako bezpiecznem, ukrytem i dość wygodnem, parę dni zabawi, żeby dać raz niezbędny wypoczynek ludziom i koniom. Wtem, koło godz. 1-ej wrócili furazerowie z Welcza z próżnymi wozami, donosząc, że nieprzyjacieli w tę zajął; zaraz potem z taką wiadomością nadbiegli ułani z Galowa, Bogucic i Szańca¹⁾. Ostatni donieśli, że napadnięci zostali przez dragonów rosyjskich, którzy kilku kawalerzystów polskich zarabali²⁾. Okazywało się zatem, że nieprzyjacieli z czterech stron następuje, z północy, południa, wschodu i zachodu.

Jakże więc w istocie rzeczy się miały?

Czengierey w połączeniu z Bentkowskim, przenocowawszy w Leszczach, nazajutrz d. 18 marca rankiem, zamierzał puścić się śladem powstańców. Jakkolwiek jednak wczoraj wieczorem i przez całą noc rozsyłano podjazdy kozackie, nie miano żadnych prawie wiadomości, dokąd

¹⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 73.

²⁾ Raport Czengierego. Utrzymuje on, że dragoni zabili 18 ułanów polskich, a sami mieli jednego szeregowca ranego w głowę; że podchorąży Burakow sam zarabiał dwóch powstańców i tym sposobem ocalił życie owemu szeregowcowi.

Langiewicz się udał i gdzie się obecnie znajduje¹⁾. Położenie sił rosyjskich było takie: w Leszczach stało 7 kompanii piechoty, 2½ szwadronu dragonów, 120 kozaków i dział cztery; w Działoszycach 3 kompanie piechoty, 60 objeszczyków i dział dwa, pod wodzą majora Jabłońskiego, wysłanego z Miechowa; wreszcie w Stopnicy dwie kompanie piechoty, szwadron dragonów, 25 kozaków i komenda weteranów pod wodzą majora Zagriażskiego, który na skutek rozkazu wysłanego doń z Kielc w d. 18 marca, miał właśnie wyruszyć ze swych kwater i wziąć udział w ataku powstańców. Wogóle tym ostatnim zagrażało w tej chwili 12 kompanii piechoty, 3½ szwadronu dragonów, 1½ setki kozaków i dział sześć²⁾, czyli około 2400 bagnetów i 700 szabel, to jest siły, jeżeli nie przewyższające liczebnie powstańców, to im wyrównujące, nie mówiąc nic o wyższości broni, wyrobieniu wojskowem i artylerji. Na szczególności w d. 18 marca nie wszystkie te siły mogły być użyte jednocześnie. Jabłoński spoczywał po uciążliwym marszu w Działoszycach, a Zagriażski mógł się dowiedzieć o bytności Czengierygo w Pińczowie, dopiero w nocy z 17 na 18 marca, i tegoż dnia wyruszyć ze Stopnicy. Przytem Czengiery, zwyczajem wszystkich wodzów rosyjskich w tej wojnie, nic nie wiedział, jakeśmy rzekli, gdzie mu się z zapadającym wczorajszym zmrokiem zapadł oddział Langiewicza. Zapytywani chłopci w Zagościu twierdzili jedni, że poszedł on w kierunku Stopnicy, inni, że w kierunku Wiślicy³⁾. Świeże w dwóch miejscach ślady na zoranem polu, wzbudziły w Czengierym słuszne podejrzenie, że Langiewicz zrobił marsz flankowy i ruszył ku Buskowi⁴⁾, co, jak wiemy, było prawdą. Przypuszczenie to kazało Czengieremu uciec się znowu do osobliwszych, uczonych manewrów. Doszedłszy do wsi Skorocice, rozdziela swój oddział

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 125.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Berg, Zapiski III, 47.

⁴⁾ Raport Czengierygo.

na dwie części: major Bentkowski na czele trzech kompanii piechoty, pół szwadronu dragonów i 20 kozaków ma do Buska maszerować; sam zaś Czengiery wyrusza z resztą swych sił z dyrektywą na Stopnicę, gdyż podania chłopskie tak mu silnie utkwily w głowie, że uważał je nietylko za możliwe, ale za zupełnie prawdziwe. We wsi Hołudze dowiaduje się jednak od rozesłanych na wszystkie strony podjazdów kozackich, że ku Stopnicy pędzi tylko tabor powstańczy z eskortą około stu ludzi, główne zaś siły dyktatora polskiego poszły w inną stronę. Zaraz też otrzymuje drugą wiadomość od oficera, wysłanego przez Bentkowskiego, że w Busku powstańcy zabrali zapasy żywności, i że obozują w lesie pod Grochowskimi¹⁾. Wobec tego Czengiery jeszcze raz rozdziela swe siły. Dla pościgu za owym nieszczęśliwym tarem, który, oderwawszy się od korpusiku Langiewicza w samym początku potyczki chroberskiej, dążył ku granicy galicyjskiej, wysyła podpułkownika Sorniewa na czele 2 kompanii piechoty i jednego szwadronu²⁾ w kierunku Stopnicy; sam zaś zwraca się do Buska, a Bentkowskiemu rozkazuje maszerować do Bogucic, wsi, leżącej na północno-zachodnim skraju lasu grochowskiego.

Te rozmaite marsze i kontramarsze zajmują większą część dnia i nużą bardzo żołnierzy, brodzących po drogach błotnistych, wśród zimna i wiatru, wśród deszczu połączonego ze śniegiem. Czengiery staje w Busku koło godz. 2 po południu, odpoczywa tu chwilę, i widocznie, przenikając zamiary Langiewicza, który, jak wiemy, pragnął przerznąć się w góry Świętokrzyskie, postanawia mu zagrozić tam drogę. Jeżeli atoli niewątpliwie dobrze odgadł myśl wodza polskiego i słusznie mu chciał zaskoczyć od czoła, to wszelako przez taki ruch nie wypełniał rozkazu swego zwierzchnika, Uszakowa, który mu zalecał, ażeby nie wpuszczał powstańców w Stopnickie. Wprawdzie, od tej strony był Za-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Gesket-Puzyrewskij, 126.

griażski i Sorwiew, i na nich zapewne liczył Czengiery, rzucając się z Buska na północ i zostawiając powstańcom wolną drogę na południe. Bądź co bądź, z Buska wysłał on szwadron dragonów pod wodzą kapitana Czuti z rozkazem, ażeby kłusem dopadli wsi Szańca i czekali tam dalszych poleceń; sam zaś, odpocząwszy pół godziny ruszał ich śladem. W Szańcu to, jakśmy wyżej opowiedzieli, dragoni zrąbali kilku furazujących ułanów polskich, posunęli się dalej i za wsią Galowem rozwinęli front przeciw ukrytym w lesie grochowskim powstańcom. Około godz. 4-ej nadszedł tu także z resztą oddziału Czengiery i otrzymał doniesienie od Bentkowskiego, że połączył się z nim Jabłoński na czele 3-ch kompanii piechoty, plutonu dział gwintowanych pod rozkazami kapitana Nasiekina i 60 obeszczyków. Donosił zarazem, że Jabłoński zaatakował las od strony zachodniej; on zaś, Bentkowski wyruszył z Bogucieńcem na południe, by z tego boku uderzyć na Langiewicza¹⁾.

Tymczasem w obozowisku polskim wieść przyniesiona przez furazerów o zupełnem otoczeniu przez nieprzyjaciela lasu grochowskiego, wywarła niemałą sensację. Pozycja, zbadana przez szefa Bentkowskiego, wydawała się dość silną. Droga, która biegła obok obozowiska powstańczego, o paręset kroków od jego czoła, docierała do dość szerokiego i całkiem z drzew огоłoconego mokradła, wspinała się tu na wąską, piaszczystą grobelkę, ujętą z obu stron chróścianym płotem i zaraz za bagniskiem rozpoczynał się gęsty zagajnik, i wznosiła się mała chałupka ze stodółką. Droga owa szła ku Galowu. Z tej więc strony atak był trudny; wogóle uważano w sztabie, że nieprzyjaciół nie pokusi się o wyrzucenie z tej pozycji powstańców, którzy mogliby parę dni tu się bronić. Ale z uwagi, że w takim razie nieprzyjaciół może się znacznie wzmocnić i wówczas las sforsować, oraz że w tym borze można z głodu umrzeć, zdecydowano się na natychmiastowe opusz-

¹⁾ Raport Czengierego. *Gesket-Puzyrowskij*, loc. cit. 126.

czenie lasu¹⁾. Ale dokąd iść? Ponieważ przypuszczano, że główne siły rosyjskie postępują śladem powstańców, a zatem od południa, od Welcza. oraz sądząc, że doniesienie furazerów o pobycie nieprzyjaciela w Galowie jest mocno przesadzone i że tam najwyżej jakiś podjazd kawaleryjski się znajduje, postanowiono maszerować na północ, ową drogą, wyżej opisaną, na Galów. Wydano więc natychmiast odpowiednie rozkazy, pogaszono ogień, zaprzężono wozy i pokulbaczono konie. Bentkowski dla rozjaśnienia sobie położenia pojechał ku owej chałupie za mokradłem, gdzie poprzednio umieścił był posterunek z plutonu piechoty. Oficer, dowodzący tym posterunkiem nie nie umiał powiedzieć; widok był ograniczony przez gęsty, młody las, więc Bentkowski kazał chłopu miejscowemu wleźć na dach i mówić, co widzi przed sobą, współcześnie wysłał podjazd ku Galowu, z kilku ułanów złożony. Chłop, dygoczący od strachu, nie wiele umiał powiedzieć, powtarzając co chwila: „nie nie widać proszę Jegomości; coś się rusza w krzakach; teraz dwóch ludzi widzę z błyszczącą bronią; kozak z dzidą wyjechał; kilku żołnierzy na koniach smyrnęło przez krzaki“ i t. p. Ułani wysłani na podjazd, przypadli także galopem, wołając głosem płochliwym: „Moskali widać! Moskale są! Moskale idą!“ Bentkowski pokłusował więc do Langiewicza z raportem, a za nim pośpieszył także ze swym posterunkiem ów oficer piechoty, postawiony przy chałupie, tak że oddział znalazł się bez straży przedniej. Gdy szef sztabu doniósł dyktatorowi o ruchach jakichś nieprzyjaciela od strony Galowa, Langiewicz odrzekł głośno, że zwykłą sobie w krytycznych chwilach brać: „tem lepiej, to pójdziemy na ich spotkanie!“ Korpusik w długiej jak kiszka kolumnie, stał gotów do marszu, i gdy Bentkowski radził wodzowi zmianę porządku kolumny marszowej, Langiewicz odparł: „niema potrzeby“²⁾. Postanowiono wreszcie wysłać Rochebruna z żuawami na

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 74.

²⁾ Loc. cit. 75.

bocznych eklererów. Sam Bentkowski poprowadził ten wyborowy oddział przez grobelkę ku zagajnikowi, kazał części rozsypać się w tyraliery, a pozostałym w odwodzie za nimi postępować, dotrzeć do skraju lasu, tam się zatrzymać i czekać aż główna kolumna z lasu wychylać się zacznie. Po prawej stronie drogi miała tak samo się zachować jedna kompania strzelecka, ale zdaje się, że rozkaz ten nie był wykonany. Ku aryergardzie, którą stanowił batalion Czachowskiego, pojechał Borzysławski z rozkazem powolnego cofania się za główną kolumną. To wszystko skuteczniesz, wyruszone nakoniec w pochód. Zaledwie atoli poczęto przekraczać ową grobelkę, gdy od strony zagajnika, gdzie był Rochebrun, rozległy się strzały, co spowodowało, że cała kolumna w pochodzie się zatrzymała, i w niemem, trwożliwym oczekiwaniu huku owego słuchała. Zaraz też zagrzmiwały armaty, a za nimi rozbrzmiał gęsty, plutonowy ogień, i obsypał tających dech w sobie powstańców gradem kul i pocisków.

Były to działa Nasiekina z oddziału majora Jabłońskiego, który od Bogucic zbliżył się do lasu i począł palić granatami na oślep przed siebie do boru; za nim zaraz podążył Czengiery i ze swych czterech armat od strony północnej, po drodze do Galowa, słał kartacze i granaty¹⁾. Ten nagły, potężny, sześciodziałowy ogień, wywarł piorunujące, rzec można, na kolumnę Langiewicza wrażenie, a raczej przerażenie i popłoch. Wszystko, co przeszło za ową grobelkę na mokradłach, poczęło gwałtownie wstecz się cofać, wskutek czego powstał ścisk straszliwy. Na dobitkę huknęły strzały na tyle od strony Czachowskiego i wzmagaly się coraz więcej. To major Bentkowski obszedł las od Bogucic i atakował go od południa. Popłoch się wzmógł, gdyż palba ta uwiadomiła tych biednych, strwożonych i na pół bezbronnych ludzi, że korpusik jest ze wszech stron otoczony. Pierwsza kawaleria pod Czapskim w zupełnym nieładzie poczęła uciekać, wydostała się wylotem

-) Raport Czengierego.

na Wełcz z lasu i podążyła wprost do Galicyi, dając tym krokiem pierwszy zgubny przykład, który rychło miał znaleźć naśladowców¹⁾. Tabor wozów salwował się jak mógł, pierzchając na wsze strony, wywracając się, łamiąc dyszle i koła, i zwiększając przez to wrzawę i nieład. Jedna tylko piechota i to nie cała, dotzymała placu, ale była nadzwyczajnie przerażona, na pół kryjąc się przed kulami, przytulona do ziemi i niezdolna do najmniejszego ruchu. Jeden z kapitanów kosynierów, zamiast postawą zdecydowaną natchnąć swych ludzi odwagą i determinacją, ukląkł na ziemi i głośno odmawiał jakąś litanie do Matki Boskiej, czy też modlitwę konających²⁾. Ksiądz Agrypin Konarski z wielką fantazją, ale z nieznajomością serca ludzkiego i wojny, perorował do przerażonych kosynierów, wywijając krzyżem, o potrzebie poświęcenia się za ojczyznę, o zasłudze śmierci z rąk nieprzyjaciela i t. p.³⁾. A tymczasem armaty dalej grzmiały, a huk ich, wpadając między drzewa, rozlegał się potężnem i niemilknącym echem, większą jeszcze trwogę budząc w tych nieprzywykłych do wojny i przerażonych ludziach. Pociski też i kule karabinowe znaczne w pochylonych ku ziemi szeregach zrzędały szkody. Langiewicz, otoczony sztabem swym, w którym znajdował się Waligórski, Jeziorański, Borzysławski, Bentkowski, Winnicki, wogóle około 20 koni, stał z wielką determinacją w najgorętszym ogniu, nieruchomy, milczący, patrząc na to, co się przed nim działo z posępem, rozpaczliwym brwi zmarszczeniem. Jakiż się w jego duszy dramat rozwijał? o czym myślał ten wódz, dyktatorem Polski zrobiony, a teraz w głuszy leśnej ukryty z garścią przerażonych, bezbronnych, nagich i głodnych obrońców ojczyzny? Dokoła niego kule karabinowe i działowe świszczały jak osy; Wi-

¹⁾ Jeziorański, loc. cit. II, 253 powiada: „Czapski udał się ku granicy; zdemoralizowany żołnierz przeszedł do Galicyi, gdzie się czuł bezpiecznym po przebyciu tylu trudów, z największą podejmowanych poświęceniem.

²⁾ Bentkowski, loc. cit. 78.

³⁾ Loc. cit.

tolda Zacherta, adjutanta generała Waligórskiego, kartacz trafił w głowę i zabił na miejscu; pułkownik Borzysławski miał obszerny płaszcz włoski porozrywany od kul na szmaty; mimo to dyktator stał niemy, poważny, skupiony w sobie, okazując wśród tego gradu pocisków wiele spokojnego męstwa i krwi zimnej.

W tym czasie ogień karabinowy Rochebruna począł się oddalać, a ogień nieprzyjacielski słabnąć, co dowodziło, że żuawi posunęli się naprzód. Szef Bentkowski wywnioskował z tego, że poparcie żuawów zmusi nieprzyjaciela do odwrotu, a nawet może oddać w polskie ręce działa rosyjskie, które odprzodkowane i ustawione w krzakach nie będą mogły być tak prędko z zarośli usunięte. Poskoczył więc do batalionu kosynierów, przytulonego na grobelce i wezwał dowódcę, by się sformował i ruszył naprzód. Ale dowódca, jeden z braci Koskowskich, zawziętych Mierosławczyków, zamiast usłuchać tego rozkazu, począł się z koniem cofać. Napróżno Bentkowski groził rewolwerem i zachęcał słowami, napróżno panna Pustowojtowa wołała: „nie bójcie się dzieci, nic wam nie będzie, idźcie naprzód!“ kosynierzy ruszyć się nie chcieli. Wtedy Bentkowski prosił, by choć krzyczeli: „hura!“ ale przerażeni, zdrętwiali od strachu nawet na krzyk taki zdobyć się nie mogli. Niektórzy odpowiadali, że „przecie tu płot jest i przejść nie można“. Gdy na rozkaz Bentkowskiego tę słabą zaporę obalono, kosynierzy a za nimi wszystko, co tu jeszcze na grobli stało, rzuciło się do ucieczki w stronę wschodnią lasu. Wówczas rozpacz ogarnęła zacnego szefa i rzekł do Borzysławskiego te gorzkie słowa: „niema nawet żadnej satysfakcyi dać się w takiej bitwie zabić!“ Langiewicz stał jeszcze jakiś czas na swem pierwotnem miejscu, a potem pokłusował na wschód lasu ze swem otoczeniem i zniknął na chwilę z pola bitwy.

Wówczas to, zdaje się¹⁾, przysłał Rochebrun do roz-

¹⁾ Mówimy „zdaje się“, gdyż relacje o starciu pod Grochówkami tak są mętne i niejasne, że trudno z nich zobrazować istotny

proszonych kolumn i powoli ściągających się do szeregów, jednego z kawalerzystów, nazwiskiem Adam Chmielowski, z prośbą, ażeby mu przysłano więcej piechoty¹⁾. Ten i ów oburknął się, że bez rozkazu dyktatora ruszyć się nie może, aż nareszcie major Niewiadomski ze swym batalionem puścił się naprzód w kierunku północno-zachodnim²⁾, przeszedł krawędzią lasu, narażony na strzały kartaczowe i otarł się o Rochebruna. Gdy dowódca kompanii kosynierów kapitan Wierzbński, Poznańczyk i oficer pruski, zapytał co ma robić: „idźcie naprzód, naprzód!“ wołał dzielny Francuz. Wtedy Wierzbński sformował ze swych kosynierów front i z okrzykiem: „za mną wiara!“ rzucił się naprzód. Ale nim kolumna kosynierki wydostała się z lasu, poniosła znaczne straty od ognia działowego nieprzyjacielskiego, wreszcie rozpierzchnęła się, tak, że na polu znalazł się Wierzbński w towarzystwie trzech swych podkomendnych oficerów i jednego kosyniera. Cofnął się więc i z trudnością zdołał w głębi lasu zgromadzić około 70 ludzi i z tą siłą przyłączył się do głównej kolumny³⁾.

Tymczasem Langiewicz w otoczeniu Jeziorańskiego, Waligórskiego, Borzysławskiego i innych, zapuścił się w głąb lasu, gdzie było cicho i spokojnie. Gdy Bentkowski nieco później do tej grupy nadjechał, ujrzał zdala dyktatora zagłębionego w poufnej z nimi rozmowie, wśród której wzruszali oni ramionami i rozpaczliwe gesta robili⁴⁾. Naraz

przebieg walki. Bentkowski w swych notatkach nie mówi, co się stało po odjeździe Langiewicza na ów dziwny spacer po lesie, a Wierzbński opowiada o ataku, o którym Bentkowski nie wie. Posiadamy piśmienną relację cytowanego w tekście A. Chmielowskiego, dość zgodną w szczegółach z Bentkowskim, stąd uważamy ją za wiarogodną.

¹⁾ A. Chmielowski. Relacya o bitwie pod Grochówkami (rękopism).

²⁾ Wierzbński. Wyprawy wojenne (Polska w walce I, 156).

³⁾ Loc. cit.

⁴⁾ Bentkowski, loc. cit. 82. Jeziorański w swych pamiętnikach roztrąpnie milczy o tej rozmowie, w której, jak się zdaje, radził Lan-

dyktator zwrócił się do Bentkowskiego i zażądał, by wyszukał na mapie i wytknął bezpieczną drogę dla kilkunaśtu koni do granicy galicyjskiej. Bentkowski na karcie geograficznej, którą zawsze przy sobie nosił, drogę taką wytknął na Wiślicę do Nowego Miasta, Korczyna i marszrutę tę spisał na kartce¹⁾. Z tego wszystkiego widocznem było, że Langiewicz powziął już wtedy myśl, może, jak niektórzy utrzymują, za radą Jeziorańskiego, usunięcia się za granicę. Fatalna ta myśl leżała niejako w powietrzu. Wszak tabor obozowy, odbiwszy się pod Chrobrzem, dążył do Galicyi; wszak Czapski z kawalerią z lasu grochowskiego wprost ruszył do zaboru austriackiego. Umysły i ciała były znużone, walka dalsza wydawała się niemożliwą i pragniono bądź co bądź spoczynku, spokoju, ukojenia dla dusz targanych przez te dni straszne tylu wzruszeniami i tylu przeciwnościami.

Wśród tego wszystkiego, odgłos strzałów działowych i karabinowych słabnął, wreszcie ucichł zupełnie. Po niedawnej wrzawie w lesie, w którym teraz śnieg mokry wielkimi począł padać płatami, głucho zapanowało milczenie. Powodem tego było, że Czengiery nagle wstrzymał ogień i cofnął się, z trudem, uprowadziwszy armaty z pobojo-wiska, najprzód do Galowa, a potem, czując się widać tutaj nie bardzo bezpiecznym, jeszcze dalej, do wsi Młyny, leżącej na szosie między Chmielnikiem i Buskiem, gdzie zano-cował²⁾. Tłomaczył się później, że noc się zbliżała, że śnieg padał tak gęsty, iż w odległości stu kroków nic nie można było dostrzedz, że stracił dużo koni, że wreszcie lękał się, by strzały jego nie raziły kolumny majora Bentkowskiego, posuwającego się z południa³⁾. W rzeczy samej ten ostatni, jakeśmy wspomnieli, obszedłszy las grochowski od

giewiczowi opuszczenie oddziału. Güller (Historja I, 282) wyraźnie to powiada.

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 82.

²⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 133.

³⁾ Loc. cit. 130.

strony zachodniej, zaatakował stojący na południowym jego skraju, na drodze do Welcza, batalion Czachowskiego. Zaszło tu żwawe starcie, którego szczegółów nie znamy, to tylko wiadomo, że kilkakrotnie przychodziło do ręcznej walki, w której Rosyanie, jeżeli wierzyć można ich raportom, stracili trzech szeregowców i siedmiu mieli rannych, w tej liczbie i chorążego Podbereskiego¹⁾. Czachowski wycofał się w kierunku wschodnim i zamiast połączyć się z główną kolumną, skorzystał z położenia, a może wiedząc o rozpaczliwych zamiarach sztabu i Langiewicza, przejścia granicy galicyjskiej, wykonał żywiony oddawna już plan, wymknął się z lasu na Mikułowice, i podążył w góry Świętokrzyskie, rozpoczynając partyzantkę na własną rękę. Uprowadził ze sobą około 400 ludzi; szczegóły jego marszu nie są znane; to tylko pewna, że w dwa dni po starciu grochowskiem, d. 20 marca, znajdował się między Chmielnikiem i Rakowem we wsi Potoku, gdzie natknął się na jakiś oddziałek rosyjski, „zmusił go do ucieczki i tym sposobem dalszą utorował sobie drogę“²⁾. Major Bentkowski ze swej strony nie ścigał go wcale, co powinien był zrobić; nie skierował się na tyły głównej kolumny Langiewiczowskiej, co także należało do jego obowiązków, ale trwożliwie, skrajem zachodnim boru przemaszerował na północ i połączył się z Czengierem i Jabłońskim w Galowie.

Langiewicz, gdy strzały ucichły, zaproponował rekonesans dla rozpatrzenia się w położeniu. Ruszył więc, ciągle w otoczeniu Jeziorańskiego, Waligórskiego, Winnickiego, Borzysławskiego, Pustowojtówny, Bentkowskiego i kilkunaśtu koni adjutantów i gwałtygierów. Rekonesans ten wykonano w kierunku zachodnim, wśród gąszczu, często posuwając się gęsiego; a gdy Bentkowski zwrócił uwagę dyktatora, że, wślózając się tak po lesie nic się nie zobaczy, że stracić można ślad powrotu do oddziału i wpaść w ręce

¹⁾ Raport Czengierego.

²⁾ „Wiadomości z pola bitwy“ N. 7.

kozaków, Langiewicz odrzekł z ironią: „bo widzisz szefie ja się bardzo boję, więc dlatego w las jadę”. Bentkowski zrażony tą odpowiedzią już ust nie otworzył i w milczeniu towarzyszył temu dziwnemu rekonesansowi¹⁾. Nagle, gdy tak się włóczono po gęstwinie leśnej wśród niczem niezamąconej ciszy, rozległy się strzały karabinowe w stronie północno-wschodniej boru, rosły w siłę, słychać było sygnały na trąbkach. Jeden z gwałtygierów, kapitan Leniewski, który służył w wojsku rosyjskim, tłumaczył znaczenie tych sygnałów, które po jakimś czasie dały znać, że Rosyanie się cofają. Jakoż strzały umilkły i znów dawna cisza bór zaległa.

Cóż się więc stało?

Wspomnieliśmy wyżej, że Czengiery, organizując swą wyprawę na Langiewicza, przesłał majorowi Zagriażskiemu w Stopnicy rozkaz, ażeby na pierwszą wiadomość o przybyciu Czengierego do Pińczowa, natychmiast wystąpił ze swych kwater i połączył się ze swym zwierzchnikiem. Otóż, Zagriażski, dowiedziawszy się o potyczce Chroberskiej, wyruszył d. 18 marca ze Stopnicy na czele dwóch kompanii piechoty, szwadronu dragonów i 25 kozaków i maszerując dość wolno, nad wieczorem dotarł do Buska, właśnie w chwili, gdy Czengiery silnym ogniem działowym ostrzeliwał las grochowski²⁾. Zagriażski, chcąc dać znać głównemu komendantowi o swym przybyciu, oraz otrzymać odeń rozkazy, wysłał natychmiast setnika kozackiego Pustoszkina z kozakami; ale Pustoszkin, okrążając las od strony wschodniej, ujrzał, jak sam powiadał, „ogromną masę powstańców”, o wiele, według niego, większą od sił rosyjskich, oraz prawdopodobnie zauważył odwrót Czengierego, i nie dotarłszy do tego ostatniego, wrócił co prędzej do Buska i doniósł Zagriażskiemu, że oddział rosyjski znajduje się w bardzo niebezpiecznym położeniu³⁾. Zagriażski, jak przy-

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 83.

²⁾ Raport Czengierego.

³⁾ Loc. cit.

stało na żołnierza, na taką wiadomość postanowił pośpieszyć swoim z pomocą. Zdarzyło się, że wysłany tego dnia rano przez Czengierego podpułkownik Sorniew w kierunku Stopnicy, dla pościgu za taborem powstańczym, nie znalazłszy tam nikogo (napotykał tylko tu i owdzie pojedyncze kupki jazdy Langiewiczowskiej), wskutek nowego rozkazu Czengierego, wysłanego sztafetą, ażeby połączył się z kolumną główną i stanowił rezerwę Bentkowskiego, zawrócił napowrót i przyszedł do Buska właśnie w chwili, gdy Zagriażski wybierał się iść z pomocą Czengieremu. Zagriażski, trochę zaniepokojony owymi „ogromnymi masami powstańców”, prosił Sorniewa, ażeby go poparł w ataku, ale ten ostatni stanowczo odmówił, tłumacząc się otrzymanymi rozkazami, i odpocząwszy trochę, już wśród ciemności ruszył drogą pińczowską, zostawiając Zagriażskiego i zagrożonego jakoby Czengierego ich własnemu losowi¹⁾. Tejże nocy połączył się w Bogucicach z Jabłońskim, który, nastrzelawszy się przez pół dnia do lasu grochowskiego, nad wieczorem cofnął się, nie nie zrobiwszy.

Zagriażski, mimo odmowy Sorniewa, postanowił ruszyć z pomocą Czengieremu, w czem godzien jest pochwały; działając jednak bez zastanowienia, bez rozświecenia sobie sytuacji, bez skomunikowania się z Czengierem, co mógł łatwo skutecznie, posiadając dość liczną kawalerię, zasłużył sobie na los, jaki go spotkał. Zostawiwszy w Busku jedną kompanię dla osłony jaszczków z nabojami i taboru batalionowego, jaki ze sobą prowadził, na czele drugiej kompanii, dragonów i kozaków wyruszył naprzód i śmiało wkroczył do lasu grochowskiego, trzymając się

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 49, opowiada, zapewne na podstawie ustnych relacji, że Sorniew otrzymał rozkaz od Czengierego, ażeby zajął Welcz, i tym sposobem wypełnił lukę między Bentkowskim i Czengierem; że Sorniew tego nie wykonał, „uważając, że Czengiery jest takim samym jak on pułkownikiem i rozkazywać mu nie może”; że Czengiery rozgniewał się i poszedł z zajętego przez siebie stanowiska na północ, „zapominając w nadzwyczajnym wzburzeniu i rozdrażnieniu, że jeszcze bardziej zwiększał przedział i otwie-

jego krańca wschodniego¹⁾. Kompania piechoty pod wodzą kapitana Kierwanowa, niegdyś oficera, biorącego udział w krwawych i upartych walkach na Kaukazie, bardzo odważnego, ale i zuchwałego zarazem, posuwała się lasem, mając przed sobą łańcuch tyralierów. Przed nią pomykali kozacy; sam zaś Zagriański wiódł dragonów polem, dotykając lewem ich skrzydłem brzegu lasu. Wkrótce kozacy napotkali gęste tutaj tłumy powstańców i uwiadomili o tem Kierwanowa, ostrzegając go, że siły polskie są bardzo znaczne²⁾.

W tej chwili, wśród skupionych u wschodniego krańca lasu powstańców, nie było żadnego z naczelników. Wszyscy oni, cały sztab, jak wiemy, puścił się z dyktatorem na ów osobliwszy rekonesans leśny. Mrok w boru już szarzał, a śnieg padać nie przestawał. Właśnie w tem czasie, gdy Kierwanow wkraczał na czele swej kompanii do lasu, wśród bezładnie zgromadzonych powstańców, ale którzy już po pierwszej trwodze ochłodli, zjawił się Rochebrun, rozgorączkowany niedawną walką, mocno podrażniony tem, że wystawiono go samego na kilkugodzinny bój z przeważnym nieprzyjacielem, i wobec zebranych koło niego niższych oficerów począł szeroko i z właściwą Francuzom przesadą rozpowiadać o waleczności swoich żuawów, o tem, jak nie-

ra! Langiewiczowi drzwi do ucieczki". Wszystko to jest błędne. Między Bentkowskim i Czengierem ogniwo stanowił Jabłoński i Sorniew nie tu nie miał do roboty, zresztą inne otrzymał rozkazy. Nie był on pułkownikiem tylko podpułkownikiem, więc podkomendnym Czengierego. Z tej relacji, mającej charakter plotki obozowej, to tylko, zdaje się, jest pewnem, że między Czengierem i Sorniewem były jakieś spory, ale te na operacye wojenne przeciw Langiewiczowi wpływu nie miały i mieć nie mogły. Być wszelako może, iż niechęć w zadośćuczynieniu żądaniu Zagriańskiego, niepodanie pomocy zagrożonemu jakoby zwierzchnikowi, ma swe źródło w tych sporach.

¹⁾ Zdaje się jednak, że później i druga kompania wyruszyła także do lasu za pierwszą, jakkolwiek Czengier w swym raporcie o tem nie mówi. Na czem opieramy to nasze twierdzenie, poniżej wykazujemy.

²⁾ Raport Czengierego. *Gesket-Puzyrewskij*, 131.

przyjacielił ustępował, jak można było wziąć odprzodkowane w krzakach armaty, gdyby tylko miał jakiekolwiek poparcie. Rozgrzany własnymi słowy, rzekł w końcu do obecnych, że są tchórze, że nie zasługują na to, by mieć ojczyznę, że nie umieją za nią umrzeć i t. p. Zgromił go za to któryś z obecnych¹⁾, i nagle, wśród tej nieco ostrego charakteru przybierającej rozmowy, ozwały się strzały Kierwanowa. Rochebrun, zapominając o sporze, począł gorąco zachęcać, ażeby wyruszone przeciw temu nowemu nieprzyjacielowi. Wielu oficerów, czując poniekąd słuszność zarzutów, czynionych przez Francuza, zawstydzonych może w głębi duszy poprzednim popłochem, chwyciło się tej myśli gorąco i zaczęło wywoływać ochotników. Zebrali ich się około trzystu²⁾, przeważnie z młodzieży inteligentnej, ale także nie mało prostych ludzi, kosynierów. Sformowano ich w cztery szeregi, dano po małej czarce wódki i na czele tej kolumny stanął pułkownik Dąbrowski, Rochebrun, Wierziński i inni³⁾. Znalazła się także garstka jeźdźców, około dwudziestu czterech, pod wodzą rotmistrza Nowaka i oni pierwsi puścili się naprzód.

Tymczasem Kierwanow, nie zważając na ostrzeżenie kozaków, schwycił za karabin i na czele dwóch plutonów swej kompanii, za którymi pospieszyła jej reszta, rzucił się naprzód, krzycząc: *wpered, hura!* Posuwano się rozrzuconym łańcuchem tyralierskim i spotkano się najprzód z jeźdźcami Nowaka. Teren przedstawiał błotnistą łączkę, prze-

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 86. *Jeziorański*, loc. cit. II, 253 powiada, że Rochebruna zgromił Waligórski, co jest niemożliwe, gdyż Waligórski peregrynował wtedy z Langiewiczem po lesie.

²⁾ *Wierziński*. Wyprawy wojenne (Polska w walce I, 157).

³⁾ Bentkowski, loc. cit. 86. *Wierziński*, loc. cit. twierdzi, że Langiewicz przyjechał do tej kolumny na koniu i gorącą przemową zachęcił do ataku, co nie jest prawdą. Jak wiemy, Langiewicz wtedy włóczył się po lesie. Prawdopodobnie Wierziński mówi tu o patetycznej, późniejszej przemowie do wojska dyktatora, gdy wrócił ze swego rekonesansu i dowiedział się o zwycięstwie. Wogóle opowiadanie Wierzińskiego jest nader bałamutne; przesadza on siły rosyjskie, oceniając je na dwa bataliony i dwie kompanie piechoty.

rzniętą rowem, napelnionym wodą. Rosyane na widok jeźdźców polskich potworzyli, zgodnie z regulaminem, cztery kupki, i poczęli dawać ognia, ale już rwała naprzód w wielkim pędzie kolumna zaczepna powstańców z Dąbrowskim na czele. Ten ostatni bystrym rzutem oka spostrzegł dragonów na polu, tuż przy lesie, spostrzegł także, iż między piechotą a dragonami jest wolne, niezajęte miejsce, i w tę lukę debuszował ze swymi zuchami. Ochotnicy, widząc dragonów na swej lewej, piechotę na prawej, powitani z obu stron morderczym ogniem, zachwiali się na chwilę. Złudzenie między nimi było tak wielkie, że, zatrzymując się w biegu, zasłaniali oczy rękami, jakby chcieli ochronić je od kul, które jak pszczoły roily się dokoła. Ale kapitan Wierzbński, widząc, że jeszcze chwila, a mężna dotąd kolumna może być zdjeta panicznym strachem i pierzchnąć, podniósł pałasz w górę i zawołał: „jeszcze Polska nie zginęła, za mną wiara!“ rzucił się naprzód. Dąbrowski i inni oficerowie dawali przykład odwagi i wołali: „naprzód dzieci!“ Ogromne, grzmiące olbrzymiem echem w lesie, hura! wydobycie się z piersi kolumny, i potoczyła się ona naprzód jak lawina, przebyła rów na łące i otoczyła kupki rosyjskie. Dwie, stojące na skrzydłach, pierzchnęły w popłochu, dwie pozostałe, pomimo walecznego oporu, zostały porąbane kosami straszliwie. Kosynierzy byli tak zażarci, że dobijali rannych, i z trudem oficerom udało się kilku z nich ocalić od śmierci. Wszystko to stało się w jednym, że tak powiemy, mgnieniu oka, i przed zwycięską kolumną nieprzyjaciela nie było. Poległych była znaczna liczba ¹⁾. Podchorąży Płotiew, ranny kosą w głowę, na czele 17 ludzi zdołał przerznąć się, ale, ugrzęznawszy w bagnie, poddał się. Rannych miało być, według raportów rosyjskich, „około piętnastu“ ²⁾. Śród poległych znajdował się także

¹⁾ Raport Czengierego mówi o 9 zabitych szeregowcach, wiemy wszelako jak należy wierzyć raportom rosyjskim. *Gesket-Puzyrewskij* powiada, „że część kompanii poległa na miejscu“.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 132.

kapitan Kierwanow ¹⁾. Ogółem wzięto do niewoli żywcem dwudziestu kilku ludzi ²⁾. Major Zagriański, który był nie-mym widzem rozgrywającej się w lesie katastrofy, nie mógł nieść pomocy piechocie, bo, jak sam powiada „nie miał możności rzucenia się z kawalerią do lasu“, opuścił z dragonami swe dotychczasowe stanowisko i kłusem począł okrażać las, szukając pomocy. Natknął się najprzód na Bentkowskiego ³⁾, ale było już późno; ogień oddawna ustał, noc zapadła i żaden z wodzów rosyjskich za nie w świetle nie byłby poszedł teraz do lasu, do którego w dzień nie śmieli wkroczyć i w którym wyobraźnia ich bajeczne liczby uzbrojonych powstańców widziała. W ciągu nocy drobne grupy żołnierzy z rozbitej kompanii Kierwanowa poczęły się ściągać do oddziału Jabłońskiego, albo Czengierego w Młynach. Porucznik Stefanowski z garścią

¹⁾ Raport Czengierego tak opisuje w zwykłym wojskowo-kancelaryjnym stylu śmierć Kierwanowa: „waleczny sztabs-kapitan Kierwanow, przy formowaniu kupek, zachęcał ludzi do upartej obrony i przebiegając z jednej kupki do drugiej, został nagle obkoczony przez kosynierów; hronił się jak lew, odhijając karabinem liczne ciosy kos. Kierwanow zdążył kilku z pomiędzy otaczających go kosynierów zadać śmiertelne rany, dopóki nie został cięty w prawą rękę i nie mógł już władać karabinem; wtedy rzucił się do hoju ręcznego i lewą dłonią schwycił za włosy jednego z napastników, ale w tejże chwili został przebity hagnetem i runął na ziemię, razem z uchwyconym przezeń buntownikiem, który, uwolniwszy się z żelaznej ręki, utracił znaczną ilość włosów, które zostały w skostniałej dłoni zabitego. W takiej pozycji znaleziono Kierwanowa nazajutrz. Kosynier, który bił się z Kierwanowem, opowiadał o tem naszym jeńcom i chciał dowiedzieć się o nazwisku zabitego i dziwił się jego sile i nieuległości do ostatniej chwili życia. Kierwanow otrzymał 15 ran w głowę, kilka w rękę i nakoniec zabity został pchnięciem hagnetu w samo serce. Tym sposobem Kierwanow walczył jak lew, literalnie i sprawiedliwie umarł jak bohater. Ciało jego zabrano i odwieziono do Kielc, dla oddania zasłużonych honorów zapalczywemu, ale poległemu z chwałą walecznikowi (hrabrecu)“.

²⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 87. Raport Czengierego, a za nim *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 133, mówi tylko o owych 17, którzy z Płotiewem broń złożyli.

³⁾ Raport Czengierego.

żołnierzy doszedł do wsi Pastórki, tu zażądał podwód¹⁾, i dojechał do Chmielnika, a stąd, dowiedziawszy się o bytności Czengierego w Młynach, tam się udał.

Gdy noc zapadła, Langiewicz ze sztabem wrócił ze swej przydługiej nieco, leśnej peregrynacji do oddziału, jeszcze pełnego dreszczy niedawnego tryumfu. Dowiedziawszy się o tem, co zaszło, wygłosił patetyczną mowę do otaczających, winał zwycięstwa, i kazał je zaraz opublikować całemu wojsku. Drobnym ten, ale krwawy epizod tego, pełnego niespodzianek dnia, podniósł znacznie ducha w oddziale, i gdyby go było można jeszcze nakarmić i dać mu choć na dwadzieścia cztery godzin odpoczynek pod dachem, możnaby od niego wymagać nowych wysiłków i nowych zwycięstw. Niestety, tego wszystkiego tym znużonym, zgłodzonym, choć niewątpliwie walecznym ludziom, dać nie można było. Z trudnością nawet dyktator zezwolił na rozpalenie ogniska²⁾, koło którego powoli cały sztab się zgro-

¹⁾ Loc. cit. Raport ten powiada, że chłopcy podwody bardzo chętnie (wieloma ochotno) dawali. Wł. Bentkowski, loc. cit. 91, opowiada znowu, że, kiedy z lasu grochowskiego oddział maszerował do Welcza, napotkał próżne wozy chłopskie. „Pytani chłopcy, co tu robili po nocy, opowiadali, że pracowali w polu ze sprzężeniem przed zachodem słońca, kiedy w lesie strzelano; że naraz zaczęli z lasu wybiegać w nieporządku i popłochu Moskale po 8 do 10, zdążając ku Buskowi; że Moskale ci, postrzegłszy ich w polu pracujących, wzięli ich w rekwizycję ze sprzężeniem i wozami, i powiadawszy na wozy, co ich się zmieściło, kazali się co tchu wieźć do Pińczowa; że, zawiózłszy ich tam, wracają teraz z próżnymi wozami do domów“.

²⁾ Jak dalece byli znużeni wszyscy, świadczy opowiadanie Bentkowskiego, loc. cit. 88, o rozpaleniu tego ogniska: „wyszukałem po ciemku parę kosynierów (włóścian mieliśmy nader mało w wojsku naszym), spoufalonych z robieniem ognia w polu i datkiem kilku złotych spowodowałem do próbowania trudnego przedsięwzięcia. Jakoż póty znosili chrósty i gałązki, ocierali je ze śniegu, dmuchali, układali i majstrowali, aż wreszcie wcale niezły zbudowali ogień. Około tego jedyne na cały obóz ogniska skupił się rychło nietylko cały sztab, ale i różni żołnierze, ranni, i wogóle każdy, co się na chwil kilka mógł doń docisnąć“.

madził i sprowadzono jeńców, przy badaniu których panna Pustowojtowa służyła za tłumacza. Uważając ostatni ten oderwany epizod walki za dalszy ciąg ataków Czengierego, nie chciano wierzyć twierdzeniom jeńców, że było ich tylko dwie kompanie¹⁾, że armat nie mieli wcale; a gdy

¹⁾ Jeńcy utrzymywali, że ich było „dwie rotę strzeleckie“ (Bentkowski, 86), a zatem okazuje się, że w ostatnim starciu obie kompanie Zagriażskiego wzięły udział. Potwierdza się to jeszcze innymi danymi. Gdy Langiewicz udał się do lasu na swój tajemniczy rekonesans, dały się słyszeć sygnały trąbki, które Leniecki, jakżeśmy to w tekście wspomnieli, obecnym tłumaczył. Otóż wyraźnie on mówił, że taki a taki sygnał znaczy: „czwarta kompania strzelecka rozsyp się w tyraliery“. a taki: „trzecia kompania strzelecka idź w pomoc“ (Bentkowski, 84). Wprawdzie Zagriażski według raportu Czengierego, miał ze sobą siódmą kompanię liniową i trzecią strzelecką pułku Smoleńskiego piechoty, czwartej zaś wcale nie miał, ale to nie podaje w wątpliwość głównej rzeczy, to jest, że dwie kompanie brały udział w walce. Wł. Bentkowski, który opowiada o owych sygnałach, mógł się przesłyszeć, albo zapomnieć, pisząc w trzy lata później swe pamiętniki, o jakich kompaniach mówił Leniecki; zapamiętał jednak wybornie, że sygnały wzywały do walki dwie kompanie. Wierzbinski (Wyprawy wojenne, loc. cit. I, 159 i n.) ciągle mówi o dwóch rotach pułku Smoleńskiego: siódmej i ósmej, ale mógł także zapomnieć, że nie ósma, tylko trzecia tam była. W każdym razie, według niego, było ich dwie. Jeszcze jedna kombinacja. Czengier idąc pod Grochowiska miał, według swego raportu, razem z Bentkowskim, Jabłońskim i Zagriażskim, 14 kompanii piechoty; nazajutrz d. 19 marca w Młynach, jak to sam powiada, ma ich trzynaście. A ponieważ trzecia kompania została wczoraj w lesie rozbita i rozbitki powoli się ściągali, więc w Młynach powinien był mieć tylko 12 kompanii. Jeżeli więc miał ich 13-ie, to musiała się tam znaleźć także owa kompania, jakoby zostawiona przez Zagriażskiego przy taborze w Busku. Tymczasem o sprowadzeniu tej kompanii do Młynów niema nigdzie śladu i nie mogło go być, gdyż ona wyruszyła z innymi z Buska i razem z dragonami przybyła do Młynów. Prawdopodobnie więc Zagriażski pierwotnie miał zamiar zostawić ją przy taborze w Busku, ale potem namyślił się i pchnął ją do lasu, oddawszy tabor pod opiekę kozaków. Wierzbinski, loc. cit. 158, wspomina, że jazda Nowaka wykonała przed atakiem kosynierów szarżę na furgony rosyjskie i w tej szarży jakiś Węgier zginął. Okazuje się więc, że i tabor Zagriażskiego wyszedł z Buska i po-

jeszcze Langiewicz skombinował, że właśnie z temi kompaniami miał do czynienia w Staszowie i gdy jeńcy uparcie utrzymywali, że tam nikt z pomiędzy nich nie zginął, a tylko siedmiu było rannych, zniecierpliwił się, nazwał to wyuczoną lekcją, kłamstwem oczywistym i kazał im iść precz ¹⁾.

Odąd zaległa cisza w obozie powstańczym. Z zapadającymi w półsen szeregami polskimi skończył się ostatni akt tego dziwnego starcia, które, stanowiąc punkt zwrotny w dziejach powstania, nie przyniosło obu stronom ani chwały, ani zaszczytu. Czengiery, mając siły jeżeli nie równe, to przynajmniej nie o wiele niższe od Langiewicza, przewyższający go jednak doskonałością broni i wyćwiczeniem wojennym, otoczywszy las grochowski dokoła, nie tylko nie rozbił doszczętnie korpusiku polskiego, ale wyszedł ze starcia, śmiało rzec można, pokonanym i ze znacznymi stratami. Z niepojętą lekliwością zatrzymał się u skraju lasu i obsypując go pociskami, nie śmiał doń wkroczyć i przez kilka godzin z rzędu, mając sześć dział dalekonośnych, ucierał się z garstką żuawów Rochebruna. W końcu, ku wieczorowi, jak zapewniają jednozgodnie relacje polskie, o mało tych dział nie postradał, co zresztą potwierdzają pośrednio historycy rosyjscy, mówiąc, że „z trudem uprowadził swe armaty“ ²⁾, i przerażony śmiałością polskiego ataku, cofa się, nic nie zdziaławszy, najprzód do Galowa, a potem jeszcze dalej, aż na szosę Chmielnicką, do Młynów. Rezultatem tego niewczesnego odwrotu, który stara się wytłumaczyć w swym raporcie zamiecią śnieżną, jest krwawa klęska, jakiej ofiarą pada kolumna Zagriażskiego, który najpóźniej wszedł na linię bojową i nieostrożnie znalazł się wśród tłumów powstańczych. W działaniach rosyjskich uderza taki brak spójności, taki jakiś an-

suwał się brzegiem lasu. Niewątpliwie więc w owym końcowym starciu obie kompanie rosyjskie brały udział.

¹⁾ Bentkowski, loc. cit.

²⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 133.

tagonizm dowódców, że, kiedy Zagriażski prosi przechodzącego Sorniewa o pomoc, ten mu jej odmawia, a Bentkowski, który w chwili ataku kosynierki na trzecią kompanię pułku Smoleńskiego przechodzi zachodnim brzegiem lasu ¹⁾ i niewątpliwie słyszy wrzawę krwawej walki, nie zatrzymuje się wcale, tylko obojętnie idzie dalej. Jabłoński, prażący las od strony Bogucic, nie uważa za stosowne uwiadomić o swem przybyciu Czengierego i tej to przyczynie przypisują historycy rosyjscy niepowodzenie owego dnia; zapominają wszakże o tem, że sam Czengier miał dosyć sił na to, by śmiałym, rdzennym atakiem rozbić zupełnie korpusik Langiewicza. Jednem słowem cała akcja rosyjska w owym dniu nosi znamiona takiego niedołęstwa, takiej widocznej złej woli, że jej niepowodzenie należy przypisywać może nie tyle nieudolności wodzów, ile raczej innym, politycznego charakteru obrachowaniom...

Ze strony polskiej niemniej nieudolnie był prowadzony bój, choć ocala tę nieudolność parę rysów heroicznego męstwa. Jeżeli nie znać wogóle w całym przebiegu starcia jakiegokolwiek kierunku, którego być nie mogło, gdyż wódz naczelny przez trzy czwarte czasu nie znajdował się wcale na placu walki, to trzeba oddać hołd bohaterstwu oporowi żuawów, którzy we trzysta bagnietów stawiali przez kilka godzin czoło przeważnemu co do liczby nieprzyjacielowi, a nawet zmusili go do śpiesznego z armatami odwrotu. Jeżeli główna kolumna powstańcza w początkach starcia, pod gradem pocisków działowych, okazała karygodną płochliwość, to później ocaliła sławę męstwa polskiego rzeźkim i dzielnym atakiem na kompanie Zagriażskiego. Niemniej energiczny miał być opór straży tylnej pod wodzą Czachowskiego, acz szczegóły tej odosobnionej walki nie są znane. Bądź co bądź, powstańcy wytrzymali długi, kilkugodzinny bój; atakowani ze wszystkich stron nie opuścili stanowiska i nieprzyjacielowi czę-

¹⁾ Loc. cit.

ściową klęskę zadali. Straty obustronne nie są dokładnie znane, zdaje się jednak, że nie musiały być znaczne¹⁾.

Leżało teraz przed Langiewiczem pytanie: co robić? Oczywiście nie innego, jak wykonywać dalej plan, powzięty poprzednio, i odpocząwszy nieco, korzystać z nocy i forsownym marszem rzucić się w góry Świętokrzyskie. Tak samo jak wczoraj, mógł pięknym ruchem flankowym obejść Czengierygo, liżącego się w Młynach, wydobyć się za Chmielnik, gdzie już poczynąły się wielkie kompleksy lasów, ciągnących się aż po sam św. Krzyż. Ale Langiewicz nie nie mówił o swych zamiarach. Oddział był głodny, znużony i teraz drzemał niezdrowym snem na mokrym śniegu wśród głuchego boru, w jak najgorszym usposobieniu ducha. Nagle dyktator otrzymał wiadomość, że Czengiery zatarasował się na noc w Galowie (wiemy, że poszedł dalej, do Młynów), że w Welczu nikogo niema i zadecydował, że „pomaszzerujemy na noc do Welcza”²⁾. Ruch taki był najwyraźniejszym zaniechaniem pierwotnego planu przetrzucenia się w góry Świętokrzyskie; marsz do Welcza oddalał korpusik polski od tych gór, miał kierunek południowy i świadczył najwyraźniej, że myśl powzięta w peregrynacyi leśnej dzisiejszej, a może wcześniej, udania się do Galicyi, tkwiła w głowie dyktatora i począł ją teraz wykonywać. Zgromadzono więc z wielkim trudem sennych, zziębniętych ludzi i koło godziny 11-ej lub 12-ej w nocy

¹⁾ *Bentkowski*, loc. cit. opowiada, że widział się w jakiś czas później z księdzem z Buska, który twierdził, że w kilka dni po bitwie zebrano trupy w różnych stronach lasu i że ich było pięćset siedmdziesiąt kilka. Ponieważ wszystkie zwłoki były nagie, trudno było odgadnąć ilu wśród nich było Polaków, a ilu Rosyan. Mniej więcej taką cyfrę (525) podaje *Wierzbński*, loc. cit. 163. na podstawie raportu gminy weleńskiej i buskiej, choć raportowi temu nie bardzo wierzy i swój, na kombinacjach oparty rachunek przytacza, który oczywiście, niema żadnej wartości historycznej. Czengiery oblicza swe straty na 15 zabitych i 30 rannych, ale czyż można wierzyć raportom jenerałów rosyjskich? *Jeziorański*, loc. cit. II. 255, że na polu bitwy leżało przeszło 200 zabitych i tyleż rannych powstańców.

²⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 90.

dowleczono się do Welcza¹⁾. Sztab z dyktatorem, jak zwykle, umieścił się w dworku dzierżawcy, wojsko zaś, jak mogło, po chałupach, stodołach, pod płotami rzuciło się do ciężkiego, kamiennego spoczynku. Pomimo nalegań szefa Bentkowskiego, nie rozstawiono ani pikiet, ani placówek, tak wszystkie więzy w tej gromadzie zbrojnych się rozluźniły, tak wszelka karność wojskowa znikła, tak dalece (powiedzmy to na ich obronę) znużenie i wyczerpanie fizyczne i moralne wzięło górę nad poczuciem nawet bezpieczeństwa osobistego. Gdyby ci ludzie mogli choć parę dni odpocząć, nakarmić się, odetchnąć spokojnie, z pewnością byliby zdolni do nowych walk, nowych trudów i poświęceń, ale teraz żadna siła ludzka nie z nich wydobyć nie była w stanie. Welcz przytem ani takiego spoczynku, a nadewszystko żywności dać nie mógł. Po wczorajszej bytności w nim korpusiku Langiewicza, bawili tu kozacy i piechota rosyjska i wyjadła z kretesem wszystko, co jeszcze było we wsi. Dzierżawca, zabrawszy żonę, konie i kosztowniejszy dobytek uciekł, zostawiając dworek pusty i zupełnie ogołocony. Nawet woda ze studni tak była wybrana dla koni, że sztab nie mógł sobie herbaty ugotować. Kilka izb dworku przepelnionych było rannymi i wszystkimi

¹⁾ W czasie tego marszu zaszedł epizod, który tak opowiada *Bentkowski*, loc. cit. 90: „Kiedyśmy już prawie do Welcza dojeżdżali, postrzegliśmy na prawo ode drogi, dość mocne światło. Langiewicz zaintrygowany coby to było, polecił, żeby paru ułanów podjechało i zobaczyło, co się tam świeci. Żaden ułan nie chciał wszelako próbować już tej wycieczki po ciemku i po bezdrożach, składając się pomęczeniem głodnych i niepojoyonych koni, które rzeczywiście prawie upadały. Adjutanci też nie chcieli z tych samych powodów; znalazł się wreszcie jakiś gorliwy gwałtygier, który wypełnił życzenie (bo już o rozkazach prawie mowy nie było) dyktatora. Wróciwszy po niejakiem czasie, zaraportował, że to jest karczma na wzgórzu, i że w tej karczmie i dokoła niej stoją dragony rosyjskie z rozkiełzanymi końmi i grzeją się przy małym ogniu. Rzucił ktoś myśl, żeby ich obkoczyć i zabrać do niewoli, ale że już wcale nie było amatorów do takiej imprezy, a rozprężenie wszelkiej karności i spójni wojskowej aż nadto było widoczne, myśl więc natychmiast upadła. Karczma ta mogła być o wiorstę lub półtorej od Welcza“.

tymi, którzy zziębnięci lub chorzy pragnęli się dostać do ognia. Nad ludźmi tymi, wśród ponurej nocy marcowej, unosił się duch niewypowiedzianego zniechęcenia i przygnębienia.

Langiewicz siedział w ostatniej izdebce, w której pokotem na podłodze spało wielu powstańców. Przy stole, na którym paliła się nędzna świeczka łojowa, odbywał on ciągle narady z Jeziorańskim, Waligórskim i Borzysławskim. Myśl usunięcia się dyktatora do Galicyi, pochodziła, zdaje się, od Jeziorańskiego, którego zawiedziona ambicya i zawzięcie dręczyć nie przestawała i który bądź co bądź pragnął obalenia znienawidzonego sobie Langiewicza. Jeziorański, nie bez pewnych pozorów słuszności, radził więc, aby dyktator obóz opuścił, udał się do Krakowa, tam urządził sprawy dyktatorskie, a potem, żeby jeździł z prowincyi do prowincyi, z obozu do obozu, żeby wszędzie swą obecnością podnosił i ożywiał ducha¹⁾. Ta rola żyda wiecznego tułacza nie podobala się zupełnie Langiewiczowi i już w lesie grochowskim odrzucał ją stanowczo, a Jeziorański i Waligórski okazywali wówczas swe zrozpaczone miny, które szef Bentkowski zauważył. Teraz oczywiście w pustym dworku weleckim, przy migotliwym blasku świeczki łojowej, przy wielkich cieniach tłukących się po kątach, przy ogólnem zgnębieniu i zniechęceniu, Otello powstańczy znów tę myśl podnosił, a popierany przez Waligórskiego, wynajdywał liczne argumenta jej konieczności²⁾. Wreszcie Langiewicz, na którego duszę musiało oddziaływać ogólne usposobienie wojska, który wreszcie, maszerując do Wełcza, wyraźnie tą myślą się kierował, koło godz. 2-iej w nocy³⁾, zwołał do swego pokoiku radę wojenną, w której wzięli udział jenerałowie: Jeziorański i Wa-

¹⁾ A. Giller, *Historia I*, 232.

²⁾ Jeziorański w swych pamiętnikach udaje, że nic nie wiedział o tych zamiarach, jakoby w głowie Langiewicza powstałych. Ale kilkakrotnie już wykazaliśmy, jak dalece te pamiętniki są kłamliwe i bałamutne.

³⁾ „Wiadomości z pola bitwy“ No 7, mówi, że o 12-iej w nocy.

ligórski, pułkownik kawaleryi Ulatowski, podpułkownik Borzysławski i szef sztabu Bentkowski¹⁾.

Naradę tę rozpoczął Langiewicz²⁾ od przemowy, że pragnie usłyszeć zdanie obecnych w krytycznem położeniu, w jakim się oddział pomimo zwycięstwa pod Chrobrzem i Grochowskami znajduje. Określając bliżej to położenie, powiedział, że powstańcy ze wszystkich stron są przez nieprzyjaciela otoczeni, że niepodobna rekwirować w okolicy niezbędnego furazu i żywności, że tabor z zapasami tej ostatniej i częścią amunicyi przepadł pod Chrobrzem i Grochowskami, że według raportów dowódców piechota prawie wcale ładunków nie posiada, że to, co ten i ów jeszcze ma, ledwie na dwa strzały na żołnierza wystarczy; że wprawdzie jest jeszcze jeden wór z prochem i ołowiem, ale trzeba czasu i miejsca, żeby z tego ładunki porobić; że ludzie i konie są nadzwyczajnie pomęczeni i zgłodniali; że intrygi Mierosławczyków nie przestają nurtować wśród wojska; że nakoniec wie z dobrego źródła, iż oprócz nieprzyjaciela, który wisiał nad obozem, z Radomia wyruszyła dwadzieściosięci tysięczna dywizya Urusowa³⁾. Jakkolwiek

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 96. Jeziorański utrzymuje, że na tej radzie zasiadał także Tomasz Winnicki, co nie jest prawdą. Bentkowski, loc. cit. 102 wyraźnie powiada, że Winnicki „bardzo niechętnie przyjął wiadomość o wyjeździe dyktatora“; stało się to więc później, już po odbytej radzie wojennej. Na str. 102 dodaje: „Langiewicz uprzedził jeszcze p. Tomasza (Winnickiego), Tomczyńskiego i kilku innych, aby konie gotowali, bo pojedą z nim na rekonesans“. Nie mówiono więc im o istotnym celu wyjazdu, dowiedzieli się o tem później dopiero, stąd prosty wniosek, że Winnicki nie mógł brać udziału w radzie wojennej.

²⁾ Jeziorański, II, 259, twierdzi, że na sesyi tej „Langiewicz był zmęczony, z wyrazem zniechęcenia na twarzy“ i mówił głosem przytłumionym. Tego zniechęcenia Bentkowski nie zauważył. Że Langiewicz mógł być zmęczony, to nic dziwnego; że mówił głosem stłumionym, to dlatego zapewne, by w sąsiednim pokoju, gdzie mnóstwo różnych osób się kręciło, rozmowy nie słyszano. Wreszcie w tym samym pokoju spało pokotem wielu gwałtygierów.

³⁾ Bentkowski, loc. cit. 97. Jeziorański, II, 260, obyczajem Liwowskim przytacza jakoby dosłownie tę mowę Langiewicza i oczy-

ta ostatnia wiadomość była fałszywą, przecież obraz, narysowany przez dyktatora, był zanadto ciemny i rozpaczliwy, by nie wzbudził w obecnych poważnej obawy. Zapanowało chwilowe milczenie, które ktoś z będących na radzie przerwał, proponując, że: ponieważ od strony granicy galicyjskiej niema nieprzyjaciela, należy więc tam pomaszerować, zająć podobną jak w Goszczy pozycję, i mając tym sposobem bezpośredni związek z Krakowem i Galicyą, zaopatrzyć się w żywność i amunicję, odpocząć, poodsyłać chorych i rannych, zreorganizować się, a potem działać w miarę okoliczności. Ale Langiewicz stanowczo odrzucił tę radę, mówiąc i słusznie, że w obecnym usposobieniu wojska byłoby takie osadzenie się nad kordonem hasłem do koniecznego salwowania się za granicę. Wszyscy uznali tę uwagę i projekt powyższy upadł. Wtedy Langiewicz zwrócił się do Jeziorańskiego, który rozpoczął od słów: „ja mogę powtórzyć to, com już mówił“, co dowodziło, że w tej kwestyi poprzednio już z dyktatorem rozmawiał. Radził więc, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, żeby korpusik podzielić na drobne oddziały, żeby dyktator w żadnym z tych oddziałów nie miał stałego pobytu, ale żeby przenosił się z miejsca na miejsce w miarę potrzeby i okoliczności. Zdanie to poparł gorąco Waligórski¹⁾. Ulatowski był przeciwny podziałowi korpusu, radził ze szlachką fantazją, by z całą siłą pomaszerować na Kielce, które łatwo będzie zdobyć, bo „tam nie masz tak wielkich sposobów obrony“. Wszelako ten dziwaczny projekt wobec

wiecie kłamliwe. Twierdzi np. że dyktator mówił: „siły oddziału znacznie się zmniejszyły przez oddalenie się pułku piechoty Czachowskiego i kawalerii Czapskiego“. Jest to fałsz. Nikt wtedy w Welczu nie wiedział o tem jeszcze, że Czachowski i Czapski się oddalili; owszem Langiewicz przekonany był, że się znajdują na miejscu, bo w swych rozporządzeniach im oddawał część dowództwa.

¹⁾ Jeziorański, loc. cit. II, 260, twierdzi, że Langiewicz oświadczył, że postanowił opuścić oddział, że Winnicki temu się opierał, ale „głosy sztabowców Langiewicza zagłuszyły go“; że on, Jeziorański, nie się na tej radzie nie odzywał i t. p. kłamstwa. Winnicki i sztabowcy w radzie tej udziału wcale nie brali.

zniechęcenia żołnierzy, braku żywności i amunicyi, z Czen-gierem na karku, nie był brany nawet pod dyskusję. Z kolei zapytany szef sztabu Bentkowski oparł się projektowi odjazdu dyktatora, motywując swój pogląd tem, że taki odjazd wobec stanu ducha oddziału, będzie hasłem do rozejścia się lub ucieczki do Galicyi; że taki odjazd wódza będzie miał w sobie „coś wstrętne“, że to da nieprzyjaciółom dyktatora pohop do zdyskredytowania go. Langiewicz na to odrzekł, że nigdyby wojska nie opuścił po przegranej, ale teraz, gdy odniesiono dwa zwycięstwa, podział korpusu na oddziały partyzanckie, odjazd dyktatora na inny teatr wojny dla załatwienia mnóstwa naglających spraw, nie może mieć pozorów niekorzystnych ani wobec wojska, ani wobec świata. Po krótkiej jeszcze dyskusyi, Langiewicz zamknął ją oświadczeniem, że podzieli korpusik na trzy lub cztery oddziały partyzanckie, które zaraz w różne strony wyruszą, starając się prześliznąć między nieprzyjacielską oblawą; on zaś sam uda się incognito do Krakowa na trzy lub cztery dni dla uregulowania stosunków rządowych, tak wojskowych jak i cywilnych, poczem puści się na teatr wojny w Lubelskie lub Kaliskie¹⁾. Na tem skończyła się ta rada wojenna, która zupełnie inną fizyognomię miała nadać nietylko samemu powstaniu, ale wypadkom zewnętrznym i losom nieszczęśliwego kraju²⁾.

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 100. Zdaje się jednak, że miał stanowczy zamiar udania się w Lubelskie. Posiadamy w naszych zbiorach relację rękopiśmienną jednego z wybitniejszych w owe czasy ziemian sandomierskich, pana K. R., w której czytamy: „Langiewicz przeszedł za granicę z projektem przeprowadzenia się w Lubelskie, o ile można pod przybranem nazwiskiem. Mówiliśmy o tem często, a że ja, mając tam ówczesnie majątek, znałem dobrze te strony, miałem mu więc towarzyszyć i wszystko o ile można ułatwić. W tym celu uwiadomiony jeden z moich znajomych, nad samą granicą galicyjską zamieszkały, oczekiwał na nasze przybycie“.

²⁾ Taką jest przyjęta powszechnie relacya o naradzie w Welczu i za tą relacyą, kilku świadectwami popartą, poszliśmy. Wszelako w zbiorach naszych znajduje się króciutkie opowiadanie pana C. (podobnie jak pan K. R. ziemianina sandomierskiego), który zgola

Zabrano się teraz co żywo do wykonania zapadłej uchwały. Konieczną było rzeczą, aby dyktator niezwłocznie, przed świtem wyruszył potajemnie z obozu, gdyż w przeciwnym razie wojsko mogłoby go nie puścić i razem z nim przejść granicę. Polecił więc Ulatowskiemu, ażeby w największej cichości zebrał kilkudziesięciu ułanów, mających jeszcze ochotę i siły, i żeby o godz. 5-ej rano byli gotowi; że dyktatora odprowadzą do granicy, a potem wrócą do którego z oddziałów. Potem zapytał obecnych, czy nie życzą sobie objąć dowództwa nad mającemi się utworzyć partjami, ale żaden z tych panów nie okazywał do tego ochoty. Waligórski oświadczył, że chce w Olkuskim formować powstanie; Borzysławski, że przygotowuje wyprawę na Podolu galicyjskiem; Bentkowski, że nie czuje w sobie sił i zdolności do drobnej wojny partyzanckiej po lasach i t. p. W takim stanie rzeczy dyktator zdecydował, że ma być korpusik podzielony na dwie części, a dowództwo nad niemi oddane dwu najstarszym oficerom, t. j. Śmiechowskiemu i Czachowskiemu¹⁾. O Rochebrunie nie mogło być mowy, gdyż Francuz ten, czując, co się święci, a może ostrzeżony przez kogo, zażądał urlopu i wyjechał z Welcza.

inne uchwały rady weleckiej podaje. Twierdzi on mianowicie, że „na radzie wojennej w Welczu zdecydowano, że prowadzenie powstania w warunkach, w jakich było, jest szaleństwem, z którego, jak to dwumiesięczne doświadczenie wykazało, same tylko klęski dla kraju wyniknąć mogą; a zważywszy na różne żywioły, jakimi cały obóz był zdemoralizowany, inaczej jak przez tajemne wyjście za granicę dyktatora ze sztabem, zakończyć go niepodobna“. Z tego wynika, że odjazd Langiewicza miał na celu zakończenie powstania. Notujemy i tę wersję, która jest bardzo może prawdopodobną, ale żadnym dowodem nie popartą.

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 100, powiada, że „Langiewicz zdecydował, żeby podzielić armię na trzy odrębne oddziały partyzanckie i oddać je pod dowództwo... Czapskiemu, Śmiechowskiemu i Czachowskiemu“. Pod tym względem Bentkowski się myli. W rozkazie dziennym, wydanym w Welczu do wojska, Langiewicz wyraźnie mówi: „podzieliłem korpus na dwie części, każdej dałem wypróbowanego dowódcę“.

do Krakowa¹⁾, mianowany na wyjeźdnem przez Langiewicza generałem brygady. Posłano natychmiast po owych dowódców z rozkazem, ażeby się stawili w kwaterze głównej. Dyktator tymczasem zabrał się do pisania rozkazu dziennego do maleńkiej swej armii, który miał być ogłoszony po jego wyjeździe, oraz do redakcyi instrukcyi i poleceń dla Śmiechowskiego i Czachowskiego²⁾. W rozkazie dziennym Langiewicz starał się usprawiedliwić powody swego odjazdu, tłumaczył, że „urząd jego dyktatorski“ wymaga załatwienia wielu spraw cywilnych i wojskowych, zasilenia innych oddziałów powstańczych i pokierowania ich według jednej myśli; że, jeżeli opuszcza szeregi swych bezpośrednich podwładnych, to robi to po nowem zwycięstwie; że będzie nieobecny tylko przez kilkanaście dni. „Opuszczam obóz (pisał dalej), nie żegnając się z wami, gdyż zamiar mój, aby był spełniony wymaga tajemnicy“; donosi, że zabiera kilku oficerów, „bo wiele hufców powstańczych zostaje bez dowódców“, zabiera 30 ułanów, którzy wrócą do obozu, że dzieli korpus na dwie części, i taką patetyczną kończy apostrofą: „towarzysze broni! wobec Boga i was złożyłem przysięgę, że walczyć będę do ostatniego tchnienia; przysięgi tej nie złamałem i nie złamię. I wy uroczyste zaprzysięgliście posłuszeństwo moim rozkazom i służbę naszej ojczyźnie; i wy przysięgi nie złamiecie. W imię Boga i ojczyzny walczyć będziemy dalej, dopóki nie wywalczymy wolności i niepodległości ojczyzny“³⁾. Po ukończeniu tych czynności, doniesiono, że Czachowskiego po nocy odszukać się nie udało, więc dyktator wręczył Śmiechowskiemu powyższy rozkaz dzienny i instrukcyę dla obu dowódców, równie jak pie-

¹⁾ „Otrzymał osobne zlecenie“, wyraża się dyplomatycznie relacya w No 7 „Wiadomości z pola bitwy“.

²⁾ Bentkowski, loc. cit. 100.

³⁾ Rozkaz ten czytać można w całości w „Wiadomościach z pola bitwy“ No 7.

niądze dla każdego z oddziałów¹⁾, polecając Śmiechowskiemu, ażeby skoro świt odnalazł Czachowskiego i to, co doń należy, poddawał, przyczem udzielił mu ustnie różne rady i polecenia.

Wreszcie, gdy już świtało, około godz. 6-ej rano wyruszono ze wsi w kierunku południowym. Hufiec składał się z 35 do 40 koni, t. j. z kilkunastu ułanów pod dowództwem młodego rotmistrza Dobrzańskiego a zwierzchniem naczelnictwem pułkownika Ulatowskiego, z dyktatora i jego czterech adjutantów, z jenerałów: Jeziorańskiego i Waligórskiego i z ich adjutantów, z pułkownika Borzysławskiego, z intendenta Winnickiego, z panny Pustowojtow²⁾, Bentkowskiego³⁾ i kilku gwałtygerów. Uradzono

¹⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 101, powiada, „zdaje mi się po kilkaset rubli na każdego“. *Jeziorański*, loc. cit. II, 262, utrzymuje, że Śmiechowskiemu zostawił Langiewicz tylko 150 rubli, i że ten zwrócił mu uwagę, iż „za parę dni należy się żołnierzowi żołd wypłacić, a oddział liczył wówczas jeszcze około 3000 ludzi(?)“, że „na ten cel przykazał mu Langiewicz kasy moskiewskie zabierać i temi pieniędzmi żołd wojsku wypłacić“; przyczem pamiętnikarz dodaje z ironią: „niestosowne w każdym razie było takie polecenie ze strony Langiewicza, bo kiedy i gdzie jakie moskiewskie kasy zabrał Langiewicz?“ Całe to opowiadanie jest mocno podejrzanem. Bentkowski, w którego obecności (wyraźnie powiada na str. 101: „w mojej obecności“) Langiewicz dawał Śmiechowskiemu pieniądze i instrukcje, nic o tem wszystkim nie wspomina.

²⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 101, opowiada: „ja, widząc drzemącą w średniej stancyi Pustowojtównę i przewidując, że marnie przypadnie zostawiona z tymi trzema mniemanymi partyzantkami oddziałami, zbudziłem ją i powiedziałem tylko: „gotuj się, moje dziecko, do drogi, nic nikomu nie mów i trzymaj się osoby dyktatora; zresztą on sam ci może co powie“. Pustowojtówna nieco przerażona i zdziwiona, odpowiedziała tylko: „jako! dyktator odjeżdża? to źle“.

³⁾ Bentkowskiemu skradziono w nocy w Welczu burkę, a że mu w drodze w kurtce barankowej było zimno, więc Langiewicz kazał mu dać kołdrę „włóczkowej roboty damskiej, w różnokolorowe kwadraty i desenie, podbitą amarantowym floranssem, jak się później pokazało, pochodzącą z Chrobrza i zapewne roboty samej pani margrabiny“. W tę kołdrę Bentkowski obwinął się nakształt hiszpańskiego płaszcza i wyglądał jak jaki dowódzca cygański.

przytem, żeby dla niezwrócenia uwagi kręcących się koło kwatery głównej powstańców, mówić głośno, że dyktator przed świtem na rekonesans wyjeżdża. Ranek d. 19 marca był pogodny po wczorajszej śnieżycy, ale mroźny; orszak cały poprzedzała szpica ułańska jak również z tyłu i ekle-rery po bokach. Dyktator z panną Pustowojtów jechał na wózku¹⁾, reszta konno. W ten sposób koło godz. 9 lub 10 rano dobito się do Wiślicy, gdzie na rynku zatrzymano się dla wytchnienia koniom i posilenia się nieco. Żydzi miejscowi, widocznie nie bardzo zadowoleni z tego przedłużającego się nieco pobytu, puscili pogłoskę, że „Ruski idą!“ Na wieść o tem, żydówki głośno lamentując, zaczęły z pośpiechem unosić swe stragany z kukielkami, drzwi i okiennice z trzaskiem zamykać, wrzeszczeć i krzyczeć, wywołując w całym mieście popłoch szalony, który powoli udzielił się eskortie dyktatora. Wielu z ułanów zaczęło uciekać, aż dopiero Bentkowski i inni z rewolwerami w rękach zatrzymali tchórzów i uszykowali ich jak należy. Zaraz też wyruszono drogą do Opatowca²⁾. Około południa, o pół mili od tego miasteczka, zatrzymano się w jakimś dworku dzierżawcy, tuż przy drodze. Tutaj dowiedziano się, że wczoraj wieczorem przejeżdżał tędy jenerał Czap-

¹⁾ *Jeziorański*, loc. cit. II, 269. *Berg*, *Zapiski* III, 52.

²⁾ *Jeziorański*, loc. cit. II, 264, opowiada, że popłoch w Wiślicy spowodowali nie kozacy, „ale kilkunastu naszej kawalerii, między nimi Leniewski i Włodek, wysłani w pogoń za Langiewiczem, aby skłonić go, gdy sam opuszcza oddział, żeby mnie oddał dowództwo. Wszelkie w tym względzie nalegania, prośby i perswazyje były bezskuteczne, na co wpłynął, nie ulega wątpliwości, sztab, który przez proste podchlebstwo wmawiał w Langiewicza, że, jeżeli już sam nie ogłoszę się dyktatorem, to w każdym razie odmówię mu posłuszeństwa“. Wiadomość w żadnej ze znanych nam relacji i dokumentów nie znajduje potwierdzenia. *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 135, utrzymują, że z rozkazu Langiewicza most na Nidzie pod Wiślicą został spalony. Podanie to, o którym polskie relacje ucieczki dyktatora milczą, historycy rosyjscy zaczerpnęli, zdaje się z raportu Czengierego, ale ten dość wyraźnie mówi, że zrobił to cały oddział powstańców, maszerujący pod Śmiechowskim.

ski, głosząc, że armia Langiewicza została rozbita i rozproszona. Nadszedł także pierwszy raport od Śmiechowskiego z nader smutnemi nowinami. Rozkaz dzienny dyktatora wywarł na wojsko bardzo niekorzystne wrażenie, że żołnierze nie chcą, by ich dzielono, co zresztą jest niemożliwem wobec tego, że Czachowskiego niema w obozie, że wszyscy domagają się, by maszerowano ku granicy¹⁾. W oddziale oburzenie było wielkie, obrzucano Langiewicza obelgami, nazywano go zdrajcą; wołano, że wszystko przepadło, że jest to koniec powstania i t. p.²⁾. Sam Śmiechowski, człowiek dobry i jak najlepszych chęci, ale bez energii i zdolności, nie umiał stawić czoła tej burzy, stracił głowę, narzekał, że mu kazano wojować bez amunicji i furgonów, jednym słowem okazywał zupełną nieudolność. Pod naciskiem powszechnym, wobec doniesień o pojawiających się w lesie grochowskim kozakach, wyruszył z Wełcza w parę godzin po odjeździe dyktatora i pomaszerował do Wiślicy.

Na ten raport dyktator odpowiedział Śmiechowskiemu krótkim i surowym rozkazem, ażeby nie ważył się ciągnąć ku Galicyi, i żeby w inny sposób podzielił dowództwo nad pojedyńczemi kolumnami. Uskuteczniwszy to, zajęto się teraz w owym dworku pod Opatowcem, myślą o przeprawie do Galicyi. Jakiś szlachcic się zjawił i zapewniał, że Austriacy wszystkich swobodnie z końmi przepuszczają, ale broń należy schować i oddać jemu, a on ją potajemnie za kordon przewiezie i każdemu tam odda. Opakowaniem tej broni zajął się Winnicki. Tak przepędzono czas aż do godz. 4-ej po południu i otrzymano drugi raport od Śmiechowskiego, datowany już z Wiślicy, z gorszymi niż pierwszy wiadomościami, że o rozdziale wojska nie ma co my-

¹⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 104. O rozkazie dziennym nie wszyscy wiedzieli, co jest łatwem do pojęcia, ale dziwnem się wydaje, że także nie wszyscy w oddziale wiedzieli o wyjeździe Langiewicza. *Wierzbński*, loc. cit. 164, powiada, że dopiero w Wiślicy się o tem dowiedział.

²⁾ *Ks. S. Szulc*, loc. cit. 119.

śleć, że nieprzyjaciół go naciska, że on musi ogólnemu ulegać prądowi i t. p. Wieść ta przykre wywarła wrażenie i Langiewicz napisał natychmiast własnoręczny rozkaz, zabraniający Śmiechowskiemu pod najsurowszą odpowiedzialnością zbliżać się do granicy galicyjskiej. Rozkaz ten zaraz wysłano¹⁾.

Tymczasem słońce schylało się ku zachodowi, a droga z Wiślicy do Opatowca, przechodząca tuż koło dworku, ożywiła się nagle tłumami powstańców konnych i pieszych, którzy, nie pytając o nic, na własną rękę zdążali ku Wiśle. Nie było już na co czekać. Około godz. 5-ej dyktator siadł na koń i ze swym orszakiem pojechał do Opatowca. O przebyciu granicy incognito, w takim stanie rzeczy, nie mogło być mowy. Przeprawa przez Wisłę, dość w tem miejscu szeroką, była trudna, zwłaszcza że promów brakowało, a tłumy rozbitków rosły coraz więcej i natłok do przewozu był ogromny. Nakoniec Langiewicz znalazł jakąś łódkę i z panną Pustowojtow, ciągle po męsku ubraną, samowtór, mając paszport wydany przez ambasadę szwedzką w Paryżu na imię Waligórskiego i jego syna, przeprowił się nakoniec na brzeg austriacki, gdzie huzarzy węgierscy, rozstawieni wzdłuż rzeki, przyjmowali wszystkich. Opowiadają, że w chwili gdy Langiewicz wychodził z komory w Uściu Solnem z zalegalizowanym paszportem, zbliżył się do niego jakiś powstaniec i salutując po wojskowemu, zawołał głośno: „koni dla dyktatora!“²⁾. Wskutek tego po-

¹⁾ *Bentkowski*, loc. cit. 105.

²⁾ *Lucien Fouque*, *Plus de Pologne* (Paris 1865). *Jeziorski*, loc. cit. II, 265, inaczej to opowiada, że, gdy Langiewicz z zalegalizowanym paszportem wyszedł z biura komory, by się na bryczkę i jechać do Krakowa, zbliżył się jakiś młody człowiek w ubraniu powstańcem i uchylając czapkę głośno powiedział: „a to tu pan dyktator ze swoim adjutantem!“ Podanie to zgadza się do pewnego stopnia z relacją rękopiśmienną, znajdującą się w zbiorach autora niniejszego dzieła. Czytamy tam, co następuje: „Langiewicz przedstawił na komorze austriackiej swój paszport, a gdy go po zawizowaniu oddano mu, jeden z obecnych „uciekierów“, krzyknął głośno do urzędnika komory: „to nie jest Waligórski, tylko Langiewicz,

znany, natychmiast aresztowany przez porucznika huzarów węgierskich Falaya i zaprowadzony pod strażą do Uścia Solnego, gdzie spędził noc, a nazajutrz odstawiony został do Tarnowa.

Wśród tego wszystkiego, gdy tak dyktatura powstańcza sromotnie konała w rękach porucznika huzarów austriackich, nad brzegiem Wisły pod Opatowcem coraz większe gromadziły się tłumy powstańców, a w chwili gdy szef Bentkowski przeprowadzał się przez rzekę promem, przybiegł nad brzeg jakiś brodaty oficer piechoty powstańczej i dobywszy rewolweru krzyczał na całe gardło: „gdzie jest ten gałgan Langiewicz, ten zdrajca, w łeb mu wypalę!“¹⁾, co świadczyło, jak wielkie wśród powstańców panowało na dyktatora oburzenie i jak wszystko się rozprzegło. W rzeczy samej, słaby Śmiechowski nie mógł już poradzić na wychodzącą ze swych karbów zbrojną gromadę. Nie chciano nawet słyszeć o zatrzymaniu się w Wiślicy, maszerowano bezładnymi kupami, wymykano się na bok całymi gromadami i śpieszono ku granicy. Nikt już nikogo nie słuchał, każdy myślał tylko o sobie, zwłaszcza że jazda nieprzyjacielska od czasu do czasu się ukazywała, co w tej gromadzie budziło jedynie popłoch i chęć jak najszybszego

jeśli go pan nie zaaresztujesz, odpowiesz przed swą władzą“. Urzędnik po pewnem wahaniu się, Langiewicza przyaresztował“. *N. Berg*, *Zapiski III*, 54, podaje inną wersję. Twierdzi on, że „fizyognomia dyktatora i jego adjutantów była dobrze znana z fotografii i dlatego podstęp został natychmiast wykryty. Zarządzający komorą, chcąc usunąć wszelkie wątpliwości, zapytał tłoczących się dookoła powstańców: „czy znacie dyktatora?“ — „doskonale, odpowiedziano, dopiero co przeszedł, taki niski“. „Wiadomości z pola bitwy“ No 7, opisują, że Langiewicz „przez niewiadomość i nieostrożność kilku przypadkowo znajdujących się w tem miejscu ludzi, jako dyktator wymieniony, przez austriackie stráže pograniczne przyaresztowany został“. Która z tych wersji jest prawdziwą, nie podejmujemy się rozstrzygnąć. Powszechnie obiegająca wówczas pogłoska uparcie utrzymywała, że Langiewicza w ręce austriackie oddali ajenci Mierosławskiego. Tak twierdzi między innymi *Lucyan Fouque* w swym pamflocie „*Plus de Pologne*“.

¹⁾ *Wł. Bentkowski*, loc. cit. 106.

dostania się za granicę. Ledwie przecie ktoś wpadł na pomysł spalenia mostu na Nidzie pod Wiślicą i postawienia tym sposobem tamy natarczywemu pościgowi nieprzyjaciela.

Istotnie, Czengiery deptał już po piętach rozbitków. Cofnąwszy się po strzelaninie w lesie grochowskim do Młynów, przenocował tam, i dopiero nazajutrz d. 19 marca, o godz. 10-ej rano wyruszył. Tłomaczył to swoje opóźnienie tem, że, jakkolwiek kozackie podjazdy uwiadomiły go, że powstańcy w nocy z lasu grochowskiego pomaszerowali do Welcza, wszelako uznał za stosowne nie ruszać się wcześniej, gdyż karabiny od wilgoci zardzewiały, należało je więc oczyścić i zaopatrzyć żołnierzy w naboje¹⁾. Uskuteczniwszy to, wyruszył do lasu grochowskiego kilku kolumnami z rozkazem zejścia się w Welczu²⁾. Tutaj znów rozłożył się na noc i otrzymał wiadomość od chłopów, którzy podwodami odwozili chorych i rannych powstańców do Wiślicy, że cały oddział Langiewicza pomaszerował do tego miasta, spalił tam most na Nidzie i wyruszył w kierunku Opatowca. Czengiery mając na myśli dalszy pościg widocznie rozprzegającego się korpusiku powstańczego i łatwy nad nim tryumf, całą swą jazdę (3½ szwadrona dragonów i setkę kozaków) oddał pod dowództwo majora Zagriażskiego i wysłał ich o świcie d. 20 marca z Welcza do Wiślicy i Opatowca. Wódz rosyjski przypuszczał, że powstańcy most na Nidzie pod Wiślicą dlatego spalili, by powrócić na brzeg lewy rzeki pod Nowem miastem Korczynem i rzucić się w Stopnickie; przypuszczenie oczywiście tak nielogiczne i wobec otrzymanych wiadomości o rozprzężeniu w wojsku powstańczem tak niemądre, że mogło się urodzić tylko w głowie Czengierego; bądź co

¹⁾ Raport Czengierego.

²⁾ Loc. cit. Opowiada on, że prawie wszystkie trupy w lesie grochowskim znalazł obdarte z ubrania. W rzeczy samej chłopci ze wsi Bogucie zrobili w nocy wielką wyprawę do lasu, wszystkie trupy obdarli, wielu nawet rannych dobili. Później surowo ich za to ukarał Bończa.

bądź, zrobił on tego rodzaju przypuszczenie i dla zapobieżenia takiej ewentualności wysłał lewym brzegiem Nidy do Korczyna majora Jabłońskiego z całym jego oddziałem¹⁾. Zrobiwszy to wszystko, Czengiery na czele swych 9 kompanii piechoty, 4 dział i nieco kozaków, wyruszył d. 20 marca w ślad za powstańcami. Przez Nidę przeprawił się w bród pod Niegosławicami z wielkim trudem, tak że żołnierze musieli wysoko nad sobą trzymać karabiny i ładownice, żeby nie zamokły. Naboje armatnie wydobyto z przodków i kawaleria w rękach je przewoziła; wyloty dział woda zalewała. W czasie tej przeprawy dowiedziano się, że główna kolumna powstańcza przenocowała w Czar-kowy a następnie wyruszyła do Opatowca.

Jakoż istotnie tak było. Śmiechowski nie mógł a może i nie chciał powstrzymać nacisku swych podwładnych, którzy dążyli gwałtownie do Galicyi. Z Wiślicy przywleczono się do wsi Czarkowy, słynnej ze swych kopalni siarki i tu przenocowano. Oddział z każdą chwilą coraz bardziej tajał, jak śnieg na wiosnę. Pojedynczo i całymi grupami opuszczano szeregi, rozłożono się na wszystkie strony. Z Czar-kowy d. 20 marca wyruszone dość późno w straszliwym nieładzie do Opatowca, gdzie rozpoczęła się przeprawa na brzeg galicyjski. Ale promów i łodzi było nie wiele i szło to bardzo wolno, a tymczasem jazda Zagriażskiego, pędząca kłusem, ukazywać się poczęła. Rzucono się więc nie do marszu, ale poprostu, do ucieczki, wzdłuż Wisły, drogą do Koszyc. Śmiechowski, chcąc jako tako osłonić ten nieporządny odwrót, powierzył straż tylną Stanisławowi Wierzbiniowskiemu. Straż ta składała się niby z dwóch batalionów, a właściwie liczyła około 400 ludzi, którzy dobrowolnie się na to ofiarowali i w jakim takim ładzie postępowali za chaotyczną gromadą, uciekającą w popłochu. Do aryergardy tej przyłączyło się około 20 kawalerzystów²⁾. Na szczęście, okolica błotnista, poprzecinana mnóstwem kanałów, stru-

¹⁾ Raport Czengierego.

²⁾ St. Wierzbiniński, Wyprawy wojenne (Polska w walce I, 165.)

mieni i rzeczek, utrudniała pościg jeździe nieprzyjacielskiej. Pod wsią Ławy, na połowie drogi do Koszyc, ktoś powiedział Zagriażskiemu, że most na Nidzicy powstańcy zerwali; Zagriażski, nie sprawdzwszy tej wiadomości, zatrzymał się tutaj na noc, choć w rzeczy samej most nie był zniszczony¹⁾. Czengiery z piechotą zanocował w Opatowcu. Tutaj doszła do niego wiadomość, że Langiewicz z panną Pustowojtow przeprawił się do Galicyi, i tam przez władze austriackie został przyaresztowany. Wódz rosyjski, chcąc się przekonać o prawdzie tego doniesienia, wysłał swego oficera sztabowego, barona Fitinhofa na brzeg galicyjski, na tamtejszą komorę austriacką. Fitinhof spotkał tu już dość silne oddziały jazdy i piechoty austriackiej z komisarzem wojskowym na czele, który go objaśnił, że Langiewicz z panną Pustowojtow w rzeczy samej wczoraj wieczorem został aresztowany i pod strażą odesłany do Tarnowa²⁾.

Śmiechowski maszerując ciągle, dotarł późnym wieczorem do Nowego Brzeska. Wierzbiniński, dowodzący strażą tylną, mając aż do Ław na karku jazdę nieprzyjacielską, nie mógł tak pośpieszać jak główna kolumna, i gdy podbiegł do jej czoła, by ją zatrzymać, żołnierze z bagnetami rzucili się na niego; szczęściem nadjechał Śmiechowski i kazał wolniej się posuwać. W Nowym Brzesku odpoczęto godzinę, posilono się nieco tem, co patryotyczne drobne mieszczaństwo zniosło na rynek, poczem zaraz wyruszone do Igołomii. Gdy tutaj oddział d. 21 marca, po całonocnym marszu stanął, liczył już zaledwie 800 ludzi³⁾, zbiedzonych,

¹⁾ Potto, Pochodnyja zapiski loc. cit. No 11, 158.

²⁾ Wierzbiniński, loc. cit. 165.

³⁾ Potto, loc. cit. 161 twierdzi, jakoby na podstawie źródeł urzędowych austriackich, że pod Igołomią przeszło granicę 1200 ludzi, między którymi było 120 kawalerzystów. Pułkownik Stanton w raporcie do hr. Bussel (La Pologne et la diplomatie, 209) co do tego pisze: „nadszedł do Warszawy raport austriacki z d. 23 b. m. (marca), donoszący, że oddział 1300 ludzi z dwoma armatami przeszedł do Galicyi i został rozbrojony; są to zapewne resztki korpusu“.

głodnych, strwożonych niesłychanie. Zatrzymano się nad samą granicą w lesie czernichowskim i tutaj żołnierze po składali broń w kozły, którą na wozach przewieziono do Galicyi. Wszyscy też zaraz przeszli granicę i zostali aresztowani przez gęsto rozstawione placówki huzarów węgierskich i odprowadzeni najprzód do Mogiły, a potem do Krakowa. W Igołomii jednak zostało kilkudziesięciu ludzi, którzy czy nie wiedzieli może o bliskości granicy, czy grozą zdjęci, że tak sromotnie kończy się powstanie, pragnęli bądź co bądź poczekać jeszcze na wypadki, i tutaj rozegrał się ostatni akt tego krwawego dramatu dyktatorskiego. Czengiery wieczorem d. 20 marca wysłał naglący rozkaz spoczywającemu w Ławach Zagriażskiemu, ażeby czasu nie marnował, tylko ścigał nieustannie powstańców. Współcześnie, lękając się, by ci ostatni nie skierowali się na północ kraju, choć obawa ta była zbyt czarna, boć przecie w Miechowie stał Szachowski i mógł wszelkim tego rodzaju usiłowaniom stawić czoło, Czengiery rozkazał Jabłońskiemu, aby niezwłocznie z Korczyna wyruszył do Proszowic. Sam zaś pomaszerował śladem dragonów, którzy od Ław pędzili kłusem. Dopadłszy do Igołomii, zastali owych kilkudziesięciu maruderów, których po krótkim oporze, a nawet wcale nie opierających się, haniebnie wymordowali¹⁾. Za uciekającymi, dragoni z oficerami, którzy nie zauważyli słupów granicznych, oraz kozacy wpadli do Galicyi, i dotarli aż do wsi Kościelniki, gdzie natrafili na patrol austriacki, złożony z 11 szeregowców i oficera, wzięli go pomimo oporu do niewoli, przyczem jeden żołnierz austriacki poległ, i z tryumfem przyprowadzili do Zagriażskiego²⁾. Oczywiście ten z przeprosinami natychmiast ich uwolnił, ale sprawa ta wywołała żywą zamianę not dyplomatycznych, która się na tem skończyła, że rząd

¹⁾ Wierzbinski, loc. cit. 166. Do Tarnowa z Igołomii przywieziono kilkunastu rannych.

²⁾ Nie do Czengierego, jak utrzymują Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 138, gdyż Czengierygo tu nie było.

rosyjski zobowiązał się rodzinie zabitego wypłacać stałą pensję, a oficerów, którzy przeszli granicę, ukarał¹⁾. Inny znów oddział kozacki, przetrząsając las czernichowski, przeszedł także kordon i dotarł do wsi Czulice, gdzie napotkał podchorążego Plotiewa i 17 szeregowców, wziętych do niewoli w lesie grochowskim. Rzecz prosta, że ich zabrał i przyprowadził do Zagriażskiego.

Czengiery tymczasem zatrzymał się we wsi Wawrzeńczycach, gdzie o mało nie stał się pastwą ognia²⁾. Wieszta, oraz inne, jak Rudno, Tropiszów, Igołomia zostały doszczętnie zrabowane i spalone, poczem wódz rosyjski, dowiedziawszy się o ostatecznem zniszczeniu oddziału Langiewiczza, syt tryumfu, chwały i rabunków, wrócił do Kielec. Tu naprzeciw niego wyjechał konno generał Uszakow, któ-

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 138. W raporcie ambasadora angielskiego w Wiedniu, lorda Bloomfielda do hr. Russela z d. 9 kwietnia 1863 r. jest o tem, jak się zdaje, zgwałceniu granicy austriackiej wzmianka następująca (La Pologne et la diplomatie, 249): „wojska rosyjskie w ostatnich czasach kilkakrotnie zgwałciły terytorium austriackie w pościgu za powstańcami i dopuściły się zniewag względem straży pogranicznych. Pewnego dnia, oddział kozaków, ścigając uciekających Polaków, odmówił posłuszeństwa wezwaniu straży austriackiej, do której dał ognia i zabił jednego szeregowca. Kozacy, będąc znacznie silniejsi, wzięli do niewoli oficera, dowodzącego strażą i jego ludzi i ograbiwszy ich, odesłali za granicę do pułkownika dragonów rosyjskich. Oficer ten rozkazał ich natychmiast uwolnić i przeproszał za postępowanie kozaków, ale odmówił wymienienia swego i pułku nazwiska. Mówią, że takie pogwałcenia granicy austriackiej są bardzo częste. Rząd rosyjski okazuje wszelką gotowość do przeprosin i do dania satysfakcyi za te czyny nielegalne; stąd wnioskować można, że są one wyłącznie rezultatem demoralizacyi i niekarność, charakteryzującej obecną armię rosyjską“.

²⁾ Potto, loc. cit. 161, przy tej sposobności twierdzi, oczywiście kłamliwie, że w wielu wsiach pogranicznych, pozakładane były materye palne w drzewa i stodoły, które zapalano przy pomocy lontów. Komu i na co mogło to być potrzebne? Czy wreszcie chłopci, przeważnie nad granicą nieprzyjaźni powstaniu, pozwoliliby na coś podobnego? A może pożar w Wawrzeńczycach powstał z takiego samego powodu jak w Bielinach pod św. Krzyżem?

remu rozkazano aż z Petersburga¹⁾, ażeby osobiście prowadził operacye, ale zaledwie dojechał do Kielc, gdy dowiedział się o ich ostatecznem ukończeniu. Uszakow, wkraczającego w tryumfie do cichego miasteczka, Czengierygo, powitał jako zwycięzcę²⁾. Prowadził on 62 jeńców, 204 karabinów i kilkaset sztuk innej broni, zdobytej na nieszczęśliwej armii dyktatora. Raport jego, pełen przechwałek, ale dość jasno malujący przebieg rzeczy, wydrukowały wszystkie gazety rosyjskie, a Cesarz napisał na nim własnoręcznie, że „pułkownik Czengiery działał energicznie i dzielnie, i za to posunąć go na stopień generała-majora. Wszystkim oficerom podziękować w rozkazie dziennym, a szeregowcom wypłacić po rublu“.

Tak się skończyła kampania Langiewicza, taki miała finał dyktatura powstańcza. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że była ona tak pod względem politycznym, jak i wojskowym, zwłaszcza pod tym ostatnim, kapitalnym błędem. Sam Langiewicz doskonale to rozumiał, gdy pisał: „wiedziałem i publicznie to wypowiedziałem, że Moskwa takie siły zgromadzi, tak często będzie obóz dyktatorski atakować, iż musi go zniszczyć; wiedziałem, że mój tak zaprawny w boju hufiec, tak mozolnie zebrany i utrzymywany, tak zbratany ze mną biedą i bojami, prowadzę na niezawodną zagładę i że moją wojskową reputację skompromituję, bo czemże jest dowódzca, który stracił wojsko? ofiarowałem siebie i wojsko, ażeby całemu powstaniu przyjść w pomoc“³⁾. Wiedział więc dobrze o następstwach, ale mylił się co do tego, że powstaniu przyszedł w pomoc; owszem przez rozbitcie najliczniejszego oddziału, jaki to powstanie kiedykolwiek posiadało, przez swą ucieczkę za granicę, o mało ruchu zbrojnego odrazu nie pogrzebał. Prosty ro-

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 58.

²⁾ Berg, loc. cit. dodaje, że Uszakow potem zbliżył się do dragonów i rzekł: „ci zapewne, jak zwykle, nic nie robili“.

³⁾ Ustęp z listu Langiewicza w dziełku J. N. Janowskiego, Moja korespondencya z ks. Władysławem Czartoryskim, 42.

zum nakazywał unikać tego wszystkiego, coby skupiając uwagę nieprzyjaciela i świata na jedną osobistość, w osobistości tej zamykało niejako wszelkie siły i wszelkie nadzieje tego powstania. Ale był to błąd taki, którego do pewnego stopnia uniknąć nie można było. Jeżeli bowiem dyktatura pod względem wojskowym niesła tylko fatalne i zgubne skutki dla walki o niepodległość, to pod względem politycznym wydawała się ona ówczesnym ludziom konieczną i zbawienną. Skupiając władzę w jednej widomej głowie, wydobywała rządy powstania z rąk osobistości tajnych, nikomu nie znanych, ukrywających się gdzieś po zaułkach Warszawy i nie dających żadnej gwarancji, że losami narodu pokierują dobrze i uczciwie. Było bowiem coś strasznego, coś głęboko przerażającego dla wszystkich ludzi rozumnych i miłujących kraj, że jedno z największych wysiłiń narodowych, stanowiące niejako o jego losach i przyszłości, spoczywało w rękach osobistości, których nikt nie znał, o których nikt nie wiedział, a o których można było przypuszczać, że losy te, na Bóg wie jakie bezdroża zaprowadzą. Zwłaszcza warstwy narodu posiadające, ziemiaństwo, które uważało się, nie bez słusności pewnej, za najbardziej uprawnione do stanowienia o losach ojczyzny, było mocno zrażone dekretem Komitetu centralnego o uwłaszczeniu, dekretem noszącym wszystkie znamiona rewolucyjnego wywrotu i rewolucyjnej bezwzględności. Opierając się na tym dekreście, sądzić można było, że w Komitecie zasiadają rewolucyoniści czerwoni, z podkładką międzynarodówki, gotowi wszystko przewrócić do góry nogami, obalić podstawy porządku społecznego, nie dlatego, by zbawić ojczyznę, ale by swoje zasady i swe teorie w czyn wprowadzić. Dziś wiemy, że tak nie było; że wszyscy ci ludzie, którzy należeli do ówczesnego Komitetu i późniejszych Rządów narodowych, z niewielkim wyjątkiem byli ludźmi czystego i szczerze polskiego serca, i że jedynym celem ich działań, była tylko niepodległość ojczyzny. Ale wówczas ludzi tych nie znano i sądzono o nich z tego, co publicznie za pośrednictwem dekretów

i rozporządzeń mówili. Mniemanie takie o nich było i tem jeszcze usprawiedliwione, że powołali do najwyższej władzy Mierosławskiego, tej dziwnej, tylko w takim stanie społecznej choroby, w jakiej Polska od lat trzydziestu się znajdowała, możliwej osobistości, tego widma czerwonej rewolucyi, szarlatana i kłamcy. Jego niefortunne wystąpienie na Kujawach, pojawienie się w Krakowie, jego intrygi i słowa, budziły poprostu strach i nakazywały wszystkim, którzy myśleli o kraju, zapobiedz nieszczęściu, jakie ten człowiek Polsce mógł przynieść. A przytem rozpoczynająca się akcja dyplomatyczna mocarstw, stawiając nagle powstanie, zrywające się gdzieś w głębi pęsnących puszczy Kampinoskich, na oczach całej Europy, w rzędzie kwestyi najważniejszych, nakazywała, a przynajmniej uważano, że nakazuje wydobyć władzę z rąk nieznanych ludzi, wydarć jej Mierosławskiemu i ucieleśnienie w osobistości widomej, osobistości bez przeszłości silnie zaakcentowanej, a dość zasłużonej, by mogła pokusić się o tę władzę. Takimi były względy polityczne, które nakazywały stworzenie dyktatury. Może nawet wielu dlatego ją popierało, że właśnie pod względem wojskowym niosła ona w sobie zaród niepowodzenia nieuniknionego. Dyktator pokonany, zabity lub wygnany z kraju, kończył powstanie i kładł kres okropnemu nieszczęściu, jakie na Polskę spadło. Wiemy dziś, że wszyscy się w swych rachubach omylili. Dyktatura Langiewicza nie wydarła władzy z rąk nieznanych i tajnych, nie zapobiegła działaniu stronnictwa wywrotu społecznego, nie wpłynęła w niczem na akcję dyplomatyczną, nie zakończyła wreszcie powstania. Jedno tylko zrobiła, że usunęła Mierosławskiego w cień na zawsze...

Bądź co bądź, z jej upadkiem schodziła z krwawej sceny dziejowej, jedna z najlepszych głów wojskowych powstania, jedna z najszlachetniejszych jego postaci. W szarym, wielogłowym tłumie wszystkich późniejszych dowódców i naczelników, nie spotkamy już ani jednego o tak wybitnych zdolnościach militarnych i o tak szla-

chetnym i czystym profilu. W dziejach wojskowości na zawsze pozostaną wzorowym przykładem jego piękne marsze, z góry Świętokrzyskiej pod Staszów, ze Staszowa do Małogoszcza, z Małogoszcza do Słupi, z Marchocic do Antolki, i nakoniec prześliczny, doskonale obmyślany i wykonany ruch flankowy z Chrobrza do lasu grochowskiego. W boju zato nie okazywał on ani inwencji, ani bystrości; odznaczając się wielką determinacją i chłodną odwagą, zwykle nie prowadził żadnej potyczki, będąc prawie zawsze tylko niemym i bezczynnym jej widzem. Niemniej opłakaną była administracja wojskowa w jego oddziale, a nie dbałość o żołnierza doprowadzone do możliwych granic, i temu to w większej części przypisać należy to wycieńczenie, znużenie i zniechęcenie, jakie od Chrobrza owłada żołnierzem, a czego następstwem nieuniknionem była ostateczna, sromotna klęska. Do tej klęski bardzo wiele przyczyniły się także wichrzenia licznych w obozie stronników Mierosławskiego, którzy wyzyskiwali każde niepowodzenie i każde zaniedbanie i luźno spojone wiazadła oddziału jeszcze bardziej rozluźniali. Z tem wszystkiem, powtarzamy, Langiewicz w swej milczącej postawie, otulony dziś mgłą historycznego oddalenia, rysuje się nam najszlachetniej, nosi na sobie charakter wodza ludu, który porwał się do broni dla wywalczenia niepodległości i wyparcia najazdu. Ten młody dyktator nie splamił się żadnem nadużyciem, tak częstem u późniejszych dowódców, żadnym gwałtem, i krwi chłopskiej, którą tak obficie rozlewali owi dowódcy, nie wiele padło na jego ręce, co mu należy uważać za wielką zasługę. Do rzędu zasług zaliczyć trzeba i to także, iż z dyktaturą swoją później na emigracyi i w czasie istnienia powstania, nie nosił się i nie rościł sobie żadnych z tego tytułu pretensyi. Zeszedł ze sceny cicho i już nigdy na widowni polskiej niedoli się nie ukazał.

ROZDZIAŁ VI.

Wojewoda płocki.

Pogłoski. Siły rosyjskie w Warszawie. Posiłki z cesarstwa. Stan umysłów w Rosyi. Korona polska. Misya Adlerberga do Warszawy. Różne projekta co do Polski. Dymisya Ramsaya. Ks. Szachowski i jego kampania z Langiewiczem. Dziwne zachowanie się tegoż. Wiadomość urzędowa o upadku dyktatury. Zachowanie się wobec niej cesarza. Pogłoski w Warszawie. Rozmowa Gillera z Langiewiczem w Tarnowie. Próba wydobycia się na wolność. Langiewicz na Zamku w Krakowie. Misya Petrowa. Internowanie Langiewicza w Tysznovicach. Odezwa Bobrowskiego. Sąd nad Grabowskim. Pojedynki. Intryga ks. Pawła Kamińskiego. Zamach Rochebruna. Śmierć Bobrowskiego. Zameczek. Utarczka pod Przetyczem. Rzeź w Podościu. Zamiary Padlewskiego i opór Zameczka. Połączenie się z jego oddziałem. Plany Padlewskiego. Zabójstwo Dziedzickiego. Wyprawa Wałujewa i Ulianowa. Marsz Padlewskiego do Myszyńca. Starcie pod Myszyńcem. Straty. Marsz do Dąrdżewa. Wyprawa Gorielowa. Napad na Dąrdżewo. Śmierć Rolskiego. Oddział Jurkowskiego i Malinowskiego. Utarczka pod Żenbokiem. Połączenie się z Malinowskim. Przejście Wkry. Pobyt w Koseminie. Marsz do Brudnicy i Nadratowa. Wyprawa Żewachowa. Odwrót Padlewskiego na Szrensk. Utarczka pod Wróblewem i Radzanowem. Wyprawa Drozdowa. Padlewski w Gorzeniu rozpuszcza oddział. Uwagi nad kampanią Padlewskiego. Oddziały Jurkowskiego i Siemieńskiego. Schwytanie Padlewskiego, ostatnie jego chwile i śmierć. Kaliskie. Plan Rudzkiego. Dworzaczek i jego oddział. Klęska pod Dobrą. Oksiński pod Kuźnicą. Grabowska. Starcie pod Wygierzowem. Mielecki i wyprawa na Moskwiną i Dymmana. Utarczka pod Bieniszewem. Postępek Garczyńskiego. Starcie pod Dobrosolowem i Mieczownicą. Śmierć Rudzkiego. Marsz Rogińskiego na Litwę. Potyczka pod Kró-

lowym Mostem. Pobyt w Szereszewie. Napad na Prużany. Oddzielenie się Sagina i Ryłskiego i ich klęska. Marsz Rogińskiego do Pińska. Porażka w Borkach. Rogiński w Turowie dostaje się do niewoli. Uwagi nad jego kampanią. Lewandowski. Atak na szafice pod Woskrzenicą. Zasadzka pod Sycyną. Marcin Borełowski-Lelewel. Plan wspólnego działania z Lewandowskim. Marsz Lelewela i Ćwiciński. Plan ataku tegoż. Potyczka pod Lutą i Hańskiem. Zwycięstwo Lewandowskiego pod Staninem. Niepomyślny atak na Garwolin. Starcie pod Rosą. Lewandowski dostaje się do niewoli. Oddziały Radziejewskiego, Bogdanowicza i Neczaja. Starcie pod Rudką. Schwytanie i śmierć Bogdanowicza. Starcie pod Żalinem i śmierć Neczaja. Augustowskie. Potyczka i śmierć Jastrzebskiego pod Czystą Budą. Zakończenie.

Wiadomość o ucieczce Langiewicza do Galicyi, o rozproszeniu się w części a w części o przekroczeniu granicy austriackiej jego oddziału, o upadku jednym słowem dyktatury, wywarła na społeczeństwo polskie i na W. ks. Konstantego przygnębiające wrażenie. Albowiem sromotne z wielu względów wypadki w Ujściu Solnem, Korczyni i Igołomii, jeżeli, jak sądzić należało, zadawały śmiertelny cios samemu powstaniu, to niemniej obalały mozolnie wzniesiony gmach ambitnych marzeń Wielkiego kniazia rosyjskiego i jego pięknej małżonki, tak chciwie pragnącej korony. Taka bowiem była dziwaczność wypadków, tak się fantastycznie układały ich koleje, że, jeżeli w. książę w styczniu mógł rozpaczać z powodu wybuchu powstania, jeżeli pragnął gorąco jak najszybszego ruchawki stłumienia, to teraz zapewne gorąco się w samotności modlił, by powstanie to trwało dalej i coraz większe przybierało rozmiary. I zanosilo się na to. W Sandomierskiem z łona mrocznych puszczy świętokrzyskich wypłynął na widownię historyczną wódz, który rósł w siłę, nigdzie rozbić się nie dał i nakoniec, dyktatorską uchwyciwszy władzę, oczy świata całego na siebie zwrócił. Wódz ten nawet wszedł w stosunki z w. księciem. Wszak w Staszowie pito zdrowie „króla Konstantego“, a stary Petrow pojechał do Warszawy z listem Langiewicza do namiestnika. Co było

w tym liście, dotąd jest tajemnicą, ale, sądząc z owej uczty staszowskiej, może mówiono w nim o tej koronie, o której śnił i marzył na Zamku warszawskim brat cesarza rosyjskiego.

Rozpoczęta akcja dyplomatyczna w sprawie polskiej, gorące sympatyje okazywane jej przez wszystkie nieomal ludy europejskie, zdawały się zapowiadać bliską wojnę i poważne, tak w cesarzu, jak i w jego otoczeniu budziły obawy. Po Warszawie, w kołach rosyjskich, a oczywiście i polskich, uparcie obiegały pogłoski, że Langiewicz maszeruje na stolicę¹⁾. Nie wątpiono o tem, że z chwilą, gdyby istotnie korpusik powstańczy zbliżył się do Warszawy, to w niej wybuchnie natychmiast powstanie, gdyż żywiołów podatnych do tego nie brakowało. Siły rosyjskie zresztą nie były tam wielkie i słuszenie można było w takim razie obawiać się pogromu. W Warszawie stało bowiem około 15 tysięcy bagnatów, 4200 koni i 1300 ludzi artylerii²⁾, razem przeszło 20.000 ludzi, opartych co prawda o cytadelę. Wzmocnienie tej niewielkiej liczby było niemożliwem, gdyż wszędzie żołnierz był potrzebnym, a rozrzucony na znacznej stosunkowo przestrzeni, wszędzie zagrożony, nie mógł marzyć o posiłkowaniu stolicy. Z Cesarstwa także nie bardzo było co przysyłać. Armia trzymana na stopie pokojowej, nie rekrutowana dawno, złożona prawie z samych kadrów,

¹⁾ *Verstorbene Diplomat, Die polnische Revolution vom J. 1863 (Deutsche Revue z 1893 p. 235).*

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 377 i nast. Wymieniamy szczegółowo te siły: dywizya piechoty gwardyi (pułk litewski, keksholmski, petersburski i wołyński, przecięciowo po 2300 ludzi, razem 9200 dokładniej 9270 bagnatów); batalion strzelców carsko-sielskich (1159 ludzi), trzecia brygada artylerii (782) i pułk dragonów elizawetgradzkich (744 koni), pułk dragonów ekaterynosławskich (742 konie), batalion pułku ładoskiego piechoty liniowej (około 600 ludzi); batalion pułku kostromskiego piechoty (tyleż), batalion pułku halickiego (tyleż), batalion pułku muromskiego (tyleż), batalion pułku mohilewskiego (tyleż) i batalion pułku połockiego (tyleż); kozaków krzyż pułki (No 12, 28 i 39, po 800 koni) oraz dywizyon kozaków kubańskich (275 koni). Artylerya forteczna liczyła 558 ludzi.

zachwiana w swej tęgości przez reorganizację i nurtujące w niej dążności rewolucyjne, nie była ani wielką, ani bitną. Przytem w samej Rosyi położenie było groźne. Stronnictwo rewolucyjne, acz w rzeczy samej, jak to późniejsze wypadki pokazały, bardzo słabe, umiejętnie ukrywało swą słabość i wydawało się pozornie bardzo silnem i bardzo rozpowszechnionem. W tej porze właśnie Hercen ze swym, wydawanym w Londynie „Kołokołem“, stał u zenitu, był niezaprzeczonem bóstwem i apostołem wszystkiej młodzieży rosyjskiej. Im dziwaczniejsze były doktryny, które on wygłaszał, tem łatwiej przyjmowały się w niewyrobionych przez długowiekową cywilizację umysłach. Można śmiało powiedzieć, że liczył on w olbrzymim caracie setki tysięcy wyznawców i uczniów. Szkoły wojskowe, gimnazya, uniwersytety, szkoły techniczne przepełnione były „hercenistami“, którzy, opuszczając mury szkolne, wchodzili w życie praktyczne z teoryami socyalnemi Hercena, częstokroć mocno skażonemi i powywracanemi, do których zapewne sam mistrz przyznaćby się nie chciał. Były to przede wszystkim teorie zupełnego wywrotu społecznego, które z czasem skonsolidować się miały w t. z. nihilizmie, osobliwszej doktrynie, możliwej tylko na takim półbarbarzyńskim i półoryentalnym gruncie, jaki przedstawiała Rosya. Wśród niższych oficerów, młodych urzędników, artystów, dziennikarzy i literatów, znajdowało się mnóstwo „hercenistów“, głoszących pod pokrywką miłości bliźniego i swobody, zniszczenie tego wszystkiego, co stanowiło dorobek społeczny i cywilizacyjny Rosyi. Teorie te, wyznawane skrycie, pod grozą surowej kary rządowej, przekradane z ust do ust kontrabandą, wywierały silny wpływ na opinię publiczną, a nawet na postanowienia rządowe. Weszło w modę potępianie wszystkiego, co rząd robi; niezachwiana pewność, z jaką adepci nowej szkoły twierdzili, że oni jedynie mogą zbawić Rosyę, nie pozostała bez wpływu na ogół. Mówiąc, że wszystko złe się dzieje, budzili w umysłach poczucie blizkiej jakiejś katastrofy, trwogę przed czemś nieznanem i groźnem, przed jakąś straszną rewo-

lucyą, która wszystko, i ludzi i rzeczy do góry nogami wywróci. Wysocy urzędnicy, dygnitarze państwowi, widząc się nieustannym celem wszelkiego rodzaju pocisków i oskarżeń, powtarzanych przez „Koło koła“, wobec grożącej im niepopularności, poczęli kokietować z nową szkołą, skrycie chwalili jej dążności, a nawet w mowach, wygłaszanych na posiedzeniach Rady państwa, myśleli tylko o tem, by zasłużyć na pochwały rewolucyjnego dziennika ¹⁾.

To usposobienie umysłów, ten głuchy ferment w łonie społeczeństwa, nie mógł być i nie był tajnym rządu. Widział on się podminowanym i obawa rewolucji socyalnej w Rosyi była powszechną. Wiedzano o stosunkach kierowników powstania polskiego z Hercenem, dochodziły wieści o zamiarze Bakunina utworzenia legionu rosyjskiego, który miał przeciw despotyzmowi walczyć za wolność, podejrzrywano związki rewolucjonistów polskich z rosyjskimi, i sądzono nawet, że wybuch polski jest pierwszym hasłem wielkiej rewolucji rosyjskiej. Obawiano się przytem o armię. Liczne dezercye oficerów z wojska, stojącego w Królestwie i na Litwie, nieustanne podawanie ich się do dymisji w samej Rosyi, budziły nieufność do armii ²⁾. Tron zdawał się być zachwianym i bądź co bądź nie uważano za możliwe wysyłanie w tej chwili znacznych posiłków do Królestwa. Jakoż w ciągu lutego i marca przybyła tam zaledwie dywizya jazdy gwardyackiej (pułk huzarów grodzieńskich i ułanów), ale, ponieważ dywizya ta przeznaczona była do Warszawy jeszcze w roku zeszłym, w chwili gdy w. ks.

¹⁾ *Schedo-Ferotti. Etudes sur l'avenir de la Russie*, 107.

²⁾ Według relacji korespondenta z Warszawy do „Moskiewskich Wiedomości“ (*M. N. Katkow*. 1863 god. II, 1086), z szeregów wojska, stojącego w Królestwie Polskim, zbiegło ogółem 40 oficerów. „Z Petersburga, pisze korespondent, zbiegło o wiele więcej oficerów, Polaków, niż z wojska, znajdującego się w kraju, od paru lat wzburzonym i będącego pod potężnym wpływem kobiet i księży. Z Petersburga dezercerowało nie tylko kilku młodzieńców z akademii (wojskowej), ale zbiegł profesor tejże akademii i jej wychowanec, człowiek, korzystający z zaufania rządu“. (Jest tu zdaje się mowa o Sierakowskim).

Konstanty mianowany został namiestnikiem Królestwa, więc nie można jej uważać za posiłki, wysłane z powodu wybuchu powstania. Podobnie się miało z przesyłką baterii lekkiej gwardyackiej, która przybyła do Warszawy d. 20 lutego ¹⁾. Właściwe wzmocnienie wojska, stojącego w Królestwie, nastąpiło dopiero d. 24 marca, gdy poczęła do Warszawy przybywać częściami druga dywizya grenadyerów. W tym czasie z tej dywizyi znalazł się w stolicy polskiej zaledwie jeden pułk kijowski ²⁾; reszta (pułki taurycki, moskiewski i żmudzki ³⁾) znacznie później przybyła. Natomiast z garnizonu warszawskiego wysłano na prowincyę pięć batalionów liniowych, które wcielono do pułków właściwych, oraz dwa pułki dragonów (ekaterynosławski i elizawetgradzki), tak że w istocie rzeczy wojsko, konsystujące w Warszawie, wcale się nie zwiększyło.

Gdyby więc Langiewicz, którego sił nigdy dokładnie nie znano i przeceniano je zbyt, dotarł do Warszawy, co oczywiście mogło tylko nastąpić po otrzymaniu znacznych korzyści i po roztrąceniu garnizonów: kieleckiego i radomskiego, a więc wśród tryumfu i zdwojonej ufności w siebie, położenie Rosyan wobec dwukroćstysięcznej ludności ⁴⁾, gotowej każdej chwili porwać się do broni, mo-

¹⁾ *Pawliszczew*, *Siedmicy* II, 33 i 40.

²⁾ *Loc. cit.* II, 62. Pułkownik Stanton w depeszy do hr. Russel (*La Pologne et la diplomatie*, 203) donosi, że dywizya ta spodziewana jest w Warszawie d. 20 marca.

³⁾ Pułk żmudzki grenadyerów przybywał do Warszawy z Petersburga. Cesarz osobiście się z nim żegnał i zrobiwszy przegląd wygłosił mowę, w której przypomniał, że pułk ten przed trzydziestu jeden laty bił się pod Ostrołęką pod wodzą Murawiewa (Wieszatela), że na moście na Narwi bohatersko się popisał, że tylu a tylu ludzi tam utracił, że on, Cesarz, ma nadzieję, że bratcy (bracia) i teraz tak samo się zachowają, że życzy im szczęścia i niewielkich strat. Mowę tę przyjęto okrzykiem: „hura!“ (Wiadomość od oficera tego pułku).

⁴⁾ Według urzędowego raportu („Dziennik powszechny“ No 37 z r. 1863), złożonego w tym czasie Radzie stanu, Warszawa liczyła ludności stałej 162.777; napływowej 45.109; razem 207.986. Królestwo całe miało ludności 4,918,608 (katolików 3,769.997).

gło się stać bardzo niebezpiecznym. Jakkolwiek wiemy, że wszystko to było fikcją, która niestety! nie mogła się urzeczywistnić, przecież w Warszawie na Zamku wierzono jej, a przynajmniej przesadnie udawano tę wiarę. Niebezpieczeństwo położenia umyślnie podnoszono, zapowiadano niechybną wojnę z Zachodem, w której prorokowano klęskę Rosyi, osłabionej, niewyleczonej jeszcze z niedawnych ran sewastopolskich, zajętej reorganizacją, pozbawionej armii, i widziano jedyne lekarstwo w zażegnaniu powstania polskiego. Z chwilą bowiem przygaśnięcia wybuchu polskiego, wszystkie niebezpieczeństwa odrazu ustają i mocno zachmurzony horyzont odrazu się wypogadza. Ale czemuż zażegnać powstanie, czemuż zmusić różnych dowódców do złożenia broni, a tajny Rząd narodowy do rozwiązania swej władzy i uspokojenia kraju? W Warszawie, na Zamku sądzono, że najlepszym na to środkiem będzie, jakeśmy to już powiedzieli, ogłoszenie się w. ks. Konstantego królem, a bodaj w ostateczności wice-królem polskim. Myśl ta, jak wiemy, przedostała się do miasta, do jeneralicji rosyjskiej i wspomnieliśmy o skutkach, plotkach i groźbach, jakie wywołała. Z tem wszystkiem, a może wobec tych groźb, w. książę wahał się ze zrobieniem kroku stanowczego; jego dusza ambitna a chwiejna drżała może przed aktem otwartej zdrady względem swego monarchy i państwa, tym więcej, że okoliczności zdawały się tak układać, że zdrada taka nie była potrzebną i samą siłą wypadków, korona tak upragniona gorąco przyozdobi jego i jego małżonki głowę¹⁾.

W Petersburgu bowiem wiedzano doskonale o tem wszystkiem, jak również pojmowano groźbę położenia. Szły tam wszelkimi drogami raporta i denuncyacye o tem, co się dzieje w Warszawie i o czem marzą na Zamku warszawskim. Ramsay i różni Schwarcowie i nie Schwarcowie, pisali codziennie relacye, a list marszałkowej Chreptowiczowej

¹⁾ *Verstorbene Diplomat*, loc. cit. 235.

do siostry, przejęty przez powstańców, wyraźnie powiadał o bawieniu się w. księcia i w. księżny w króla i królową. W otoczeniu Cesarza różne działały prądy i najrozmaitsze podawano projekta. Zrazu, w pierwszych tygodniach powstania, zdawał się brać górę prąd reakcyjny, prąd nieprzyjaciół Polski, chęć stworzenia w niej dawnej dyktatury wojskowej, stłumienia ruchu i wszelkich dążeń separacyjnych siłą. Cesarz osobiście oddawna się ku takiemu rozstrzygnięciu kwestyi polskiej przechylał. Wychowany w tradycyi mikołajskiego despotyzmu, w przekonaniu, że na wszelkie choroby społeczne najlepszym lekarstwem jest siła, od samego początku ruchu polskiego żywił w głębi duszy myśl, że ten jedynie przemocą stłumić będzie można i jeżeli działał inaczej, to tylko pod przeważnym wpływem lepszych ludzi swego otoczenia, a później pod wpływem Wielopolskiego. Gdy jednak wszelkie ustępstwa miasto uspokoić Polskę, rozdmuchiwały tylko bardziej zarzewie rewolucyjnych dążeń, tak, że one w końcu buchnęły niszczącym płomieniem, tym bardziej utrwalał się w pierwotnem swem przekonaniu. Teraz, „Bartolomejada“ styczniowa, jak chętnie w kołach nam nieprzyjaznych nazywano noc z d. 22 na 23 stycznia, przesadzone i umyślnie jak najjaskrawiej malowane opisy okrucieństw, jakich się mieli dopuszczać powstańcy na żołnierzach rosyjskich, obudziły w nim tego ponurego ducha moskiewskiego, ducha pomsty i zniszczenia, który stanowi treść charakteru narodowego rosyjskiego. Nagłe oświadczenie się Prus z pomocą, dawało tym zamiarom pewien punkt oparcia. Wszyscy nasi nieprzyjaciele, całe stronnictwo Samobytników, niedawno pokonane, ale nie wytępione, podniosło głowę i domagało się, by zerwano z dotychczasowym systemem rządzenia Polską, by odwołano w. księcia z Warszawy, a posłano tam zwyczajnego jakiego jenerała, któryby drogą surowego, bezwzględного terroryzmu kraj wzburzony uspokoił¹⁾.

¹⁾ *N. Berg*, *Zapiski* III, 135.

Niewątpliwie to samo szeptało Cesarzowi z Berlina ¹⁾, tak, że w końcu uległ on tym namowom, odpowiadającym, powtarzamy, jego wewnętrznemu przekonaniu; szło już teraz o zachowanie pewnego decorum, boć przecie brata cesarskiego nie można było usunąć ze stanowiska, jak pierwszego lepszego generała i do tego usunąć po półrocznem zaledwie namiestnictwie, na które posyłano go z takim hasłem i z takimi nadziejami. Wobec tego postanowiono uciec się do bardzo często praktykowanego i zawsze skutecznego środka. Szło o to, by nieznacznie, niepostrzeżenie zmusić w. księcia do podania się do dymisji. W tym celu, w Warszawie, na pokojach zamkowych, zjawił się w połowie lutego nagle i niespodziewanie hr. Aleksander Adlerberg ²⁾, minister dworu, osobisty przyjaciel Cesarza, jego partner przy stole karcianym, powiernik wszystkich spraw osobistych, uchodzący powszechnie za człowieka dobrego, zręcznego i działającego zawsze ślepo według rozkazów swego pana. Posiadał on przytem talent, bardzo ceniony na dworach monarszych, zwłaszcza na tego rodzaju dworze jak rosyjski, mówienia rzeczy najprzykrzejszych i najmniej przyjemniejszych, tonem, który nie drażnił i nie obrażał. Dzięki temu nadawał on się wybornie do misji trudnej i niemiłej, jaką mu powierzono, wysyłając go do Warszawy. Pojawienie się tej postaci, tego pięćdziesięcioletniego opasłego i jakby obrzmiałego generała, o twarzy nieco mongolskiej, krótko ostrzyżonych siwych włosach, takichże wąsach i faworytach, przykre i złowróżbne wywołać musiało

¹⁾ W raporcie ambasadora angielskiego w Berlinie, p. A. Buchanan do hr. Russela, z d. 4 kwietnia 1863 r. (La Pologne et la diplomatie, 228), znajdujemy taki ustęp, że w pewnej rozmowie z p. Bismarckiem o kwestyi polskiej, ten ostatni oświadczył, że „niepodobieństwem jest dla Prus zmiana polityki, której się od dwóch lat trzymały; że przez ten czas, ostrzegając Cesarza rosyjskiego o nieuniknionych następstwach zachęcania aspiracyi narodowych polskich, Prusy nie mogą żądać odeń teraz udzielenia Polakom autonomii“.

²⁾ N. Berg, loc. cit. III, 136.

w w. księciu przecucie. Jakoż nie omylił się wcale. Na Zamku wszyscy otaczający Konstantego, i on sam zresztą, domyślił się zaraz z czem hr. Adlerberg przyjechał. Wprawdzie w. księżna wszystkim głośno opowiadała, że minister dworu przybył jedynie w celu zakomunikowania ustnie Namiestnikowi pewnych wiadomości, których nie chciano powierzyć porzeczce i kuryerom, mogącym wpaść w ręce powstańców, ale nikt temu nie wierzył i domyślano się celu Adlerbergowskiej misji ¹⁾. Wszakże wszelkie napomknienia zaufanego dworaka cesarskiego, nawet otwarte rozmowy z w. księciem nie doprowadziły do niczego ²⁾. Zanadto silnie oświadczyły duszą w. kniazia ambitne marzenia o koronie polskiej, by miał ich się wyrzec na nalegania jakiegoś tam Adlerberga. Ten przed odjazdem swoim widział się z wielu dygnitarzami wojskowymi w Warszawie, był i u Ramsaya, z którym rozmawiał sam na sam, przy zamkniętych drzwiach, przez parę godzin. Gdy nakoniec odjechał, Ramsay wyszedł chmurny i miał rzec do jednego ze swych adjutantów: „jestem Finlandczykiem, mamy sejm, konstytucyę, wojsko i prawa własne, a jednak zazdroszczę Polakom tego, co Cesarz zamierza dla nich uczynić“ ³⁾. Adlerberg wrócił do Petersburga z niczem i radził podobno Cesarzowi, że, jeżeli istotnie chce brata z Warszawy usunąć, to niech napisze doń list z dymisją; „innego sposobu

¹⁾ Ks. S. Z. Felński, Pamiętniki II, 249.

²⁾ Gazeta „Breslauer Ztg“, wychodząca w Wrocławiu, pomieściła w tym czasie list z Warszawy, w którym korespondent, jak się zdaje urzędnik konsulatu pruskiego, jeżeli nie sam konsul p. Thieremin, przytoczył jedną z takich rozmów hr. Adlerberga z w. księciem. Adlerberg miał powiedzieć, że „dzięki jedynie niezręcznemu zarządowi krajem przez w. księcia i Wielopolskiego, sprawy przybrały takie położenie, że nasza odwieczna kwestya polska nabrała znaczenia europejskiego“. W. książę na to odrzekł: „być może, iż rząd jego popełnił błąd, przyspieszając powstanie, ale byłoby ono i tak wybuchło w maju z większą siłą. Że zaś kwestya polska nabrała znaczenia europejskiego, to winien temu Petersburg, zawartszy z Prusami konwencyę, nie zapytawszy się o to Warszawy“.

³⁾ Wiadomość od owego adjutanta, pana P.

nie ma, dodawał minister, „nie innego ani w. książę, ani w. księżna nie zrozumie“¹⁾).

Ale Cesarz przyjął to do wiadomości i na tak stanowcze wystąpienie godzić się nie chciał; polecił tylko Adlerbergowi, aby wyszukał jakiego generała, któryby mógł zastąpić w Warszawie w. księcia każdej chwili²⁾. W otoczeniu bowiem cesarskiem w tej chwili, wobec powszechnej sympatii w Europie dla sprawy polskiej, wobec burzy, jaką wywołała konwencya pruska, i gotującej się interwencji mocarstw zachodnich, poczęły powstawać inne projekta. Wielu radziło Cesarzowi, ażeby dokonał nowego podziału Polski, i tym sposobem raz na zawsze pozbył się peryodycznych i bardzo niebezpiecznych z nią kłopotów. Przypomniano sobie, nie bez insynuacyi zapewne pruskich, że w r. 1831 cesarz Mikołaj I, zniechęcony klęskami jakie Dybicz ponosił, powziął myśl odstąpienia Prusom części Królestwa, po Wisłę i Narew, uważając taką granicę za najdogodniejszą dla Rosyi. Była to stara, t. z. „kneesebeckowska granica“, i teraz radzono powrócić do tej myśli, która wszystkim niebezpieczeństwom ze strony Polski, raz na zawsze koniec kładła³⁾. Na szczęście jednak, stronnictwo liberalne, wszyscy ci wybitni mężowie Rosyi, którzy w roku zeszłym przyczynili się do wyniesienia Wielopolskiego i osadzenia na tronie namiestnikowskim w. ks. Konstantego, mieli jeszcze przewagę na dworze i stanowczo się temu sprzeciwili. Mówili oni, nie bez słuszności, że takie rozstrzygnięcie kwestyi polskiej, wcale jej nie załatwi i niebezpieczeństwa nie usunie, owszem zwiększy je znacznie. Jeżeli bowiem sama konwencya lutowa, mająca charakter czysto wojskowy, wywołała tyle obaw i taką burzę w Europie, to cóż dopiero będzie, gdy nowy podział Polski stanie się oczywistym niejako dowodem ścisłego sojuszu między Rosyą i Prusami? Projekt ten upadł więc odrazu;

¹⁾ *N. Berg*, loc. cit. III, 136.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ *Verstorbene Diplomat*, loc. cit. 236.

zresztą nie było czasu na jego wykonanie, gdyż wypadki rozwijały się z nadzwyczajną szybkością i to, co mogło być dobrem wczoraj, dziś było stanowczo spóźnionem.

Zostawiono zatem w. księcia w Warszawie i nietylko dozwolono mu snuć dalsze intrygi o koronę polską, ale powoli oswajano się z tą myślą w Petersburgu. Do takiego poglądu na sytuację przyczyniało się wiele rzeczy. Niektórzy z doradców Cesarza, widząc niemożność natychmiastowego pokonania powstania, które z każdym dniem się wzmagало, którego dalsze trwanie groziło niebezpieczną dla Rosyi wojną z mocarstwami zachodniemi, mówiło, że najlepiej będzie opuścić Polskę i zostawić ją jej losowi¹⁾. Z tą myślą tak dalece się oswojono, tak ją uważano za nieuniknioną, że Cesarzowa mówiła do Murawiewa Wieszatela, udającego się mniej więcej w tej porze do Wilna, aby choć Litwę utrzymał, bo o Królestwie już mowy nie było²⁾. Wobec takiego przekonania patrzano z pewną życzliwością nawet na zabiegi w. księcia o tron polski³⁾. Do Petersburga dochodziły niejasne, tym większe przeto budzące podejrzenia, wieści, o jakichś tajnych pertraktacjach rządu pruskiego z notablami polskimi, o koronę polską. Domyślano się, co zresztą było bardzo łatwem, że w Berlinie wiedzą o usiłowaniach w. ks. Konstantego, o milczącej akceptacyi tego planu przez Petersburg i wobec niebezpieczeństwa rosyjskiej sekundogenitury, wysuwano na wszelki wypadek kandydaturę swoją, ks. Bogusława Radziwiłła. Wiedzano również, że jest w Polsce stronnictwo, dość silne zwłaszcza w Galicyi, które skrycie proponuje koronę polską arcyksięciu Maksymilianowi, temu

¹⁾ Loc. cit. 237.

²⁾ *M. N. Murawiew*, Zapiski („Russkaja Starina“ z r. 1882, XXXVI, 403).

³⁾ Pan A. Buchanan pisał w tym czasie (d. 26 marca) z Berlina: „słyszałem tutaj, że rząd pruski sądzi, iż w Petersburgu stronnictwo zdecydowane na najdalsze ustępstwa dla Polski, a nawet w razie konieczności na zupełną jej niepodległość, wzrasta nieustannie“ (*La Pologne et la diplomatie*, 210).

samemu, który w parę lat potem miał zginąć tak tragiczną śmiercią w Meksyku ¹⁾ Zachowanie się Austrii wobec powstania, patrzenie jej władz przez palce na wszystko, co się w Galicyi działo, konszachty z cesarzem Napoleonem, potwierdzały to przypuszczenie, że Austria w osobie którego z arcyksiążąt pragnie osiąść koronę polską. Wiedzano nakoniec, że w Paryżu, w razie gdyby Królestwo Polskie czy drogą wojny, czy układów pokojowych uzyskało niepodległość, myślą o osadzeniu na jego tronie ks. Napoleona. Otóż, powiadano sobie wobec tego, że lepiej będzie dla Rosyi, gdy na tym tronie siądzie członek dynastii rosyjskiej, niż obcy, a nadewszystko „czerwony książę“ francuski ²⁾.

Nie przeszkadzano więc zabiegom w. księcia, a jeżeli nie zrobiono odrazu kroku stanowczego przez ogłoszenie niepodległości Królestwa, to dlatego, że miano pewien wstręt do takiego postąpienia i ociągano się z niem jak najdłużej, licząc na to, że jutro mogą wypadki uleść zmianie i tej ostateczności uniknąć będzie można. Zrobiono tylko to, że usunięto d. 17 marca z Warszawy zdecydowanego nieprzyjaciela w. księcia, barona Ramsaya. Nieudolny ten wódz naczelny, który, zapowiadając głośno, że nieda się „napaść z nienacka“, pozwolił na krwawe wypadki nocy styczniowej, który nie umiał pokonać nędznego i bezbronnego powstania, ale zato potrafił pisać denuncjacye na w. księcia i Wielopolskiego, schodził ze sceny polskiej nieżałowany przez nikogo, ani przez swoich, ani przez Polaków. Ozłocono mu pigułkę udzieleniem orderu Aleksandra Newskiego, przyczem reskrypt cesarski z głęboką zaiste ironią zaznaczał „sławne usługi“ Ramsaya ³⁾. Teraz z ustąpieniem tego Szweda złego i niedołężnego, naczelne dowództwo nad armią w Królestwie, przeszło wyłącznie

¹⁾ *Verstorbene Diplomat*, loc. cit. 241.

²⁾ Loc. cit. 237.

³⁾ Reskrypt ten czytać można w całości w „Dzienniku Po-wszechnym“, No 78 z 1863 r.

w ręce w. ks. Konstantego ¹⁾; do pewnego stopnia w snuciu wątplych nici swych marzeń, był on teraz swobodny. Naturalną rzeczą kolejną miał on, jak wszyscy zresztą, głównie zwrócone oczy na dyktatora polskiego, który, wyruszywszy z Goszczy, włókł się dość leniwie i ospale nad Nidę i mógł być kilka razy rozbity doszczętnie. Ale widać nie chciano tego na Zamku warszawskim, i bardzo słusznie, gdyż z upadkiem dyktatury upadało, według wszelkich ludzkich przewidyń i samo powstanie, a z ruiną tego ostatniego nikły w otchłaniach historycznej nicości, ambitne plany w. księcia. Dlatego to zapewne, w chwili gdy organizowała się w Miechowie i Kielcach wyprawa na Langiewicza, odebrano jej kierownictwo Czengieremu, któremu może nieufano, z którym nie uważano za stosowne wchodzić w jakieś układy, a powierzono ją ks. Szachowskiemu. Ten, jak wiemy, bawił w Warszawie przez dwa dni, od 9 do 11 marca, i przybywał do Miechowa z pełnomocnictwem i zapewne z instrukcjami w. księcia. Jakoż okazuje on nadzwyczajną, z jednej strony krzykliwą i ruchliwą czynność, z drugiej karygodne zaniedbanie najprostszych obowiązków wodza. Mając instrukcją sztabu jeneralnego, ażeby wyparł Langiewicza do Galicyi, bierze za wytyczną swych działań Goszczę, oddaloną zaledwie o kilkanaście wiorst od Miechowa, udaje, że nie wie o opuszczeniu tej wsi przez wodza polskiego, dozwala mu obejść Miechów, stać w Antolce pod nosem prawie silnego i przyczajonego garnizonu rosyjskiego, wypuszcza swobodnie korpusik polski ku Nidzie, ścigając go leniwie częścią zaledwie swych sił. Sam zaś siedzi uparcie w Miechowie i ani się stąd rusza. Podobnie zachowuje się Czengiery; biorąc się zrazu energicznie do atakowania powstańców, od czasu swego pobytu w Jędrzejowie, działa tak, jakby się bał Langiewicza. Pod Chrobrzem, postrzelawszy trochę z armat, cofa się sam nie wie dlaczego; do lasu grochowskiego bije z dział na

¹⁾ Rozkaz cesarski ogłoszony został współcześnie z dymisją Ramsaya.

oślepił przez pół dnia, wreszcie ucieka pośpiesznie do Młynów, narażając Zagriażskiego na klęskę. I jeżeli w końcu wypiera powstańców za granicę, to on sam najmniej jest temu winien; szedł za nimi ospale, buduje mosty, rozdrabnia swe siły, czyni wszystko, co można, by Langiewicz mógł się wymknąć. Ściaga tylko Śmiechowskiego zawzięcie Zagriażski, który zapewne nie wiedział, że w tej chwili pobicie powstańców, nie leży w interesach naczelnego wodza. Podobnie dwuznaczne jest zachowanie się Uszakowa, któremu z wielkim hałasem nakazano, jak najspieszniej wyruszyć na pomoc Czengieremu, a który dochodzi tylko do Kielc, wita z tryumfem Czengierego, a dragonów Zagriażskiego, którzy ostatecznie przyczynili się swym upartym pościgiem do wyparcia powstańców za granicę, surowemi i zgryźliwemi słowy nagania.

Niemniej z wielu względów zagadkowe jest postępowanie Langiewicza. Ten skromny, cichy, poważny i zamknięty w sobie wódz, okazuje teraz niesmaczną brawadę, kilkakrotnie oświadcza ostrzegającym go przed przemocą rosyjską osobom, że „za parę dni oczyści krakowskie z nieprzyjaciela“, że „pewny jest zwycięstwa“ i t. p. Marsze jego z Marchocic do Antolki, z Zagościa do Grochowsk, jakkolwiek mistrzowsko pomyślane, były jednak bardzo ryzykowne z wojskiem tak niewyrobnem i niekarnem, jakie on posiadał. Jego rzucenie się nad Nidę, w okolice bezleśne, zatrzymanie się w Chrobrzu, musiało mieć jakieś cele, które względami wojskowymi wytłómaczyć się nie dadzą. Tutaj to na koniec, w Chrobrzu, wymyka mu się wiele znaczące zdanie, że od niego zależy, by był lub nie atakowany; a jego zdumiewająca niedbałość o wojsko, dziwne zachowanie się w lesie grochowskim, długa wędrówka po nim, jakby kogoś szukał, lub na coś oczekiwał, świadczy, że umysł jego całkiem czem innem był w tej chwili zajęty. Przypuszczać należy, że miał jakieś wiadomości z Warszawy i był wciągnięty do intrygi, której nici skupiały się w Zamku warszawskim.

To też wieść o katastrofie Langiewiczowskiej, przy-

gnębiające na w. księcia wywarła wrażenie, gdyż od razu wywracała i niszczyła intrygę tak mozolnie nawiązaną. Z upadkiem Langiewicza nikt ani na chwilę nie wątpił, że upadło samo powstanie, a z niem interwencya mocarstw zachodnich traci powód do występowania, wojna, grożąca Rosyi, rozwiewa się jak mgła w nicość, rewolucya społeczna w caracie ponosi cios stanowczy, wszystkie nadzieje nikną, a z niemi niknie rozkoszne widmo korony polskiej. Gdy margrabia Paulucci, który, powróciwszy z zagranicy, znowu objął stanowisko naczelnika policyi tajnej w Królestwie, pierwszy przybiegł do Zamku z tą wieścią, uwierzyć mu nie chciano, wątpiono w jej autentyczność, zwłaszcza, że raportu urzędowego jeszcze nie było¹⁾. Zapytany Paulucci, skąd ma tę wiadomość, przyznał się, że ją otrzymał od konsula austriackiego, któremu ktoś telegrafował o tem z nad granicy. Wiadomość była wątpliwą, więc z polecenia w. księcia poproszono konsula, ażeby, nie tracąc czasu, zatelegrafował do Wiednia z zapytaniem. Ponieważ linie telegraficzne często były przerywane przez powstańców, więc konsul trzema drogami wysłał depeszę, jedną na Ejdkuny, drugą na Berlin, a trzecią na Mysłowice²⁾. Jakoż okazało się wkrótce, że pierwotna wiadomość była autentyczną i co przykrejsza, trzeba było wobec tej bolesnej prawdy, rujnującej na zawsze najsłodsze, najserdeczniejsze marzenia, okazywać radość i pogodę ducha, cieszyć się i rozgłaszać tryumf rosyjskiego oręża, grać tę tragiczną komedję życia, na którą wielcy tego świata tak często są skazywani. Wszelako były jeszcze pewne wątpliwości. Powtórna wiadomość o rozproszeniu oddziału dyktatora, otrzymana została przez konsula austriackiego d. 20 marca, w piątek, dość późno, tak że nie zdążono jej we wszystkich egzemplarzach „Dziennika powszechnego“ umieścić. Brzmiała ona dość niejasno; mówiła tylko o rozbięciu

¹⁾ N. Berg, loc. cit. III, 62.

²⁾ Korespondencya z Warszawy do „Petersburgskich Wiedomości“, No 62 z 1863 r.

„bandy“, jak się stale w raportach oficjalnych wyrażano, o odstawieniu do Tarnowa „do stu buntowników“, o wielkiej jakoby liczbie rannych powstańców, znajdujących się w Ujściu Solnem ¹⁾. O Langiewiczu samym nie było jeszcze mowy i w. książę, znając prawdomówność urzędowych relacji, mógł doniesienie to uważać, za jeden z tych zwyczajnych raportów, których tyle ukazywało się w tym czasie, które stale donosiły o „doszczętnem zniesieniu bandy“, a mimo to w kilka dni ta sama „banda“ znów się ukazywała i znowu ją doszczętnie znoszono. Ale niestety! już w parę dni potem, bo d. 22 marca nie można było wątpić o prawdzie. Nadszedł bowiem raport od Uszakowa, potwierdzający pierwotne doniesienie o rozbiciu oddziału Langiewicza i o jego wyparciu do Galicyi, oraz o tem, że dyktator „odstawiony został do Tarnowa“. Ponieważ była to niedziela, a „Dziennik powszechny“ w ten dzień nie wychodził, więc depezę tę wydrukowano na osobnych ćwiartkach papieru i rozlepiono ją na wszystkich rogach ulic. Teraz już nie było żadnej wątpliwości; wszystkie nadzieje pękały jak stare, znoszone płótno.

Niezwłocznie, tegoż jeszcze d. 22 marca w niedzielę rano, zatelegrafowano o tem „szczęśliwem“, jak mówiono, zdarzeniu do Petersburga do Cesarza. Cesarz znajdował się wówczas na zwykłym niedzielnym przeglądzie wojska, t. z. *razwodzie*, gdy mu depezę wręczono. Odczytał ją, i z głębokiem odetchnięciem, jak gdyby mu wielki ciężar spadł z serca, z wyrazem radości zawołał, zwracając się do wojska: *Langiewicz wzięty!* (Langiewicz schwytany!) Wojsko przyjęło oczywiście tę wiadomość okrzykiem: *hura!* ²⁾, ale jenerałicya, otaczająca Cesarza, a później opinia publiczna, bardzo kwaśno przyjęła to zachowanie się Monarchy. Zarzucano mu, że będąc na tak wysokiem stanowisku, samowładca potężnej Rosyi, nie zdołał powstrzymać swej rado-

¹⁾ „Dziennik powszechny“ No 65 i 66 z 1863 r.

²⁾ Wiadomość od jednego z oficerów, obecnych na przeglądzie, pana C.

ści i głośno, publicznie mówił, że jakiś tam nędzny przewódzca buntowników, gdzieś na skraju państwa się kręcący, został schwytany. Niewątpliwie miano pewną racją, ale nie brano w rachubę tego uczucia niewypowiedzianej ulgi, jakiej doznać musiał Aleksander II na wiadomość, że największe z niebezpieczeństw, grożących jego tronowi i państwu, źródło wszystkich przyszłych i przewidywanych klęsk, nagle przepadło i rozwiał się. On uniknie wojny z całą Europą, uniknie rewolucyi we wnętrzu własnego państwa i państwo to odda swemu następcy w tych granicach, w jakich je otrzymał. Czyż nie miał się czego cieszyć? czyż dusza ludzka w takich momentach nie czuje potrzeby podzielenia się z kimś swą radością i swem szczęściem?

Jeżeli upadek Langiewicza takie wrażenie wywarł na wielkorządę warszawskiego i na najwyższe sfery w Petersburgu, to o ileż przykrzej i boleśniej odbić on się musiał w sercu tej polskiej społeczności, która z dręczącym niepokojem i natężoną uwagą śledziła wszystkie kroki dyktatora i z jego powodzeniem łączyła niejako losy ojczyzny. Już d. 21 marca wieczorem głuche wieści poczęły po mieście obiegać o tej katastrofie. W teatrze, wśród nielicznej garstki widzów polskich, szeptano sobie na ucho, że Langiewicz raniony schronił się do Krakowa, ale tam aresztowany przez Austriaków, wydany został rządowi pruskiemu, jako jego poddany; że Prusacy mają go powiesić i t. p. Jedno było tylko pewnem w tej powodzi plotek, że dyktator zbiegł do Galicyi. Wielu nie chciało temu wierzyć; mówiono, że to nie on, ale brat jego, lekarz; inni, że nie Langiewicza schwytali Austriacy, ale jakiegoś Langowskiego i t. p. ¹⁾. Sama komisya wykonawcza, a raczej ta jej część, która po oddaleniu Gillera i Janowskiego (jak wiemy, pojechali oni do Goszczy z warunkami uznania dyktatury) oraz Bobrowskiego (który z listem Rządu do

¹⁾ Pawliszczew, Siedmicy II, 67, oraz korespondencya z Warszawy do „Petersb. Wied.“ z d. 23 marca 1863 r.

Langiewicza także się tam udał), nie miała żadnych dokładnych wiadomości o tem, co się stało nad Nidą. W d. 22 marca, w chwili gdy w „Dzienniku powszechnym“ drukowano plakaty o ucieczce dyktatora, przyszła do komisji wiadomość o potyczce pod Chrobrzem, którą w litografiowanych kartkach rozrzucono po mieście, mieniając ją zwycięstwem. Nazajutrz, choć wszyscy czytali rozlepione plakaty o wyparciu do Galicyi dyktatora i o „odstawieniu go do Tarnowa“, starano się temu na pół zaprzeczyć i rozpowszechniano przedruk z „Czasu“ krakowskiego, w którym czytano, że „niewiadomo gdzie się dyktator znajduje i krótkotrwale jego oddalenie się z obozu niema znaczenia“; że, gdyby nawet przypuścić, iż dyktator zginął, to stan rzeczy z tego powodu nie wielkiejby uległ zmianie. Rządził on nazbyt krótko i na niewielkiej przestrzeni i nie mógł skoncentrować w swym ręku wszystkich nici działalności powstańczej. Godność dyktatora była tylko formułą, pod którą wyrażała się gotowość do ofiar i poświęcenia, wyraziło się to, czego naród chce¹⁾. Było to na pół przyznanie się do prawdy i chęć osłabienia wrażenia, jakie wieść o katastrofie wywarła. Miasto, a za niem kraj cały był nadzwyczajnie rozgorączkowany wypadkami, a szczupłość autentycznych danych pogorszała ten stan i dawała pole do tysiącznych przypuszczeń i plotek. W kilka dni później, gdy już samemu faktowi zaprzeczyć nie można było, piśmko „Wiadomości z pola bitwy“ (No 7 z d. 4 kwietnia), opowiedziało dość szczegółowo przebieg wypadków i doniosłość katastrofy starało się osłabić. „System wojny w Krakowskim (pisały „Wiadomości“), który z powodu trudnych do zwalczenia okoliczności, przybierać już zaczął rozmiary regularnej i w jednym punkcie skoncentrowanej walki, przeszedł na właściwą drogę podjazdów i partyzantki, jaka wobec rzeczywistego naszego położenia, zapewnia nam jedynie możliwe i stanowcze zwycięstwo“. Nazywając aresztowanie dyktatora „niespodzianem i nie-

¹⁾ „Czas“ No 67 z r. 1863.

szczęśliwem zdarzeniem“, mówiło o dalszej trwałości powstania i o pewności zwycięstwa.

Tymczasem na Tarnów, gdzie Langiewicz siedział uwięziony, zwrócone były oczy wszystkich. Giller i Janowski, wiozący do obozu warunki, pod którymi dyktatura przez Rząd tymczasowy miała być uznana, nie znalazłszy oddziału już w Goszczy i Sosnówce, szukając go przez parę dni, dowiedzieli się nakoniec o katastrofie i o tem, że dyktator jest przyaresztowany w Tarnowie. Udali się więc tam natychmiast i przekupiwszy straż, zdolali się zobaczyć z więźniem. Langiewicz, w czasie dość krótkiej rozmowy twierdził, że powodem jego przejścia przez Wisłę, były podstępne rady Jeziorańskiego, którego uważał, nie bez słuszności, za główne źródło wszystkich swoich nieszczęść¹⁾. „Wydobądźcie mnie z więzienia, prosił posłów, a pójdę chociażby z kłonicą na Moskali, i nie zejdem z pola, dopóki nie zwyciężę, lub nie zginę“. Obiecano mu zrobić, co można było, a przebiegły Giller, przeciwny dyktaturze dlatego, że stawiała w poprzek jego ambitnym zamiarom, wymógł na Langiewiczu piśmienne zrzeczenie się władzy najwyższej, ale tylko na czas jego uwięzienia²⁾. Langiewicz dlatego dał takie warunkowe zrzeczenie się, że myślał wszelkimi siłami o wydostaniu się na wolność. Już w Tarnowie, nazajutrz po swem przybyciu, d. 21 marca, za pośrednictwem panny Pustowojtow, która jedna miała do niego przystęp, przesłał swemu szefowi sztabu Władysławowi Bentkowskiemu, małą karteczkę, własnoręcznie przez siebie skreśloną i zaopatrzoną w pieczęć dyktatorską, z krótkim rozkazem, ażeby Bentkowski niezwłocznie podniósł z kasy narodowej 40.000 złp. (10.000 reńskich) i przywiózł je dyktatorowi³⁾. Bentkowski, domyślając się, że pieniądze te są

¹⁾ A. Giller, *Historia I*, 280.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Bentkowski, loc. cit. 108. Giller, loc. cit. I, 280, opowiada o tem także takim tonem, jak gdyby on miał udział w tej sprawie, a przynajmniej wiedział o niej w czasie swego pobytu w Tarnowie. „Wydobycie Langiewicza z więzienia (pisze) okazało się niepodo-

potrzebne na przekupienie straży i wydobyć się dyktatora z więzienia, nie tracąc czasu, pierwszym pociągiem udał się do Krakowa ¹⁾. Stanąwszy tu nad wieczorem, zgłosił się do Wysockiego i Bogusława Łubieńskiego, i po niejakiem oporze z ich strony, otrzymał owe 10.000 reńskich, z którymi tegoż jeszcze wieczora puścił się do Tarnowa, gdzie stanął między godziną 1 a 2 w nocy. Nie mogąc nic o tak późnej porze zrobić, poczekał do rana i dowiedział się, że w nocy, około godz. 3-ej, d. 22 marca, Langiewicz wraz z panną Pustowojtow został przewieziony do Krakowa. Akcja więc nie udała się i Bentkowski puścił się także do tego miasta i pieniądze komu należy zwrócił ²⁾.

Dyktatora w Krakowie pomieszczono na Zamku, od strony północnej, na dole, tak że z okien mógł widzieć dom przy ulicy Kanonicznej, zwany „pod telegrafem“, gdzie zamknięto pannę Pustowojtow, w mieszkaniu woznego policyjnego. Dostęp do Langiewicza był przez pokój strażnika, przeznaczonego do pilnowania więźnia. Nikomu nie wolno było tam wchodzić bez osobnego pozwolenia feldmarszałka hr. Bambergą. W mieście, w kraju i za granicą interesowano się bardzo dyktatorem i jego adjutan-

tem, pomimo wyasygnowania na ten cel 40.000 złp. W rzeczy zaś samej nic o tem nie wiedział i powziął wiadomość o tej akcji z opowiadania Bentkowskiego, które czytał w manuskrypcie, pisząc swą „Historię“. Rząd Tymczasowy i Giller, a zwłaszcza Giller, bardzo się w duszy cieszył, że Langiewicz upadł i z pewnością nie miał zamiaru nic przedsiębrać, żeby go uwolnić. Sam Langiewicz, według relacji rosyjskich („Dziennik Warsz. No 107 z 1865 r.) w chwili aresztowania miał mieć przy sobie kilka tysięcy rubli.

¹⁾ „Zrazu wzdrgałem się nieco, opowiada sam (loc. cit. 108), nie wiedząc właściwie czy jest i gdzie jaka narodowa kasa...“ „uważając się wszelako wciąż jeszcze za związanego stosunkiem służbowym do Langiewicza, a jego jako dyktatora, który przypadkowo na dni kilka popadł w moc obcą, podjąłem się ostatecznie wykonania danego mi rozkazu“.

²⁾ Loc. cit.

tem ¹⁾. Wiele dam krakowskich przysyłało mu całe kosze najwykwintniejszych przysmaków. Przed obiadem i po obiedzie wolno mu było przechadzać się w pewnych ozna-

¹⁾ Panna Pustowojtow z okien swoich wdziała okna więzienia dyktatora; mówiono też, że się z nim znakami porozumiewa. Współczesne dzienniki dużo o niej pisały. W „Koelnische Ztg“ znajduje się interesujący opis współpracownika tej gazety, który odwiedził pannę w więzieniu. „Urzędnik policyjny, pisze ów dziennikarz, zaanonsował naszą wizytę i w parę minut potem wrócił, wskazał ręką na drzwi, dając poznać, że możemy wejść. Gdyśmy weszli, kobieta szczupła i niska grzecznie nas powitała. Ubrana była w suknie narodowe, w których walczyła obok dyktatora, a które dodawały uroku tej interesującej osobie. Włosy czarne, krótko ostrzyżone, otaczały ładną twarzyczkę gęstymi z obu stron lokami. Kostyum jej składał się z krótkiej polskiej czamary z potrzebami, obłożonej barankiem; na nogach miała długie buty, sięgające do kolan i szare spodnie; na sobie nosiła czerwoną koszulę z dwoma maleńkimi kołnierzykami dookoła szyi. Gdyby ktoś mógł wątpić, że pod tem męskim odzieniem kryje się panna, to grzeczność i wdzięk, z jakim nas przyjęto, oraz delikatny, kobiecy głos, usunąłby wszelkie pod tym względem wątpliwości. W pokoju, w którym p. Pustowojtow mieszka, znajduje się tylko stół, komoda i dwa krzesła; izba byłaby dość wygodną, gdyby była nieco wyższą. Na nieszczęście jest ona tak niska, że p. Pustowojtow paląc nieustannie papierosy, musi mieć okna ciągle otwarte, co jest możliwem ze względu na piękny czas, ale naraża ją na to, że ciekawi i współczujący nad jej losem przechodnie, nie spuszczaają z niej oczów. Przez dwa dni przed oknem przesunęły się setki mężczyzn i kobiet, od natrętnych wejrzeń, których, bronią p. Pustowojtow tylko doniczki z kwiatami, zaofiarowanymi prawdopodobnie przez przyjaciół. Kwiaty te tworzą kontrast z żelazną kratą, na którą niema żadnego wpływu ani zimno, ani wiosna. Adjutant na wyrażone przez nas współczucie dla jego losu, odrzekł, że szanuje Prusaków, lubi ich i ufa im. Rozmowa toczyła się w części o polityce w języku francuskim, gdyż w pokoju znajdował się dozorca więzienny; o innych zaś kwestyach panna mówiła po niemiecku, dość biegle acz z cudzoziemskim akcentem. W czasie tych odwiedzin, trwających około dziesięciu minut, mieliśmy sposobność bliżej przypatrzeć się jej twarzyczce. Znać na niej ślady ciężkich przejść. Oblicze blade i wychudłe, jedynie czarne, ogniste oczy nie utraciły swego blasku i jaśnieją, gdy mowa jest o Langiewiczu. Czoło wysokie, nos prosty, ostro zakończony, broda okrągła, podnosi urok, jaki wywołuje jej ubiór oryginalny. Pokazaliśmy jej foto-

czonych godzinach, po korytarzu. I tutaj robiono próby prywatne wydobyć go z więzienia, ale te się nie powiodły¹⁾. W Krakowie, o ile sądzić można z niektórych

grafie, którą odszukaliśmy po długich staraniach w jednej z księgarń, fotografię prawdopodobnie jedyną w Krakowie. Spojrzała smutno na tę swą podobiznę, na której przedstawiona była w kwiecie lat i piękności, może przed rokiem jeszcze i rzekła z pewnym odzieniem melancholii: „to już nie ja!“ potem zwróciła nam fotografię, a zauważywszy przytem w naszym ręku portret Langiewicza, zawołała z entuzjazmem: „o! to mój generał!“ Mówiła o nim z zapalem i uskarżała się na niepewność jego i własnego losu. Gdyśmy się zaczęli z nią żegnać, prosiła nas, byśmy jej zostawili swe bilety i sama, bez żądania z naszej strony, napisała na pamiętkę ołówkiem na kawałku papieru swe nazwisko i dodała z uśmiechem, zwracając się do urzędnika policyjnego, że w takim salonie bilety wizytowe nie są w modzie. Rozstając się, uściśliła nas mocno za ręce. Przez dziwny zbieg okoliczności, w chwili, gdyśmy odejść mieli, generał ukazał się w otwartym oknie swego więzienia, żeby zaczerpnąć nieco świeżego, wieczornego powietrza. Kilka osób poznało go zaraz, gdyż ubrany był jeszcze w swój mundur(?) i poczęło mu się kłaniać na znak głębokiego współczucia. Skoro to zauważył, pochylił się naprzód i odpowiedział na powitanie ruchem ręki i głowy. O ile można było widzieć z takiej odległości, był on także blady, ale zadowolony z tego, żeśmy mu nasze współczucie okazali. Stał jeszcze jakiś czas przy oknie, obłany blaskiem zachodzącego słońca, którego złote promienie oświeciły Zamek i katedrę, poczem zamknął okno i znikł⁴⁾.

¹⁾ Znane są nam trzy takie usiłowania, choć prawdopodobnie było ich więcej, i dwu z nich dokonały osoby prywatne, a trzeciego na żądanie Langiewicza samego. Jedno z nich przedsięwzięte było przez znanego nam z oddziału Kurowskiego, oficera Dobrzańskiego, który miał kolegę w garnizonie, strzegącym dyktatora. Ów kolega Dobrzańskiego zobowiązał się dostarczyć Langiewiczowi munduru austriackiego i na dany znak wypuścić go z celi, tak że mógł sobie spokojnie wyjść z celi. Langiewicz jednak odmówił, tłumacząc się, że zostanie zaraz schwytany i położenie swe tym sposobem pogorszy.

Drugą próbę zrobił, parokrotnie wspomniany już przez nas ziemianin z Sandomierskiego, pan K. R. Opowiada on o tem w swej piśmiennej relacji, znajdującej się w zbiorach autora niniejszej książki, jak następuje: „w dwa dni po uwięzieniu Langiewicza, przybywszy do Krakowa, powziąłem zamiar uwolnienia go. Dowiedziałem się, że nikt do niego dopuszczonym być nie może, kręciłem się

relacji, Langiewicz był indagowany przez władze austriackie i miał im oświadczyć podziękowanie za to, że go trzymają w więzieniu, gdyż rozdrażnienie przeciw niemu stron-

koło więzienia. Naraz, jeden z dozorców zapytuje mnie po polsku: czy ja mam jakiś interes? Nawzajem ja go zapytałem, czy jest Polakiem? — Polak jestem, rodowity Krakowianin. — Cemuż nie idziesz do powstania, kiedyś Polak? — Jestem jednak u starej matki, której daję utrzymanie. — Czy należysz do dozorców? — Należę, jutro jest mój dyżur. Wtedy na moje pytanie, czyliby się nie dało w czasie jego dyżuru uwolnić Langiewicza, odrzekł po namyśle: „Chodzi mi tylko o matkę, ja mam pensyi 150 reńskich, to stanowi nasze utrzymanie; gdybyś pan mógł złożyć w banku 3000 reńskich, któreby dawały matce dożywotnią pensyą 150 reńskich, a po jej śmierci na inny cel przeszły, bo dla siebie nic nie żądam, zresztą jednocześnie umknę zaraz do Królestwa jako powstaniec“. Uradowany, pobiegłem do C***, który parę dni temu przybył do Krakowa, z funduszem przeze mnie zebrany i przedstawiwszy możliwość uwolnienia Langiewicza, żądałem, aby złożył w banku 3000 reńskich. Z wielkiem mojem zdziwieniem odpowiedział mi, iż „im prędzej się to wszystko kończy, tem lepiej; pieniądze, które przywiózł, są na inny cel przeznaczone“. Pomimo dość ostrego przemówienia, pieniędzy dać nie chciał. Miałem przy sobie przeszło 1000 złr. ofiarowałem z tego 500 i starałem wśród znajomych resztę uzyskać, ale więcej nad 1200 zebrać w tak krótkim czasie nie mogłem, nie mając w Krakowie żadnych stosunków i tylko między powstańcami pomocy szukając. Poszedłem do dozorczy, ale uważał tę kwotę za zbyt małą na utrzymanie matki. Nazajutrz po dyżurze jego, Langiewicz został niespodzianie wywieziony i internowany w Tysznovicach. W parę dni wyjechałem za nim“.

O trzeciej próbie uwolnienia dyktatora opowiada *Bentkowski*, loc. cit. 112. Według niego, jedna z osób, odwiedzających pannę Pustowojtową, przyniosła wiadomość, że jest sposób wydostania Langiewicza na wolność, byle dać mu 10.000 reńskich do dyspozycji. W kasach narodowych w Krakowie wówczas takiej sumy nie było, ale znalazł się ktoś, który ofiarował 10.000 złr. pod warunkiem, jeżeli Bentkowski uzna to za dobre. Bentkowski oświadczył, że nazwisko Langiewicza stanowi samo przez się pewną siłę, że ta siła warta więcej jak 10.000; że zresztą Langiewicz ważne zasługi położył dla powstania, by nie poświęcić 10.000 na okup jego wolności; że wszelako należy od niego wymagać, by rzekł się dyktatury na piśmie dla uniknięcia rozmaitych na przyszłość zawikłań. Z taką propozycją i pieniędzmi Bentkowski udał się do Pustowojtowny. Tej „nie było

nictwa ultraczerwonego i Mierosławczyków, było tak silne, że obawiał się o życie i domagał się zwiększenia straży. Przeznaczono na ten cel, aż 16 ludzi¹⁾: O ucieczce więc w Krakowie stanowczo nie myślał i dlatego wszelkie propozycje co do tego odrzucał. Co do samego powstania, miał się wyrazić, że „jest ono konającym, że zwycięstwo i dalsze trwanie tegoż jest niemożliwym, gdyż brakuje broni i organizacji wojskowej; że zbieranina na pół wyćwiczona i bezbronna, nie może stawić czoła atakowi wojska regularnego; że dalsze przedłużanie walki, tak nierównej, niczem wytłómaczyć się nie da i będzie tylko nieużyteczną ofiarą krwi“²⁾. Panna Pustowojtow zato, przy której w czasie rewizji, przed osadzeniem jej pod kluczem, znaleziono sztylet, rewolwer, 80 rubli gotówki i kilka map, na wszelkie pytania odpowiadała ogólnikami, nie właściwie nie wyznając i nic nie objaśniając³⁾.

Lękano się powszechnie i sam Langiewicz żywił, zdaje się, obawę, że będzie wydany Rosyi albo Prusom (dlatego to zapewne panna Pustowojtow oświadczyła od-

to jakoś w smak“, ale przyrzekła, że zakomunikuje ten warunek Langiewiczowi. W dwa dni jednak otrzymano od Pustowojtow odpowiedź „że ponieważ takie ceremonie robione są z temi pieniędzmi, Langiewicz więc ich nie potrzebuje i będzie je miał skądinąd“. Na tem rzecz się skończyła, a nazajutrz Langiewicza z Krakowa wywieziono. W relacji tej, niewątpliwie prawdziwej, uderza jedna okoliczność. że i w Tarnowie p. Pustowojtow żądała od Bentkowskiego 10.000 reńskich, że kiedy były one gotowe, tak samo nazajutrz Langiewicza wywieziono. Czy więc nie jest to jedna i ta sama historia? *Jeziorski*, Pamiętniki II, 266 opowiada, że chcąc uwolnić Langiewicza udawał się do generała Wysockiego, ale ten „nie chciał potrzebnych ku temułożyć starań“.

¹⁾ Depesza z Wiednia lorda Bloomfielda do hr. Russel (La Po-logne et la diplomatie, 211).

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Korespondencya z Krakowa w „Ostdeutsche Post“ z d. 2 kwietnia 1863 r. W tejże korespondencji jest powiedziane, że panna Pustowojtow w swem krakowskim więzieniu, otrzymała liczne depesze telegraficzne z Kijowa i Mołdawii. W jednej z depesz kijowskich wieszowano jej szczęśliwego dostania się do Galicji.

wiedzącemu ją korespondentowi „Kölnische Ztg“, że szanuje Prusaków, lubi ich i ufa im). W rzeczy zaś samej tak nie było¹⁾. Hr. Rechberg, austriacki minister spraw zagranicznych, na interpelacyą w tej materji, ambasadora angielskiego w Wiedniu, lorda Bloomfielda, odrzekł, że ksiązę Gorczakow pytał się tylko: „czy rząd austriacki pewny jest co do tożsamości Langiewicza“, a gdy go co do tego uspokojono, „wyraził nadzieję, że Langiewicz będzie dobrze strzeżony i trzymany w miejscu pewnem, aż do końca powstania“²⁾. Prusy zaś wcale się nie interesowały losem dyktatora polskiego. To też hr. Rechberg „spodziewał się, że żaden z dwóch wymienionych rządów nie podniesie kwestyi wydania Langiewicza. Austria na to się nie zgodzi, a w Berlinie i Petersburgu, zdaje się, że są zadowoleni z postępowania rządu cesarskiego“³⁾. Rząd zdecydowany był przenieść Langiewicza z Krakowa do Berna w Morawii i tam trzymać go na względnej wolności aż do czasu uspokojenia się zaburzeń polskich⁴⁾.

Tutaj to nakoniec w Krakowie, spotkało Langiewicza tajemnicze i ze wszech miar osobliwe zdarzenie. Znany nam Petrow, zięć Pogodina, właściciel majoratu Osiek w Sandomierskiem, aresztowany przez Langiewicza podczas jego pobytu w Staszowie i następnie uwolniony w Sobkowie, przyczem zobowiązał się zabrać i wręczyć w. ks. Konstantemu list wodza polskiego, zjawił się teraz w Krakowie. Dość głośno i otwarcie oświadczał on wszystkim, że przywiózł ze sobą 10.000 złp., które chce oddać dyktatorowi, gdyż w Sobkowie zobowiązał się słowem honoru, że taką sumę złoży na potrzeby powstania. Przybył więc

¹⁾ Wprawdzie Czengiery zaraz po przejściu Langiewicza do Galicji, wysłał był oficera do dowódcy posterunków austriackich, by mu ten wydał dyktatora polskiego, ale oficer wrócił z odmowną odpowiedzią, przywożąc w miejsce wodza powstańczego, kilka butelek wybornego wina węgierskiego.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Loc. cit.

⁴⁾ Loc. cit.

teraz, by spełnić swe zobowiązanie. Pokazywał nawet urzędowe, jak się zdaje z kancelaryi W. Księcia pochodzące, pozwolenie na odbycie tej podróży. Zaraz po swem przybyciu, zgłosił on się na Wawel i domagał się, by mu pozwolono odwiedzić więźnia. Na pytanie, czego chce, Petrow odrzekł, że „uważa się za dłużnika Langiewicza w sumie 10.000 złp., które chce mu teraz wręczyć“. Odpowiedziano mu, że w takim razie osobiste widzenie się z więźniem wcale nie jest potrzebne i zaproponowano mu, by pieniądze złożył na ręce komendanta zamku; objaśniono go przytem, że według obowiązujących w państwie austriackiem przepisów, połowa tej sumy przelaną będzie do skarbu, a połowa oddaną zostanie więźniowi. Petrow zgodził się na to i pieniądze, gdzie należy, złożył, ale z Langiewiczem wcale się nie widział, tym sposobem misyi, powierzonej sobie zapewne przez W. Księcia, nie spełnił¹⁾.

Nakoniec w Wiedniu zapadło ostateczne postanowienie co do losu eksdyktatora polskiego. Wyznaczono mu na miejsce pobytu miasteczko Tysznowice (Tischnowitz),

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 63. Berg opowiada dalej, że Petrow odszukał „krakowski oddział Rządu narodowego“ i przedstawił mu swoje pretensye do powstańców województwa krakowskiego, który mu w Osieku zabrali z szuflady biurka rs. 255. Oddział krakowski Rządu, rozpatrzywszy bacznie pretensye, uznał ją za uzasadnioną i oświadczył Petrowowi, że gotów mu jest sumę powyższą zwrócić. Ale Petrow odmówił i oznajmił sędziom, że „on chciał tylko dobić się prawdy, tak drobnej zaś sumy jak 255 rs. wcale nie potrzebuje“. Wszystkie te szczegóły Berg miał od samego Petrowa. W rosyjskim dzienniku „Petersburskie Wiedomości“ z dnia 9 kwietnia 1863 r. znajduje się wiadomość, że o treści misyi Petrowa do Langiewicza, Austriacy jak najdokładniej byli poinformowani i mieli wystannikowi radzić, że, jeżeli chce koniecznie widzieć się z eksdyktatorem polskim, to niech uda się do Wiednia do cesarza, który sam jeden tylko może mu udzielić potrzebnego pozwolenia. Petrow jednak nie posłuchał tej rady, do Wiednia nie pojechał, ale zostawił list do Langiewicza z uwiadomieniem, że był w Krakowie, że chciał się do więźnia dostać, ale władze austriackie na to nie pozwoliły. Czy ten list doszedł do rąk dyktatora, korespondent cytowanej gazety nie powiada.

o dwie mile oddalono od Berna morawskiego, gdzie miał pozostawać na wolnej stopie, pod warunkiem, że da słowo honoru, iż nie będzie miał żadnych stosunków z powstaniem i uciekać nie zechce. Langiewicz takie słowo dał i dnia 2 kwietnia o godz. 2-iej po południu wywieziono go z zamku w towarzystwie komisarza i dwóch agentów policyjnych, do fortu „Warszawa“ pod Krakowem, tu wsadzono go na pociąg pocztowy i odwieziono do Berna, a stąd do Tysznowic. Podróż ta była jednym tryumfalnym pochodem. Na całej drodze, po wszystkich stacyach kolejowych, tłoczyły się tłumy miejscowej ludności, by zobaczyć dyktatora polskiego i wyrazić mu swe współczucie. W Tysznowicach Langiewicz cofnął swoje słowo i usiłował uciec¹⁾, więc przewieziono go do twierdzy Joseph-

¹⁾ O pobycie Langiewicza w Tysznowicach i o usiłowaniu ucieczki posiadamy następujące szczegóły w rękopiśmiennej relacji, parokrotnie cytowanego już przez nas ziemianina sandomierskiego P. K. R. Opowiada on, że po wywiezieniu eksdyktatora z Krakowa, udał się za nim do Moraw. „Tysznowice (pisze p. R.) o dwie mile od Berna oddalone, jest to niewielkie miasteczko okręgowe, gdzie Langiewicz był oddany pod dozór komisarza obwodowego (Kreis-Komissär). Samo miasteczko w bardzo pięknej polożeniu, otoczone górami i lasami, połączone jest szosą z Bernem. Langiewicza umieszczono w domu o jednym piętrze; dano mu pięć pokoi z jednym wyjściem przez przedpokój, w którym zwykle sypiał dodany mu służący, jak dowiedzieliśmy się, były żandarm. Był to tylko internat, nie więzienie; wolno więc było Langiewiczowi chodzić na spacer, ale za pozwoleniem komisarza, który najczęściej nam towarzyszył. Było nas stale czterech; o paszporty, których nie mieliśmy, nie pytano nas wcale. Panna Pustowojtow bawiła tu także, ale często wyjeżdżała; przebyliśmy tam około trzech tygodni, robiąc czasem wycieczki do Berna, a raz jeździłem z panną Pustowojtow do Wiednia. Tam ją ktoś poznał i wkrótce zebrało się przed hotelem parę tysięcy osób, krzyczących z zapalem: „Es lebe hoch Fr. von Pustowojtow!“ Musieliśmy się bocznymi drzwiami wynieść cichaczem do innego hotelu, bo tłumy rosły ciągle. Mieliśmy zamiar ułatwić ucieczkę dyktatorowi, i w tym celu jeździliśmy do Wiednia, skąd współredaktor, czy też należący do składu redakcyi „Neue Presse“, miał przybyć z paszportem dla Langiewicza i najętą kareta z Berna, przyjechać pod Tysznowice w nocy. Dla niepoznania, w dzień ozna-

stadt w Czechach, skąd dopiero w marcu 1865 r. ostatecznie uwolniono. Pannę Pustowojtow jeszcze w Krakowie

czony, eksdyktator ogolił brodę i wasy; tych ostatnich nie chciał się pozbyć, aleśmy go w końcu do tego namówili. Nie ulega wątpliwości, że ów lokaj, ekszandarm, znał dobrze język polski i całego projektu ucieczki, oraz kiedy ona ma nastąpić, był świadomy. Na uwagi robione Langiewiczowi, że służący może rozumieć po polsku, odpowiedział, że jest przekonany, że nie rozumie; bo kilkakrotnie do niego przemawiał po polsku, niby przez zapomnienie, ale zawsze otrzymywał bardzo spokojną odpowiedź: „ich verstehe nichts“. Szanowny żandarm widąc dobrze swą rolę odgrywał, bo, gdy o godz. 1 po północy spuszczałyśmy Langiewicza na gutaperkowych paskach z piętra, obskoczony przez żandarmów odstawiony został do Berna, a stamtąd do Josephstadt, skąd Szwajcarya go wydobyła, upominając się jako o swego poddanego. Do ucieczki żadne władze powstańcze nie przynaglały go; wiem o tem dobrze; chciał być wolnym, aby się przedrzeć w Lubelskie i powstanie tam silniej rozbudzić“. Dzienniki ówczesne opowiadały, że Langiewicz chciał uciekać d. 15 kwietnia i usiłował w tym celu przekupić strażnika, któremu dał 300 florenów, grożąc w razie zdrady śmiercią. Ale strażnik doniósł o tem komu należy i 300 florenów zwierchności swej oddał. Władze miejscowe wskutek tego rozwinęły w Tysznowicach nadzwyczajne ostrożności, które wielką sensację sprawiły w tem cichem i spokojnem miasteczku. Kilku Polakom, bawiącym tamże, zakazano stosunków z eksdyktatorem; do drzwi jego mieszkania przystawiono żandarma, a radca namiestnictwa, pan Rothkugel przepędził noc w pobliżu więzienia. Dokoła miasta rozstawiono strażę, które przetrząsały każdy powóz i każdą bryczkę, wyjeżdżającą z Tysznowic. Langiewicz zanieść miał na te ścieśnienia listowną skargę do ministra policyi i zapierał się zamiaru ucieczki, ale oczywiście nie wierzone mu, zwłaszcza, że o przygotowaniach do niej nie tylko w Tysznowicach, ale i na drodze, miano dokładne informacje.

W książce *T. Żychlińskiego*, Wspomnienia z r. 1863, p. 25 in. znajdują się ustępy z listów Langiewicza, pisanych z Tysznowic i Josephstadu do kuzyna Seredyńskiego (z siostrą tegoż był ożeniony brat Langiewicza, lekarz, Aleksander). Otóż eksdyktator d. 10 kwietnia, a więc w kilka dni po swem przybyciu do Tysznowic, pisał: „jestem tu otoczony potrójną a gęstą siecią szpiegowską. Policya austriacka, szpiegi moskiewskie i ajenci Mierosławskiego czuwają nademną. Zawiadomilem rząd austriacki, że się zrzekam udzielonego mi ruchu swobodnego (freie Bewegung) w Tysznowicach i że tem samem przestaję być wiązany słowem honoru, danem w d.

oswobodzono zupełnie pod warunkiem, że da słowo nie mieszania się więcej do ruchu polskiego. Słowo takie dała i pojechała z przyjaciółką swą, aktorką Zawiszanką do Pragi¹⁾, jakiś czas bawiła przy Langiewiczach w Tysznowicach.

2 kwietnia. Żywot mój jest bardzo gorzki, ale wiadomo ci, że nigdy nie był bardzo słodkim, boć cel, ku jakiemu dążyłem, był stromy. Nigdy też z oka nie spuszczałem mego obowiązku. O powodach mego wyjazdu z obozu i pojmania mnie przez Austriaków. Dziennik „Czas“ umieszczał dość dużo prawdziwych szczegółów. Nie czas jeszcze wyjawiać całej prawdy o niektórych lotrościach, choć mój osobisty interes wymaga“. Z Josephstadu pisał znowu dnia 27 grudnia 1863, między innemi, jak następuje: uzyskawszy pruski dokument ekspatriacyjny, silnie lecz bez pożądanego skutku nagabywano ministerium austriackie. Jeden z ministrów odpowiedział, że Langiewicz może być aż nadto przekonany, że będzie wolnym, skoro sprawa jego obywatelstwa szwajcarskiego będzie ukończona i że rząd austriacki jest o nią w układach. Inny minister mniej dyplomatycznie wypowiedział, że nie może przyobieczać mego uwolnienia, choćbym nawet był już obywatelem (szwajcarskim), że Langiewicz jest szandarmem i że jego uwolnienie zależy musi od stanu polityki“. Staral on się wszelkimi siłami, gdy się więzienie przedłużało, o uwolnienie. W dniu 14 listopada 1864 r. zrobił nawet podanie do izby deputowanych, tej treści: „Wysoka Izba deputowanych sejmu cesarskiego! W dniu 19 marca 1863 r. zostałem przyaresztowany w Galicyi; do dnia 2 kwietnia r. z. trzymany byłem w więzieniu; od dnia 3 do 28 kwietnia internowany byłem w Tysznowicach pod nadzorem policyi, a od 28 kwietnia r. z. do chwili obecnej znajduję się w twierdzy Josephstadt. Położenie moje, w jakim postawiła mnie przemoc fizyczna, przeciwne jest prawom austriackim, prawom międzynarodowym i ludzkości, i nie da się usprawiedliwić nawet interesem państwowym. Dlatego też niech mi wolno będzie prosić Wysoką Izbę deputowanych, ażeby raczyła zwrócić się do Rządu Cesarskiego z żądaniem natychmiastowego mnie uwolnienia i dozwolenia powrotu do ojczyzny. Twierdza Josephstadt dnia 14 listopada 1864 r.“. Uwolniono go nakoniec dnia 6 marca. Pojechał do Szwajcarii, potem do Turcji, gdzie jako agent rządowy turecki trudnił się zakupywaniem dział od słynnego Kruppa w Essen. Zaoszczędziwszy trochę grosza, chciał sobie kupić wioskę w Sandeckiem w Galicyi, ale wracającego do kraju zaskoczyła śmierć w Wiedniu dnia 12 maja 1887 r. Zostawił syna Tadeusza, który służy w dragonach austriackich.

¹⁾ O pobycie panny Pustowojtow w Pradze, dzienniki ówczesne.

cach, wreszcie udała się do Paryża, gdzie wyszła za mąż za Dra Lewenharda i zmarła w roku 1881. Pochowana na cmentarzu Père Lachaise.

Wśród tych wszystkich zdarzeń. kończących jeden z najciekawszych i najdziwniejszych epizodów powstania, przybyli za Langiewiczem do Krakowa Giller i Janowski, a zaraz potem Stefan Bobrowski, jak wiemy, wysłany do dyktatora z listem, wykrywającym intrygi, które spowodowały dyktaturę. W starej stolicy polskiej roilo się od powstańców; przepełniali oni sobą miasto, które przyjmowało ich gościnnie i serdecznie. Większość uwięzionych przez Austriaków przy przejściu granicy i osadzonych po rozmaitych miejscach, z łatwością zdołała się uwolnić przy pomocy mieszkańców, zwłaszcza kobiet¹⁾. Władze austriackie swoim zwyczajem, patrzyły na to przez palce i dozwalały na wszystko. Powstańcy ubrani w burki, długie buty i krakuski, włóczyli się gromadnie po mieście, przesiadywali po handlach, kawiarniach i szynkach, a w teatrach tak się nieprzyzwoicie zachowywali, że uczciwe kobiety przestały do niego uczęszczać. Zgromadzali się w sali teatralnej tłumnie, częstokroć w towarzystwie ladacznicy, przesyłali kobietom pocałunki, rzucali karmelkami, rozwa-

sne doniosły szczegóły następujące: zatrzymała się ona w „Hotel de Saxe“, gdzie zajęła dwa pokoje; wyjeżdżała tylko w karecie w towarzystwie starego służącego dyktatora (?). Ubierała się w grubą żalobę i krzyż złoty na piersi. „Sądząc z powierzchowności, pisał jeden z korespondentów, musi ona mieć od 24 do 26 lat, ale gazety polskie utrzymują, że jest młodszą. Twarz jej ma wyraz stanowczości i smutku“. Swobodę ruchów w Pradze miała zupełną, mimo to nigdzie nie bywała. Z początku złożyła wizytę jakiejś poważnej rodaczce, mieszkającej w Pradze w zupełnem odosobnieniu. Przed hotelem jej przez kilka dni z rzędu, zbierały się tłumy ciekawych, pragnąc ujrzeć tę osobliwą pannę. Ale Pustowojtowna się nie pokazywała.

¹⁾ Wielu pomieszczono w t. z. ujeżdżalni, gdzie przychodziły tłumy kobiet, które powstańców w suknie kobiece przebiebrały i tym sposobem z więzienia wydobywały. Działo się to na oczach straży austriackiej, która udawała, że nic nie widzi.

lali się na krzesłach, na ulubione aktorki ciskali ciastka i bukiety, na nielubiane zaś orzechy, wygłaszali głośno karczemne i bezwstydnne wyrazy, skakali po ławkach itp. Na Langiewicza wygadywali niestworzone rzeczy, nazywali go zdrajcą i sprzedawczykiem, a w tych oskarżeniach zupełnie, jak wiemy, niesłusznych, pierwsze skrzypce trzymali Mierosławczycy. Ich wódz ciągle siedział ukryty w Krakowie, dawał hasła, tworzył jakieś organizacje, i słusznie należało się obawiać z jego strony jakiego zamachu lub wystąpienia. To też Bobrowski dla położenia raz na zawsze końca wszelkim tego rodzaju próbom, zdaje się, z własnej inicjatywy, zrehabilitował i wydrukował w Krakowie odezwę, datowaną dnia 21 marca, ze swym podpisem (który oczywiście dla publiczności polskiej był nieznanym i nic nie mówił przez siebie), w której donosił o upadku dyktatury i o tem, że „naczelną władzą kraju przechodzi napowrót w ręce tymczasowego Rządu narodowego w Warszawie, który nie przestał pełnić obowiązków rządowych i jest jedynie prawnie ukonstytuowaną władzą krajową“. Zapewniał, że „powstanie utrzymanem zostanie i nie będzie ukończonem bez zwycięstwa“; groził, że Rząd „wystąpi stanowczo przeciwko wszelkim pokuszeniom się fakcyj, któreby usiłowały stworzyć niezależne od niego władze“¹⁾. Śmiała ta odezwa, zdawało się, że na razie kładzie koniec wszelkim zamachom na władzę powstańczą. Okazało się, że tak nie było.

Tymczasem zaszły inne zdarzenia, wynikłe z powodu listu Rządu tymczasowego do dyktatora, które to pismo, jak wiemy, Bobrowski przywiózł ze sobą do Krakowa. Ponieważ Langiewicz siedział już w więzieniu, więc list ten nie miał znaczenia i należało go poprostu zniszczyć; dyktatura sawa przez się upadła i nie było żadnej racji wywłóczyć na jasność dzienną dość mętne źródło jej pochodzenia. Sprawa ogólna nic na tem nie zyskiwała,

¹⁾ Odezwę tę, bardzo pospolitą w zbiorach z tej epoki, czytać można w całości u Giller, Historia I, 316.

owszem przeciwnie, stracić mogła w opinii u obcych. Tymczasem Bobrowski, kierowany względami, których bliżej nie znamy, fatalny ów list złożył do rąk generała Wysockiego¹⁾, a ten nie chował go pod korcem, ale pokazywał każdemu, kto chciał, a nawet wkrótce skrypt ten począł obiegać po Krakowie w licznych odpisach²⁾. To wywołało wrzawę ogromną i ze wszech stron domagano się wyjaśnienia całej sprawy. Jakoż zebrani w Krakowie członkowie Rządu tymczasowego, a mianowicie: Giller, Janowski i Bobrowski, postanowili śledztwo przeprowadzić i sąd zarządzić nad Grabowskim i jego towarzyszami: Kołaczkowskim i Siemińskim. Do sądu tego, który odbywał się w hotelu Saskim, zaproszono: generałów Wysockiego i Kruszeńskiego, i dwóch bliżej nam nieznanych³⁾; brali w nim udział także Bobrowski i Giller. Dwaj ostatni umówili się, że wezwanemu przed sąd hr. Grabowskiemu, ani przy wejściu, ani przy wyjściu ręki nie podadzą⁴⁾. Grabowski stał się przed sądem i ze zwykłą sobie swadą i zręcznością nie zapierał swego udziału w utworzeniu dyktatury, tłumaczył to jednak wyjątkowością położenia i niebezpieczeństwem, grożącym ze strony Mierosławskiego. Po tej obronie, która, zdaje się, dość dodatnie na obecnych wywarła wrażenie, Grabowski, czując się niejako zwycięzcą, wychodząc wszystkim się pokłonił, a głównym swym oskarżycielom: Gillerowi i Bobrowskiemu rękę podał. Giller wbrew poprzedniej umowie swojej nie usunął⁵⁾, Bobrowski zaś uczynił tak, jak przyrzekł i dłoń cofnął. Grabowski

¹⁾ A. Giller, *Historia* I, 43.

²⁾ Wydrukowany został jednak dopiero w czerwcu 1863 roku w broszurze A. Szczepańskiego p. t. „W tył”.

³⁾ A. Giller, loc. cit. przytacza inicjały czterech sędziów, „najważniejszych (jak powiada) obywateli, jacy byli wówczas w Krakowie”. Kto pod inicjałami R. i F. się ukrywa, odgadnąć nie możemy. Posiadamy w naszych zbiorach krótką o tym sądzie relację, jednego z ówczesnych komisarzy wojewódzkich, w której jest powiedziane, że do sądu tego należał także p. Maryan Sokołowski.

⁴⁾ Cytowana relacja jednego z komisarzy wojewódzkich.

⁵⁾ Loc. cit.

obrażony tem, tegoż samego dnia wieczorem przysłał do Bobrowskiego Kołaczkowskiego z wyzwaniem na pojedynek, nie tyle może za niepodanie mu ręki, ile za to, że uważał go i słusznie za twórcę listu do dyktatora¹⁾. Przy wyzwaniu tem był obecny Giller i on to poradził Bobrowskiemu, ażeby „pojedynku z panem Grabowskim nie przyjął”, na co Kołaczkowski odrzekł, że w inny sposób zrobią sobie satysfakcję²⁾. Jednakże Bobrowski miał pewne wątpliwości, czy w sprawie tego pojedynku zachował się, jak należy i rzecz całą opowiedział hr. Kazimierzowi Krasickiemu, pochodzącemu z W. Ks. Poznańskiego, a swemu serdecznemu przyjacielowi i zażądał od niego rady, zwłaszcza, że czas nagiął i do Warszawy trzeba było jechać, gdzie po upadku dyktatury, Bóg wie, co się dziać mogło. Krasicki podjął się załatwienia tej sprawy, a Bobrowski puścił się do stolicy polskiej.

Tymczasem w Krakowie zaszły nowe wypadki, świadczące wymownie o chaosie, jaki zapanował w sferach powstańczych po upadku dyktatury. Wśród mnóstwa osobistości, kręcących się po mieście, mieszejących się do wszystkiego i snujących najrozmaitsze intrygi, znalazł się i ks. Paweł Kamiński, misjonarz z Warszawy, wysłany stamtąd za patriotyczne kazanie do Płocka, skąd uciekł za granicę i przybył w końcu do obozu Langiewicza, gdzie, w toku tego opowiadania, parokrotnie o nim wspomnieliśmy. Był to ksiądz wywłoka, charakteru niespokojnego, intrygant zawołany i jak wielu ludzi tej epoki, żywiący ambitne zamiary odegrania pierwszorzędnej roli w krwawej tragedii powstańczej. Przybywszy do Krakowa, uwił on się wśród wszystkich stronnictw, wszędzie należał, uchodził raz to za Mierosławczyka, to za zwolennika Lan-

¹⁾ Giller, loc. cit. I, 43.

²⁾ Opowiadanie *Jeziorańskiego* (*Pamiętniki* II, 266), jakoby powodem pojedynku był list jakiś (którego nawet treść Jeziorański przytacza), napisany przez Bobrowskiego do generała Kruszeńskiego, jest jak zwykle fałszywe. Jeziorański zawsze słyszał, że dzwonią, ale nigdy nie wiedział w którym kościele.

giewieczowskiej dyktatury, to za ajenta partyi klerykalnej i arystokratycznej (bo i taka była), to wreszcie za partyzanta stronnictwa szlacheckiego galicyjskiego. Mówiono o nim takie, iż w tym czasie werbował do jakiegoś hufca sztyletników, rzemieślników krakowskich, od których wśród romantycznych i teatralnych dekoracyj, odbierał przysięgę po piwnicach na trupiej głowie¹⁾. Byli i tacy, którzy go mieli poprostu za szpiega rosyjskiego lub austriackiego, co nie było prawdą, ale samo jego rzucanie się, mieszanie do wszystkiego, warcholstwo wyraźne i jawne, podawać go musiało w podejrzenie wielu. Otóż, ksiądz ten, wśród zamętu, panującego w Krakowie w pierwszych dniach po sromotnym upadku dyktatury, powziął plan wysunięcia naprzód Rochebruna, objęcia władzy naczelnej, urządzenia jednym słowem zamachu stanu. Kombinację swoją oparł on, jak się zdaje na tem, że Rochebrun cieszył się teraz znaczną, i powiedzmy szczerze, zasłużoną sławą. W krótkiej bowiem kampanii dotychczasowej w Krakowskim, on jeden bił się i bił dobrze, umiał uorganizować i natchnąć duchem wojskowym swój oddział, który czy to na ulicach Miechowa, czy pod Chrobrzem, czy pod Grochowskimi wreszcie, wszędzie stawiał mężne czoło nieprzyjacielowi i chwałę oręża polskiego ocalił. Ale poza temi niezaprzczonemi zasługami, nie był to człowiek zdatny do stanowiska wyższego. Wyborny oficer podrzędny, nie posiadał żadnego wykształcenia, nie umiał zorientować się na mapie, nie znał kraju, ścierających się w nim prądów, nie pojmował znaczenia i celów powstania polskiego. Powodzenie i sława, jaka go teraz otoczyła, wysoki stopień, jaki tak szybko osiągnął w powstaniu polskim (z prostego sierżanta francuskiego został generałem) przewrócił mu w głowie i przy lekkości charakteru, właściwego Francuzom, z łatwością uległ podszeptom takiego zręcznego intryganta, jak ks. Paweł Kamiński. Rzecz o tyle była ułatwiona, że już poprzednio generał Wysocki, będący jak

¹⁾ Bentkowski, loc. cit. 109.

wiemy dyrektorem Wydziału wojny, chcąc powstrzymać oddział Langiewicza, dążący ku granicy, od jej przekroczenia, zaproponował Rochebrunowi, ażeby się tam natychmiast udał, dowództwo objął i doprowadził korpusik w głąb kraju. Stało się to dnia 20 lub 21 marca, t. j. w chwili, gdy brygadyer Śmiechowski z resztkami oddziału dążył wzdłuż Wisły forsownymi marszami do granicy galicyjskiej. Rochebrun zgodził się na to, nominację przyjął, wyasygnowano mu sumę na potrzeby oddziału i zaraz nazajutrz rano miał wyruszyć w pole¹⁾.

Z tego wszystkiego skorzystał ks. Kamiński, jak jedni utrzymują z własnej inicjatywy, według innych zachęcany do tego przez Mierosławczyków²⁾, i począł namawiać Rochebruna, ażeby ogłosił się wodzem naczelnym całego powstania polskiego, ażeby Wysockiemu dał dymisyę, odebrał od niego fundusze i t. p. Rochebrunowi spodobało się to bardzo i zaraz nazajutrz, zamiast udać się na plac walki dla uratowania choć resztek oddziału Langiewicza, wygotował, a raczej wygotowano za niego, szumny rozkaz „generała głównodowodzącego armią powstańczą“. W rozkazie tym było powiedziane, że „armia“ otrzyma nową organizację, a oficerowie wszystkich stopni nowe „breweta“. Pan generał Wysocki, były minister wojny wręczy natychmiast generałowi głównodowodzącemu wszystkie pieniądze, jakie do jego rozporządzenia oddane były; również odda kancelaryę i pieczęcie, przyłączając do tego sprawozdanie ze swoich czynności. Komisarze finansów, żywności dla wojska, broni, ubiorów wszelkich i amunicyi wszelkiego rodzaju, złożą natychmiast sprawozdanie i oddadzą na ręce generała głównodowodzącego, wszystko, co z tych

¹⁾ A. Giller, *Historja* I, 47.

²⁾ Loc. cit. Na egzemplarzu rozkazu Rochebruna, znajdującym się w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, pomieszczoną jest uwaga następująca, podpisana inicjałami S. M. „Francuz ten Rochebrun, nie umiejący po polsku, owładnięty po upadku dyktatury Langiewicza przez stronnictwo Mierosławskiego wydał niniejszą odezwę. Jest to ważny dowód intrygi Mierosławszczyzny“.

rzeczy u siebie posiadają". Zapowiadał, że w najkrótszym czasie ustanowi, „o ile się da” zarząd administracyjny, i groził każdemu, ktoby się temu rozkazowi nie poddał, że będzie „wyjęty z pod prawa i jako zdrajca ojczyzny ogłoszony". Odezwa ta, zdala już warcholstwem najgorszego gatunku cuchnąca, zaopatrzona była w nową pieczęć z orłem i pogonią i napisem w otoku: „generał major głównie dowodzący". Wysocki, otrzymawszy to cudackie wezwanie, oburzył się niesłychanie i zdobywając się na energię, tak rzadką u niego, niestety! postanowił dla przykładu surowo ukarać lekkomyślnego Francuza. Ale Władysław Bentkowski, znany nam szef sztabu Langiewicza, odgadując, że poza Rochebrunem ktoś inny się ukrywa, chcąc wreszcie dla powstania zachować tak dzielnego oficera, ułagodził Wysockiego, udał się do Rochebruna i przedstawił mu, jak wielką popełnił niedorzeczność. Francuz przyznał się do winy, tłumaczył się, że nie wiedział, co podpisywał, że go patryoci polscy do tego skłonili i w rezultacie wezwanie swe cołnął¹⁾. Ale Wysocki nie ustąpił; dał dymisyę Rochebrunowi, wynagrodził go pieniędzmi i kazał z kraju wyjechać. To wszystko rozdrażniło Francuza nadzwyczajnie. Opuścił Polskę pełen gniewu i żółci²⁾; później jednak

¹⁾ Tak opowiada *Bentkowski*, loc. cit. 110. *Giller*, loc. lit. I, 47 inną podaje relację. Utrzymuje on, że Rochebrun udał się „w asystencyi ks. Kamińskiego, hr. Tyszkiewicza, pana Czarnieckiego i W. Jeski do generała Wysockiego po odbiór pieniędzy i papierów, już niby jako nowy polski Dyktator. Oburzająca ta komedia poruszyła na Rochebruna i jego asystencyę jen. Wysockiego i natchnęła go niezwykłą energią. Słowami pełnemi grozy i powagi skarcił generał Wysocki zuchwałość Francuza i tych Polaków, którzy sprawę oczysztą poniewierali, robili sobie z niej igraszkę i pokazali im drzwi. Autorowie zamachu wynieśli się jak niepyszni". My poszliśmy za relacją Bentkowskiego, który w jednym się tylko myli, że według niego Rochebrun nie dostał dymisyi, ale „w parę dni potem został mianowany dowódcą sił zbrojnych województwa krakowskiego", co nie jest prawdą.

²⁾ *S. Koźmian*, *Rzecz* I, 78. Spotkał on Rochebruna w wagonie kolei, jadąc do Paryża i opowiada, że Francuz „był w usposo-

za pośrednictwem p. Stanisława Koźmiana wszedł w stosunki z ks. Władysławem Czartoryskim i miał formować osobny legion zagraniczny, co jednak spełzło na niczem¹⁾. Powstanie utraciło w nim dobrego niezaprzeczenie, ale lekkomyślnego oficera.

Wśród tego Bobrowski, Giller i Janowski wrócili do Warszawy i zajęli się najprzód uorganizowaniem rozbitego przez ostatnie wypadki Rządu. Przedewszystkiem należało raz na zawsze zapobiedz nowej dyktaturze, zwłaszcza, że o Mierosławskim ciągle chodziły wieści, iż zamierza wystąpić ze swemi prawami, a nawet w dziennikach francu-

bieniu najwyższego rozdrażnienia i oburzenia na wszystko, co się stało i działo; nie szczędził gorzkich i obrazowych a obrażających wyrażań, mówiąc o dowódcach powstania, o sposobie prowadzenia wojny, o oddziałach i mniemanej administracji wojskowej. Przypisywał ostatnią klęskę nie warunkom, w których walka się toczyła, ale błędom, nieudolności, zawiści, antagonizmom i wogóle wadom polskim, a w szczególności obecnego ruchu i powstania. Oświadczył mi stanowczo, że więcej takiej wojny, pod takimi dowódcami prowadzić nie będzie, był osobiście obrażony, zapowiedział, że wszystko opowie i w dziennikach francuskich opíše, aby przestrzedz swój naród, że nie należy podawać ręki i ponosić ofiar na rzecz sprawy, której sami Polacy bronić nie umieją. Przerazenie moje na myśl, że wszystko, co ujemnem było w stanie rzeczy ówczesnym i oskarżenia odsłaniające słabe strony wypadków w Polsce, rzucone zostaną na bruk paryski, przez tego, który walczył dopiero co za sprawę polską i to w chwili, w której najwięcej zależało, aby zagranica do bre miała o naszych stosunkach zdanie; przerazenie to, mówię, było miarą nadziei, jaką pokładaliśmy w pomoc obcą, w poparcie Francyi i cesarza Napoleona, oraz wagi, jaką przywiązywaliśmy do wracenia, wywartego przez wypadki w Polsce na Europie, znaczenia, jakie podawaliśmy tak zwanej opinii publicznej. Widziałem już przygotowujący się wielki skandal, ułagodzić następnie Rochebruna. przez drogę uspokoić najprzód, ułagodzić Czartoryskiego, że przemówię za tem, aby mu dano nowe przeznaczenie i fundusze na tworzenie legii zagranicznej, co było jego skrytem marzeniem i zamiarem. Udało mi się zażegnać grożącą z tej strony burzę²⁾.

¹⁾ *J. N. Janowski*. Moja korespondencya z ks. Władysławem Czartoryskim, p. 35 i 43.

skich o tem pisano¹⁾, Dla położenia końca tym plotkom i zamiarom, w dniu 27 marca opublikowano dekret Rządu tymczasowego, że „wszelkie nowe ogłoszenie dyktatury, albo w jakiegokolwiek formie władzy najwyższej w kraju lub za granicą, uważane będzie za zdradę ojczyzny“. Tak zabezpieczywszy się przeciw wszelkiego rodzaju zamachom, zajęto się ostateczną organizacją Rządu. Bobrowski wziął się do zredagowania nowej ustawy, o wiele pełniejszej od dotychczasowej, jeszcze w lipcu r. z. w 9 artykułach skreślonej dla ówczesnego Komitetu centralnego przez Gillera. Miał on nadzieję, że ta nowa ustawa, jeżeli wprowadzoną będzie w wykonanie we wszystkich szczegółach, zapobiegnie na przyszłość wszelkiego rodzaju zamachom i katastrofom²⁾. Ale niestety! pracy tej nie skończył, gdyż przeszkodziła mu nieszczęśliwa sprawa pojedynkowa z hr. Grabowskim. Sprawa ta, prowadzona przez hr. Krasickiego, sekundanta Bobrowskiego, po różnych kolejach, skończyła się na tem, że pojedynek stał się nieunikniony. Krasicki uwiadomił o tem swego mocodawcę i wezwał go telegramem do Wrocławia. Szczerze mówiac, wobec krwawej walki toczonej o wolność ojczyzny, pojedynek taki był w najwyższym stopniu niewłaściwym. Bobrowski doskonale to rozumiał³⁾; nie chcąc jednak narażać swego przyjaciela i sekundanta na możliwe nieprzyjemności, postanowił jechać do Wrocławia i w tym celu zażądał od swych współkolegów w Rządzie urlopu. Zapytany po co jedzie, miał

¹⁾ „La Presse“ np. donosiła, że Rząd tymczasowy zamierza oddać dyktaturę Mierosławskiemu. Przeciw temu protestował gorąco polski korespondent, generał Henryk Dembiński i pisał, że „byłoby to straszne dla Polski nieszczęściem, i dlatego uważam za swój pierwszy obowiązek zapytać, czy nie możnaby, póki jeszcze czas, zapobiedz temu nieszczęściu?“ Nawet ulagodzony już teraz Rochebrun, w tejże „La Presse“ pisał dnia 13 kwietnia: „oświadczam wam Polacy, że w dniu, w którym Mierosławski stanie na czele rewolucji, wkładam moją szablę do pochwy, bo od tego dnia Polska jest zgubiona“.

²⁾ N. Berg, Zapiski III, 63.

³⁾ Czasopismo „Ruch“. Nr. 16 z 1863 r.

oświadczyć, iż odebrał telegram od rodziny, z którą oddawna się nie widział, a która czeka w Wrocławiu¹⁾. Giller zażądał od niego słowa, że stawi się w Warszawie na oznaczony termin i Bobrowski dał słowo, „że wróci w sobotę“, t. j. dnia 18 kwietnia. Pojedynek tymczasem odbył się dnia 12 kwietnia pod Rawiczem, w Łączyńskim lesie. Bobrowski, który strzelać nie umiał, który miał wzrok tak krótki, że na trzy kroki przed sobą nie widział, padł na miejscu ugodzony kulą w serce. Tak marnie zginął trzeci z kolei z inicjatorów powstania. Ale jeżeli dwaj pierwsi, Godlewski i Frankowski, znaleźli śmierć albo niewolę na polu bitwy, wśród świstu kul nieprzyjacielskich i upojenia walki, to los najzdolniejszemu i najenergiczniejszemu z nich odmówił tej satysfakcji. Konał z ręki polskiej, od morderczego rzec można strzału, nic nie zdziaławszy dla tej ojczyzny, którą tak gorąco ukochał, owszem zostawiając ją w konwulsjach straszliwych, których jednym z powodów on sam był niestety! W sferach powstańczych żał był po nim wielki i słuszny²⁾.

¹⁾ A. Giller, loc. cit. I, 45.

²⁾ Aweyde, Zeznania IV, 32, pisze: „straciliśmy w Bobrowskim dobrego, serdecznego przyjaciela, a powstanie najrozumniejszego i najdzielniejszego ze wszystkich ludzi, jacy się pojawili na jego scenie. Liczył on zaledwie 23 lat, mimo to był zupełnie wyrobiony, nadzwyczajnie zdolny, niesłychanie pracowity i energicznej, że tak powiem, odwagi; nigdy w żadnej okoliczności. na jedną chwilę nawet nie tracił przytomności umysłu. Drugiego Bobrowskiego powstanie nie miało“. „Ruch“ w Nr. 16 z r. 1863 pisze o Bobrowskim co następuje: „tak padł ten niepospolity człowiek, nie w walce z nieprzyjacielem kraju, ale w walce z człowiekiem, który przez zadaną mu śmierć, przyjacielską usługę oddał Moskwie. Winowajca zbiegł za granicę kraju, powiększywszy jeszcze śmiercią Bobrowskiego ciężące na sobie zarzuty. Rząd Narodowy pociągnie go we właściwym czasie do odpowiedzialności i postara się, ażeby sprawiedliwosci prawa zadosyć się stało. Kończąc to krótkie wspomnienie o Bobrowskim, rzucamy na grób jego wspomnienie zasługi i pięknej chwały. zmieszane z żalem, że Polska straciła w nim tak wcześnie jednego z najgorętszych i najszlachetniejszych, najbardziej sprawie narodu poświęconych synów“.

Przez dziwny zbieg okoliczności, w tym samym mniej więcej czasie, gdy Bobrowski konał od kuli polskiej

Skoro już mowa o Bobrowskim, godzien tu jest zanotowania fakt, który *ks. Sayn-Wittgenstein* w swych wspomnieniach („Souvenirs et correspondance“ II, 88), pod d. 19 maja 1863 r. opisuje jak następuje: „W. Księżna Konstantowa opowiadała mi wczoraj epizod z rewolucyi, którego o mało nie stała się ofiarą przed dwoma miesiącami. Dawano w teatrze, zwykle pozbawionym obecności Polaków, operę kompozytora polskiego. Komitet centralny (sic), który zabrania publiczności uczęszczania do teatru, rozkazał wszystkim pójść tam tego wieczoru. Sala była pełną; oczekiwano W. Księcia i W. Księżnej. Otóż, niejaki Bobrowski, podówczas naczelnik Komitetu centralnego, a który niedawno został zabity w Prusach w pojedynku, powziął był zamiar, na czele stu powstańców, rozrzuconych po sali, uzbrojonych w sztylety i rewolwery, na dany znak zagasić gaz i korzystając z ciemności wskoczyć do loży cesarskiej i porwać jako zakładników W. Księcia i W. Księżnę, albo, gdyby zamach się nie udał, zamordować oboje. Na szczęście nie pojechali oni do teatru, obawiając się, by to nie wyglądało na ubieganie się o względy publiczności warszawskiej. Szczegóły tego zamachu znane są zaledwie od kilku dni, dzięki zeznaniom niejakiego Padlewskiego, który został schwytany nad granicą galicyjską (sic) i który jest także członkiem Komitetu. Biedna W. Księżna drży ciągle o swedzieci, którym nie pozwala wychodzić, gdyż ostrzeżono ją kilkakrotnie, że Polacy chcą je porwać jako zakładników“.

Jakkolwiek opowiadanie to nie znajduje potwierdzenia w żadnym ze znanych nam źródeł polskich i rosyjskich, wszelako jest ono możliwem ze względu na zdecydowany i śmiały charakter Bobrowskiego. Dodać tu wypada, że w rzeczy samej w dniu 5 marca wystawiono w Teatrze Wielkim operę St. Moniuszki „Halkę“, że zatem, jeżeli istotnie Bobrowski miał zamiar porwania W. Księcia i jego żony, to mogło to nastąpić tylko w wyżej rzeczonym dniu, gdyż przez cały marzec tę jedną operę polską wystawiono (Patrz „Uziennik powszechny“ z marca 1863 r.). Wiemy z drugiej strony, że Bobrowski często korespondował z Padlewskim i przy schwytaniu tego ostatniego, znaleziono przy nim wszystkie te listy, z których trzy, *N. Berg* w swych „Zapiskach“ ogłosił. Być więc może, iż w innych, nieznanach nam wcale, a ukrytych dotąd w jakimś archiwum rządowym rosyjskiem, Bobrowski doniósł swemu przyjacielowi o szczegółach chybionego zamachu. To tylko budzi pewne wątpliwości, że najbliższy list daty zamachu (5 marca) pisany w nocy z 6 na 7 marca i ogłoszony przez *Berga*, nic nie wspomina o tej

w ustronnym lesie, jego przyjaciel serdeczny, Zygmunt Padlewski, wojewoda płocki, po licznych i próżnych nieśtetach! wysileniach dostał się w ręce nieprzyjacielskie i miał umrzeć nie na polu bitwy, ale na placu kaźni od kul wroga. Zostawiliśmy go, gdy pod wpływem komisarza Białego (Chądzyńskiego), odzyskawszy dawną energią, udał się w kąt, utworzony przez Bug i Narew, gdzie oddziały podlaskie po klęsce Siemiatyckiej szukały schronienia. Nad oddziałami tymi naczelne dowództwo miał znany nam Zameczek (Cichorski) człowiek, jak wiemy niewojсковy i niezdatny, choć niektórzy przyznają mu roztropność¹⁾. Główne stanowisko miał on we wsi Jaszczałty, na zachód od szosy, prowadzącej z Wyszkowa do Ostrowa, w pobliżu historycznego Długosiodła, na drodze, którą w maju 1831 r. maszerował Skrzynecki na gwardye. Placówki Zameczka zajmowały Ostrow, Brok, sięgając niekiedy Nura i Sulęcina²⁾. Obliczano go na dwa tysiące mniej więcej ludzi³⁾, podzielonych na dwa bataliony, z których każdy składał się z 10 sekeyi; w rzeczy zaś samej miał wszystkiego wraz z kawalerią 700 ludzi⁴⁾. Prowadził on zresztą bardzo ruchliwe życie. Ćwicząc nieustannie swój oddział, d. 22 lutego zabrał pieniądze z magazynu solnego w Wyszkanie, w kilka dni potem to samo zrobił z magistratem w temże miasteczku, dwukrotnie napadał na pocztę i pieniądze skonfiskował, ukazywał się tu i tam, sięgał nawet do Popowa, nieomal pod nosem twierdzy w Modlinie. Rosyjanie mieli o nim bardzo niejasne i niedokładne wiadomości. Pierwszą

sprawie. Jeżeli bowiem gdzie i kiedy, to tylko w tym liście mógł Bobrowski pisać Padlewskiemu o zamachu, skoro zaś tego nie uczynił, to jeżeli w rzeczy samej istniał projekt porwania pary Wielk książęcej, albo pozostał projektem, albo też w innym czasie i w innych okolicznościach niż te, o jakich mówi Wittgenstein, miał być wykonany.

¹⁾ *Berg*, Zapiski III, 76.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 313.

³⁾ *Berg*, loc. cit. III, 76. *Pauliszczew*, Siedmicy II, 54.

⁴⁾ *Anonim*, Pamiętniki (rkpsm).

wieść otrzymano d. 18 lutego w Modlinie, o pobycie jakoby „silnej bandy“, do 2000 liczącej w okolicach Popowa¹⁾; wiadomość tę przesłano do Warszawy, a tam rozkazano, ażeby z Pułtusa wyruszył oddział rosyjski do Popowa i powstańców rozbił. Jenerał Semeka, naczelnik wojenny płocki, wskutek przesadnych doniesień o sile Zameczka, począł się lękać o Serock i prosił komendanta Modlina, ażeby ważny ten punkt z mostem na Narwi zajął dwoma kompaniami i setką kozaków²⁾. Te to przesadzone wieści spowodowały, że, gdy wskutek rozkazu warszawskiego, wyruszył major Golicyń z Pułtusa d. 26 lutego, na czele półtorej kompanii piechoty i 80 kozaków, to, lękając się o siebie wobec zbyt wielkiej przewagi polskiej, posuwał się bardzo ostrożnie i z obawą. Przenocowawszy we wsi Gródku, pomaszerował nazajutrz na Sieczychy, Przetycz, Długosiodło do Wiśniewa i tu natknął się na placówkę powstańczą, z 50 ludzi złożoną, którzy zamknąwszy się w domku nadleśnego, uparty stawili opór. W czasie tej strzelaniny, dowiaduje się Golicyń od nadleśnego na wielkie swoje przerażenie, że we wsi Jaszczuły, o którą maszerując na Przetycz nieomal się otarł, stoi Zameczek z 2000 ludzi. Wobec tego dowódca rosyjski nie tracąc czasu, cofa się szybko do Przetycza, dokąd przybywa późnym wieczorem i staje tu na nocleg³⁾.

Zameczek, wiedząc o tych wszystkich manewrach Golicyńa, postanowił nań napaść z nienacka. Jakoż o świcie d. 28 lutego zaatakował go ze wszech stron i po krótkim oporze, zmusił do bezładnej ucieczki. Golicyń cofając się palił i rabował⁴⁾.

Na parę tygodni przedtem zaszła w tych stronach jedna z najkrwawszych w powstaniu potyczek, pod wsią

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 314.

²⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 314.

³⁾ Loc. cit. Przed wyjściem jednak z Wiśniewa, kozacy zamordowali nadleśnego Sewalda, żonę i siostrę jego poranili ciężko, a dom spalili. (Pamiętnik Anonima).

⁴⁾ Pamiętnik Anonima.

Podoś, niedaleko Makowa, która przygnębiające wrażenie wywarła na całą okolicę i spowodowała, że z prawej strony Narwi oddziałów prawie wcale nie było. Niejaki Wacław Steinkeller, synowiec rozgłośnego niegdyś bankiera warszawskiego, dzierżawca wsi Bolki pod Makowem, po nieudanym w nocy styczniowej napadzie na to miasto, uformował partwę, około 200 ludzi liczącą, w lasach Młodziańskich. O partyi tej wkrótce doszła wiadomość do Płońska, skąd w d. 5 lutego wysłano kolumnę pod wodzą pułkownika kozackiego Wałujewa, w sile dwóch kompanii piechoty i 150 kozaków. Ci dogнали powstańców we wsi Karniewie, gdzie Steinkeller się udał dla odebrania od podwładnych przysięgi; ale oddział cofnął się bez strat do lasu. Tu jednakże, czy to wpływ tego nagłego, choć bezskutecznego napadu, czy inne powody, dość, że, korzystając z ciemności większa część oddziału się rozbiegła, tak że przy dowódcy zostało zaledwie 66 ludzi, którzy posiadali ogółem 32 strzelby myśliwskie¹⁾. Z tą garstką Steinkeller przedostał się w nocy do lasów Podoskich i zamierzał stąd, po spoczynku wyruszyć do borów Krasnosielskich. Ale sam był mocno chory, febra go dręczyła i potrzebował spokoju. Ponieważ komisarz wojewódzki Biały, zapewniał go, że wkrótce przybędzie jakiś wojskowy z Warszawy i dowództwo obejmie, więc zdał na chwilę komendę bratu swemu Tytusowi Steinkellerowi, który z żywnością przybył do obozu, a sam udał się za Narew.

Wśród tego wszystkiego Wałujew doszedł do Makowa i przepędził tu noc z 7 na 8 lutego. Od kolonisty Niemca, z sąsiedniej wioski, dowiedział się o miejscu pobytu powstańców²⁾. Wsadziwszy piechotę (80 ludzi) na

¹⁾ Relacya rękopiśmienna p. H. M.

²⁾ Niemiec ten, przebrany za kozaka, przewodniczył Wałujewowi w poszukiwaniu powstańców. Gesket-Puzyrewskij, piszą loc. cit. 307, że wiadomość o pobycie oddziału w lesie Podoskim, potwierdził sołtys, „który odwoził do bandy samego Steinkellera“. O którym

podwody, ruszył w kierunku wskazanym przez zdrajcę Niemca¹⁾; po przybyciu do lasu Podoskiego, otoczył go kozakami dokoła, a piechotą uderzył nagle na powstańców, nie spodziewających się wcale tego napadu i będących pod dowództwem człowieka, który najmniejszego nie miał wyobrażenia o wojnie. Oddziałek biwakował na małej polance, przytykającej do błot/gęsto zarosłych. Z wymarszem do lasów Krasnosielskich opóźniono się nieco²⁾ i zamierzano właśnie wyruszyć, gdy nagle ukazali się kozacy, a za nimi piechota. W strasliwym popłochu chwycono za broń, gdy wysunął się konno sam Wałujew i wezwał powstańców do poddania się; przedstawił im, że są otoczeni, że posiada 500 ludzi, a ich jest tylko garstka, i wołał: by broń rzucili, że nic im nie będzie i t. p. Prawdopodobnie usłuchanoby tego, ludzkością natchnionego, wezwania, gdyby nagle nie wyskoczył naprzód z szeregu młody jakiś człowiek, podobno urzędnik z kolei żelaznej i mierząc do Wałujewa z dubeltówki, nie zawołał: „czy nie wiesz o tem, że Polak nie poddaje się nigdy!“ To rzekłszy strzelił i chybił³⁾, a rozwścieczone tem żołdactwo rosyjskie, rzuciło się na bezbronną gromadkę i rozpoczęła się rzeź formalna.

tu Steinkellerze mowa, nie wiemy; Wacława, właściwego dowódcy, przy oddziale, jak zaznaczyliśmy w tekście, nie było. Może ten soltys odwoził go za Narew, a nie do oddziału.

¹⁾ Niemiec ów z obawy przed zemstą powstańców, ciągle zmienił miejsce pobytu. Wykryty jednak później przez członka organizacji powstańczej, został przezeń zabity.

²⁾ Powodem opóźnienia było przybycie nowego ochotnika, syna dzierżawcy sąsiedniego folwarku, oraz pojawienie się chłopca, którego syn był w oddziale. Chłop prosił, by syna uwolniono choć na parę godzin dla pożegnania się z matką, ofiarując się pozostać na jego miejsce. Zgodzono się na to, ale certacye te zajęły dużo czasu. Chłop ten zginął.

³⁾ „Wiadomości z pola bitwy“ No 2 twierdzą, że słowa te wyrzekł sam Steinkeller. „Gdy żołnierze już rannego Tytusa Steinkellera (piszą „Wiadomości“) i bez broni będącego obokoczyli i żądali, żeby się poddał, krzyknął: „Polak nigdy nie poddaje się“ i padł ugodzony sześciu bagnietami. Relacya ta jest błędną.

Steinkeller pchnięty w głowę dzidą kozacką, gdy padł, dobity został wystrzałem z rewolweru z ręki adjutanta Wałujewa. Na miejscu poległo 16 (których trupy zwyczajem rosyjskim, zaraz obdarto do naga), 36 było rannych, których zwycięzca przywiózł do Makowa, a z nich wyleczyło się tylko 9, reszta umarła; 7 wzięto do niewoli¹⁾. Rzeź ta strasliwa, ta nieszczęsna śmierć znanego powszechnie w okolicy Steinkellera, który za brata poniósł ofiarę z życia, powtarzamy, przynębiające wywarła wrażenie i na chwilę wszelki w tych stronach ruch powstańczy zmroziła.

Takie było tutaj położenie powstania, gdy Padlewski przybywał. Poprzednio już, znając nieco Zameczka z wieści, wiedząc zresztą z krótkiego ale owocnego doświadczenia jak niechętnie dowódcy powstańczy poddawali się pod czyjąś komendę, zażądał od Rządu Tymczasowego, ażeby powiat Ostrołęcki, w którym właśnie Zameczek przebywał, poddał pod zwierzchnictwo Padlewskiego. Wyjaśnić tu bowiem należy, że jeszcze w r. 1862, Komitet ówczesny Centralny podzielił gubernię Płocką na dwa województwa; pięć powiatów między Toruniem i Narwią otrzymało nazwę płockiego; szósty zaś ostrołęcki, z oderwanym od województwa augustowskiego, łomżyńskim, nazwany został województwem łomżyńskim. Rząd Tymczasowy przychylił się do wymagania Padlewskiego i udzielił mu nominacyą na naczelnika wojennego wszystkich sześciu rzeczonych powiatów²⁾. Zaopatrzony w taką władzę, wyruszył Padlewski w towarzystwie Rolskiego i całego swego sztabu; odwoziła go z Czarnocinka pod Ciechanowem, gdzie dotąd stale przebywał, właścicielka tejże wsi, pani Aniela Ra-

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, loc. cit. 307. Relacya rękopiśmienna p. H. M. Powodem nagłego i niespodziewanego napadu na obozowisko powstańcze w lesie podoskim, było to, że placówka, złożona z 2-ch ludzi i postawiona przy karczmie w Podosiu, chcąc się rozgrzać, weszła do izby i tam ją kozacy pochwycili, tak że o zbliżaniu się nieprzyjaciela nie miano żadnej wiadomości.

²⁾ Pamiętniki Anonima (rkpsin).

dzicka ¹⁾. Przeprawiwszy się nocą przez Narew, dowiedziano się o porażce Golicyna, o tem że nocuje gdzieś nad Narwią, że pali i rabuje, a kozacy na wszystkie strony płądrują. Droga więc nie była bezpieczną. Pomimo to Padlewski nie chciał czekać i w towarzystwie jednego z ziemian, wieziony przez prostego furmana, ruszył dalej. Furman ów, Mazur zadzierzysty wioził wodza powstańczego „ze zmyślnością dzikiego Indyanina amerykańskiego“, opowiada pamiętnikarz. „Najmniejszy odgłos w cichej nocy, ślad dla naszego oka niepostrzeżony, stanowił dla niego dostateczną wskazówkę“ ²⁾. Po dwóch godzinach takiej jazdy, napotkano paru młodych ziemian, wysłanych poprzednio przez Padlewskiego do Zameczka z listem od tegoż. Wojewoda nie mogąc przy świetle księżyca odczytać listu, polecił owym dwu wysłańcom wracać z ustnym roz-

¹⁾ W tym czasie, jeśli wierzyć można rękopiśmiennej relacji, jaką posiadamy o wypadkach w Płockiem, Padlewski chciał rozstrzelać komisarza Białego (Chądzyńskiego) i darował mu życie tylko na usilne wstawienie p. Anieli Radzickiej i jej kuzynki pani M. Rolski był z tego mocno niezadowolony i narzekał na miękkość charakteru Padlewskiego. Powodów tak surowego kroku przeciw Białemu, pamiętnikarz nie podaje, wszelako relacja jego z wielu względów nosi na sobie charakter autentyczności, acz co do dat jest bałamutną. Autor przypuszcza, że Biały nie wykonywał rozporządzeń Padlewskiego. „To ostatnie przypuszczenie (pisze cytowany pamiętnikarz) jest najprawdopodobniejszym, gdyż Biały był to człowiek przy słabych zdolnościach niezmiernie zarozumiały, uparty i broń Boże, nie znoszący niczyich uwag. Wprawdzie nie oponował im głośno, lecz milczkiem i zaciętością, koniecznie to zrobić musiał, co mu ktoś drugi odradzał. Wreszcie, gdy w jego obecności mówiono o Padlewskim, ostrożnie wprawdzie, lecz zawsze dawał to poznać, że to jest człowiek bez charakteru i bez zdolności odpowiednich na członka Rządu Narodowego. Przy słowach uznania i pochwały, uśmiechał się ironicznie, a działania jego zawsze uważał za nielogiczne. Wspomnieć naostatku winniem, że na sumieniu swoim dźwiga śmierć kilku ludzi zupełnie niewinnych, których zgładzić kazał, jako niby szpiegów. Składałem dowody, że się myli, ale właśnie to ich zgubiło, bo jakżeby to być mogło, żeby się mylił komisarz Rządu narodowego“.

²⁾ Pamiętniki Anonima.

kazem do Zameczka, ażeby tenże nazajutrz stawił się z całym oddziałem we wsi Kuninie, dokąd sam natychmiast się udał. Tutaj dopiero odczytał list Zameczka, który stanowczo odmawiał Padlewskiemu posłuszeństwa, posądzając go o przywłaszczenie sobie władzy bez upoważnienia Rządu Tymczasowego, zarzucał mu nawet sfalszowanie pieczęci wojewódzkiej ¹⁾.

Niegodny ten list tak oddziaływał na wrażliwą duszę wojewody, że chciał wszystko rzucić i w tej chwili wracać za Narew. W podniosłej jego duszy, gotowej do nieograniczonych poświęceń dla ojczyzny, zniewaga wyrządzona mu przez Zameczka, nikła wobec obawy wywołania niesnasek i sparaliżowania przez to powstania. Ale towarzyszył mu, ów szlachcic pamiętnikarz, inaczej się patrzył na rzeczy. Radził mu więc, aby dał surowy przykład i skazał Zameczka na śmierć, zobowiązując się, że dopilnuje wykonania tego wyroku. Padlewski jednakże nie chciał uciekać się do tej ostateczności i radę tę odrzucił; zato przyjął inny projekt. Ponieważ w skład oddziału Zameczka wchodziło 400 ludzi zorganizowanych na początku powstania przez Padlewskiego i Malinowskiego, więc postanowiono ten zastęp ludzi odebrać, przejść na jego czele Narew i działać odpowiednio do okoliczności ²⁾. Tymczasem nazajutrz w południe, przybył na bryczce sam Zameczek w orszaku dwunastu Krakusów. Już bowiem po napisaniu ubliżającego listu do Padlewskiego, otrzymał był urzędowe zawiadomienie z Warszawy o nominacji tego ostatniego, oraz rozkaz wypełniania jego poleceń. Przyjechał więc z przeprosinami, które Padlewski, szlachetny z natury i łatwo przebaczący urazy osobiste, jak większość ludzi z tej doby, żyjących tylko dla ojczyzny, przyjął i podał rękę Zameczkowi. I rzec można, że było to dlań takim samym nieszczęściem, jakiego ofiarą padł Langiewicz, połączwszy się z Jeziorańskim. Zameczek miał bowiem wszyst-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Loc. cit.

kie wady tegoż, a natomiast żadnego przymiotu. Podobnie, jak tamten, żywił w sobie niezdrową ambicją i trawiony był głęboką zawiścią wobec wyższości innego. Gdy wieczorem oddział jego nadciągnął i gdy Padlewski konno, otoczony sztabem, wyjechał na powitanie, żołnierze i oficerowie przyjęli go złowróżbnem milczeniem i wyraźnie dawali poznać swą niechęć¹⁾, której Zameczek nie przestawał ciągle podsycać i tworzyć rozdzielenie między wodzem i żołnierzem, tak zgubne zawsze dla obu stron na wojnie. Padlewski, mając teraz około 700 ludzi, postanowił oddział ten zwiększyć do 1000 a nawet więcej, jeżeli to będzie możliwe; połowę tych sił zostawić z Zameczkiem za Narwią, z drugą zaś połową szybkimi marszami przerzucić się w zachodnią część województwa, aby tam powstanie ożywić i zamówioną broń z Prus odebrać²⁾. Malinowskiemu polecił, ażeby w okolicach Ciechanowa przygotowywał magazyny z żywnością, umundurowaniem, amunicją i bronią wszelkiego rodzaju, tak, by w razie pojawienia się tam wojewody mógł mu skuteczną podać pomoc. W okolicach Ciechanowa znajdował się niewielki oddziałek niejakiego Jurkowskiego (subjekta z magazynu herbaty kupca Krupeckiego w Warszawie³⁾; oddziałek ten Malinowski miał zwiększyć, uorganizować lepiej, by w razie potrzeby mógł podać rękę Padlewskiemu⁴⁾.

Wśród tego wszystkiego, oczy nieprzyjaciela zostały zwrócone na wojewodę plockiego. Właśnie mniej więcej w tym czasie przysła do Warszawy wiadomość o zabiciu

¹⁾ Loc. cit. W „Pamiętnikach“ *Deskura* (Materiały do historyi powstania II, 160) jest powiedziane, że Padlewski połączył się z Zameczkiem nie w Kuninie, ale w Sulęcinie. Zda się jednak, że *Deskura* ma pod tym względem niedokładne informacje.

²⁾ Pamiętnik Anonima. Wiadomość podana przez *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 315 na podstawie relacji *Berga*, *Zapiski* III, 77, jakoby Padlewski postanowił zbliżyć się do granicy pruskiej dla połączenia się, z mającym wkroczyć z Poznańskiego, oddziałem, jest błędna.

³⁾ *N. Berg*, loc. cit. III, 80.

⁴⁾ Pamiętniki Anonima.

Telesfora Dziedzickiego¹⁾, emeryta, członka niegdyś senatu i właściciela wsi Pawłowo pod Przasnyszem. Stary ten człowiek, urzędnik z doby Paskiewiczowskiej, kutwa i skąpiec słynny na całą okolicę, był niechętny powstaniu, jak większość ludzi dojrzałych tej epoki, płacenia podatku od mówił, głośno wyrzekał na „zbrodniczą działalność“ Rządu narodowego, a zagrożony karą, zażądał od dowódcy rosyjskiego w Przasnyszu, by mu przysłał do obrony kozaków. To miało być ostatecznie powodem skazania go na śmierć. Wyrok taki wydał Padlewski podobno na usilne nalegania Białego²⁾, który, jak wiemy, grał w Plockiem rolę Saint-Justa i usiłował zaprowadzić terroryzm. Otóż d. 13 lutego, samym już wieczorem, w Pawłowie zjawili się siedmiu ludzi, uzbrojonych w rewolwery i dubeltówki z oddziału Tomasza Kolbe, uwijającego się w tych strojach. Z ludzi tych, dwóch, niejaki Siemiński i Kondracki stanęli przed Dziedzickim z wyrokiem. Ten przeczuwając swą śmierć, otworzył szufladę w biurku, pełną pieniędzy i rzekł: „bierzcie ile chcecie na potrzeby ojczyzny“. Ale wykonawcy strasznego wyroku, wobec zbiegających się z całego domu kobiet i żony nieszczęśliwego starca, trzema wystrzałami z rewolweru położyli go na miejscu³⁾. Wia-

¹⁾ „Dziennik Powszechny“ ogłosił ją dopiero dnia 11 marca w No 57.

²⁾ *Aweyde*, *Zeznania* IV, 17.

³⁾ Relacye ustne od osoby wiarogodnej, oraz „Dziennik powszechny“ No 57 z r. 1863. *Berg*, loc. cit. III, 75, inaczej to opowiada. Twierdzi on, że zabójstwo dokonane zostało we wsi Dąbrowce, że Dziedzickiego powieszono przy ogromnym napływie ludności. Wszystko to jest bajką. Posiadamy jeszcze jedną rękopiśmienną relacją o tem zabójstwie, od osoby, biorącej bardzo czynny udział w ówczesnych wypadkach. Opowiadanie to różni się w niektórych szczegółach od podanego w tekście i brzmi jak następuje: „Było to wieczorem. Dziedzicki przy lampie zajęty był czytaniem, gdy dano mu znać, że przyjechali jacyś panowie i widzieć się z nim chcą koniecznie. Po wejściu trzech zbrojnych, jeden z nich oświadczył, że przyjeżdża z rozkazem piśmiennym Rządu narodowego i po- dał mu go (rozkaz oczywiście) do przeczytania. Gdy Dziedzicki w wy-

domość o tem zabójstwie przyszła, jak powiadamy, dość późno do Warszawy i wywołała tam w sferach rządowych wielkie oburzenie na Padlewskiego, które się wzmogło, gdy się dowiedziano o porażce Golicyna pod Przetyczą. Wydano więc surowe rozkazy skończenia raz z wojewodą płockim.

Wskutek tego generał Semeka, naczelnik wojenny płocki, polecił garnizonowi stojącemu w Płońsku, ażeby wysłał część swoich sił do Pułtusza, tam się połączył z garnizonem miejscowym i wyruszył na Padlewskiego. Dowództwo nad temi siłami objął znany nam już pułkownik kozacki Wałujew i d. 4 marca znajdował się w Pułtusku i gotował się do wyprawy. Współcześnie, gdy Wałujew miał operować na skrzydło i tyły Padlewskiego, Semeka polecił, ażeby z Łomży wyruszył także, pod wodzą Ulianowa, oddział wojska i atakował powstańców od czoła¹⁾. Wojewoda płocki o tych ruchach i zamiarach nieprzyjaciela, dzięki organizacji miejscowej, był doskonale poinformowany. Miał przed sobą takie alternatywy: albo uderzyć wstępny boj na Wałujewa, albo czekać na jego atak, albo też wymknąć się z oblawy rosyjskiej i rzucić się, zgodnie z powziętym planem, w zachodnią część woje-

prostowanej postawie czytać począł, dwaj stojący w tyle na dany znak, strzałami z fuzyi trupem go położyli i w tejże chwili wyszedłszy na dziedziniec do pozostałych zbrojnych, przy bryczce czekających, ze wsi wyjechali⁴. Siemieński miał się tłumaczyć później, „że dlatego tak nagle z tyłu strzelić kazał, żeby oszczędzić starcowi grozy przedśmiertnej. Dodać tu wypada, że według relacji ustnej, Siemieński i Kondracki wykonawszy wyrok mieli schwycić z otwartej szuflady garść pieniędzy, za co zostali przez swoich rozstrzelani.

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 315 utrzymuje, że Ulianow wyruszył dla rozbicia drobnych oddziałów powstańczych we wschodniej części Łomżyńskiego. Wygląda to tak, jak gdyby Ulianow nie miał operować przeciw Padlewskiemu. Tymczasem w raportach Semeki, drukowanych we wszystkich pismach współczesnych wyraźnie czytamy: „przeciw bandom (między Pułtuskiem i Łomżą) wyruszyły d. 4 marca (20 lutego) oddziały z Pułtusza i Łomży“. Stąd wniosek, że Ulianow miał popierać wyprawę Wałujewa.

wództwa. O atakowaniu Wałujewa nie mogło być mowy. Pułkownik rosyjski liczył przeszło 800 ludzi (cztery kompanie piechoty i 300 kozaków¹⁾), był więc co do sił równy powstańcom, a przewyższał ich bronią i wyrobieniem wojuskowem. Padlewski nie dowierzał bitności swego żołnierza i słusznie; uznał więc za stosowne nie przyjmować boju. Skoncentrował zatem swoje siły w Sulęcinie, na północ od Ostrowa i tu noc z 3 na 4 marca przepędził. Nie chcąc jednak tych okolic lesistych i błotnych zupełnie pozabawiać powstańców, polecił Mystkowskiemu i Deskurowi, którzy po podlaskich porażkach tu się znaleźli, aby w lasach ostrołęckich i na Kurpiach, formowali nowy oddział z piechoty i jazdy złożony²⁾. Takie wydawszy rozporządzenie, sam zaraz nazajutrz (d. 4 marca) z całą partią Zameczka rzucił się forsownym marszem z dyrektywą na północ i dotarł do wsi Zalesia, niedaleko Śniadowa, wyminałszy szczęśliwie Ulianowa, który, nie wiedząc, że otarł się bokiem o powstańców, doszedł do Ostrowa i tu się zatrzymał na noc. Tym sposobem Padlewski miał oba oddziały rosyjskie, przeznaczone do jego rozbicia, za sobą i w dalszym pochodzie mógł mu zagrażać tylko garnizon ostrołęcki. Wodzowi powstańczemu szło przedewszystkiem o jak najszybsze dostanie się do Narwi i o przeprawienie się przez nią szczęśliwie. Najdogodniejszy potemu punkt wydał mu się w pobliżu Miastkowa, między Ostrołęką i Łomżą, gdzie miejscowość była lesista i ruchy jego doskonale zakrywała. Doszedłszy do Miastkowa, w nocy z 5 na 6 marca, o godz. 11-ej przeprawił się przez Narew pod wsią, zwaną Kępa, spokojnie³⁾, poniszczwszy wszystkie promy i łodzie. Maszerując ciągle forsownie, d. 7 marca przeszedł dopływ Narwi, Rożogę, most na niej zepsuł i stanął w Myszyncu, miasteczku leżącym na Kurpiach. wśród wielkich lasów, zwanych puszcza Myszyniecką. Tym spo-

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 316.

²⁾ *Deskur*, Pamiętniki (Materiały do historii powstania II, 160).

³⁾ „Wiadomości z pola bitwy“ No 6.

sobem, dzięki energii swych ruchów i nadzwyczajnemu wysiłkowi, plan swój w części wykonał i żywił tę nadzieję, że nieprzyjaciół ślad jego zatracił. W Myszyńcu niesłychanie znużonych powstańców przyjmowano bardzo uroczyście; Padlewski kazał zniszczyć herb rosyjski, wiszący na magistracie i zarządził dostawę żywności, za którą gotówką zapłacił¹⁾. Stąd, z Myszyńca, tegoż jeszcze dnia, zrobiono wyprawę na komorę celną w Dąbrowie, z której pieniądze zabrano i wzięto dwóch obywateli do niewoli; reszta schroniła się za granicę pruską²⁾.

Cóż przez ten czas robił Wałujew i Ulianow? Ten ostatni z Ostrowa, ruszył śladem powstańców ku Zalesiowi, ale gdy w Nadborach dowiedział się o ich marszu do Miastkowa, skręcił w bok do Troszyna, tłómacząc się później, że chciał zagrozić Padlewskiemu drogę do Ostrołęki i w dalszym pościgu udziału nie brał. Wałujew zato uparcie maszerował za powstańcami. Doszedłszy do Narwi, gdy z powodu zniszczonego promów i łodzi, nie mógł się przez nią przeprawić, skręcił do Ostrołęki, i tu przeszedł przez rzekę. Z Ostrołęki wysłał żądanie do garnizonu Łomżyńskiego, aby stamtąd natychmiast wyruszył oddział w kierunku wsi Serafin, dla zaatakowania powstańców w lasach myszyńskich od skrzydła. Sam pomaszerował dalej ku Myszyńcowi i stanął tam d. 9 marca o świcie.

Padlewski, nie chcąc przyjmować walki w mieście, którego pozycja nie była potem odpowiednią, na widok zbliżającego się Wałujewa wyruszył w kierunku wsi Surowe, i tu w lesie, mając od czoła zasłonę w błotnistym strumieniu, zwanym Trybówka, zajął wyborną pozycję o wiorstę od Myszyńca³⁾. Pierwszy batalion swych strzelców, liczący około 400 ludzi⁴⁾, rozsypał wzdłuż strumienia w tyraliery; drugi, niemniej silny, przeważnie jednak z ko-

¹⁾ *Gesket-Puzyrowskij*, loc. cit. 316.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ „Wiadomości z pola bitwy“ No 6.

⁴⁾ Pamiętniki Anonima.

synierów złożony, ustawił w rezerwie w tym zamiarze, by przy zdarzonej sposobności rzucić go do ataku na nieprzyjaciela¹⁾. Rozpoczęła się zwykła, nużąca strzelanina, gdy nagle doniesiono Padlewskiemu, że od Ostrołęki, na tyły oddziału powstańczego, zbliża się nowa kolumna rosyjska. Wobec tego dowódzca polski, jedyną swą rezerwę wysłał pod komendą Friczego na drogę do Ostrołęki dla obserwacji i powstrzymania nieprzyjaciela, i tym sposobem znacznie się osłabił od strony Wałujewa. Ten prawdopodobnie spostrzegł to, gdyż po półgodzinnej strzelaninie przyparł silnie powstańców, którzy po stracie znacznej liczby ludzi, zmuszeni byli cofnąć się w nieładzie. W tej krytycznej chwili Padlewski dopadł do kosynierów, schwycił ich sztandar i osobiście poprowadził do ataku. Żwawo ruszyli naprzód i dobiegłszy na 20 kroków do wroga, pod silnym jego ogniem zachwiali się i pierzchnęli²⁾. Sam Padlewski w tym ataku, tak niefortunnie zakończonym, narażał się na największe niebezpieczeństwo. Widoczny on był bardzo dla nieprzyjaciela, gdyż ubierał się zawsze w kożuszek biały barankowy, suknem jasnym podszyty, w białą konfederatkę z takimże piórem i na białym jeździł koniu³⁾. Całe to białe ubranie miał podziurawione od kul, sztandar był poszarpany, nawet drzewce strzaskane⁴⁾.

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ *Anonim*, powiada, że atak się udał, że kosynierzy znaczną liczbę nieprzyjaciela wyrąbali. To samo twierdzi *Z. Kolumna*, Pamiętniki I, 118. Wszelako posiadamy w naszych zbiorach krótką relację uczestnika starcia Myszyńskiego, który wyraźnie powiada, że kosynierzy ognia nie wytrzymali, że Padlewski szablą ich pędził i że pierzchnęli. Relacja ta wydaje nam się autentyczniejszą, jako pochodzącą od naocznego świadka, niż opowiadanie *Anonima*, który podaje opis potyczki według relacji osób trzecich, gdyż sam pod Myszyńcem nie był.

³⁾ *Anonim* loc. cit. Podanie więc *Berga* III, 75, oparte jakoby na relacjach członków sztabu Padlewskiego, że on ubierał się w kwintnie w czarną elegancką czamarkę, jest pozbawione prawdy.

⁴⁾ *Anonim* loc. cit. opowiada, że „jeden Moskal tak blisko do Padlewskiego broń wymierzył, że gdyby nie przytomność oficera od

Bądź co bądź, po nieudanym tym ataku, powstańcy w nieładzie cofać się poczęli na zachód ku Chorzelom; wreszcie zatrzymano się na noc we wsi Zaremby¹⁾. Walka trwać miała pięć do sześciu godzin; powstańców, według raportów rosyjskich poległo 120, Rosyan tylko 4 rannych²⁾. Podania polskie mówią o stracie kilku swych oficerów (między nimi dowódzca pierwszego batalionu, Władysław Wilkoszewski³⁾ i około 30 żołnierzy; Rosyan zaś zginąć miało stu⁴⁾. Oczywiście oba te podania są nieścisłe i nieautentyczne. Wałujew uchodzących powstańców, wcale tego dnia nie ścigał, tłumacząc się zapadającą nocą i nadzwyczajnem znużeniem swych ludzi.

Dzięki temu, Padlewski przywrócił ład w swym korpusiku i przenocowawszy w Zarembach, o świcie d. 10 marca, mając wybornych przewodników w bardzo patryotycznie usposobionych Kurpiach, zwrócił się nagle na południe i dotarł wieczorem do wsi Drążdżewa, należącej do ordynacyi hr. Krasińskich, zniszczywszy most na rzece Orzycy. Ale już wiadomość o jego noclegu w Zarembach doszła do Przasnysza. Miejscowy naczelnik wojenny w oba-

strzelców, który Moskala zrabiał, Zygmunt (Padlewski) byłby niezawodnie zabity. Adjutant jego, Kuczborski, młody chłopaczek, za poły od sukni go chwycił i za cugle od konia, chcąc Zygmunta zwrócić z tak niebezpiecznego miejsca. nie mogąc go jednak uprosić, zasłonił sobą⁴⁾.

¹⁾ Opis starcia Myszynieckiego oparliśmy wyłącznie na opowiadaniu *Anonima*. W innych źródłach polskich, nie znaleźliśmy różnic, prócz owego ataku kosynierów. Relacya, pomieszczona w „Wiadomościach z pola bitwy“ No 6, jest bardzo bałamutna. W źródłach rosyjskich także niema żadnych szczegółów. Już *Gesket-Puzyrewskij* uskarżali się na „szczupłość i nieścisłość“ (niesprediellenost) raportu Wałujewa.

²⁾ Raport Wałujewa. *Berg*, a za nim *Gesket-Puzyrewskij*, mówią o 125. Co do Rosyan, *Berg*, III, 75 zapewnia, że było „kilkudziesięciu (nieskolko diesiatkow) zabitych i rannych“.

³⁾ Szczegóły o nim można czytać u *Z. Kolumny*, Pamiątka, datalek 81.

⁴⁾ „Wiadomości z pola bitwy“ No 6, zapewniają, że z naszej strony padło 10, rannych było 20.

wie, by powstańcy nie napadli na komorę pograniczną w Chorzelach, gdzie znajdowała się tylko jedna kompania objeszczyków pod wodzą majora Lisenko, zaraz d. 10 marca wysłał podpułkownika Gorielowa na czele 2 kompanii piechoty pułku Niżegrodzkiego, 30 kozaków i 2 dział¹⁾, z rozkazem dotarcia do Chorzeli i gdyby tam powstańców nie zastał, atakowania ich w Zarembach. Gorielow, wymyślając nadzwyczaj uczone manewra dla zamaskowania jakoby swego ruchu, ruszył drogą okolną na Janowo i przybył do Chorzeli dopiero o godz. 10-ej wieczorem, gdzie go Lisenko uwiadomił, że powstańców niema w Zarembach i że poszli niewiadomo dokąd²⁾. Współcześnie więc, w tym samym dniu 10 marca, kiedy Padlewski dążył nagłym zwrotem na południe, Gorielow, przeznaczony do jego pokonania, włókł się cały dzień okolną drogą na północ. Wszelako nazajutrz d. 11 marca wódz rosyjski zasięgnął od mieszkańców języka, a dowiedziawszy się o zniszczonym moście na Orzycy, nabył przekonania, że Padlewski uskokzył na południe. Ruszył więc niezwłocznie w tym kierunku i doszedłszy do wsi Jednorożca, dowiedział się, że powstańcy o sześć stąd kilometrów obozują w Drążdżewie. Odpocząwszy nieco, wysłał na podwodach pół kompanii strzelców i kozaków naprzód, poczem sam z resztą oddziału puścił się za nimi³⁾.

Padlewski napadu się nie spodziewał i o marszu Gorielowa nie miał żadnej wiadomości⁴⁾. Wieś Drążdżewo

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 317.

²⁾ Loc. cit. 318.

³⁾ Loc. cit.

⁴⁾ *Berg*, III, 78 opowiada, że Padlewski w Drążdżewie „rozłożył się wygodnie“, że „piękna córka rządcy majątku, nazwiskiem Reich, spowodowała, że wojewoda zapomniał o warunkach, w jakich się znajdował i jeszcze raz dowiódł, jak złym był dowódcą gierylasów polskich; dokoła jego kwatery głównej nie było pikiet; w samej kwaterze nie zachowywano porządku wojskowego i żołnierze myśleli tylko, żeby jak najprędzej czas przeszedł od śniadania do obiadu, od obiadu do kolacyi“. Relacya ta wydaje nam się podejrzaną z tego powodu, że na to wszystko nie było czasu. Padlewski

leży nad dopływem Orzycą, i ciągnie się na przestrzeni trzech blisko wiorst, wzdłuż drogi, prowadzącej z Jednorozca do Krasnosiela, i dochodzi północnym swym końcem do lasu, z którego debuszował Gorielow. Ponieważ z tej strony i od wschodu płynie Orzycą, rozlewająca się pod samą wsią w wielki staw, i mająca brzegi błotniste, więc oficer powstańczy, będący tego dnia na służbie, uznał obóz z tej strony za zupełnie zabezpieczony i pikiet wcale nie rozstawił¹⁾. Cały oddział pomieścił się w chałupach wiejskich, sam zaś Padlewski ze sztabem zajął dwór, znajdujący się u południowego wylotu wsi²⁾. Dnia 11 marca powstańcy spożywali właśnie śniadanie, gdy nagle ukazanie się kozaków, wywołało ogólny popłoch. Wielu ludzi było rozebranych i oddalonych od swej broni; mimo to Padlewski, dosiadłszy konia, dopadł do północnego wylotu wsi, zebrał co mógł strzelców i rozpoczął nieporządną, nerwową ogień na nieprzyjaciela, licząc na to, że tymczasem reszta oddziału sformuje się i da odpór należyty. Ale nieprzyjaciel nie pozwolił na to. Kapitan rosyjskiej kompanii strzelców, Klementowicz, rozsypał tyralierów od północy, a z połową kompanii rzucił się do wsi, podczas gdy kozacy obiegli od zachodu i zagrodzili odwrót na południe do Krasnosiela. Powstańcy wyparci ze wsi, skupili się koło dworu i parokrotnie usiłowali atakować nieprzyjaciela, lecz bliskim ogniem rażeni, zawsze odrzucani zostali. Rozpoczął się więc odwrót bezładny w kierunku wschodnim, przez rzekę, którą wpływ przebywano. Stracono przytem dużo wozów z bagażami, przeszło 50 w zabitych, dziewięciu dostało się do niewoli³⁾. Kilkanaście koni i około 300 ludzi rozpięchło się w przestrachu po okolicy i lesie. We dwo-

przybył do Drażdżewa d. 10 marca wieczorem, a już nazajutrz d. 11 został w południe zaatakowany przez Gorielowa. Na zalecanie się więc do panny Reich, na oczekiwanie od śniadania do kolacyi, po prostu nie było czasu.

¹⁾ *Anonim*, Pamiętnik.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 318.

³⁾ Loc. cit.

rze nieprzyjaciel zabrał wszystkie papiery wojewody, piękne jego futro i ohydnie zamordował Edwarda Rolskiego, który, należąc niegdyś do najgwałtowniejszych stronników powstania, podobnie jak Godlewski, Frankowski, Wasilewski, głową swoją przypłacił nieszczęście, które na kraj ściągnął¹⁾. Przez cały czas tej utarczki żwawej i upartej, Wałujew ze

¹⁾ O śmierci jego *Anonim* loc. cit. opowiada co następuje: „Rolski, będąc w jednej z Zygmuntem kwaterze, nie chciał ratować się ucieczką, nie pozbierawszy poprzednio ważnych papierów i rozkazów, które mogły skompromitować wiele osób; z tej przyczyny się opóźniwszy, siedział na konia prawie wśród Moskali; byłby im uszedł i wpadł do swoich szeregów, lecz poprzedniego dnia tak sfor-sował lewą rękę od cugli, kierując bystrym i niespokojnym koniem, że, nosząc ją na chustce nie był w stanie uchwycić siodła tą ręką. W takim położeniu zaciął konia i wbiegł między zabudowania dworskie, chcąc się ukryć; parobcy wskazali mu śpichrze otwarte. Rolski dopadł do tego magazynu, lecz był ścigany przez kilku kozaków, którzy go tam obkoczyli. Bronił się biedak, o ile sił starczyło, ale przeszyty kilku kulami, padł, zostawiając torbę z papierami w rękach nieprzyjaciół. Uczciwi parobcy, widząc Rolskiego nurzającego się we krwi i dającego znaki życia, wzięli go na ręce i nieśli do stajni, gdzie mieli zamiar udzielić mu pierwszy ratunek i pomoc; spotkani w drodze z rannym przez okrutnych Moskali, musieli rannego im oddać, którego z pastwieniem się dobili żołnierze. Nieszczęśliwa matka jego przyjechała tam wkrótce pomodlić się i popłakać na grobie jego; straciwszy drugiego syna poprzednio już w innej okolicy kraju, została bez dzieci“. W notatkach pana M. „o powstaniu w Płockiem“, śmierć Rolskiego inaczej nieco jest opisana. „Wśród popłochu (pisze p. M.), wywołanego nagłym napadem nieprzyjaciela, Rolski uciekał na wpół ubrany. W ucieczce pomiędzy budynkami kulą raniony, dowlókl się do stajni, tam go parobcy pod żłobem słomą przykryli. Gdy pogoń trochę się oddaliła, Rolski, nabrawszy sił, wywłókl się ze stajni, aby się dostać do mieszkania. Wtem usłyszano tętent koni nadbiegającej reszty kozaków. Widząc to Rolski, nie mając już sił cofnięcia się, padł na wznak na ziemię, sądząc zapewne, że zbroszonego krwią wezmą go już za zabitego. Tymczasem jeden z kozaków pobiegł bliżej i przyłożywszy lancę do dołku piersiowego, pchnął ją z całą siłą. Rolski obydwo-ma rękami schwycił się za ową ranę i jęknął strasznie, a kozak krzyknął: *teper nie obmanisz nikoho* (teraz nie oszukasz nikogo). Parobcy stali na progu stajni o 20 kroków od zabitego i oni to matce, która z córką przyjechała, by zobaczyć miejsce śmierci syna i brata, opowiadali te szczegóły“.

swą kolumną stał o 9 wiorst od Drażdżewa, ale zatrzymany przez zniszone mosty, udziału w boju wziąć nie mógł¹⁾. Późnym dopiero wieczorem złączył się z Gorielowem w Krasnosielcu. Potem Gorielow pomaszerował do Przasnysza, a Wałujew zawrócił do Pułtuska, oswabdzając tym sposobem na pół rozbitego Padlewskiego od ostatecznej klęski.

Położenie jego było dość rozpaczliwe. Oddział pozbawiony kilku najlepszych oficerów, zmniejszony prawie do połowy przez potyczkę drażdżewską, odrzucony został na wschód; zwichnięty był plan wojewody dotarcia do zachodniej części województwa. A przytem ze wszystkich stron dochodziły wieści o nieprzyjacielu, jakkolwiek nieprawdziwe, ale trudno się było przekonywać o ich autentyczności. Brakowało ładunków, żywności, a duch w oddziale nadzwyczajnie upadł, zwłaszcza, że Zameczek nie przestawał, na wzór Jeziorańskiego, rozsiewać niezgody i knuć intryg w obozie przeciw Padlewskiemu²⁾. Ten ostatni widział się otoczonym nieprzychylnymi sobie ludźmi i czuł to doskonale, jako wojskowy, że takie usposobienie stanowi jeden z głównych fermentów rozkładu, i wobec tego ogarniało go zwykle tej wrażliwej duszy zniechęcenie. Ale miał gorącego przyjaciela w Stefanie Bobrowskim, który listami zachęcał go do wytrwania. W tym mniej więcej czasie, Padlewski otrzymał od niego pismo (kreślone w nocy z 6 na 7 marca), w którym opowiadał mu o wszystkim, co się dzieje na szerokim świecie i lał pociechę w to serce zbolale. „W ostatnim liście, pisał, proponowałem ci po pierwszej pomyślnej bitwie, wrócić do Warszawy; teraz, wskutek zmiany okoliczności, innego jestem zdania. W obozie spoczywa przyszłość polityczna każdego człowieka z talentem. Każde powodzenie twoje na polu bitwy wryje się w pamięć narodu, a twój przyjaciel, zawsze jednakowy, postara się, żeby wryło się głęboko. Kilka po-

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, loc. cit. 319.

²⁾ *Anonim* loc. cit.

myślnych utarczek, nieco zdolności administracyjnych *et ta fortune est refaite*. Pamiętaj, że nie wiele potrzeba, by tłum chwycić za ręce; on sam się oddaje“¹⁾. Słowa takie dodawały energii Padlewskiemu; to też po niefortunnej utarczce drażdżewskiej, wziął się energicznie do ratunku. Odsadziwszy się w lasy Wólki Drażdżewskiej, odpoczywał tu do północy i rozesłał rozkazy do okolicznych wsi o dostawienie mu podwód. Patryotycznie usposobieni Kurpie stawili się w parę godzin z podwodami i przewodnikami. Zasłoniwszy się kawalerią od nieprzyjaciela²⁾, ruszył na północ w lasy Myszynieckie, zamierzając wielki łuk zrobić i obszedłszy od północy Przasnysz, znów rzucił się na zachód i tam wzmocnić się w okolicach Ciechanowa z formującym się oddziałkiem Jurkowskiego i z oddziałem, jaki w tych stronach miał sztyftować Malinowski³⁾.

¹⁾ *Berg*, IV, 193.

²⁾ *Anonim* w swym pamiętniku opowiada, że „kawaleria ta silnie zaatakowała obadwa moskiewskie obozy“. Czy tak było, trudno dociec. *Gesket-Puzyrewskij*, 319, twierdzi, że Gorielow nazajutrz po starciu drażdżewskim wyruszył w pogoń za powstańcami i natrafił na ich ślady pod wsią Przysań, ale z braku żywności nie poszedł dalej. Może to była właśnie owa jazda Padlewskiego?

³⁾ Zdaje się, że ten to oddział, tak *Berg*, jak i *Gesket-Puzyrewskij*, nazywają stale oddziałem Kolbego, co jest błędem. W pamiętnikach *Anonima* rzecz ta jest opisana szczegółowo. Autor wysłany został właśnie z Kunina przez Padlewskiego dla uformowania oddziału w Ciechanowskim. Oto co o tem czytamy: „polecił mi (Padlewski) abym, gdy on powstanie w powiatach Ostrołęckim i Pułuskim, wziął pod swój zarząd cztery pozostałe powiaty z władzą nieograniczoną; urządził powstanie, przygotował magazyny ubrania; amunicją, kosy, i broń palną pozbierał i był gotów w razie jego przemarszu skutecznie i silnie mu dopomóc. Uwiadomił mię także, że moje działanie o tyle będzie ułatwione, że jeszcze pozostawił oficera Jurkowskiego, który w okolicach Ciechanowa oddział formował. Następnego dnia, t. j. 3 marca, pożegnawszy się z Zygmuntem, pośpieszną jazdą tego dnia wieczorem stanąłem w okolicach Ciechanowa. Porozumiałem się z Jurkowskim, który już miał ludzi. Następnego dnia rozpisałem rozporządzenia do wszystkich powiatów, aby miano w gotowości ubranie, żywność i amunicję, każdy powiat na 400 piechoty i 100 konnicy. Kazałem szyć ładownice, torby, kuć

Niestety! pomoc ta miała w części zawieść. Jurkowski, wbrew rozkazom swego zwierzchnika Malinowskiego, zamiast ukrywać się w gęstych lasach, wychylił się z nich i obozował we wsi Rydzewo, niedaleko Ciechanowa. W tym właśnie czasie z Mławy, d. 12 marca, wysłano na podjazd asawulę kozackiego Dukmasowa w 120 ludzi piechoty i 45 kozaków, który we wsi Drogiszki, dowiedział się o pobycie Jurkowskiego w Rydzewie; napadł więc nań zniemacka¹⁾,

kosy. Jurkowski tymczasem w tajemnicy organizował oddział i powoli go zwiększał. Między szlachtą drobną ciechanowską kazał formować drugi oddział, czem się zajął z gorliwością Konstanty Siciński. Przez cały czas do 8 marca, żadnych wiadomości nie mając od Zygmunta, przypuszczałem, że ledwie za 10 dni przejdzie Narew; o tym jego planie nikt w czterech powiatach nie wiedział, aby uspić baczność nieprzyjaciela. Wbrew temu wszystkiemu *Gesket-Puzyrewskij*, 320, opowiadają bardzo fantastyczną historią o planach Padlewskiego i o Kolbem. „Na podstawie różnych kombinacji(?) czytamy tam, oraz na podstawie zabranych w różnych czasach powstańcom papierów, plan Padlewskiego po opuszczeniu przezeń lasów ostrowskich zamykał się w tem, żeby połączyć się z Kolbem i Jurkowskim, jak również z bandą Topora(?), który operował na lewym brzegu Wisły w oddziale drogi żelaznej warszawsko-bydgoskiej. Można przypuścić, że zebrawszy tym sposobem znaczne siły i opierając się na swych stosunkach z Komitetem centralnym, chciał w powstaniu odegrać rolę wybitną w rodzaju Langiewiczowskiej“. „Porażka pod Myszyniec i Dąbrową, jak również rozbięcie bandy Topora... zniweczyły nadzieje Padlewskiego. Ukrywając się w lasach myszynieckich, gdzie doń przyłączyły się partye z Litwy i gubernii Augustowskiej, rachował ciągle na połączenie się z Kolbem i Jurkowskim“. Wszystko to jest fantazją. Padlewski o połączeniu się z Toporem nie myślał, Kolbe zaś, który w rzeczy samej w Mławskim sformował oddziałek, ale w połowie lutego rozbitý pod Dębkiem, został ranny, od trzech tygodni leczył się i ani jednego żołnierza nie miał przy sobie (patrz *Kolumna*, loc. cit. dodatek 22). Padlewski, jak to opowiada *Anonim* liczył na pomoc oddziału Jurkowskiego i Malinowskiego, o Kolbem zaś i o Toporze mowy nawet nie było.

¹⁾ *Anonim* loc. cit. *Gesket-Puzyrewskij*, 319 twierdzi, że napad nie był dokonany zniemacka, że Dukmasow na 3 wiorsty przed Rydzewem spędził konną pikietę i że w chwili, gdy kozacy wpadli do wsi, oddział Jurkowskiego dążył już ze dworu do lasu. My poszliśmy za relacją *Anonima*.

zmusił do bezładnej ucieczki, zabił mu 12 ludzi i jednego oficera, a pozostałych w większej części rozproszył¹⁾. Resztki z tego oddziału, w liczbie 40 ludzi, ścigał Malinowski pod wieś Zeńbok, gdzie wogóle zebrało się około 180 piechoty i 40 jeźdźców, oraz znaczna liczba koni zapasowych. Miał także Malinowski dwie armatki, zabrane z ordynacyi Krasińskich, i z temi siłami, jak widzimy, bardzo niewielkimi, oczekiwał na pojawienie się w tych stronach Padlewskiego. Jakoż d. 15 marca wieczorem, otrzymał rozkaz od tego ostatniego, aby natychmiast zajął wieś Lekowo, niedaleko Ciechanowa i czekał na wojewodę, który zamierzał tam noc przepędzić²⁾. Malinowski wyruszył natychmiast; atoli w odległości 4 wiorst od Lekowa, dostrzeżono ogromną łunę pożaru i strzały karabinowe, a wkrótce podjazd kawaleryjski donosi, że nieprzyjaciel znajduje się we wsi. Cóż więc się stało?

Padlewski, po drażdżewskiej utarczce, zatoczył, jakśmy rzekli, wielki łuk z promieniem ku północy i przez puszcę Myszyniecką i Chonele odzyskał znowu dyrektywę zachodnią. Ale wieść o tym jego marszu doszła do Przasnysza i generał Semeka niezwłocznie wysłał d. 15 marca znanego nam już pułkownika Gorielowa, na czele trzech kompanii piechoty i setki kozaków dla zabezpieczenia powstańcom drogi. Wódz rosyjski dowiedział się we wsi Kosmowie, że Padlewski wyprzedził go i znajduje się już w powiecie Ciechanowskim, we wsi Zeńbok. Wsadzwszy więc piechotę swoją na podwody, pognął za powstańcami i dopadł ich, zmęczonych forsownymi marszami, we wzmiankowanym Zeńboku³⁾. Kozacy wysłani przodem, obiegli wieś i za-

¹⁾ *Anonim* loc. cit. Raport Dukmasowa zapewnia, że Jurkowski stracił 40 poległych i 5 wziętych do niewoli, 17 karabinów i 30 kos. Rosyanie mieli zwykłego i zabitego i 1 rannego.

²⁾ *Anonim* loc. cit.

³⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 321, powiada, że Padlewski połączył się tu z mniemanym Kolbem, a raczej, jakśmy to wyżej wykazali, z Malinowskim, co nie jest prawdą. Połączenie nastąpiło później, po utarczce zeńbockiej.

wiązali strzelaninę z głównymi siłami Padlewskiego, który już rozpoczął odwrót; piechota zaś Gorielowa uderzyła na wieś, gdzie straż tylna powstańców, osadziwszy się po domach i stodołach i porobiwszy w nich strzelnice, uparty stawiała opór. Wkrótce wieś stanęła w płomieniach i prawie cała ta aryergarda bohaterską śmierć znalazła ¹⁾, ale ocalała resztę oddziału, który wysunął się na zachód ku wsi Klice, ścigany jakiś czas aż do zapadnięcia zmroku. Gorielow zajął na noc Lekowo i tym sposobem stanął między Padlewskim i Malinowskim ²⁾. Zrazu ten ostatni zamierzał napaść na Lekowo i przerznąć się przez nieprzyjaciela, ale fałszywa wieść o zbliżaniu się nowej kolumny rosyjskiej od Ciechauowa, zmusiła go do porzucenia tego zamiaru ³⁾. Skierował się więc na zachód i nazajutrz przed świtem, połączył się w Klicach z Padlewskim. Pomoc, jaką mu przyprowadził, wynosząca około 220 ludzi, była nie prawie nieznaczącą; najważniejszym było to, że Padlewski w Malinowskim znalazł gorącego przyjaciela i wielbiciela, co nie małej było wagi wobec intryg Zameczka, nurtujących po obozie. Malinowski zauważył w Padlewskim, od chwili rozstania się w lasach ostrowskich, wielką zmianę. Był mizerny, blady od nocy bezsennych i ciągłej troski, widać było smutek bezbrzeżny w jego oczach, zniechęcenie zupełne, które znów ośwładnęło tą duszą wrażliwą i miękką. Skarżył się na Zameczka, na niechęć ludzi; pocieszał się jednak teraz, że dzięki połączeniu się z Malinowskim będzie miał przy sobie towarzyszy przychylnych, szczerze go kochających i oddanych mu zupełnie ⁴⁾.

¹⁾ „Żurnal wojennych dziejstw” No 13.

²⁾ Gorielow w swym raporcie („Żurnal woj. dziej.” No 13), uparcie twierdzi, że Kolbe brał udział w tej potyczce i wydawał rozkazy jeżdżąc na bryczce, że „Padlewski i Zameczek opuścili pole walki wcześniej od innych”, że straty powstańców w ów dzień były o wiele większe jak w Drążdżewie, że wielu się rozbiegło i t. p. *Anonim* o tem wszystkiem nie wspomina.

³⁾ *Anonim* loc. cit.

⁴⁾ Loc. cit.

Tak maszerując dobito się nazajutrz, d. 16 marca, koło godz. 10 tej rano do wsi Czarnocinka, własności znanej nam już gorącej patryotki, pani Anieli Radzickiej, którą zastano bardzo zmartwioną, gdyż wczoraj syna jej, jadącego do Lekowa własną bryczką i bez broni, Rosyanie wzięli do niewoli. Ponieważ oddział od 24 godzin nie jadł, chciał Padlewski tu się zatrzymać i obiad ugotować, ale dano znać, że Gorielow, który rano puścił się w pogoń, następuje po piętach. Ruszono więc dalej pośpiesznie, by jak najprędzej między sobą i nieprzyjacielem postawić bystrą rzekę Wkrę. Malinowski, który znał doskonale te strony, służył za przewodnika i zamierzał przejść Wkrę po moście pod Unierzyszem, ale spotkano chłopą, który skłamał, że w lesie Unierzyskim nieprzyjaciół zrobił zasadzkę. Wobec tego skręcono na Strzegów i tutaj pod okiem ukazujących się kozaków i ich nieszkodliwych strzałów, przebyto długi most na Wkrze i zaraz go zapalono. Zostawionych przy nich trzydziestu strzelców odpędza kozaków, a kawalerya powstańcza, wysłana w górę i w dół rzeki, niszczy jeszcze dwa mosty w Radzimowicach i Glinojeku, i tym sposobem stawia zaporę pościgowi Gorielowa, który też zawrócił zaraz i poszedł na swe kwatery do Ciechanowa ¹⁾, nie troszcząc się, zwyczajem wszystkich wodzów rosyjskich tej doby, wcale o to, co się stało z powstańcami i dokąd poszli.

Tymczasem Padlewski, uspokojony teraz co do nieprzyjaciela, znajdując się w ulubionej przez siebie okolicy kraju, odpocząwszy godzinę za Wkrą, zrobił dwumilowy marsz i dotarł na noc do wsi Łaszewa. Ludzie byli nadzwyczajnie zmęczeni, ledwie się wlekli, zostawiając po drodze mnóstwo łązęgów. W Łaszewie wszyscy popadli jak nieżywi, wycieńczeni, głodni, z nogami pokaleczonemi i podbitemi. Konie także w większej części były odsednione i zmęczone straszliwie. Naoczny świadek ²⁾, opowiada, że

¹⁾ Loc. cit. oraz *Gesket-Puzyrewskij*, 321.

²⁾ „Pamiętnik” p. G. (rękopism).

„oddział był tak zmęczony, iż kiedy rano ruszano na wiadomość o Moskalach, to wozy najeżdżały na ludzi, leżących w lesie, a ci nie mogli się podnieść. Niektórzy, nie mogąc iść w butach, szli boso“. Odpoczynek więc był konieczny. Użyto go też w zupełnym spokoju w Łaszewie, nakarmiono ludzi i konie, i nazajutrz wyruszono z wolną, z dyrektywą północno-zachodnią w zamiarze dotarcia do granicy pruskiej¹⁾. Po drodze zatrzymano się we wsi Koszeminie, własności niejakiego Juliana Chełmickiego, który w swym powiecie należał do najwybitniejszych przeciwników powstania, namawiał nawet podobno szlachtę miejscową, by wystąpiła z aktem, potępiającym ruch zbrojny. Jakkolwiek za tego rodzaju sposób myślenia, został niedawno w województwie stracony senator Dziedzicki, jednakże Padlewski uważał, że trzeba dać jeszcze jeden przykład surowości, by wszelkie przeciwpowstańcze działanie w zarodku stłumić. Wszakże na widok żony i dzieci, błagających o życie ojca, dobre w gruncie serce wojewody zmiękło i puścił wszystko w niepamięć.

W Koszeminie zajęto się reorganizacją, mocno rozluźnionego przez ostatnie forsowne marsze i potyczki, oddziału. Całą piechotę podzielono na dwa bataliony; dowództwo pierwszego oddano Sicińskiemu, staremu żołnierzowi z wojska rosyjskiego, zaprawionemu na walkach z góralami na Kaukazie; drugiego Kowalkowskiemu, także oficerowi niegdyś rosyjskiemu; jazdę Engielskiemu. Do Koszeminu tłumnie napływali ochotnicy z tej części województwa, ale niestety! nie było ich czem uzbroić. Postanowiono wreszcie dlatego, by ludzi nie męczyć, posuwać się ku granicy pruskiej wolno i niewielkimi marszami, tak że w ciągu dwóch dni zdołano dotrzeć zaledwie do wsi Brudnicy, leżącej nad Wkrą (Dziadówką) tuż nad granicą pruską, o pół niespełna mili od komory celnej w Zieluniu. Stało tam 180 objeszczyków, którzy na wieść o zbliżaniu się silnego oddziału powstańczego, pakowali swe ba-

¹⁾ *Anonim*, Pamiętnik.

gaże, chcąc do Prus uciekać. Radzono Padlewskiemu, by napadł na Zieluń, straż pokonał, zabrał broń, pieniądze i amunicję; on wszelako, ze względu, by ochotnicy z Prus mogli spokojnie przybywać, odmówił. Tutaj w Brudnicy przyłączyło się 200 ludzi, ale słabo uzbrojonych¹⁾; tutaj наконец otrzymał Padlewski wiadomość, że w Goszczy, Langiewicz ogłosił się dyktatorem. Jakże bolesną musiała być ta nowina dla ambitnej duszy wojewody plockiego! jakże gorzką myśl, że ten chmurny, cichy, nie lubiany w Genui i Cuneo oficer pruski, sięgnął teraz po najwyższą godność w narodzie, godność, o której w głębi serca śnił strojny i piękny Padlewski. Do goryczy tej przyłączyło się drażniące uczucie upokorzenia, gdy tenże Langiewicz przysłał mu nominacją na generała. Przyjaciół wojewody, Stefan Bobrowski, doskonale pojmował, co się dzieć musi w tej duszy ambitnej i poetycznej, dlatego też pocieszał go (w liście pisanym w nocy z d. 13 na 14 marca): „musi ci być przykro, żeś dotąd nie zrównał się z dawnym kolegą, ale przed tobą pole otwarte, a nasze powstanie potrwa jeszcze długo i nikt nie wie, kto i kiedy je zakończy. W obecnej chwili nic ci nie pozostaje jak ogłosić w swym obozie Langiewiczza dyktatorem i bić się tak walecznie jak pod Myszyniec. Wszyscy mówią o twem męstwie, o którym dowiedziałem się z boku, z ogólnych rozmów, a nie z twojego raportu“²⁾. Słabe to były zapewne pociechy, ale bądź co bądź osobiste uczucia skryć trzeba było i okazać na zewnątrz twarz pogodną i wesołą. Padlewski usłuchał rady Bobrowskiego i ogłosił w obozie o dyktaturze z wielką uroczystością, przy nabożeństwie i rozwiniętych sztandarach³⁾.

W Brudnicy zatrzymano się do d. 20 marca, a gdy przyobiecana broń z Prus nie nadchodziła, zwrócono się znowu na wschód z zamiarem przenocowania we wsi Nad-

¹⁾ *Loc. cit.*

²⁾ *Berg*, IV, 195.

³⁾ *Pamiętniki p. G.*

ratowie. Nosił się teraz wojewoda płocki z myślą uderzenia na Mławę i zdobycia jej i w rozmowach z przyjaciółmi plan ten rozbierał, gdy nagle, w czasie marszu do Nadratowa dowiedział się, że nieprzyjaciel w sile 500 ludzi wyszedł z Płocka i dążąc śladem powstańców, zatrzymał się na noc we wsi Poniatowie, o pół mili od Brudnicy, skąd Padlewski dopiero wyruszył ¹⁾. W rzeczy samej wiadomość ta była prawdziwą. Jenerał Semeka, dowiedziawszy się, że Gorielow stracił ślad powstańców, wysłał w d. 18 marca podpułkownika Żewachowa na czele dwóch kompanii piechoty i 80 kozaków, z rozkazem maszerowania na Raciąż. Żewachow szedł wolno i bardzo ostrożnie; nie mogąc w Raciążu żadnych powziąć o Padlewskim wiadomości, skierował się na zachód i w Koziebrodach doszły go głuche i niejasne relacje o pobycie powstańców w okolicach Żuromina. Ruszył więc tam na Rościszewo i dotarł do Poniatowa, gdzie dowiedział się, że tegoż dnia, 20 marca, Padlewski przeszedł przez Biezuń i że obozuje w lasach olszowskich ²⁾. Żewachow, przenocowawszy, nazajutrz, d. 21 marca, o godz. 5-tej rano wysłał kozaków pod wodzą setnika Pomerancewa na podjazd, sam zaś wkrótce potem z piechotą puścił się drogą ku Szreńskowi, licząc na to, że napadnie powstańców niespodzianie. Ale takie same zamiary miał Padlewski. Obliczywszy w Nadratowie swe siły, wynoszące przeszło 1000 ludzi ³⁾, postanowił po krótkim odpoczynku zwrócić się nagle i napaść przededniem na Żewachowa w Poniatowie. W tym celu, po nakarmieniu koni, wysłał o godz. 1-ej w nocy 30 Krakusów pod wodzą Andrzeja Mieczyskiego, na podjazd ku Poniatowu ⁴⁾, sam

¹⁾ *Anonim* loc. cit.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 322.

³⁾ *Anonim*, loc. cit. Błędnie więc *Berg*, III, 80, podaje siły Padlewskiego na 1800 ludzi.

⁴⁾ „Pamiętnik” p. G. Autor brał udział w tym podjeździe i po wiada, że nie 30 ale 15 kawalerzystów wysłano, że rozkaz byłby dotrzeć nie do Poniatowa ale do Chamska, gdzie miał stać nieprzyjaciel, wieść podpalić i „zabrać co się da”. Zdaje się jednak, że auto-

zaś kazał się obudzić zaraz po północy. Oficer, tego dnia będący na służbie, bez doświadczenia wojkowego, zbudził wojewodę dość późno, tak że oddział wyruszył dopiero o godz. 4-ej na tę wyprawę, mając blisko półtorej mili marszu po drogach złych i rozmięczonych przez odwilż. Tymczasem podjazd kawaleryjski polski, błdził dość długo po nocy i dopiero nad ranem dotarł do Chamska, gdzie właśnie przybył także podjazd kozacki Pomerancewa ¹⁾. Zawiązała się krótka strzelanina, Krakusi uciekli, mając na karku kozaków, którzy dobiegli aż do Nadratowa i byli świadkami odwrotu Padlewskiego.

Wojewoda bowiem się cofał. Wyruszywszy późno na wyprawę przeciw Żewachowowi, ledwie doszedł do Olszewa, gdy usłyszał bębny nieprzyjaciela, dające sygnał do wymarszu. O nagłym więc i niespodziewanym napadzie, który jeden mógł zapewnić powodzenie, nie było co myśleć. Wobec tego, z uwagi przytem, że pozycja w Olszewie nie była dobrą, postanowiono cofnąć się do Nadratowa i tam przyjąć bitwę ²⁾. Jakoż, nie tracąc czasu, odwrót ten uskutecznilo zaraz i przybyto do poprzedniego obozowiska wspólnie z garstką Krakusów, uparcie ściganą przez kozaków. Padlewski, oceniając ważność chwili i wiedząc, że w oddziale ma wielu niechętnych, dzięki nieustannym intrygom Zameczka, zwrócił się do niego i tonem serdecznym, rzekł: „Władysławie, to są twoi ludzie, mają do ciebie zaufanie, przemów do nich gorąco przed chwilą stanowczą, usłuchają ciebie i dadzą dobry przykład ochotnikom nowoprzybyłym”. Ale Zameczek na te słowa szczere, odparł chmurnie: „nie ja ich tu przyprowadziłem, nie ja ich teraz zagrzewać będę do oczywistej zguby. Puszcza

rowi nie dopisała pamięć; że wskutek tego, iż spotkano kozaków pod Chamskiem, sądzi, że szło o tę ostatnią miejscowość, a nie o Poniatowo.

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 322, powiada, zapewne na podstawie raportu setnika kozackiego, że „podjazd polski liczył około 60 ludzi”.

²⁾ *Anonim*, loc. cit.

ostrolęcka doda im odwagi; tam powinni się znajdować. A gdy na to Padlewski zaproponował mu, by wziął połowę i poszedł dokąd chce, a on, wojewoda z resztą zginie lub zwycięży, Zameczek odrzekł: „już za późno“¹⁾. W takim stanie rzeczy Padlewski uważał, że nie mu nie pozostaje, jak cofać się dalej, dla uniknięcia potyczki. Dwoma więc kolumnami piechoty wyrusza z Nadratowa po drodze do Szreńska, zostawiając za wsią pod lasem całą swą jazdę, dla zasłonięcia odwrotu. Jazda ta ucierała się z kozakami, dopóki nie nadeignęła piechota nieprzyjacielska, na widok której cofnęła się za główną kolumnę. Tymczasem Padlewski w Szreńsku zatrzymuje się na chwilę, zabiera z magazynu solnego 2000 rubli, ale na uwagi otaczających, że tutaj bitwę przyjąć można, gdyż pozycja potemu jest wyborna, odpowiada, że tylko oparty o las bić się może korzystnie. Decyzji tej nie zmienia na widok mieszkańców, którzy ożywieni duchem patryotycznym zbroją się w siekiery, widły, kosy i oświadczają gotowość bronienia swych ognisk domowych do ostatka²⁾. Z uporem, nieczem nieusprawiedliwionym, oznajmia, że nie stawia czoła aż w lasach, ciągnących się od południa, o dobrą milę odległych; nie uważa na to, że oddział od godz. 4-ej rano na nogach i w ciągłym marszu, zrobiwszy już około 3-eh mil drogi, był znużony, potrzebował spoczynku i pożywienia. Na wszystko to jest głuchym, opuszcza Szreńsk i maszeruje gościńcem, prowadzącym do Radzanowa, zostawiając w aryergardzie całą swą kawalerią, której polecił zniszczyć most na Mławce. Ale nie zdołała ona tego w zupełności uskuteczyć, gdy pokazali się kozacy, rozebrali sąsiednie budynki i most naprawiać poczęli, inni zaś przeszli rzekę w bród i jazdę polską, wogóle mało oporną, odpędzili. Dla osłabienia ich dokuczliwego nacisku, Padlewski zatrzymuje się pod wsią Wróblewem, formuje front ze swej jazdy, za nią umieszcza kolumnę strzelców, a w końcu kosynierów

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Loc. cit.

pod samym lasem. Gdy kozacy się zbliżyli, trzykrotnie uderzał na nich, osobiście prowadząc szarżę, ale żadnym razem czoła nie dotrzymali i pośpiesznie uciekali. Wśród tego wszystkiego nadbiegła piechota nieprzyjacielska. Żewachow, lękając się we wsi oskrzydlenia, obszedł ją ze strony zachodniej¹⁾ i rozpoczął żwawy ogień. Pierwszy batalion strzelców polskich rozsypuje się w tyraliery, ale na próżno proch psuje, gdyż strzały jego niosą zaledwie na 300 kroków, kiedy nieprzyjaciół z odległości 1000 kroków pali ze swych gwintowanych karabinów, na szczęście niezbyt celnie. Gdy batalion pierwszy wystrzelał swe ładunki, cofa się z linii, a na jego miejsce występuje drugi. Na niefortunnie dowódzca Kowalkowski niezręcznie go prowadzi i naraża na ogień flankowy, który sprawia zamieszanie w szeregach, z czego korzystają kozacy i z piskiem, krzykiem rzucają się na bezładne kupy powstańców. Ale Padlewski ma na wszystko oko; spostrzega niebezpieczeństwo, porywa swą jazdę i z gołą szablą w garści prowadzi ją na kozaków, odrzuca ich i pędzi aż pod samą piechotę, gdzie przyjęty gradem kul, z kolei śpiesznie cofać się musi²⁾. Na nieszczęście popłoch i nieład coraz bardziej ogarnia szeregi polskie. Gdy dostano się do lasu, który miał być owym korzystnym, według Padlewskiego, punktem oparcia, zamęt był już zupełny. Las był stary; wielkie sosny nie dopuszczały drobnych zagajników, stąd przejrysty; kule, wpadając w bór, sprawiały straszny huk, który przygnębiająco działa na ludzi. Niektórym się zdawało, że

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 323 powiada, że utarczka ta odbyła się we wsi Łuszewo (prawdopodobnie Łuszczewo). Polskie źródła jednoznacznie twierdzą, że we wsi Wróblewie. Również historycy rosyjscy utrzymują, że w chwili gdy się potykano w Wróblewie, oddział konny powstańców ukazał się na tyłach rosyjskich i po raz drugi zepsuł most pod Szreńskiem. Źródła polskie nic o tem nie mówią i jeżeli w rzeczy samej most ten powtórnie został zepsuty, to zapewne dokonali tego z własnej inicjatywy patryotyczni mieszkańcy Szreńska.

²⁾ *Anonim* loc. cit.

„cały las się wali“¹⁾); wielu ucieka, szeregi się łamią, tchórze w popłochu wymykają się bokami.

Padlewski decyduje się stawić czoło w Radzanowie, pozycyi nadzwyczaj obronnej, otoczonej dokoła wodami Wkry, która tu się rozlewa w szerokie jeziorzyska. W tym celu wysyła przodem część swej jazdy z rozkazem przygotowania wszystkiego dla zniszczenia mostów i zabarykadowania grobli, przez którą należało przejść, chcąc dostać się do miasteczka; piechocie zapowiada, że będzie się tam bronił do ostatniego ładunku i Moskali naprzód nie puści. Ale już tych znużonych, głodnych, wystraszonych i zdemoralizowanych ciągłym odwrotem ludzi, żadne, choćby najpodniosłe słowa, natchnąć odwagą nie mogą. A przysięgając nieprzyjacieli depece po piętach i coraz zuchwalszy się staje. Piechota polska w zupełnym nieładzie defiluje przez groblę i zatrzymuje się w miasteczku; kawalerya ma most rozebrać. Lecz kozacy już dopadają, na widok których powstańcy rzucają siekiery i uciekają do miasta. Tu, nieład się wzmacnia; rozlegają się głosy, że brak ładunków, że bić się nie można. Wśród tego piechota rosyjska wdziera się w ulice; powstańcy w popłochu straszliwym uciekają ku lasowi, należącemu do wsi Siemiątkowo-Rogale. Tutaj, na skraju boru, Padlewski zdołał jeszcze zebrać garść walczniejszych i stawić na chwilę czoło, ale naciśnięty mocno, ulega zupełnej rozsypce. Żewachow ściga go aż do wsi Siemiątkowo, i tutaj o godz. 5-ej zatrzymuje się na nocleg. Tak się skończył ten pościg, który kosztował powstańców przeszło 100 ludzi poległych i zadał ciężki cios oddziałowi Padlewskiego. Żewachow, przenocowawszy w Siemiątkowie, zawrócił do Płocka, pozwalając tym sposobem odetchnąć nieco nieszczęśliwym powstańcom polskim.

Padlewski w lesie za Siemiątkowem zdołał zebrać resztki, znacznie uszczuplonego oddziału i pomaszerował do Lutocina w zamiarze odpoczęcia sobie nieco, nakarmienia ludzi i koni, i zaprowadzenia ładu jakiego takiego

¹⁾ Pamiętniki p. G.

w zdemoralizowanych szeregach; dnia 21 marca wyruszył do Skrwilna, nie wiedząc, że nieprzyjacieli nowy cios mu gotował. Jenerał Semeka bowiem, dowiedziawszy się, że Żemachow napadł na ślady powstańców, rozkazał wyruszyć z Lipna, Płońska i Mławy nowym kolumnom w celu otoczenia Padlewskiego i wzięcia jego oddziału do niewoli lub doszczętnego wytępienia. Otóż, jedna z tych kolumn, mianowicie lipnowska, złożona z dwóch kompanii piechoty i 40 kozaków, pod wodzą majora Drozdowa, w dniu 22 marca znalazła się za Skrwilnem, we wsi Chramponi, na drodze, po której właśnie Padlewski maszerował. Nic on nie wiedział o bytności nieprzyjaciela w tych stronach. Dlatego też z wielkiem zdziwieniem i przerażeniem usłyszał wystrzały we wsi, które powitały jego jazdę, znajdującą się w przedniej straży. O przyjęciu bitwy z oddziałem zdemoralizowanym i osłabionym, wobec zupełnej niewiadomości o siłach nieprzyjaciela, nie było co myśleć; więc Padlewski rzucił się w lewo, w las, należący do wsi Czarnia Mała i posunął się wąską, leśną drożyną, mając przed sobą rzeczkę Skrwę i liczne rowy. Na szczęście major Drozdow lękał się zapuszczać w las za powstańcami i zawrócił po bohatersku do Skrwilna, gdzie przenocował, zapowiadając, że jutro bandę rozbije¹⁾. Tymczasem Padlewski, przeprawiwszy się w lesie z trudnością przez Skrwę, wezbraną mocno z powodu roztopów wiosennych, znalazł się bardzo w niebezpiecznej pozycji. Od północy groził mu nieprzyjacieli w Skrwilnie, za sobą miał rzekę, a za nią kolumnę rosyjską z Mławy, przed sobą wiekie jezioro Szczutowskie, które omijać trzeba było długim i ryzykownym marszem flankowym. Pozostawała jedyna droga wolna wylotem na południe ku Sierpcowi, ale bliskość Płocka i przeważnych sił nieprzyjacielskich, czyniła ją prawie niemożliwą. Zresztą, z żołnierzem karnym, ożywionym tryumfami, wypoczętym i najedzonym, można było rzucić się na Drozdowa, lub na kolumnę mławską, można

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, 325.

było odbyć parę forsownych marszów i wymknąć się z oblavy nieprzyjacielskiej. Ale z żołnierzem takim, jaki znajdował się wtedy w oddziale, o tem wszystkiem myśleć nawet nie można było. Przyszłość przedstawiała się jak najczarniej. Gdyby nawet z ciasnego kąta między Skwirlnem, Skrwą i jeziorem Szczutowskim, zdołano się wysunąć szczęśliwie, to powiat lipnowski przedstawiał jak najgorsze warunki do prowadzenia partyzantki. Kraj tu jest płaski, bezleśny, otwarty.

Maszerując przez Czarnię Małą, zatrzymano się w Gorzeniu. Oddział znużony, głodny, odczuwający przez jeden z tych tajemniczych prądów, jakie łączą zawsze wodza z żołnierzem, wielkie zniechęcenie i większą jeszcze rozpacz w duszy Padlewskiego, począł głośno szemrać, w czem niewątpliwie znaczny udział wzięły skryte podszepty Zameczka i jego kliki. Padlewski blady, zmęczony, cień tego dzielnego młodzieńca, który podbijał serca niewieście na salonach petersburskich, zwołał do siebie oficerów i oświadczył im, że oddział rozpuszcza. Zgodzono się na to, choć nie szczędzono mu gorzkich wyrzutów, a Zameczek głośno odzywał, że, gdyby go Padlewski nie wyciągnął z puszczy Ostrołęckich, istniałby dotąd i bił Moskali¹⁾. Z płaczem i żalem rzucano broń i rozchodzono się na wszystkie strony. Stało się to dnia 22 marca. Sam Padlewski na

¹⁾ Opowiadanie *Gesketa-Puzyrewskiego*, 325. jakoby „powstańcy z bronią w ręku otoczyli Padlewskiego i grozili mu śmiercią, wyrzucając mu, że przez puste i kłamliwe obietnice zwycięstwa, zawłóki ich w nieznane nikomu kąty i teraz ich rzuca na wolę losu“; że „Padlewski na kolanach błagał swoich podwładnych o życie i dzięki tylko pieniądзом zdołał uspokoić rozgniewaną bandę“, jako oparte na pełnej fałszu depeszy dowódców rosyjskich, niema w sobie ani krzty prawdy. Depesza ta, przedrukowana przez wszystkie ówczesne dzienniki rosyjskie, powiada, że Padlewski „zebrał swą bandę pod Gorzeniem, rozkazał złożyć broń i rozejść się do domów. Rozkaz ten przyjęty został wyrzutami i groźbami. Padlewski prosił o przebaczenie (o kolanach dodali już pp. Gesket i Puzyrewskij) rozdał pieniądze i z 250 kawalerzystami uciekł do pow. miańskiego do Lutocina“.

czele jazdy szybkim marszem rzucił się w Mławskie. Nieprzyjaciel w Gorzeniu zabrał 44 strzelby, dwie armatki wzięte w ordynacyi Krasieńskich i 246 kos.

Tak zakończył swą kompanię wódz, na którego w kołach rewolucyjnych warszawskich największe pokładano nadzieje, i któremu wrócono, że mieczem i zwycięstwami zdobędzie sobie dyktaturę. Nadzieje te niestety! zawiódł on zupełnie i zdolności, ani też talentów, które w nim chciano widzieć, nie okazał wcale. W tej, skądinąd pięknej, rycerskiej postaci, gotowej do nadzwyczajnych poświęceń pod wpływem chwilowego entuzjazmu, nie widzimy wytrwałości i woli, która jedna w takich okolicznościach, jak te, które opisujemy, stwarzać może (uda. Miękki, chwiejny, raz pełen najróżowszych nadziei, to znów czarnej rozpacz, ambitny i rozdrażniony, nie pokazał ani tęgości ducha, ani konsekwencji w działaniu. Osobiście mężny, i odważny, nie był jednak stworzony na wodza w warunkach tak trudnych i ciężkich, w jakich się znalazł. Powziąwszy plan przedostania się do zachodnich powiatów województwa płockiego, uparcie chciał go wykonać, choć operacja taka właściwie celu nie miała. Tłumaczył się, że pragnie ożywić upadłe tam powstanie, odebrać broń z Prus i podać rękę oddziałom, które stamtąd wkroczyć miały. Zadanie zapewne bardzo poważne, gdyby w istocie powstanie mógł kto inny. Wszak Malinowski, wysłany w Ciechanowskie, doskonale i bez Padlewskiego spełnił tę misję, stworzywszy dwa oddziały: Jurkowskiego i Sicińskiego, bez narażania na klęskę jedynej w tej chwili siły, jaką posiadała ta część kraju. Co do broni, to tę lepiej i bezpieczniej mógł przenieść z zagranicy prosty przemysłnik, niż z ogromnym hałasem przedsięwzięta wyprawa. Zawiodły też i partye, które z Prus polskich wkroczyć miały. W czasie długich marszów Padlewskiego nad samą granicą, ani jeden powstaniec z za kordonu się nie ukazał. Wszystko więc chybiło, a wyprowadzenie oddziału Zameczka z obronnych puszczy Ostrołęckich, na nagie, bezleśne zamarznię-

skie płaszczyzny, przecięte mnóstwem rzek i rzeczek, płynących przeważnie głębokimi korytami, narażało ten oddział na nieuniknioną klęskę. Brak przytem innych partyj w tych stronach spowodował, że nieprzyjaciół ze wszystkich stron rzucił się na Padlewskiego i gdy jedna kolumna przestawała go ścigać i trapić, to druga to samo rozpoczynała. Już po walce Myszynieckiej, po utarczce Drążdżewskiej, powinien był nabyć przekonania, że jego wyprawa na zachód jest chybioną i niemożliwą do wykonania. Dwa razy nawet nieprzyjaciół zawracał go na wschód, a on dwa razy z uporem zaślepionego krwią byka darł się dalej, by się znaleźć wkońcu w okolicach Skrwilna w położeniu bez wyjścia i bez ratunku. Jeżeli mówimy: bez wyjścia i ratunku, to dlatego, że on je, w przystępie tak częstego u niego zniechęcenia, za takie uważał. Historia bowiem uczy, że niema takiego położenia, z któregooby wyjścia nie było, a na wojnie tysiące bywa nieprzewidzianych wypadków, które najlepsze plany burzą, z najfatalniejszych położzeń ratują. Ale na niego napadł paroksyzm rozpacz. Pisał nawet w dobie Gorzeńskiej katastrofy do Bobrowskiego i do Rządu tymczasowego, że chce wyjechać za granicę, lub żeby go przeniesiono w inne strony kraju. Rząd odmówił z uwagi, „że niema teraz nikogo, ktoby mógł Padlewskiego zastąpić“¹⁾, a Bobrowski surowo zgromił swego przyjaciela. „Żebyś ty, pisał, coś stał ongi na czele ruchu, coś po bohatersku walczył pod Myszynem, teraz raptem powziął haniebną myśl ucieczki za granicę, tego ja, twój wierny i niezmienny przyjaciel,

¹⁾ „Prosisz, pisał, zdaje się Aweyde (*Berg*, IV, 188), by cię przenieść na inne miejsce. Rząd tymczasowy niema nic przeciw temu, ale nie pozwalają na to różne okoliczności; po drugie w Płockiem w takim razie nikt nie zostanie, a tymczasem mieszkańcy tamtejsi chcą podtrzymać powstanie i wogóle ono powinno tam być bądź co bądź; po trzecie niema teraz nikogo, ktoby cię mógł zastąpić. Dlatego postanowiono zatrzymać cię jeszcze przez jakiś czas w Płockiem, przynajmniej dotąd, dopóki ktoś inny nie znajdzie się na to miejsce“.

nigdy nie zrozumie i zrozumieć nie mogę“. „Tylko ci, którzy wytrzymają do końca, zasługują na szacunek ludzki“. „Porzucić stanowisko, shańbić się ucieczką, to wszystko jedno, co zabić się na zawsze, dać sobie patent na wieczną nieczynność. Rzuć tę przeklętą myśl wyjazdu za granicę, myśl, która nie powinna cię była nigdy hańbić“¹⁾.

Pozostał więc, ale jak z jednej strony świadczy ten zamiar ucieczki z kraju, w którym lała się krew strumieniami, o nagannej słabości charakteru, tak z drugiej pobyt jego dalszy w Płockiem, w niczem nie wpłynął na poprawę położenia powstania w tem województwie. Nie posiadał on ani zdolności organizacyjnych, ani energii, ani talentu wodza. Jak w czasie swej krótkiej kampanii umiał tylko cofać się, staczając potyczki tylną strażą, tak i teraz wydawał rozkazy bardzo energiczne, a sam prawie do niczego ręki nie przykładął. A przecież upadek dyktatury Langiewicza otwierał szerokie pole jego ambicji i mógł mu dać tę władzę, o której marzył i której niedawno zazdrościł swemu szczęśliwemu, a nadewszystko zdolniejszemu koledze genueńskiemu. Osiadł na stałe we wsi Drozdowie²⁾, a potem w Mysłakówku w pow. Ciechanowskim,

¹⁾ List ten podaje *Berg*, IV, 196; w przekładzie polskim, czytać go można u *Limanowskiego*, *Historia ruchu*, II, 246.

²⁾ Tutaj to w Drozdowie odwiedził go autor cytowanych przez nas kilkakrotnie rękopiśmiennych notatek o powstaniu w Płockiem i tak opowiada swe widzenie się z wojewodą: „Oprócz Padlewskiego, zastałem jeszcze Plucińskiego i kilkunastu młodych ludzi z jego zwykłego orszaku. Po przywitaniu wyszliśmy do ogrodu, jeszcze zupełnie liści pozbawionego, dla rozmówienia się bez świadków. Mówiliśmy najprzód o Drążdżewie, która to katastrofa tak przygnębiające zrobiła wrażenie i była powodem ogólnego niemal zniechęcenia. Od wymówek, których mu wówczas nie szczędziłem, przeszedłem do głównego celu mojej podróży i rzekłem, czy wobec tych niepowodzeń nie byłbyś zdania panie Zygmuncie, teraz, gdyśmy się o naszej niemocy dowodnie przekonali, zaprzestać zbrojnego oporu, by kraju na większe straty nie narażać? Na to mi odrzekł: „Rzeczywiście, w Drążdżewie zbłądziłem, zawierając miejscowym ludzom, lecz zarazem przekonałem się, że, choćby ten napad nieszcześnie wziął nawet lepszy dla nas obrót, to trwałoby to niedługo, gdyż

u bogatego szlachcica Sokołowskiego, gdzie znów na tę wrażliwą duszę oddziaływać poczęły jakieś oczy niewieście ¹⁾ i tutaj przybył do niego Biały i pomimo niedawnych nieporozumień, starał się natchnąć energią tę duszę romantyczną i poetyczną zarazem i zachęcić do terrorystycznego działania. Wydano nową instrukcję dla oddziałów ²⁾; sformowano dwie partye: Jurkowskiego i Seweryna Sie-

wieksze siły rozpedziłyby nas w końcu koniecznie. Bo wyczerpałby się wreszcie ten materyał miejski, dostarczający nam sił głównie; wyczerpałaby się pomoc oficyalistów różnych i drobnej szlachty, a nie mając poparcia ze strony włościan, zginąć musielibyśmy. No, i czy wiesz pan, że o tem, coś mi mówił i ja pisałem do Warszawy, nastając gorąco, że czas przerwać tę krwawą robotę, czas już powstrzymać szalone wystawianie na stratę tylu ludzi i kraju ostatecznie nie gubić, lecz patrz, czytaj, jaki list odebrałem wczoraj od Stefana; czytaj i powiedz, czy cofnąć się mogę, czy powinienem?" List przeczytałem. Bobrowski zaklinał, aby ręk nie opuszczać i iść dalej w rozpoczętym dziele; że na Padlewskiego zwrócone są obecnie oczy niemal całego kraju; że zaprzestanie walki teraz byłoby błędem, gdyż nadeszły z Paryża wiadomości, zachęcające do wytrwania. Wszak przysięgliśmy, dodawał w końcu, że życie poniesiemy w ofierze krajowi i że raczej zginieśmy, jeżeli go nie wyswobodzimy; i ty, mój Zygmuncie miałbyś pierwszy ręce opuścić i przysiedze swojej się przeniwierzyc? i to wtedy, kiedy zaświtała nam pewna nadzieja, i kiedy wytrwałość tylko zbawić nas może i t. d." Wobec wrażenia, które list ten zrobił na szlachetnym charakterze Padlewskiego, słowa moje już żadnego znaczenia mieć nie mogły."

¹⁾ *Berg*, IV, 82.

²⁾ O instrukcyi tej mówi *Berg*, IV, 83, na podstawie relacyi rosyjskich. Nakazywała ona „nużyć nieprzyjaciela, przesuwac się z miejsca na miejsce drogami bocznymi, wśród trudnych do przejścia wertepów i blot". Kawalerya miała „rozwijac się w długi łańcuch i tak maszerować przez lasy i pola, poczem nagle w jakim miejscu ukrytem zbierać się i ruszac dalej, zacierając ślady przez stado bydła, wypędzone ze wsi sąsiednich". W razie bitwy instrukcyja polecała „wytrzymać jak można najdłużej ogień, rzucić się w rozszypce do lasu i potem wzmieszać się między mieszkańców wsi sąsiednich, gdzie każdy żołnierz, przebrany za chłopca ma się zaraz zająć jakąś robotą, rąbać drwa, poić konie, skrobać kartofle, tak żeby nieprzyjacieli nie mógł rozróżnić powstańców od zwykłych mieszkańców i po jego odejściu znowu się zebrać". Polskie źródła nic o tej instrukcyi nie mówią.

mieńskiego (syna znanego pisarza, Lucyana). Pierwsza, złożona przeważnie z drobnej szlachty mazurskiej, uzbrojonej w sztucery ¹⁾ napadnięta przez kolumnę rosyjską z Lipna pod wodzą kapitana Prowolskiego, wytrzymała w lasach Skępego, dnia 14 kwietnia, czterogodzinną, bohaterką walkę, w której wszyscy strzelcy mieli poledz do nogi, a konnica i kosynierzy uciekli ²⁾; druga, napadnięta w czasie swej formacyi w Koseminie przez Wałujewę dnia 18 kwietnia, także uległa rozprószeniu ³⁾.

Rwało się więc wszystko i rozpadało i była taka chwila, zwłaszcza w drugiej połowie kwietnia, że w Płockiem nie było ani jednego poważniejszego i silniejszego oddziału, co w każdym razie źle świadczy o energii i zdolnościach organizatorskich wojewody. Począł on już teraz wątpić w możność wytworzenia większej partyi z żywiołów miejscowych i liczył jedynie na pomoc, jaką mogły przynieść organizujące się wyprawy w Prusach Zachodnich. Ale i tu doznawał zawodu. Zapowiadane wkroczenie dwóch kolumn, na przyjęcie których wzywano go nawet, żeby przyjechał, nie przyszło do skutku ⁴⁾. Wreszcie, gdy go

¹⁾ Partya ta była nawet umundurowana jednakowo. Miała ciemne czamarki i konfederatki z białem.

²⁾ „Żurnal wojennych dziejstw” No 19. Sam Jurkowski miał uciec za granicę ze swym adjutantem, kobietą Julią Prejbisz, podobno z Księstwa pochodzącą.

³⁾ *Berg*, IV, 86 na podstawie relacyi Semeki opowiada, co następuje: „dowódca Siemieński i jego adjutanci Witkowski i Ojrzanowski, zamknęli się w śpichlerzu dworskim z karabinami w rękach i postanowili drogo sprzedać swe życie; sprzedali je jednak tanio. Do wsi wpadł z kozakami wyborny jeździec (dżigit) junkier Zubow, Czerkies rodem, rzucił się z jednym kozakiem wprost do śpichlerza, gdzie byli naczelnicy, wyłamał drzwi; padły trzy strzały, kule świśnieły koło ucha. Zubow dobył szabli i zarąbał wszystkich trzech". Tak opowiada *Berg*. W relacyach polskich („Dziennik Poznański” No 101 z 1863 r.) opowieść brzmi nieco inaczej. Według niej, Siemieński z Jakóbem Witkowskim i Edmundem Ojrzanowskim oddalili się z obozu o pół mili do dworu w Koseminie, i tam napadnięci przez kozaków po rozpaczliwej obronie wszyscy trzech polegli.

⁴⁾ *Berg*, III, 87.

zapewniono uroczyscie, że taki oddział wkroczy¹⁾, uwiadomił listownie komisarza Prus Zachodnich, że oczekiwać nań będzie w nocy z dnia 21 na 22 kwietnia we wsi Radzikach Małych, leżących w pow. lipnowskim, w pobliżu pogranicznej rzeczki Drwęcy²⁾. Jakoż w oznaczonym ter-

¹⁾ Oddział ten, sformowany w Prusach Zachodnich, nosił nazwę oddziału ziemi Chełmińskiej. Dowodził nim major Henryk Łowiński. Według „Wiadomości z pola bitwy“ No 10 (z dnia 7 maja) Łowiński miał pod sobą zaledwie 100 ludzi, według *S. Gąseckiego*, Pamiętniki 27, partya liczyła 600 „dobrze wyćwiczonych i wybornie uzbrojonych ochotników“, a nadto miała jeszcze przy sobie 600 zapasowych karabinów belgijskich. Tenże Gąsecki utrzymuje, że oddział powyższy sformowali i dowodził nim „ośmnastoletni hr. Działowski“. Był to Zygmunt Działowski.

²⁾ *Berg*, loc. cit. przytacza w przekładzie rosyjskim list, jaki napisał Padlewski w tej sprawie do komisarza Prus Zachodnich. „Jakkolwiek, pisał wojewoda, nieraz zwiedziony byłem doniesieniami, że zbierają się jakieś oddziały w Prusach Zachodnich, skąd, wbrew wszelkiej przyzwoitości, dotąd nie wystąpił jeszcze ani jeden człowiek, pomimo wszystko gotów jestem uwierzyć, że nie brak patriotyzmu, ani zupełna obojętność, albo co gorsza, brak odwagi, ale po prostu niestosowność rozporządzeń z mej strony jest tego powodem; wskutek czego postanowiłem tym razem zadość uczynić twym, obywatelu, żądaniom i przybyć osobiście z kilkudziesięciu ludźmi na wskazany punkt i w oznaczonym czasie; ostrzegam jednak, że, jeżeli nie spotkamy nikogo teraz i warunki nie będą literalnie zachowane, narazi to bez żadnego pożytku i mnie i ludzi, których wezmę ze sobą, na nieuniknione niebezpieczeństwo. Dlatego wyznaczam czas zgodnie z waszem żądaniem, na trzy dni naprzód, polegając w zupełności na patriotyzmie naszych nowych kolegów, którzy zapewne nie zechcą oddać w ręce najazdu tych, którzy jeszcze mogą przydać się ojczyźnie. Z wtorku na środę t. j. z d. 21 na 22 kwietnia, o godz. 11 w nocy (punktualnie) w Radzikach Małych (powiat lipnowski)“. O oddziale tym „Wiadomości z pola bitwy“ No 10, donoszą, że „dążył na wozach w lasy Skępskie, gdy pomiędzy wsiami Chorostkowom i Nową Wsią (22 kwietnia) przez dwie rotę piechoty i kozaków napadnięty został. Nasi bili się mężnie, lecz ich najdzielniejsza obrona nie mogła odeprzeć znacznie liczbą przewyższającego wroga, tem bardziej, że broń przy przejściu wbród Drwęcy zamokła, słabą obronę dawała. Straciliśmy 8 ludzi w zabitych, kilku rannych i wziętych do niewoli; w liczbie zabitych jest Henryk Łowiński“ (dowódca). *T. Żychliński*, Wspomnienia, 148, twierdzi, że Łowiński

minie, Padlewski ze swym sztabem wyruszył z Mysłakówka. Jechano na dwóch bryczkach; w jednej siedział wojewoda, jego adjutant Kuczborski i szef sztabu Sokołowski (właściciel Mysłakówka); w drugiej doktor Liciński i Siciński, dowódca rozbitego niedawno oddziału¹⁾. Wszyscy ci panowie zaopatrzeni byli w paszporty urzędowe; Padlewski na imię Zenona Polińskiego, Kuczborski na Szczurowskiego. Wojewoda na nieszczęście zabrał ze sobą piękną białą konfederatkę oraz różne papiery, a między nimi listy Stefana Bobrowskiego. Ta okoliczność ocaliła te pisma dla historii, ale zgubiła samego Padlewskiego.

Niedaleko Radzik, pod wsią Bożyminem, pierwsza bryczka została zatrzymana przez kozaka, który zażądał pokazania paszportów. Padlewski miał mu odrzec, że niema czasu i zaofiarował kozakowi storublowy papierek, a gdy

zwał się właściwie Szermętowski, oblicza oddział na kilkudziesięciu ludzi i twierdzi, że utarczka zaszła pod Nietrzebiem. Dodaje: „dnia następnego zebrano trupów, ale tak potrzaskanych kolbami, że ich twarzy już nie można było rozpoznać“. *Gąsecki*, loc. cit. 30, opowiada, „Działowski uwiadomił, iż wskutek obsadzenia granicy przez Prusaków (wprost Radzik), musi ją przechodzić o cztery mile dalej“. Przekroczył ją pod Białą Wsią. „Przechodząc przez Drwęcę zamoczyli się. Doszedłszy tedy do lasu Białej Wsi, oddalonej o milę od granicy, rozłożyli się tam obozem dla odpoczynku i wysuszenia. Zaledwie jednak zdjęli buty i ubranie, gdy z oddalenia dochodzi głuchy odgłos strzału. To sygnał pikiety. Każdy się zrywa czerpędzej, ale już zapóźno, bo w tej chwili pół rotę (kompanii) piechoty i pół setki kozaków wpada na nieprzygotowanych. Zaczęła się istna rzeź. Była to dla nas klęska tem dotkliwsza, że oprócz kasy, zawierającej 6000 talarów, straciliśmy także cały transport zapasowej broni z eleganckimi, na zielono malowanymi furgonami. Działowski ocalał“.

¹⁾ „Dziennik powszechny“ No 92 z 1863 r. donosi, że Padlewski udał się ku granicy pruskiej na czele „dwudziestu buntowników“. Wiadomość ta, którą już *Berg*, III, 88, podaje w wątpliwość, jest kłamliwą. Wszystkiego było pięć osób, a z woźnicami siedem. *S. Gąsecki*, Pamiętniki. 31 opowiada, że Padlewski jechał z Lisickim (obywatel) z Płockiego Kuczborskim i dwoma jeszcze innymi adjutantami, których nazwisk nie pamiętam, powozem obywatela Jęzierskiego“.

to nie skutkowało chciał mu dać 200, potem 300, wreszcie 500 rubli ¹⁾). Prawdopodobnie kozak byłby uległ takiej poważnej pokusie, gdyby na nieszczęście nie zjawił się oficer, Godlewski nazwiskiem, który dowiedziawszy się o wszystkim, kazał obie bryczki zrewidować i znalazł w nich ową białą konfederatkę, kilka rewolwerów i papiery z pieczęcią Rządu tymczasowego. Oczywiście rzecz, że wszystkich przyaresztował ²⁾ i odstawił do Lipna, gdzie miejscowy oficer

¹⁾ *Berg*, III, 89, przy tej sposobności opowiada: „bywały wypadki, że powstańcy wyższych stanowisk, przy zjawieniu się kozaków, rozrzucali po ziemi nowe, błyszczące półimperyały. Kozacy nigdy ich nie podnosili, ale przedewszystkiem spełniali swój obowiązek“. Nie chcemy zaprzeczać, że mógł się znaleźć taki kozak, który odrzucał pieniądze heroicznie, ale wogóle całe to zaznaczenie kozackiej uczciwości jest kłamliwym. Najprzód o „nowych, błyszczących półimperyałach“ nie może być mowy, bo ich wtedy ani w Polsce, ani w Rosji na lekarstwo znaleźć nie można było, a potem w pamiętnikach polskich (Wiśniewski, Jeziorański) liczne są opowiadania o bogatej zawartości mantelzaków kozackich. Autor niniejszego sam był świadkiem w oddziale Oksińskiego w lecie 1863 r. jak u schwytanego kozaka znaleziono w mantelzaku kilkaset rubli w papierach, kilkanaście łyżek, kubków, solniczek i t. p. srebrnych, oczywiście gdzieś zrabowanych.

²⁾ „*Ephemerides polonaises*“ (rodzaj czasopisma wychodzącego w Paryżu) w zeszycie za kwiecień, maj, czerwiec 1863, str. 68, jest podana wiadomość, że Padlewski „został wydany przez zdrajcę“. Potwierdza to *Gąsecki*, *Pamiętniki*, 31. Utrzymuje on, że Rosyanie umyślnie przygotowali wyprawę dla schwytania Padlewskiego; dowiedzieli się bowiem od szpiega, że wojewoda będzie w okolicy przejeżdżał, a nie wiedząc którą drogą, rozstali kilka takich oddziałków w różnych kierunkach. Zdrajcą owym, który wydał Padlewskiego, był jakiś syn ekonoma z okolicy, służył poprzednio w powstaniu, a *Gąsecki* nawet „własną burkę dał mu kiedyś“. Po utarczce pod Koziółkiem, zdrajca ów, wzięty do niewoli, stał się szpiegiem. Później mieszkał w Płocku i Modlinie, bo bał się o swe życie. Czy tak było w istocie, trudno orzec, zwłaszcza, że jak powiedzieliśmy, *Pamiętniki Gąseckiego* są nadzwyczaj bałamutne. Musimy tu przy sposobności zaznaczyć, że *Limanowski*, *Historia ruchu*, II, 63, jakkolwiek cytuje *Berga*, *Zapiski*, nie wie jednak jakim sposobem dostały się do rąk rosyjskich listy Bobrowskiego. *Berg* w tomie III, 89 wyraźnie powiada, że znalezione one zostały w bryczce Padlewskiego w chwili jego aresztowania.

żandarmski, przejrzawszy papiery, oświadczył, że między aresztowanymi musi być Padlewski, albo ktoś z osób bardzo mu blizkich. Na tej podstawie naczelnik wojenny lipnowski, znany nam z rozbicia oddziału Jurkowskiego sztabskapitan Prowolski, poszedł do więzienia i wskazując na Padlewskiego odrazu mu oświadczył, kto on jest. Wojewoda z bohaterską otwartością nie zapierał się wcale ¹⁾ i wkrótce wszystkich aresztowanych odesłano do Płocka. Tutaj umieszczono jeńca w starym więzieniu kryminalnem, w osobnej celi i oddano pod sąd doraźny polowy. Padlewski wiedział doskonale, jaki wyrok wyda ten sąd i zapragnął dla swej duszy, targanej przed chwilą tylu namiętnościami politycznymi, rojącej tak ambitne marzenia, cichych pociech religijnych. Na prośbę jego, naczelnik wojenny Semeka zezwolił na udzielanie mu książek treści religijnej, zgodził się wreszcie na to, by uwiadomiono rodzinę o uwięzieniu wojewody. Zaraz też zjechała do Płocka wujenka jego, pani Klementyna Potocka, której pozwolono się widywać z więźniem ²⁾. Energiczne jej zabiegi i starania, zrobiły to, że jakkolwiek sąd polowy skazał Padlewskiego na śmierć przez rozstrzelanie ³⁾, Semeka w roku tego nie zatwierdził, choć miał do tego prawo na mocy reskryptu Namiestnika (z d. 11/23 stycznia 1863 r.), ale przesłał go do Warszawy ⁴⁾. Tutaj nakazano wstrzy-

¹⁾ *Berg*, III, 90 przytacza rozmowę między Padlewskim i Prowolskim. Ten zapytał wojewody: „Kto pan jesteś?“ „Obywatel Zenon Poliński“. „Daj pan pokój, nie jesteś wcale Poliński. Ja wiem kto jesteś“. „Jeżeli pan zgadniesz, kto ja jestem, zapierać się nie będę i przyznam się“ — „Pan jesteś Padlewski“. „Tak“. Opowiadanie to oparte jest na ustnej relacji Prowolskiego i innych oficerów.

²⁾ Relacya tejże pani Potockiej, dziś już nie żyjącej.

³⁾ Przed sądem raz tylko stawał; zadano mu pięć pytań, na które odpowiadał zawsze „nie!“ (Relacya p. Potockiej). Coby to były za pytania, nie wiemy.

⁴⁾ Obiegały wówczas pogłoski, acz mało wiarogodne, że Semeka chciał Padlewskiemu ułatwić ucieczkę ale zmiana przez kogoś warty, stanęła temu na przeszkodzie: że tenże Semeka dał p. Potockiej słowo hanoru, że jej kuzyna od śmierci ocali i słowo

manie całej sprawy¹⁾. Właśnie ogłoszoną została przez cesarza amnestya ogólna dla powstańców i czekając na wyznaczony dla złożenia przez nich broni, termin, nie chciano zapewne rozdrażniać opinii publicznej przez rozstrzelanie osobistości tak wydatnej i tak głośnej. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że, gdyby ta amnestya była przyjętą, to Padlewski by ocalał; gdy ją jednak pogardliwie i lekko-myślnie odrzucono, rząd rosyjski nie widział powodu oszczędzania kogokolwiek i z Warszawy przysłano rozkaz wykonania wyroku.

Nieszczęśliwego skazańca uwiadomiono o tem w nocy z dnia 14 na 15 maja o godzinie 2-iej po północy, oraz o tem, że wyrok tegoż samego dnia rano spełniony zostanie. „Strasza to chwila dla mnie, pisał w ostatnim liście do rodziny, więc nie dziwcie się, że nie wiele w niej czasu na pisanie tracę, by tę godzinę, jaka mi pozostaje z Bogiem przepędzić“²⁾. Wszystkich pożegnał, prosił ojca, by długi popłacił, a w końcu kilka rzewnych słów pożegnania matce swojej przesłał. „Matko droga, pisał, szukaj pociechy w Bogu; ja biedny nie mogłem ci życia umilić,

to podobno dane było w dobrej wierze. Cała ta rzecz jest wątpliwą wobec wyraźnego przepisu reskryptu Namiestnikowskiego. Mówiono także, iż generał Poźniak usilnie zabiegał o uwolnienie Padlewskiego, co nawet ze strony Rosyan, coraz bardziej rozdrażnionych, za złe mu miano. *Limanowski*, *Historia ruchu* II, 64, utrzymuje, nie wiemy na jakiej podstawie, bo źródła nie cytuje, że Semeka obiecywał uwolnienie Padlewskiemu, pod warunkiem, że „uda się do obozów powstańczych i nakłoni je do złożenia broni“, i że Padlewski „odrzucił tę hańbiącą propozycję“. Wszystko to są plotki, których mnożstwo krążyło i krąży dotąd koło tak wybitnej postaci, jaką był Padlewski. *Giller*, *Historia* I, 36 zapewnia, że „Rząd Narodowy robił starania, aby Padlewskiego uwolnić, a nawet odbić go zamierzał z więzienia, do czego jednak siły podówczas w Płockiem będące okazały się za małe, potrzeba było bowiem wprzód Moskali z Płocka wyparować“. Wiadomość ta w znanych nam źródłach, nie znajduje potwierdzenia.

¹⁾ *Berg*, III, 91.

²⁾ List ten udzielony nam łaskawie przez rodzinę Padlewskiego, pomieszczamy na końcu tego tomu w dziale dokumentów.

a teraz go (tak) jeszcze zatruwam. On (Bóg) cię zato poratuje“. Około godziny 5-tej rano sprowadzono mu księdza, przed którym się wypowiedział i komunikował. Na plac kaźni jechał spokojny, zamysłony, z niezapalonym papierosem w ustach. Ksiądz wypytywał, w jaki sposób odbywały się egzekucye i dodał, że „chciałby umierać z tą pewnością, że się po ludzku obejdą z jego ciałem“, a gdy ksiądz pod tym względem go uspokoił, rzekł: ciężko jest z ludźmi się rozstawać“. Egzekucya sama odbyła się na placu za rogatką Płońską, w pobliżu prochowni. Szedł do słupa białego w ziemię wolno, bardzo spokojny i poważny¹⁾. Odczytano mu po rosyjsku krótki wyrok, którego wysłuchał, poczem ukląkł przed księdzem i prosił o błogosławieństwo. Sam włożył na siebie śmiertelną koszulę i prosił, by mu oczów nie zawiązywano, na co nastąpiła zgoda. Kilka minut czekano niewiadomo na co, a Padlewski rzekł, że bez oparcia ciężko mu będzie wystać i prosił, by go pasem od pałasza lub rewolweru przywiązano do słupa. Zadość uczyniono temu żądaniu, wystąpiło dwunastu żołnierzy, padły strzały i ten piękny młodzieniec, tyle nadziei budzący, przeszedł do nicości, do krainy, z której nikt nie wraca, gdzie go poprzedzili: Godlewski, Wasilewski, Bobrowski, Rolski, wszyscy najzapamiętalsi zwolennicy powstania i jego sprawcy. Ciężko przewinili oni przeciw narodowi, ale winę swoją okupili krwią własną, jeżeli można osobistą ofiarą taką winę okupić. Naród im może przebaczyć, ale historia przebaczyć nie może. Śmierć tego

¹⁾ Tak twierdzi relacya p. Potockiej. *Berg*, III, 92 na podstawie słów Semeki, utrzymuje, że Padlewski „był bardzo blady, patrzył na słup stojący naprzeciw niego dość spokojnie, ale grube krople potu spływały mu po czoło“. Niejaki J. N. Ponomarew, oficer ułanów, którzy przybyli koło tego czasu do Płocka, w swem opowiadaniu p. t. „Wspomnienia o polskom miateżu 1863 goda“, drukowanym w czasopiśmie „Istoriczeskij Wiestnik“ tom LXX, 143, utrzymuje, że gdy wieziono Padlewskiego na plac kaźni, to „Polki rzuciły z okien bukiety kwiatów, tak że cała droga zasłana była różami i fijołkami“; zapewnia dalej, że Padlewski do ostatniej chwili zachował zupełny spokój ducha.

bohaterskiego młodzieńca wywarła bądź co bądź wielkie wrażenie na miasto, województwo i kraj cały. Powstały o niej liczne legendy, a mieszkańcy Płocka długo sobie potem opowiadali, że w nocy, na placu kaźni duch wojewody ukazywał się na białym koniu i trwogę w strażach budził zabobonna¹⁾.

¹⁾ O śmierci Padlewskiego potworzyło się mnóstwo fantastycznych opowieści, które przeszły nawet do dzieł drukowanych. Mówiono, że parokrotnie doń strzelano, że przy pierwszym strzale został ranny w rękę, że dopiero kulą pistoletową był dobity. *Z. Kolumna*, Pamiątka I, 120, opowiada, że Padlewski czekał na placu kaźni przez pół godziny „paląc spokojnie cygaro“, że z „dwunastu strzałów, wycelowanych na komendę do stojącego nad dołem ś. p. Zygmuta wszystkie trafiły poniżej piersi i w nogi“. W relacji tej jest nieco prawdy. Cytowany przez nas powyżej naoczny świadek Ponomarew opowiada, że żołnierze przeznaczeni do wykonania wyroku byli bardzo wzruszeni. „Zauważyłem, pisze autor, że ręce trzymające broń, silnie drżały. Jakkolwiek, przy egzekucji, oprócz ułanów, było trzy kompanie piechoty, jednakże martwa cisza zalegała dokoła. Zdawało się, że nawet konie odczuwały wzruszenie jeźdźców i stały ze spuszczoneymi łbami. Wśród tej ciszy oficer dyżurny dał znak chustką. Strzelcy wzięli za broń do oka, a na nowy znak, rozległy się strzały. Mimowoli zamknąłem oczy; gdym je otworzył, ogarnęła mnie zgroza. Skazany żył, a tylko krew płynęła z jego ran. Kule wskutek złego przymierzenia się, wszystkie co do jednej trafiły w nogi. Cierpienie zmieniło twarz tego pięknego młodzieńca. W tej chwili podbiegł feldfebel i strzałem z pistoletu, przyłożonego do samej piersi odrazu przerwał męczarnie. *Gąsecki*, Pamiątniki, 39, powiada: „co zaś do ostatnich chwil jenerała, to wiem o nich od Bernardyna, który mu na plac kaźni towarzyszył. Mówił mi ten zakonnik, iż Padlewski cieszył się wielką sympatyą wśród Moskali. Jenerał komenderujący, a dawny jego towarzysz broni, nie chcąc być świadkiem egzekucji, wołał się na ten dzień z miasta wydalić. Oficerowie uchylali się również pod różnymi pozorami od kierowania egzekucją. Podjął się tego w końcu oficer Polak! Nawet żołnierze strzelali widać niechętnie, skoro z 25 kul tylko jedna go trafiła, a i ta nie śmiertelnie. Biedny męczennik prosił, aby mu oczu nie zawiązywano. Patrząc więc na swój grób otwarty, stał prosto przy słupie. Dostawszy postrzał w szyję, zachwiał się tylko, ale nie upadł, a do zakonnika słabym już głosem rzekł, że mu słabo. Kiedy ksiądz pokrzepił go na duchu, oficer tymczasem własną szarfę przy-

Mniej więcej współcześnie z tragiczną śmiercią Padlewskiego, schodził z widowni powstania inny wódz, niemniej sławny, acz mniej może ambitny. Mówimy tu o Mieleckim, którego zostawiliśmy, jak po utarcze pod Nową Wsią, przyparty do granicy pruskiej, pozbył się nakoniec Mierosławskiego, któremu był niechętny i przeciw któremu w obozie intrygował. Na szczęście Schildner-Schuldner ucieszony, że zmusił Mierosławskiego do opuszczenia kraju, syt chwały, którą kłamliwymi telegramami do wszystkich dzienników rozpowszechniał, zawrócił do Włocławka, nie wiedząc i nie dbając o to, co się stało z oddziałem dyktatora. Z tego skorzystał Mielecki i forsownym marszem odsadziwszy się od niebezpiecznej granicy pruskiej, zagrzebał się w znanych sobie dobrze lasach Ossowca. Położenie było dość rozpaczliwe. Oddział znacznie się zmniejszył, a nadewszystko wskutek klęsk, upadł mocno na duchu.

Ale znalazł się w województwie człowiek niezwykłej energii, który postanowił ożywić powstanie w tych stronach i natchnąć je pewną wspólnością działania. Był nim niejaki Bronisław Rudzki, człowiek młody, niegdyś porucznik huzarów rosyjskich, który po ucieczce Mierosławskiego mianowany został organizatorem wojennym kaliskim¹⁾. Zręczny w obejściu, bardzo inteligentny i oczytany, posiadający dużo wiadomości z zakresu wojskowości, nakreślił on następujący plan operacji wojennych w Kaliskiem. Ponieważ województwo to swą podstawą operacyjną opierało się głównie na Zaborze pruskim, skąd czerpać winno po-

wiązał u słupa i rękę mu na niej oparł, poczem powtórnie zakomenderował ognia. Ale widocznie i tym razem żołnierze nie mieli wielkiej ochoty dobrze celować, gdyż Padlewski po kilku strzałach upadł wprawdzie, ale żył jeszcze. Mimo to żyjącego jeszcze wrzucano w dół, chociaż rękę wyciągając błagał, aby go dobili“. Zdaje się, że opowiadanie pani Potockiej, na którym w tekście opieramy się, jest najautentyczniejsze.

¹⁾ *Z. Kolumna*, Pamiątka, dodatek, 54. Myli się *A. Giller*, Polska w walce I, 201, nazywając Rudzkiego naczelnikiem sił zbrojnych województwa kaliskiego.

moc w ludziach, pieniądzech, broni i sprzęcie wojennym, więc przedewszystkiem należało tak rzeczy urządzić, żeby dopływ tej pomocy spotykał jak najmniej przeszkód. W tym celu koniecznem było izolowanie garnizonów rosyjskich, przecięcie między nimi wszelkiej komunikacji, ażeby w danym razie nie mogły się ze sobą znosić i wspólnie działać. Oddziały powstańcze, istniejące w Kaliskiem, powinny były przedewszystkiem spełniać to zadanie, a mianowicie: jeden z nich winien operować między Koninem, Kołem i Kłodawą, w celu odcięcia Kalisza i Konina od Łęczycy; drugi winien zajmować pozycję w okolicy lasów Grodzickich dla przecięcia komunikacji między Kaliszem i Koninem; trzeci przebywać w lasach Brzezińskich i Kraszewickich dla odcięcia Kalisza od Sieradza; czwarty natomiast przebiegać okolicę między Złoczewem i Widawą, dla zerwania związku Sieradza z Wieluniem¹⁾. Skoro wszystkie te oddziały otrzymają oczekiwane posiłki z zaboru pruskiego, mają jednocześnie uderzyć na Konin, zdobyć go i ogłosić między 4 a 6 kwietnia w pasie pogranicznym Królestwa pospolite ruszenie. Rudzki przytem liczył wiele na chłopów, których, przekonany był, zdoła do tego czasu zyskać na stronę powstania. Dla wykonania tego dość trudnego planu, województwo posiadało w tej chwili załedwie trzy oddziały: Dworzaczka, Oksińskiego i Miełckiego.

Józef Dworzaczek, lekarz z powołania, nie mający pojęcia o rzemiośle wojennem (służył pod Mierosławskim w powstaniu poznańskim), był mianowany jeszcze w 1862 roku rewolucyjnym naczelnikiem cywilnym powiatu łęczyckiego. Po wybuchu powstania sformował on oddział w okolicach Strykowa, pod wsią Dobrą, z tym celem, ażeby oddać dowództwo niejakiemu Józefowi Sawickiemu, który głównie przyczynił się do zebrania tej partii. Ale Dworzaczek, lękając się wracać do Łęczycy, a może ufny w swą

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 255. Raport Brünnera. Patrz „Żurnal wojennych dziejstw”.

inteligencję, usunął od dowództwa Sawickiego i sam stanął na czele oddziału, co wywarło niekorzystny wpływ na żołnierzy¹⁾. Pozycja pod Dobrą była dość silną; okolica lesista i błotna czyniła przystęp trudny, a napływ ochotników był znaczny. Oddział wkrótce wzrósł do 400 ludzi²⁾, a jak twierdzą naoczni świadkowie, gdyby dowódca był zdolnym, fachowym oficerem, liczba ta szybko dosięgnęłaby mogła tysiąca³⁾. Pierwotnie Dworzaczek zamierzał uzbroić swych ludzi w karabinki niemieckiego towarzystwa strzeleckiego w Zgierzu, ale, zdaje się, że wypadek ten władze wojskowe rosyjskie przewidziały i karabinki owe dość wcześnie zabrały. Pod Dobrą obozowano spokojnie przez trzy blisko tygodnie, gdyż Rosyanie nie o bytności oddziału nie wiedzieli, a Dworzaczek zamiast korzystać z tak szczęśliwego położenia i użyć tego czasu na lepsze uorganizowanie i wyćwiczenie swych ludzi, zaczął odbywać różne wycieczki i marsze, zgoła niepotrzebne. W dniu 18 lutego np. wysłał 40 konnych do Rogowa, stacji kolei warszawsko-wiedeńskiej, ażeby zerwali telegraf, zabrali żandarmów stacyjnych i popsuli samą kolej. Fakt ten zwrócił na ukrytego w lasach Dworzaczka, uwagę rosyjską i z Piotrkowa dnia 20 lutego wysłano sztabkapitana Nawrocko-Oposzińskiego na czele dwóch kompanij piechoty i setki kozaków, z rozkazem naprawienia kolei i wyśledzenia powstańców. Oposziński w Rogowie dowiaduje się o obozie powstańczym, istniejącym jakoby w okolicy Brzezin. Zostawiwszy część ludzi dla prowadzenia robót na stacji kolejowej, sam z 200 piechoty i 75 kozakami⁴⁾ pomaszerował do Brzezin, gdzie się dowiedział, że powstańcy wyruszyli do Zgierza.

W rzeczy samej tak było. Dnia 21 lutego Dworza-

¹⁾ *St. Bellina*, Notatki o powstaniu w pow. łęczyckim (Polska w walce I, 223).

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 236. Niektóre polskie źródła mówią tylko o 200 ludziach.

³⁾ *St. Bellina*, loc. cit.

⁴⁾ „Dziennik Warszawski” No 211 z 1866 r.

czek, chcąc zaopatrzyć się w żywność i ubranie poszedł z oddziałem swym do wymienionego miasta, obstawił się placówkami, zwłaszcza od strony Łęczycy i zabawiwszy tu do południa następnego dnia, przyjmowany przez mieszkańców bardzo gościnnie, wrócił, zgola niepotrzebnie na dawną swą pozycję pod Dobrą. Pobyt ten nieco przydługi w Zgierzu, dał możność Oposzińskiemu wywiedzenia się od Niemców miejscowych o sile i uzbrojeniu powstańców, i posuwając się dość wolno, choć piechotę wiozł na podwodach, wyprawił się na Dobrą, gdzie stanął d. 24 lutego. Obóz polski mieścił się w gęstym lesie, w którym u jego północnego skraju, znajdowała się dość obszerna polana, całkiem drzew pozbawiona. Wódz rosyjski z pewnem wahaniem przystępował do ataku. Stanąwszy przed lasem, zatrzymał się w nieczynności około dziesięciu minut, i dla dodania odwagi żołnierzom, raczyć ich począł wódką¹⁾. Wiadomości, zasięgnięte w Zgierzu, mówiły, że powstańcy liczą około 1000 ludzi, gęsty zaś las wykluczał możność użycia kozaków; trzeba więc było działać samą piechotą i tej to okoliczności zapewne przypisać należy, że Oposziński, stanąwszy wobec obozowiska polskiego okazał niejaki wahanie. Na nieszczęście Dworzaczek nie skorzystał z tego wahania; jakkolwiek przez placówki swoje dość wcześniej uwiadomiony o ukazaniu się nieprzyjaciela, stracił głowę i żadnych przygotowań nie zrobił. Na dobitkę Sawickiego, jedynego człowieka wojskowego w oddziale, podówczas w obozie nie było; wyjechał był po żywność i inne potrzeby²⁾. Tymczasem dowódca rosyjski rozsypał pół kompanii w tyraliery i rozpoczął ogień, a wkrótce potem wyruszył biegiem do ataku na sam obóz polski. Tu panował straszliwy nieład; sam Dworzaczek gdzieś się zapodział³⁾,

¹⁾ St. Bellina, loc. cit. 223.

²⁾ Gesket-Puzyrewskij, 237 idąc za raportem Oposzińskiego, powiadają, że powstańcy posiadali dwie armatki i moździerz malokalibrowy, i że ich nie przyszykowano do dawania ognia. Źródła polskie nie wspominają o tych armatach.

³⁾ St. Bellina, loc. cit.

i dzięki tylko usilnym zabiegom niższych oficerów, zdołano sformować się przed obozem, zasłaniając się linią tyralierów, którzy strzałami usiłovali powstrzymać napór nieprzyjaciela. Ale słaba ta obrona na nic się nie przydała; tyralierzy polscy cofać się poczęli ku obozowi, a za nimi z krzykiem posuwała się kolumna rosyjska. Chcąc osłabić jej atak, Dworzaczek, który się nakoniec znalazł na polu walki, wysłał kosynierów. Ci ruszyli śmiało naprzód, ale powitani rżęsiłą palbą w nieładzie się cofnęli. Jednakże jeszcze po dwakroć zrywali się do walki, aż wreszcie zdziśiatkowani, złamani na duchu pierzchnęli niesforną gromadą, porywając wszystko i wszystkich za sobą. Dworzaczek, dając przykład ze siebie, zsiadł z konia i pie szo z innymi uchodził. Cała ta spłoszona masa puryła ku północnemu skrajowi lasu, ku owej polanie, o której wyżej wspomnieliśmy. Niestety! znaleziono tu drogę zagrodzoną. Kozacy, zostawieni przed borem, jako zgola nieużyteczni w leśnej potyczce, okrążyli las i znaleźli się wkrótce na owej polanie. Widząc strwożoną i bezładną masę, zażądali by broń złożyła. Około 50 ludzi usłuchało tego wezwania, ale reszta, na głos swych dowódców, z których jeden krzyknąwszy: „dzieci za mną!“ rzucił się naprzód, porwała się na kozaków, ale już przełamać ich nie była zdolną. Kozacy, dawszy ognia, poczęli rąbać pałasami, kłuć pikami, a w tejże chwili z tyłu pojawiła się piechota rosyjska. Rozpoczęła się formalna rzeź; połowa oddziału legła na pobojuwisku¹⁾; między zabitymi znalazły się dwie kobiety, ubrane w męskie suknie, z których jedna, Marya

¹⁾ Loc. cit. Bellina oblicza stratę na siedemdziesięciu kilku zabitych. „Dziennik Warszawski“ mówi o 300 zabitych! W raporcie Nawrocko-Oposzińskiego, drukowanym w ówczesnych gazetach, nie ma wcale wykazanej cyfry zabitych. Miano tylko wziąć do niewoli 84, zdobyto „znaczek rewolucyjny“ (?) „małe armatki starej formy i jedną śmigownicę“ (??). 120 strzelb, 40 dubeltówek, 16 koni, mnóstwo kos i t. p. Ze strony rosyjskiej miał zginąć zwykły „jeden kozak“ i „jeden przepadł bez wieści“.

Piotrowiczowa, bohatersko i uparcie się broniła¹⁾. Wszystkie trupy poległych zostały przez zdziczałe żoldactwo obdarte do naga i nosiły na sobie ślady barbarzyńskiego okrucieństwa. Tak samo postąpiono z rannymi, których nago zostawiono na poboju²⁾. Do niewoli wzięto 84³⁾, cały obóz, wiele broni. Zdobyte trofea przez dwa dni z rzędu były wystawione na widok publiczny w Piotrkowie przed kordegardą wojskową. Sam Dworzaczek salwował się szczęśliwie z rzezi, ale został schwytany przez kolonistów niemieckich we wsi Nowosolnej, którzy go związali i odstawili do Łodzi. Stąd przewieziony do Łęczycy, po ośmiomiesięcznym więzieniu wysłany został do Rosji⁴⁾.

Straszna ta, krwawa klęska wywarła na wszystkich przynębiające wrażenie i powstanie w Łęczyckiem na długo osłabiła, a nadewszystko plan Rudzkiego odrazu

¹⁾ Była to żona nauczyciela wiejskiego z Radogoszcza, z domu Rogalińska i razem z mężem poszła do powstania. Według *Z. Kolunny*, *Pamiętka* II, 212 obskoczona przez kozaków broniła się najprzód rewolwerem, a następnie kosą i trzech nieprzyjaciół zabiła, aż przeszyta kulą, padła. Liczyła lat 23 i była w stanie ciężarnym. Żołnierze obdarli jej trupa i strasznie się nad nim pastwili; ciało miało liczyć sto kilka pchnięć bagnetem. „*Dziennik Warszawski*“ No 21 z 1866 r. zapewnia, że znaleziono na poboju trzy kobiety zabite (*Bellina* mówi o Piotrowiczowej i o służącej Katarzynie, nie wymieniając jej nazwiska. W notatkach autora niniejszego jest mowa także o jakiejś pani Michalskiej). „Jedna z nich, opowiada „*Dziennik*“ znalazła się w gromadce, broniącej sztandaru i walczyła uparcie. Raniona, padła; a gdy żołnierz chciał ją zakłóć bagnetem, zawołała: „jestem kobietą“. Raniona, udając umierającą, powiedziała, że chce żołnierzowi oznajmić ostatnią swą wolę, a gdy się nachylił dała doń ognia z rewolweru. Żołnierz upadł zabity, ale koledzy pomścili się za niego i zakłóli bagnetem nieszczęśliwą“.

²⁾ Jeden z naocznych świadków opowiada: „wojsko rosyjskie zabrawszy ubrania po zabitych odeszło, sprzedawszy je żydom w najbliższych miasteczkach lub w Warszawie. Piszący te słowa był na drugi dzień na poboju i osobiście się o tem wszystkiem przekonał“.

³⁾ Raport Oposzińskiego. *Gesket-Puzyrewskij*, 238 mówi, że wzięto 90; „*Dziennik Warszawski*“, że stu!

⁴⁾ *Bellina* loc. cit.

zwichnęła, zwłaszcza, że w dwa dni potem, bo 26 lutego, drugi dowódzca, Oksiński, poniósł porażkę pod Kuźnicą Grabowską i zmuszony został do szybkiego wycofania się z województwa Kaliskiego w kierunku południowym. Józef Oksiński (pisał się Oxiński) syn drobnego urzędnika w Płocku, wychowaniec szkoły podchorążych w Genui i Cuneo, od grudnia 1862 r. był organizatorem województwa kaliskiego¹⁾ i po wybuchu powstania począł formować oddział w lasach złoczewskich w Sieradzkim. Sam mianował się „dowódcą oddziału zbrojnego narodowego I-go w woj. Kaliskiem“ i taki napis nosiła jego pieczęć. Był to młody człowiek, silny brunet, ale chmurny, ponury i opryskliwy. W działaniach swoich nie okazał dobrej głowy; przez żołnierzy nie był lubiany dla swego dość dziwaczego charakteru. Gdy do niego przychodzono z czemkolwiek, zawsze odwracał się tyłem do mówiącego i tak słuchał²⁾. Oddział jego liczył ogółem wraz z oficerami 268 ludzi, z których było 52 jeźdźców (dwa plutony), 92 strzelców i 114 kosynierów³⁾. Wieści o formowaniu się silnego oddziału powstańczego w lasach złoczewskich, doszły oczywiście do uszu dowódców rosyjskich; zamierzano uczynić wspólną wyprawę z Wielunia i Sieradza. Wyprawa ta jednak dość leniwie się zbierała, a tymczasem Oksiński ni stąd ni zowąd zerwał się i w prostej dyrektywie ruszył na Kalisz, dotarł do Opatówka, niegdyś własności księcia Zajączka i zatrzymał się tutaj w odległości dziewięciu niespełna kilometrów od Kalisza. Jakie powody kierowały dowódcą polskim w tem posunięciu się ku Kaliszowi, nie wiemy. Może nosił się z myślą zdobycia tego miasta, bardzo ważnego jako punkt strategiczny, ze względu na bliską granicę pruską, skąd można było czerpać zasoby w ludziach i pieniądzach

¹⁾ Z notatki własnoręcznej Oksińskiego.

²⁾ *Z. L. Sulima*, *Wspomnienia* ulana I, 82.

³⁾ Relacya rękopiśmienna Oksińskiego w naszych zbiorach. *Gesket-Puzyrewskij*, 238 na podstawie jakoby zeznań jeńców, utrzymuje, że Oksiński liczył około 600 ludzi, w tem 200 koni jazdy, 100 strzelców, a reszta kosynierów. Podanie to, jest najzupełniej fałszywe.

i ułatwiać przemarsz zbrojnych oddziałów z Księstwa. Zdobyć wszelako Kalisza, było orzechem trudnym do zgryzienia dla ruchawki niewyćwiczonej i źle uzbrojonej. W mieście tem bowiem stało garnizonem pięć kompanii pułku Szliselburskiego piechoty (dwie kompanie liniowe i trzy strzeleckie), oraz setka kozaków z odpowiednią artylerią¹⁾; siły oczywiście o wiele przewyższające pod względem liczby i uzbrojenia, zbieraninę Oksińskiego. Naczelnikiem wojennym kaliskim i zarazem dowódcą wojskowym był generał porucznik Brunner, typ bardzo pospolitego w tej dobie karyerowicza i rabusia niemieckiego. Trzymał on wszystkie swoje siły w okolicach Kalisza, „dla osobistego bezpieczeństwa“²⁾ i jeżeli zarządził jaką wyprawę na powstańców, to polecał jej surowo, ażeby tegoż samego dnia powracała do Kalisza, albo najpóźniej nazajutrz³⁾. Pod tym więc

¹⁾ Loc. cit. 378 i nast. Ile dział stało w Kaliszu z wykazu, pomieszczonego w dziele *Gesket-Puzyrewskiego* dowiedzieć się nie można. Sądząc po tym wykazie, dział w Kaliszu wcale nie było, tymczasem z raportów generała Brunnera, drukowanych w „Żurnale wojennych dziełstw” i w ówczesnych dziennikach, okazuje się, że na wyprawy kilkakrotnie wyruszał z armatami. Tak np. w raporcie z d. 24 stycznia (5 lutego) czytamy: „Generał Brunner z pięciu kompaniami, setką kozaków i 2 działami d. 19/31 stycznia wyruszył z Kalisza w kierunku Sieradza” i t. d., co dowodzi, że jakaś ilość dział stała w Kaliszu.

²⁾ *N. Berg*, Zapiski III, 115.

³⁾ Jako charakterystyka jego tchórzostwa, ks. *Sayn-Wittgenstein* (*Souvenir et correspondance* II, 75), opowiada pod d. 2 maja zdarzenie następujące: „wczoraj wskutek przesadzonego raportu patrolu, który spotkał niedaleko stąd (od Kalisza) oddziałek powstańczy, generał Brunner narobił tyle wrzawy, że wszystkie kobiety w Kaliszu mogły poronić; strzały armatnie w samym mieście, bębny, trąbki, wojsko biegnące krokiem gimnastycznym, drzwi zamykające się z trzaskiem, kobiety, dzieci uciekające z płaczem przez ulice i kryjące się po domach, słowem, cała ta piękna scena przedstawiona była napróżno“. Tenże Wittgenstein twierdzi (loc. cit. II, 78), że Brunner krępował go w operacjach wojennych. „Generał (Brunner) ze swymi rozkazami niewczesnymi, poleceniami często niemożliwymi do wykonania, niespokojną i dręczącą nerwowością, z jaką kontrolował i starał się kierować, często w odległości 100 wiorst, każdy

względem przeciwnik Oksińskiego nie był wcale groźny. To też pojawienie się prawie u rogatek Kalisza oddziału powstańczego, o którego sile, jak zwykle bywa w takich razach, przesadzone obiegały wieści, wywołało w mieście wielki popłoch. Brunner dla dowiedzenia się, jaka w rzeczy samej liczba powstańców może się znajdować w Opatówku, wysłał tam d. 25 lutego podjazd złożony z 30 objeszczyków, którzy przyjęci rześmym ogniem, w popłochu się cofnęli, straciwszy jednego poległego i 4 rannych¹⁾. To oczywiście zwiększyło trwogę w Kaliszu i generał Brunner dla pozbycia się tak nieprzyjemnego sąsiedztwa, zarządził wielką wyprawę. Z Kalisza ma niezwłocznie wyruszyć podpułkownik Szpeyer na czele dwóch kompanii piechoty i 50 kozaków; dla zajęcia tyłu powstańcom wysłano 39 objeszczyków z rozkazem dotarcia bokami do Błaszek; naczelnikom oddziałów z Sieradza i Wielunia zakomunikowano rozkaz maszerowania w kierunku lasów Brzezińskich i porozumienia się co do wspólnego działania ze Szpeyerem²⁾.

Nim jednak te wszystkie rozkazy i zamiary mogły wejść w wykonanie, Oksiński, zabrawszy wszelkie, jakie znaleźć mógł w Opatówku, pieniądze skarbowe, i wzmocniony ochotnikami, nie czekał aż nań spadnie ze wszech stron nieprzyjacieli, tylko rzucił się na południe, w kierunku znacznych stosunkowo lasów Brzezińskich. I źle zrobił, gdyż, wymykając się Szpeyerowi, który zresztą, zgodnie z rozkazami Brunnera, nie miał zamiaru oddalać się zbyt daleko od Kalisza (nie doszedł nawet do Błaszek i zawrócił zaraz), wpadał na oddziały Sieradzki i Wieluński.

mój ruch, czynił wszelką operacją choć trochę logiczną i konsekwentną wprost niemożliwą“. Wittgenstein utrzymuje, że rozrost powstania w Kaliskiem na wiosnę, wyłącznie Brunnerowi zawdzięczać należy. To też w maju Wittgenstein pojechał do Warszawy z całą górami oskarżeń, i zapewne bardzo wiele przyczynił się do usunięcia Brunnera już w tym miesiącu.

¹⁾ „Wiadomości z pola bitwy“ No 4. *Gesket-Puzyrewskij*, 239, mówią o 4 tylko rannych.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 239.

Należało raczej ruchem skrzydłowym obejść Kalisz i rzucić się wylotem na północ; zdaje się jednak, że Oksiński nie wiedział wcale o grożącym mu od południa niebezpieczeństwie¹⁾. Jakoż, d. 26 lutego w miejscowości zwanej Kuźnica Grabowska, natknął się najprzód na oddział sieradzki, pod wodzą majora Bogdanowicza, złożony z 2½ kompanii piechoty i 50 kozaków. Powstańcy zaatakowani zostali w marszu; tabor ich znajdował się na drodze, podczas gdy cały oddział zajmował wzgórze, oddzielone od taboru strumieniem. Tabor ten, złożony z 3-ch wozów, opadnięty przez kozaków, został zabrany, poczem rozpoczęła się uparta, blisko godzinę trwająca strzelanina; dzięki jednak temu, że Bogdanowicz, niewiedomo dlaczego starał się wszelkimi siłami zagrozić drogę Oksińskiemu do Kalisza, o którym ten wcale nie myślał i pragnął jak najdalej od niego odskoczyć, droga na południe została wolna. Dowódzca polski skorzystał z tego, rzucił się szybko do lasu, w kierunku wsi Grzyby, ale niestety! natknął się tu na oddział wieluński pod wodzą podpułkownika Ruksztetela. Powstańcy byli nadzwyczajnie znużeni i upadli na duchu; mimo to przez cztery godziny stawiali bohaterski opór²⁾; atak jednak jazdy powstańczej, wymierzony dla złamania zabie-

¹⁾ Oksiński w swej relacji rękopiśmiennej opowiada, że organizator wojskowy kaliski, Rudzki, polecił mu przysyłać sobie codziennie raporta o stanie i poruszeniach oddziału; że, jakkolwiek Oksiński zdumiony był tym rozkazem, jednak przez subordynację żołnierską czynił mu zadość. Otóż, utrzymuje on, że w następstwie tych raportów, miał w ciągu tygodnia cztery spotkania z nieprzyjacielem, i widzi w tem zdradę. Doniósł o tem Rudzkiemu i zalecał mu baczność na swe otoczenie. Czy tak było w istocie, trudno dobiec; to pewna, że w rzeczonem otoczeniu Rudzkiego, zdrajca w rzeczy samej się znajdował, jak to niżej opowiemy. Być więc może, iż owe raporty Oksińskiego, zdrajca ów komunikował Rosyanom.

²⁾ Oksiński loc. cit. opowiada, że walka trwała od 6-tej godziny rano do 6-tej wieczorem. Podania tego jednak dosłownie brać nie można. Strzelanina z Bogdanowiczem rozpoczęła się w rzeczy samej o 6-tej rano, ale wkrótce ustała i długa nastąpiła przerwa, nim Oksiński natknął się na Ruksztetela.

gającego drogę nieprzyjaciela, nie powiódł się. Jazda ta, zresztą bardzo słaba liczebnie, ataku nie wykonała i haniebnie pierzchnęła¹⁾. Oksiński wśród tego wszystkiego, korzystając z zapadającej nocy zdołał się ze znacznymi stratami, wycofać wylotem na południe²⁾. Forsownym marszem odsaczył się od nieprzyjaciela i zagrzebał się w lasach Sokolnickich, w pobliżu Wielunia, pod Wsią Świątkowicami. Tutaj począł przywracać nieco porządku w swym oddziale i pomnażać swe siły³⁾. Ale w Wieluniu już d.

¹⁾ Relacja Oksińskiego.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 240. Twierdzą oni, że powstańcy w tym boju ponieśli ogromne straty: że w lesie narachowano 30 trupów; że zabrano im cały tabor z zapasami żywności i umundurowania. Wszystko to nie jest prawdą. Według kilkakrotnie cytowanej relacji samego Oksińskiego, rzeczy się inaczej miały. Pisz on bowiem: „rezultaty walki nie były bardzo zaszczytne dla armii zwycięskiej. Prócz bowiem kilku spalonych w chacie kosynierów, nie chcących się poddać i kilku zabitych od strzałów, wzięli zdobywcy trzy wozy „pozostawione przeze mnie w bagnistej gęstwinie“. *Giller*, *Historia* II, 236 opowiada, że po starciu tem „Moskale rannym głowy odcinali, czterech jeńców spalili, a Tadeusza Pikulskiego, rannego wystrzałem na pikiecie, przywiązawszy za nogę do końskiego ogona, tak długo po polach i karczach włóczyli, aż wyzionął męczeńskiego ducha“. W materyałach, jakie posiadamy, wszystkie te podania, prócz spalonych, nie znajdują potwierdzenia. O morderstwie Pikulskiego, mówiły także współczesne dzienniki (patrz *Kolumna*, *Pamiętka* II, 211).

³⁾ *Gesket-Puzyrewskij* powiada, że połączyło się z nim 400 ludzi „z bandy Złoczewskiej“. Należy tu objaśnić, że oddział złoczewski sformował w połowie lutego niejaki Makary Drohomirecki, kniaź ruski, uczeń szkoły agronomicznej w Marymoncie. *Gesket-Puzyrewskij*, 234 mylnie zowią go „Drahomirskim“. Przeszedł on z Ks. Poznańskiego na czele trzydziestu kilku ludzi (*Kolumna* II, 60) i nie wiele więcej ich posiadał („Wiad. z pola bitwy“ No 4 mówi o 32; *Gesket-Puzyrewskij*, oceniają siły powstańców na 100 ludzi), gdy został napadnięty przez Rosyan, maszerujących w sile 3 kompanii piechoty i 40 kozaków („Wiad. z pola bitwy“ obliczają nieprzyjaciela na 400 piechoty i 150 kozaków). Okoliczni włościanie tak byli nieprzychylni powstaniu, że jak najdokładniejsze wiadomości o obozie Drohomireckiego przesłali do Sieradza. Dowódzca rosyjski Hanczukow napadł na obóz polski zniestanacki; Drohomirecki kazał się cofać, a sam

1 marca, a więc w dwa dni po starciu pod Kuźnicą Grabowską, dowiedziano się o obozowaniu Oksińskiego w tych stronach. Konsystujący tamże major Pisanko, wyruszył przed wieczorem¹⁾ w dwie kompanie pułku Biełozierskiego piechoty i 35 kozaków, dla odzyskania i zaatakowania powstańców. W pobliżu wsi Piechlice dowiedziano się od podjazdu żandarmskiego, wracającego do Wielunia, że obóz powstańczy znajduje się w lesie pod wsią Świątkowice. Ruszono tamże, droga była zła, noc ciemna szybko zapadła, tak że dość późno dobito się do tej wsi i rozłożono się biwakiem, czekając dnia w zamiarze zaatakowania Oksińskiego. Ale nazajutrz dowiedziano się od chłopów, że dowódca polski jeszcze wczoraj rano ściągnął podwody i wymaszerował z lasu, ale dokąd, powiedzieć nie umieli.

W rzeczy samej Oksiński, tym razem wiedząc o wymarszu nieprzyjaciela, opuścił pośpiesznie swe stanowisko w Świątkowicach i ruszył na spędzonych podwodach w kierunku północno-wschodnim, chcąc się wydobyć z niebezpiecznej pozycji między Sieradzem i Wieluniem. Był bardzo osłabiony; z dwóch plutonów jazdy miał zaledwie 7 jeźdźców i o stawieniu oporu nie można było myśleć. Wartę przeszedł pod Strobinem, gdzie nocował, most spalił i pomaszerował dalej. Przy moście zostawił owych 7 jeźdźców z rozkazem niedopuszczenia jego naprawy przez chłopów, bardzo źle w tych stronach dla powstania usposobionych. To znacznie wstrzymało ruch Pisanki; nim przybył

na czele kilku walecznych towarzyszy bohatersko zasłaniał odwrót. Ciężko ranny padł obok kilku innych. Znaleziony w lesie przez gajowego w 40 godzin potem, zanieiony do domu, umarł. Utarczka ta odbyła się d. 12 lutego („Wiad. z pola bitwy“ utrzymują mylnie, że było to d. 13 lutego). Bądź co bądź podanie *Gesket-Puzyrowskiego* jakoby Oksiński w Świątkowicach połączył ze sobą 400 ludzi „band Złoczewskich“, jest najwyraźniej fałszywem. Skądby się tu wzięło 400 ludzi, skoro Drohomirecki miał ich 32?

¹⁾ „Porażenie szajki Oksińskiego pri derewnie Łenkie“ (Warszawski Dniownik“ No 282 z 1865/6 r. *Gesket-Puzyrowskiej*, 283 powiadają, że Pisanko wyruszył z Wielunia o godz. 4 ranu.

do Strobina, nim ugasił i naprawił most, noc zapadła¹⁾, którą przepędzono w tejże wsi. W czasie noclegu dowiedziano się, że powstańcy znajdują się w Grabnie i że zamierzają przed pościgiem rosyjskim schronić się w znacznych jeszcze podówczas lasach piotrkowskich. Wobec tego Pisanko, dotarłszy nazajutrz d. 3 marca do Grabna, widząc niemożność doścignięcia z całym swym oddziałem Oksińskiego, zdecydował się na krok bardzo śmiały, przyznać trzeba, ale też i bardzo ryzykowny. Ściągnawszy w Grabnie tyle, ile było można, podwód, wsadził na nie 85 najlepszych strzelców i z kozakami kłusem wyruszył za powstańcami i dopędził ich pod wsią Wygiełzowem²⁾. Na linii odrotu powstańców t. j. ku lasowi, leżała równina grzązka i bagnista, przez którą prowadziła wązka grobla, tworząc niebezpieczny dla rejterady przesmyk (defilé). Pisanko ze swymi 85 strzelcami śmiało zaatakował powstańców od czoła, a kozakom kazał obieć z flanków i odciąć Polaków od grobli. Położenie było bardzo niebezpieczne. Wówczas Oksiński owym pozostałym z całej jazdy siedmiu ułanom, rozkazał uderzyć na kozaków, których miało być 35 i spędzić ich³⁾. Dokonali tego po bohatersku, kozaków odegnali i wolny odwrót oddziałowi zapewnili. Oksiński, ścigany uparcie, z wielkimi stratami⁴⁾, napadnięty jeszcze raz w Brodnie, wśród ciągłych kontramarszów, wymknął

¹⁾ W relacji „Porażenie szajki Oksińskiego“, czytamy: „że chłopci w Strobiniu strasznie bali się powstańców i nie chcieli pomagać wojsku przy gaszeniu mostu. Ale jeden chłop stary rzekł na ucho do dowódcy (Pisanki), że chętnie ugasa, ale niech ich do tego bity kozackie zmuszą. Tak też uczyniono“.

²⁾ Relacje rosyjskie nazywają tę utarczkę „pod wsią Łęką“; Oksiński w swem rękopiśmiennem opowiadaniu „pod Wygiełzowem“. Przyjęliśmy jego nazwę, ponieważ w rzeczy samej potyczka nastąpiła na polach do tej ostatniej wsi należących.

³⁾ W relacji „Porażenie szajki“, skreślonej, jak się zdaje, przez samego Pisankę, powiedziano, że 50 jeźdźców polskich uderzyło na kozaków. Tak samo twierdzą *Gesket-Puzyrowskiej*, 284, co jest fałszem.

⁴⁾ Autor „Porażenia szajki“ opowiada, że na grobli kozak Dawidow zarąbał chorążego powstańców „tegoż mężczyznę“ i zabrał

się na południe ze znacznie uszczuplonymi siłami i zagrzebał w lasach Złotego Potoku, wysuwając się tym sposobem zupełnie z Kaliskiego i czyniąc przez to plan Rudzkiego zgola niewykonalnym.

Plan ten zresztą stanowczo się rozchwiał musiał, bo mniej więcej w tym czasie, gdy Dworzaczek kładł hekatombę ze swych żołnierzy pod Dobrą, gdy Oksiński na pół rozbity, ze znacznie uszczuplonymi siłami, ukrył się w wąwozach i lasach Złotego Potoku, najważniejsza partya powstańcza w Kaliskiem i najlepszy dowódzca w tych stronach, Mielęcki, także zejść musiał z widowni krwawych scen tej wojny dziwnej i okropnej.

Zostawiliśmy go, gdy pod Nową wsią pozbył się Mierosławskiego, niewątpliwie mocno zadowolony z tego, że go opuścił chwilowy dyktator, przeciw któremu snuł nieustanne intrygi i wyraźną okazywał mu niechęć, podobnie jak Jeziorański Langiewiczowi. Ta była tylko różnica, że tym razem racya i słuszość była po stronie Mielęckiego. Okazał on zresztą wiele energii i wytrwałości. Przyparty, dzięki lekkomyślnemu kierownictwu Mierosławskiego, do granicy pruskiej, nie przeszedł przez nią, ale szybkim zwrotem na wschód ocalił oddział i zagrzebał się w lasach ossowskich, w okolicach Lubrańca, co w części zawdzięczał może temu, że Schildner Schuldner, syt sławy z pokonania Mierosławskiego, nie myślał wcale ścigać powstańców. Siły oddziału Mielęckiego były stosunkowo dość znaczne; obliczyć je można w przybliżeniu na 600 ludzi, choć pogłoski, dochodzące do uszów rosyjskich, cyfrę tę podnosiły do 2000¹⁾. W lasach Ossowa, nie zaczepiany wcale, spokojnie się organizował. Do miejscowych garnizonów rosyjskich dość późno doszły wiadomości o Mielęckim, i to jeszcze za pośrednictwem władz pruskich, które prócz tego

sztandar z wyobrażeniem z jednej strony Matki Boskiej Częstochowskiej, z drugiej z napisem czarnymi literami: „za naszą i waszą wolność“.

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, 252.

donosiły, że silny oddział powstańczy, w liczbie 600 ludzi, przebywa w lasach Grodzieckich, pod wodzą jakoby hr. Ponińskiego, któremu się ani śniło nawet o dowodzeniu powstańcami. Bądź co bądź, wskutek tych doniesień, postanowiono zrobić wielką wyprawę tak na Ponińskiego jak i Mielęckiego, a mianowicie: z Konina d. 27 lutego wyruszył major Moskwin mając pod sobą dwie kompanie pułku Ołonieckiego piechoty, szwadron huzarów i 20 kozaków, z poleceniem dotarcia do lasów ossowskich i pobicia kryjącego się tamże Mielęckiego. Z Łęczycy w d. 28 lutego wystąpił major Dymman z dwoma strzeleckimi kompaniami pułku Ładoskiego piechoty i 10 kozakami, także w kierunku lasów ossowskich. Oba te oddziały miały z dwóch stron zaatakować Mielęckiego. Przeciw mniemanej partyi hr. Ponińskiego wysłano z Kalisza podpułkownika Oranowskiego z 3 kompaniami piechoty i 200 końmi jazdy¹⁾.

Kolumny Moskwin i Dymmana, przeznaczone do rozbicia Mielęckiego, już dlatego nie mogły dokonać swego zadania, że, mając jednakową przestrzeń do przebieżenia (z Konina do Ossowa wiorst 33; z Łęczycy na Kłodawę 37), wyruszyły nie jednocześnie, ale z różnicą blisko 24 godzin. To też Moskwin, który wcześniej wystąpił, doszedłszy do Kłodawy, dowiedział się tutaj, że powstańcy zabrali kasę, schwycili burmistrza tego miasteczka i zawieźli do lasów ossowskich, gdzie obozują w ogromnej sile. To tak przeraziło Moskwiną, że zatrzymał się w Kole, przenocował tutaj i nazajutrz dopiero w południe powlókł się dalej i znowu przystanął na noc we wsi Wrząca Wielka, widocznie nie mając zamiaru spotykania się z powstańcami. Druga kolumna rosyjska Dymmana, tegoż samego dnia 28 lutego, w którym wystąpiła z Łęczycy, dotarła do lasów ossowskich, ale tu oprócz trupa powieszzonego burmistrza Kłodawskiego, powstańców nie zastała i zanocowała w odległości 6 wiorst od Moskwiną. Nazajutrz obaj ci dowódcy

¹⁾ Loc. cit.

porozumieli się, i dowiedziawszy się, że Mielecki pomaszerował w kierunku zachodnim, do wsi Gosławice, postanowili za nim wyruszyć. Jakoż, Mielecki w rzeczy samej, dość wcześnie uwiadomiony o gotującej się nań wyprawie, zwinął obóz i ruszył ku granicy pruskiej, skąd, jak się zdaje, miał wiadomości, że mu znaczne nadciągają posiłki. Wieczorem tegoż dnia zatrzymał się w nader mocnej pozycji pod klasztorem Bieniszewskim, mając czoło i skrzydła zasłonięte lasem, a przytem sam klasztor, otoczony murem, dawał dobry punkt obrony. Dymman, idąc śladami oddziału polskiego, dotarł do Gosławic, zabrał przygotowany tu dla powstańców obiad (na 600 ludzi) i ruszył ku Bieniszewu, ale, powitany strzałami z lasu, po krótkim namyśle, zawrócił i rozłożył się obozem na wspólną z Moskwinem w Gosławicach. Tymczasem Mieleckiemu w istocie nadciągnęły z księstwa Poznańskiego posiłki.

Tam, w Księstwie, jak wiemy, zawiązał się komitet pod prezydencją zacnego hr. Tytusa Działyńskiego, w celu niesienia pomocy powstaniu w Królestwie. Nieszczęśliwa trzydniowa kampania Mierosławskiego, bardzo dotkliwie odbiła się na sprawach miejscowych. Władze pruskie zdwoiły baczność, przeszkadzały wszelkimi sposobami i o wszystkim donosiły pogranicznym komendantom rosyjskim. Z drugiej strony młodzież Księstwa, nadsluchując odgłosów krwawej walki za miedzą graniczną, niecierpliwiła się nadzwyczajnie i oburzała na komitet, że pomocy powstaniu nie niesie. Tymczasem komitet robił, co mógł i słusznie uważał, że jeżeli ta pomoc ma być skuteczną, to należy by była odpowiednio przygotowana. Nie można przecież było w kilka dni zaimprowizować oddziału, ubrać go, wyćwiczyć, uzbroić i dać oficerów z jaką taką znajomością sztuki wojkowej¹⁾. Ale młodzież nie brała tego wszystkiego w obrachunek, i w poczuciu gorącej potrzeby niesienia doraźnej pomocy walczącym współrodakom, postanowiła nie czekać na to, co zrobi komitet, ale zebrała się nad granicą w liczbie

¹⁾ A. Guttry, Pamiętniki, II, 122.

około 400 ludzi, doskonale uzbrojona i wybrała sobie na wodza emigranta, majora Antoniego Garczyńskiego, który całe swe doświadczenie wojenne wyniósł z krótkiego powstania poznańskiego w r. 1848 i z pobytu w kozakach sultańskich w r. 1856. Przeszedłszy w nocy z d. 28 na 29 lutego szczęśliwie granicę, tegoż dnia, o godz. 11-tej wieczorem¹⁾, Garczyński połączył się z Mieleckim na dziedzińcu klasztoru Bieniszewskiego. Tym sposobem siły powstańców wzrosły do tysiąca ludzi. Mielecki przyjął Garczyńskiego bardzo radośnie; na powitanie dano kilkakrotnie wiwatowe salwy²⁾, ale zaraz tejże samej nocy, między dowódcami powstała sprzeczka. Garczyński, jak się zdaje, uważając się za starego żołnierza wobec improwizowanego szlacheckiego dowódcy, jakim był Mielecki, domagał się naczelnej komendy. Mielecki, którego już po raz drugi spotykało to, że mu chciano odebrać naczelnictwo oddziału przezeń stworzonego, na czele którego dotąd był się dobrze i rozbić się nie dał, oczywiście nie chciał się na to zgodzić³⁾. Przyszło do żywego starcia, którego oplakany i karygodny ze wszech miar rezultatem było to, że Garczyński w obliczu nieprzyjaciela dopuścił się haniebnego, rzec można, kroku. W godzinę po swem przy-

¹⁾ T. Żychliński, Wspomnienia z r. 1863, p. 121.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ A. Guttry, Pamiętniki II, 122 powiada, że Mielecki „pragnął walczyć tylko za niepodległość kraju, a nie dopominać się o starszeństwo w komendzie, chciał się natychmiast poddać pod rozkazy Garczyńskiego, który nie przyjął dowództwa nad połączonymi oddziałami i stanęło na tem, że Mielecki ma dowodzić połączonymi siłami i o świcie miano się udać w pochód, stosownie do rozkazu, jaki Mielecki przy wymarszu podkomendnym swoim wyda“. Zdaje się jednak, że nie tak było. Że między dowódcami zaszła sprzeczka, dowodzi relacya niejakiego Jana Żuromskiego, pomieszczona w Żychlińskiego Wspomnieniach (121), który wyraźnie powiada, że między Mieleckim i Garczyńskim zaszła sprzeczka „która spowodowała oddalenie się Garczyńskiego ku granicy Księstwa“. Sprzeczka ta, przypuszczać należy, o nic innego nie powstała, jak o komendę naczelną.

byciu ¹⁾, zwinął cichaczem swój obóz i nie nikomu nie mówiąc, opuścił Mielęckiego, kierując swój marsz z powrotem ku granicy Księstwa. Mielęcki, który podobno nie o tem wszystkim nie wiedział, co jest jednak mało prawdopodobnem, nazajutrz o świcie postanowił dopędzić Garczyńskiego i puścił się jego śladem ku granicy pruskiej ²⁾.

Tym to dziwnym zaiste okolicznościom, tym sporom o marne dowództwo, gdy nieprzyjaciel liczny, dobrze uzbrojony i wyćwiczony siedział nieomal na karku, zawdzięczać należy, że gdy nazajutrz rankiem Dymman i Moskwin posunęli się z Gosławic pod klasztor Bieniszewski, powstańców tu już nie zastali i na razie niepewne tylko otrzymali wiadomości o kierunku marszu polskiego. Chcąc wynaleźć ślady pochodu polskiego, rozdzielili się znowu. Moskwin zostawiwszy Dymmanowi swe pół szwadronu huzarów, z resztą kolumny puścił się do wsi Kozarzewa; Dymman ruszył do Kazimierza. Moskwin w Kozarzewie powziął pierwszą wiadomość, że powstańcy znajdują się we wsi Dobrosołowie, już niedaleko granicy pruskiej. Wódz rosyjski spędził na gwałt podwody, wsadził na nie swą piechotę i pędem ruszył naprzód. Dojeżdżając do Dobrosołowa ujrzał w rzeczy samej powstańców, ustawionych w szyku bojowym i widocznie zamierzających stawić czoło.

Był to oddział Mielęckiego, zaskoczony w pochodzie przez nieprzyjaciela. Z Garczyńskim nie zdołał on się jeszcze połączyć. Poznańczycy stali nieco dalej, we wsi Mieczownicy, przedzielonej od Dobrosołowa jeziorkiem i błotnistymi łąkami, na których liczne, szerokie i przepełnione wodą znajdowały się rowy. Mielęcki obsadził wieś, nie zdążył jednak owołać zabudowaniami dworskimi, które oddalone od wsi, stanowiły łącznik z oddziałem Garczyń-

¹⁾ A. Guttry loc. cit. mówi: „o północy“.

²⁾ Według cytowanej relacji Żuromskiego, Mielęckiemu dano znać, że Garczyński został przez nieprzyjaciela zaatakowany. Pośpieszył więc za nim, by mu nieść pomoc.

skiego w Mieczownicy ¹⁾. Moskwin skorzystał z tego błędu Mielęckiego, dwór zajął, a przeciw wsi wysłał gęsty łańcuch tyralierów. Rozpoczął się żywy, choć dla obu stron niezbyt szkodliwy ogień. Garczyński chcąc naprawić błąd Mielęckiego, rozsypał część swoich w tyraliery i nakazał im ruszyć przez błotnistą łąkę dla wyrzucenia nieprzyjaciela z zabudowań dworskich, będących niejako kluczem pozycji. Dla poparcia tego ataku wysłał swoją jazdę ku wsi, zajętej przez Mielęckiego, prawdopodobnie dla zagrożenia skrzydłu tyralierów nieprzyjacielskich. Zaczepne to działanie nie powiodło się niestety! Tyralierzy poznańscy dostawszy się na grząską łąkę, otwartą ze wszech stron i licznymi poprzerywaną rowami, mogli się tylko bardzo wolno posuwać. Narażeni wskutek tego na celne strzały ukrytego w zabudowaniach dworskich nieprzyjaciela, straciwszy wielu w zabitych i rannych, cofnąć się musieli pośpiesznie. Jazda znowu Garczyńskiego chcąc dostać się na pola Dobrosołowskie, musiała przechodzić przez wąską groblę, na której rażona strzałami od czoła i z lewego boku, zawróciła i poszła w rozsypkę ²⁾. Wobec tego, gdy jeszcze nieprzyjaciel groził oskrzydleniem i odcięciem Mielęckiego od Garczyńskiego, nic nie pozostawało jak cofać się dalej. Jakoż rozpoczęto odwrót, fatalny w swych skutkach, gdyż wprost prowadzący do granicy pruskiej. Stało się to tem niebezpieczniejszem, że właśnie nadeszła kolumna Dymmana i połączyła się z Moskwinem. Dymman, jeżeli można wierzyć relacyom rosyjskim ³⁾, zostawił kolumnę Moskwiną, a sam już tylko ścigał ustępujących powstańców. Ci ostatni dla powstrzymania zbyt natarczywej

¹⁾ A. Guttry II, 123. Moskwin w swym raporcie nic nie mówi o szczegółach walki, jak również Gesket-Puzyrewskij. Dodajmy, że plan operacji Mielęckiego, pomieszczony w dziele pp. Gesketa-Puzyrewskiego (No 38) jest błędny o tyle, że zanadto wielka odległość dzieli Dobrosołowo od Mieczownicy. Wsie te nieomal przytykają do siebie.

²⁾ A. Guttry II, 124.

³⁾ Gesket-Puzyrewskij, 254.

pogoni jazdy nieprzyjacielskiej, obsadzili 30 strzelcami, samą wyborową młodzieżą, pełną odwagi i poświęcenia, cmentarz mieczowniczy, leżący przy drodze prowadzącej do granicy. Dowodził nimi pórucznik Mateczyński. Młodzież ta, jak opowiada pamiętnikarz ¹⁾, „wiedziała, że dla uratowania oddziału przyjdzie jej życiem nadłożyć na tym straconym posterunku, a jednak nikt nie myślał o ucieczce lub poddaniu się Moskałom“. Huzarzy rosyjscy powitani rżęsiwym ogniem, spieszyli się i atakowali cmentarz, ale napróżno. Nadbiegła piechota nieprzyjacielska i po bohaterskiej obronie ostatni ten schron zdobyła. Ogromna większość obrońców poległa; kilku pozostałych przy życiu nieprzyjaciel, swoim zwyczajem, wymordował haniebnie, tak, że zaledwie jeden czy dwóch rannych, udając nieżywych, ocalało i w nocy doczołgało się do granicy ²⁾. Reszta oddziałów Mielęckiego i Garczyńskiego w rozsypce przeszła kordon, gdzie oczekujące wojsko pruskie chwyciło ich, odstawiało do Wrześni, a stąd do cytadeli poznańskiej; Mielęcki zdołał szczęśliwie ocaleć, Garczyński dostał się w ręce pruskie. Około 200 ranionych powstańców znalazło schronienie w Księstwie ³⁾. Nieprzyjaciel w tych starciach

¹⁾ A. Guttry II, 124.

²⁾ Z Księstwa między innymi polegli tutaj: Władysław Ciesielski (ranny i dobitý kolbami) Franciszek Dembiński, Józef Doniński (Pamiętka dla rodzin pol. II, 58, zwie go Domińskim) Antoni Izikiewicz, Edmund Jarocki, Antoni Kościelski, Władysław Koszczyński, Nepomucen Mateczyński, Antoni Pawłowski, Bolesław Pławiński, Józef Poniński, Kacper Szupe, Kazimierz i Władysław Trampczyński, Antoni Wolszleger (patrz: T. Żychliński Wspomnienia, z r. 1863 i Z. Kolumna, Pamiętka dla rodzin polskich). Według raportów rosyjskich powstańców miało poledeć 90.

³⁾ A. Guttry loc. cit. opowiada jeszcze epizod następujący: „już nad samą granicą oddział Moskwy, który od strony Słupcy nadbiegł, zastał jeszcze uchodzących na wozach kilkudziesięciu niedorostków. Była to młodzież z gimnazjum trzemeszeńskiego, która dowiedziawszy się o wyjściu Garczyńskiego na linię bojową, opuściła szkołę, aby się połączyć za granicą z jego oddziałem. Ale zamiast tego przyszła właśnie na katastrofę, kiedy obadwa oddziały rozbite uciekały do Księstwa. Bezbronni chłopcy powsiadali na wozy cią-

miał mieć zaledwie 12 rannych, ale ani jednego zabitego ¹⁾.

Tym więc sposobem plan Rudzkiego całkowicie się rozchwiał; w Kujawach w tej chwili nie było już prawie żadnego oddziału powstańczego. Sam Rudzki smutnie i tragicznie zakończył życie. Chcąc rozniecić na nowo powstanie, zwołał on zjazd obywateli, należących do organizacji powstańczej, do wsi Gruszczyc pod Błazzkami, należącej do ziemianina Neugebauera, na dzień 6 marca. Między zaproszonymi znajdował się niejaki Bogatko, właściciel wsi Morawki, także pod Błazzkami leżącej, niegdyś emigrant, zesłany potem na Kaukaz, powrócony wreszcie do kraju, figura licha, mająca liczne na swym honorze plamy. Jako dawny wojskowy, był on rewolucyjnym organizatorem powiatowym i wszystkich to uwagę zwracało i podejrzenie budziło, że rozjeżdżał się ciągle po powiecie czwórka koni srokatych, a mimo to nigdy nie był napastowany przez władze rosyjskie. Dowódca oddziału Oksiński, jakeśmy wspomnieli, ostrzegał Rudzkiego, że ktoś z jego otoczenia musi donosić nieprzyjacielowi o wszystkim, co się dzieje w oddziale; Rudzki czy nie zważał na to, czy też na nikogo nie miał podejrzenia, dość, że doniesienie to zostawił bez rozpatrzenia. Otóż teraz, gdy zjazd był zwołany do Gruszczyc, Bogatko, jak się zdaje, doniósł o tem do Kalisza do generała Brunnera, który niezwłocznie wysłał podpułkownika żandarmskiego Bergmana na czele 50 kozaków, ażeby wszystkich zebranych w Gruszczycach aresztował. Bergman dzięki konfiguracji gruntu, zdołał niepostrzeżenie dostać się do wsi, dwór otoczył kozakami i wszystkich zgromadzonych zaaresztował i powiązał. Rudzki, zobaczywszy kozaków na dziedzińcu, wyszedł z domu i wśród jeżdż-

gnące za oddziałem ku granicy, chcąc prędzej dostać się na bezpieczne miejsce. Moskał, napadłszy ich, rąbali nielitościwie, a nawet, wpadłszy na terytorium pruskie, nie przepuścili tym, którzy już za granicę schronić się zdołali. Ciemność wieczorna uratowała im życie, chociaż wielu z nich odniosło ciężkie rany“.

¹⁾ Gesket-Puzyreński, 317.

ców nieprzyjacielskich wystrzałem z rewolweru, wymierzonym w skroń, odebrał sobie życie. Samobójstwa tego dokonał dlatego prawdopodobnie na dziedzińcu, by strzał wewnątrz domu rozlegający się, nie spowodował napaści kozaków na dwór, a stąd zwykłych morderstw i rabunku¹⁾. Śmierć tego czynnego i energicznego człowieka, przyniosła wielką szkodę powstaniu w Kaliskiem, a na okolicę całą wywarła przynębiające wrażenie, gdyż Rudzki, niezwykle piękny mężczyzna, był ulubieńcem kobiet i wywierał nieprzeparty urok na wszystkich²⁾.

Taki w ogólnych zarysach był w ciągu lutego i pierwszej połowy marca, stan powstania w Kaliskiem. Jak wszędzie, tak i tutaj klęska następowała po klęsce, a krew, obficie przelewana, świadczyła wymownie o lekkomyślności tych, którzy ten ruch wywołali. Nie lepiej się działo w Podlaskiem, gdzie zrazu, jakśmy to już opowiedzieli, powstanie przybrało szerokie rozmiary, ale po dwóch krwawych

¹⁾ Relacja nasza oparta jest na opowiadaniach świadków naocznych. To, co mówi Z. Kolumna, Pamiątka, dodatek 54, jakoby Rudzki chciał się bronić do upadłego i tylko uległ prośbom gospodyni, by nie narażał dworu na zgubę oczywistą, jest błędem. Mylą się także pp. *Gesket-Puzyrewskij*, 256, utrzymując, że Rudzki miał oddział, i że oddział ten, dowiedziawszy się o śmierci dowódcy, rozdzielił się na drobne części i wymknął się pościgowi kolumny wysłanych za nim z Kalisza i Sieradza. Rudzki żadnego oddziału własnego nie miał i cała historia opowiedziana przez rosyjskich dziejopisów jest nieprawdą. Dodać tu wypada, że Bogatko po tej sprawie schronił się do Kalisza i udając aresztowanego, siedział na odwachu. potem wyjechał do Rosji, gdzie jakąś posadę na kolei dostał.

²⁾ Brunner, jak przystało na tchórza i rabusia, nie omieszczał uwięzionych szkalować. Twierdził głośno, że zgromadzenie gruszyckie było w tym celu zwołane, by nazajutrz na czele chłopów ruszyć do formującego się w sąsiednim lesie oddziału; że dowódcą tego oddziału miał być Neugebauer; że Rudzki zabił się w pokoju sypialnym pani Neugebauer, dając przez to poznać, że łączyły go z nią bardzo poufale stosunki i t. p. (czytaj: *ks. Sayn-Wittgenstein Souvenirs et correspondance II*, 27). Jak wiemy wszystko to są ohydne kłamstwa, godne niemieckiego rabusia, jakim był Brunner, który do wszystkich swych niecznych czynów, dodaje jeszcze zniewagę najuczciwszej kobiety.

porażkach pod Węgrowem i Siemiatyczami, na chwilę przycichło. Zameczek, jak wiemy, z pod Siemiatycz pomaszerował do Królestwa nad Narwę, skąd, wyciągnięty przez Padlewskiego¹⁾, uległ wraz z nim ostatecznej katastrofie w Gorzeniu. Rogiński, niewątpliwie najenergiczniejszy z dowódców podlaskich, pełen zapału i namiętnych uniesień, ale nie bardzo umiejący się liczyć z okolicznościami, rozstawszy się po przegranej Siemiatyckiej z Zameczkiem w karczmie pod Wysokiem Litewskim, przenocował tam wraz z Lewandowskim, pełen najczarniejszych myśli. Oddział miał znacznie uszczuplony²⁾, znużony niesłuchaniem, upadły na duchu, a co najważniejsza pozbawiony ładunków. Po obrachunku pokazało się, że strzelcy mają zaledwie po dwa naboje. Postanowił więc wrócić na Podlasie, choć w głębi ducha marzył o rzuceniu się na Litwę, do puszczy Białowiezkiej, gdzie śnił o podniesieniu powstania. Ale, ponieważ nie miał z czem wojować, więc myśl tę porzucił i przenocowawszy w owej karczmie, zwrócił się ku Wysokiemu Litewskiemu. Zbliżając się do tego miasteczka nad wieczorem, dowiedział się, że generał Nostitz, z którym bił się pod Niemirowem, zajmuje Wysockie i zagraadza

¹⁾ Giller, *Historia I*, 178 powiada, nie wiemy na jakiej podstawie, że Rząd narodowy, polecił Zameczkowi przeprowadzić swój oddział w Płockie i oddać pod komendę Padlewskiego. Wiemy, że Zameczek nie chciał się wcale poddać pod komendę Padlewskiego, a trudno przypuszczać, by zaraz po potyczce Siemiatyckiej, Rząd tymczasowy mógł wydawać takie rozkazy, nie wiedząc co się dzieje na Podlasiu. Giller usiłuje wszędzie rząd powstańczy przedstawić jako istotną władzę, funkcjonującą regularnie, obejmującą raporta i wydającą na ich podstawie rozkazy. Po bitwie Siemiatyckiej nikt, a tem więcej Zameczek, nie myślał o pisaniu raportu. Pierwsze wiadomości o tem starciu przyszły do Warszawy w tydzień („Wiad. z pola bitwy“ pomieściły krótką wzmiankę dopiero d. 28 lutego), t. j. wtedy gdy Zameczek od kilku już dni odpoczywał w Łomżyńskiem.

²⁾ Giller, *Historia I*, 178 utrzymuje, że Lewandowski i Rogiński liczyli po porażce Siemiatyckiej 600 ludzi. Wobec relacji samego Rogińskiego i Lewandowskiego, jest to cyfra mocno przesadzona. Według naszych obliczeń mogli mieć najwięcej 200 do 250 ludzi.

mu drogę na Podlasie. Okoliczność ta ostatecznie zdecydowała go do skierowania się w puszcę Białowieżką¹⁾. Zeszedłszy z głównego gościńca, zatrzymał się w jakiejś wiosce o trzy wiorsty od Nostitza, oddzielony odeń tylko wielkimi błotami i laskiem brzoźowym, mimo to tak blisko, że wid-ty mogły ze sobą rozmawiać. Tutaj, oczekując lada chwila ataku rosyjskiego, zajął się przedewszystkiem robieniem ładunków. Tymczasem Nostitz, nie wiedząc nic o porażce Siemiatyckiej, sądził, że Rogiński wzmocniony tamtejszymi oddziałami, rozporządza znaczną siłą i dlatego nie śmiał go zaczepiać. Oba wojska więc stały tak naprzeciw siebie przez dobę prawie, przyczem zawiązały się pewne stosunki między Rogińskim i Nostitzem wskutek wzajemnej wymiany jeńców, jedyny bodaj wypadek w powstaniu 1863 r.²⁾.

¹⁾ Relacya W. Ratcza, Swiedenia o polskom miateże 1863 w Siwiero-Zapadnoj Rossii I, 194, jakoby Rogiński w swej wyprawie na Litwę działał w porozumieniu z Kalinowskim, naczelnikiem stronnictwa Czerwieńców litewskich, jest, jak większość relacji Ratcza, kłamliwa. Rogiński gdyby coś podobnego było, nie omieszczałby o tem w swych pamiętnikach wspomnieć. Kalinowskiego nie znał i wątpliwa rzecz, czy nawet o nim wtedy słyszał.

²⁾ A. Z pamiętników Romana, 84. Rogiński tak o tym osobliwszym fakcie opowiada: „Odbieram kartkę od p. Zienkiewiczowej, że były oficer armii rosyjskiej, niejaki Janiszewski, Tatar z pod Białej, który był u mnie w oddziale, a ranny pod Niemirowem, w powrocie do domu, wzięty został przez jen. Nostitza, jest u niego i jako oficer będzie zapewne rozstrzelany. Ja zaś miałem u siebie dwóch oficerów, wziętych pod Białką do niewoli. Na taką wiadomość powziąłem myśl, zaproponować jen. Nostitzowi zamianę... Sądżam więc na brykę jednego z tych oficerów, kosyniera na kozioł i posyłałem do generała z listem: „Jenerale! proponuję zamianę. Wypuść Janiszewskiego, odeślę ci drugiego oficera. Jeśli nie, to rozstrzelam!“ W parę godzin wraca oficer, przywozi list od Janiszewskiego, że jest wolny, że jedzie do domu i kartkę Nostitza w tych słowach: „Proszę dotrzymać słowa!“ Ma się rozumieć, że dotrzymałem. Sądżam drugiego oficera na brykę i odsyłam obu. Kosynier z bryką powrócił, odwiózłszy jeńców do obozu. Była to, jak powiadam, pierwsza moja listowna znajomość z jen. Nostitzem, która później dla mnie miała bardzo ważne następstwa“.

Bądź co bądź, Rogiński zdecydowany był przedrzeć się do puszczy Białowieżkiej, gdzie jego młodzieńcza wyobraźnia rysowała sobie niedostępne, niezbrodzone, mickiewiczowskie mateczniki, i gdzie zapewne sądził, że Bóg wie, jak długo będzie mógł nieprzyjacielowi się opierać. Zao-
patrzywszy się nakoniec w ładunki, nienagabywany przez Nostitza, wyruszył w kierunku puszczy. Zatrzymawszy się na noc we wsi p. Śnieżki, chciał oddać dowództwo Lewandowskiemu, jako naczelnikowi sił zbrojnych województwa podlaskiego, chcąc, jak sam powiada, „dać przykład posłuszeństwa“, ale większość oddziału sprzeciwiła się temu stanowczo; Lewandowski zaś oświadczył, że on dalej nie pójdzie, że musi wracać za Bug do Korony, bo tam jest naznaczony dowódcą. W oddziale wielu tego samego pragnęło i głośno poczęto się domagać powrotu do Królestwa. Wówczas Rogiński, lękając się mogącego stąd powstać nieporządku, oznajmił oddziałowi, że w istocie trzeba, aby wrócono do Korony, ale niemniej potrzebną jest dywersja na Litwie, kto więc chce, niech idzie za Lewandowskim, a kto chce, niech przy nim, Rogińskim, zostanie. Postawił tylko warunek, że takich jedynie zabierze, którzy przed żadnem nie cofną się niebezpieczeństwem. Wystąpiło 150 straceńców, w części Litwinów z pod Siemiatycz, pod wodzą Bronisława Ryłskiego i Sągina, rządcy dóbr z tamtych stron, w części tych, którzy służyli pod Rogińskim od pierwszej nocy powstania. Z tą garścią puścił się ku puszczy Białowieżkiej, mając ze sobą dwa wozy, jeden z amunicją, a drugi ze srebrami, zabraniami w Janowie Podlaskim. Lewandowski z resztą oddziału, wynoszącą około 80 głów, między nimi kilkunastu kawalerzystów, pociągnął za Bug¹⁾.

¹⁾ Opowiadanie to oparte jest na pamiętnikach Rogińskiego. Lewandowski w swych zeznaniach inaczej trochę rzecz tę maluje. Twierdzi on, że Rogiński poprostu zbuntował się przeciw jego władzy i bez pozwolenia swego bezpośredniego naczelnika ruszył do puszczy Białowieżkiej.

Tymczasem Nostitz, spostrzegłszy, że Rogiński mu się wymknął, ruszył za nim, nie wiedząc dobrze, gdzie partyzanta polskiego szukać. Trzeba nieszczerze, że ten ostatni, wchodząc do puszczy, wziął ze straży leśnej przewodnika, który go doprowadzić miał do Królowego Mostu, ale tu uciekł, natknął się na Nostitza i doniósł mu o rozdzieleniu się oddziałów, oraz, że ten, którym dowodzi jakiś „w czerwonej koszuli“ (strój Rogińskiego), obozuje w Królowym Moście. Nostitz, widocznie uważając za rzecz ważniejszą ściganie Rogińskiego, przepuszcza swobodnie Lewandowskiego, rusza za Rogińskim i dopada go dnia 11 lutego ¹⁾, Pod Królowym Mostem. W rzeczy samej Rogiński przepędził tu noc w pozycji niezbyt dobrze wybranej, na skraju puszczy, od której oddzielały go błota i kanał, oraz ów most, zwany Królowym. Zajął on się tu przede wszystkim organizacją swego małego oddziału, podzielił go na sekcje, wyznaczył podoficerów i oficerów. Młodzież, składająca tę garść strażników, niewątpliwie była dzielna i na wszystko gotowa, to też Rogiński tuszył sobie, że ma z niej wyborne kadry, które powoli uzupełni na Litwie i w Rusi. Wśród tych zajęć, przyjeżdża do obozu szlachcic z tamtych stron, Tołoczko nazwiskiem i donosi, że nieprzyjaciół następuje; jakoż w niespełną godzinę strzał na pikiecie daje znać, że Nostitz już jest na karku. Rogiński rozwinął swych strzelców w tyraliery, ale, widząc, że nieprzyjaciół o wiele silniejszy ²⁾, stara się go oskrzydlić i odciąć od lasu, rozpoczyna odwrót. Pod silnym ogniem piechoty rosyjskiej przechodzi most, traci niepotrzebnie kilkunastu ludzi, gdyż mógł to wcześniej zrobić i za bagnami i mostem stawić czoło przeciwnikowi i na skraju puszczy zatrzymuje się. W odwrocie tym porzucić musiał owe dwa wozy ze srebrem i amunicją, które kozactwo

¹⁾ Raport Nostitza.

²⁾ Nostitz miał, według Rogińskiego, dwa bataliony piechoty, dwa działa i odpowiednią ilość kozaków.

schwyciło, srebro rozdrapało, a amunicja wypadkiem zapalona wybuchła i kilkunastu zabiła i poraniła ¹⁾.

Nostitz tak maszerował, że zagroził powstańcom

¹⁾ Tak opowiada Rogiński w swych Pamiętnikach. Nostitz w urzędowym raporcie, wydrukowanym we wszystkich współczesnych pismach rosyjskich, przedstawia rzecz zupełnie inaczej. „Po ucieczce bandy (pisze on), płomień z ogniska, przy którym powstańcy jeść sobie gotowali, dostał się na najbliższy budynek, w którym stało 30 koni i 2 wozy z prochem i mundurami; znajdowało się tam także 15 buntowników. Nasze wojsko otoczywszy zabudowanie, wołało na nich, żeby się poddali, ale rokoszanie odpowiedzieli strzałami i ogień rozszerzał się coraz więcej. Nastąpił wybuch i broniący się zginęli, prócz 4 ludzi, których nasi żołnierze zdołali wy ratować“. Co jest osobiwsze i jak dalece wszystkie raporty urzędowe rosyjskie są podejrzanym, świadczy to, że Nostitz w pierwszej telegraficznej wiadomości o potyczce pod Królowym Mostem, donosił, że „od wybuchu beczki z prochem zginęło 25 buntowników“. (Oprócz tego miało polegć 32 powstańców, a do niewoli wzięto 8. Rosjanie mieli 12 kontuzjonowanych, między nimi podpułkownika Wimberga). Według tejże depechy zdobyto sztandar, cały obóz, 60 koni, mnóstwo mundurów, broni, prochu, ołowiu, miedzi (?) lekarstw i t. p. Rogiński o tem wszystkim nic nie wspomina, a Nostitz o srebrach Janowskich, które warte były podobno, według oszacowania Rogińskiego, kilka tysięcy, dyskretnie milczy. Giller, Historya I, 179, opowiada, że pułkownik Brinken zabrawszy rzeczy leśniczego, jako to: mundury, srebra i t. p. dla pokrycia rachunku kazał podpalić inwentarne zabudowania, dowodząc potem, że tam zamknęło się 50 powstańców (rzeczywiście było ich 3 i wszyscy zostali spaleni). Kilkunastu naszych z księdzem wzięto do niewoli. Dwóch śmiertelnie rannych odesłano do Białowieży, gdzie zmarli. Kilku, leśna straż, złożona z dymisjonowanych żołnierzy, zabiła. Trzech ciał potem znaleziono, jednego utopił strażnik białowiejski, ograbiwszy z zegarka i rzeczy; kości spalonych wały się po lesie. Nasi będąc rozsypani, w części ścigani przez strażników białowiejskich, w części jak np. Stasinkiewicz, adjutant Rogińskiego, ratowali się powrotem do Królestwa“. „Wiadomości z pola bitwy“ No 4, utrzymują, że Nostitz „garstkę przedzierających się do oddziału w Białowiejskiej puszczy młodzieńców bezbronnych i śpiących w szopie jednego leśniczego zapalił; wybiegających z pożaru napowrót w płomienie rzucać kazał i kilkadziesiąt ofiar tym sposobem żywem spalił“. Jest to kłamstwo najoczywistsze; gdyby tak było, Rogiński wspomniałby o tem w swych pamiętnikach.

drogę do Białowieży, gdzie zatrzymał się i zmęczonej swej kolumnie dał odpoczynek. Rogiński, widząc niemożność dostania się do ostępów puszczy, ruszył jej skrajem południowym i późnym wieczorem dotarł do miasteczka Szereszowa, leżącego już za puszcza, na wschód od niej¹⁾. Przybył tu nadzwyczaj znużony, głodny, obdarty, a co najważniejsza bez amunicji. Ale w Szereszowie patryotyczne drobne mieszczaństwo przyjęło powstańców polskich jak najlepiej. Nakarmiło ich do syta, zaopatrzyło w buty i bieliznę; od żydów Rogiński za gotówkę kupił dziewięć pudów prochu i odpowiednią ilość pistonów. Zajęto się co żywo robieniem ładunków. Wśród tego partyzant polski dowiaduje się, że w odległych o półtorej mili polskiej od Szereszowa, Prużanach, stoi komenda inwalidów z 250 bagnetów złożona; że zajmuje ona koszary murowane, znajdujące się w środku miasta i prawdopodobnie nie wie zupełnie o tem, że w pobliżu znajduje się oddział polski. Rogiński postanawia zniemacka napaść na Prużany, by, jak sam powiada, dać znać o sobie i „choć trochę zemścić się za Królowy Most²⁾”. W tym celu nakazuje mieszczaństwu szereszowskiemu, by mu dostawili podwód i o świcie dnia 13 lutego wjeżdża do pogrążonego w głębokim śnie i niczego nie spodziewającego się miasteczka. Przed koszarami stał żołnierz na warcie i Rogiński, który jechał na pierwszym wózku, lękając się, by warta nie dała sygnału, co żywo zeskoczył z wózka i sztyltem pchnął biednego inwalidę, który padł na miejscu nieżywy²⁾. Wówczas po-

¹⁾ W czasie tego odwrotu, jak zapewnia raport Nostitza, włóczenie i straż leśna przyprowadziła do niego 42 powstańców, w tej liczbie trzech adjutantów Rogińskiego (z początku Nostitz w swych raportach stale nazywa go Roczeńskim lub Roczańskim) i t. z. naczelnika sztabu buntowników, Goliana, b. oficera wojsk polskich i emigranta z 1831 r. Według jego zeznań wielu rokoszan w czasie ucieczki z pod Królowego Mostu, utopiło się w rzece Leśnej; noc przepędzili na błotach, gdzie wszyscy ranni umarli; cały oddział rozbiegł się, a sam Golian chciał dostać się za granicę⁴⁾.

²⁾ Rogiński, Pamiętniki (rękopism). Píše on: „i oto pretensja Moskali do mnie. Ależ i on (strażnik) miał broń i mógł mię bagne-

wstańcy wdarli się do koszar; był to duży budynek, podzielony korytarzem, po obu stronach którego znajdowały się izby, a w nich na pół senni inwalidzi. Kółka strzałów, wymierzonych do środka tych izb, sprawia, że inwalidzi się poddają, broń i amunicję wynoszą sami do wozów i stoją z pokorną miną bezbronni zupełnie¹⁾. Rogiński niezwłocznie udał się do kasy miejskiej, zabrał 120.000 rs. z których jak najskrupulatniej pokwitował kasyera, rozbił odwach więzienny, broń zagarnął a żołnierzy wypuścił, „bo (powiada) nie miałem z nimi co robić”. Wszystko to zbudziło nakoniec, pogrążone dotąd we śnie, miasteczko; robi się ruch, ale mieszkańcy dość obojętnie przyjmują powstańców i dwóch zaledwie młodych ludzi wstępuje w ich szeregi. Fakt ten powinien był przekonać Rogińskiego, że szalona jego wyprawa nie znajdzie na Litwie powodzenia i poparcia. Ale dla tego młodego entuzjasty i romantyka, oślepionego gorączką rewolucyjną, wszelkie tego rodzaju oznaki nie miały znaczenia. Odpocząwszy sobie nieco w Prużanach, postanowił rzucić się ku Kobryniowi, z zamiarem przedarcia się na Wołyń. W tym celu, ciągle na podwodach, przerzuca się w różne kierunki, aby rozgłosu o sobie narobić i zmylić pogoń²⁾.

tem przebić. Czyż ja winien, że byłem zręczniejszy, a może odważniejszy od niego?⁴⁾.

¹⁾ Rogiński, loc. cit. powiada, że było ich 250. „dwa razy tyle co nas”. W depeszy telegraficznej Nostitza jest powiedziane, że powstańców było 200, że inwalidzi bronili się rozpaczliwie, że trzech ich poległo a 9 było rannych; że żołnierz, stojący na warcie przed kasą, otrzymał 8 ran.

²⁾ Opowiada on przytem fakt, świadczy o młodzieńczem jego usposobieniu: „po drodze wstąpiliśmy do majątku Szemiota, majora z 30 roku, tegiego jeszcze, starego wojaka. U niego nocujemy. Tu dowiaduję się, że Nostitz idzie za mną, że był w Prużanach, i że z Kobrynia wyszło wojsko z drugiej strony. by mi zejść drogę. Przybywa Hofmaister z pod Prużan... przywozi pudełko cygar. a że ja nie byłem namiętnym palaczem, przysłała mi niewinna myśl do głowy; i napisałem do Nostitza list w te słowa: „Jenerale! ponieważ nie zastawisz mnie, będziesz się zapewne nudził, pozostawiam ci cy-

Następstwem tych ruchów Rogińskiego było to, że Nostitz, otrzymując o nim wiadomości z różnych stron, nie wiedział naprawdę gdzie go szukać; rozdzielił więc swe wojsko na cztery kolumny z rozkazem wysłania powstańców. Prawdopodobnie i ten środek do niczegoby nie doprowadził, gdyż Rogiński robił forsowne marsze, zabierał po drodze konie, palił mosty, gdyby nie to, że w samym jego oddziale, podniosło się widmo niezgody i zniechęcenia. Mianowicie Sagin, ów rzadca dóbr z pod Sieniatycz, za nic nie chce maszerować na Wołyń i domaga się koniecznie powrotu; do jego zdania przyłączył się Ryłski. Napróżno Rogiński tłumaczy im, że jeżeli ze swymi ludźmi się oddzielią, to wpadną gdzie na nieprzyjaciela i zginą; że tylko wspólnymi siłami można coś zrobić, że należy gromadzić ludzi; wreszcie oświadczają, że, jeżeli wszyscy go opuszczają, to on sam pójdzie. Na nic się to nie zdało. Sagin i Ryłski stanowczo chcą wracać, a do nich przyłączyło się około 50 ludzi, którym Rogiński oddał część broni zabranej w Prużanach, połowę amunicji i połowę pieniędzy. Gdy odchodzili, pożegnał ich słowami: „wracajcie i szczęść wam Boże, ja idę naprzód!“¹⁾ Niestety! rozdział ten nie przyniósł im szczęścia. Zaraz nazajutrz, d. 15 lutego, natknęli się pod wsią Rzeczą na jedną z kolumn, wysłanych przez Nostitza, złożoną z trzech kompanii piechoty i 40 kozaków pod wodzą podpułkownika Wimberga (raunego pod Królowym Mostem). Po upartej obronie w lesie, prawie cały ten oddziałek zginął z obu swymi dowódcami²⁾.

gara, by ci się czas krótszym wydał⁴⁾. Rzeczywiście, gdy Nostitz nadszedł, Szemiot list i cygara mu wręczył i to mój stosunek z Nostitzem jeszcze bardziej zacieśniło⁴⁾.

¹⁾ Gdzie ten rozdział nastąpił, niewiadomo, gdyż Rogiński w swych pamiętnikach, pisanych z pamięci, w trzydziści kilka lat po wypadkach, rzadko wspomina nazwy miejscowości, a dat wcale nie podaje.

²⁾ Depesza Nostitza powiada, że powstańców zginęło 83 (jak wiemy wszystkich było około 50), rannych było 30, a do niewoli dostało się 14. Wzięto przytem sztandar, 25 karabinów, kosy, piki,

„Taki widać Nemezis wyrok zapisała nad nimi!“ woła Rogiński w swych pamiętnikach.

Wśród tego wszystkiego nieustraszonego Rogińskiego, wyrusza ku Kobryniowi. Dotarłszy do Lubieszowy, waha się czy iść na Wołyń, czy też zagrzebać się w Pińczynie, gdzie teren bagnisty i lesisty, wabił go ku sobie. Wiadomości, jakich zasięgnął, odmalowały mu nietylko łatwość dostania się do Pińczyny, ale i możność długiego tam pobytu. W samym Pińsku, według tych informacji, miała

35 koni, dwa wozy z prochem i mundurami, i papier stemplowy zabrany z kasy prużańskiej. Rosyjanie stracić mieli 2 zabitych i 3 rannych. Giller, Historia I, 179, pomieszcza o tej rzezi takie szczegóły: „Rylski doszedłszy do Rzeczy 15 lutego zaobozował dla odpoczynku i pożywienia w pobliskim lesie. Wszyscy znużeni pochodem, spoczywali, oprócz gotujących przy ogniskach żywność i jednej widety, a mianowicie wspomnianego wyżej Izbieckiego (był to urzędnik sądu powiatowego, który przyłączył się do oddziału w Prużanach). Ten, zjechawszy z widety, udał się do Rzeczy, wziął furmankę i pojechał do Prużan na łaskę Moskali. W czasie, gdy nasi najmniej spodziewali się napaści Moskali, ci we trzy kompanie piechoty, 75 kozaków i 5 strażników białowieskich, przyszli ich śladem, doprowadzeni do lasu przez popa Ostaszewskiego i starostę cerkiewnego. Las, zajmowany przez Ryłskiego, tworzył trójkąt, oparty o rzekę Leśną, pokrytą płynącą krą. Moskale rozsypali się po obu bokach trójkąta; najprzód krzyżowym ogniem walili do lasu, a następnie ruszyli oblawa. Powstańcy znowuż, niespodzianie zaskoczeni, nie byli w stanie bronić się jak pod Królowym Mostem i powłazili na drzewa lub schronili się w jamy. Moskale odszukiwali i strzelali. Zabity sam Ryłski i 10 podkomendnych; 14 wzięto do niewoli i 2 śmiertelnie rannych; kilku utonęło w rzece, potem na wsi Czmerach uratowanych pokazało się 8. Jeden z powstańców zginął bardzo waleczną śmiercią. Przerznął się przez szeregi prawego skrzydła moskiewskiego, a będąc śmiertelnie rannym biegł w pole, gdzie stała rezerwa nieprzyjacielska z Brinkenem. Z rezerwy wybiegł feldfebel i szeregowy dla ujęcia powstańca, który raną osłabiony, upadł na ziemię; lecz, widząc biegnących ku sobie żołdaków, powstał do ostatniej obrony, powalił strzałem szeregowca, za nim feldfebla i sam zakończył życie poświęcone wolności. Następnego dnia naszych 11 pochowali Moskale razem na rozstajnych drogach, a swoich żołnierzy na cmentarzu. Moskale wrócili do puszczy i dostawili do Białowieży naszych jeńców i broń poległych na dwóch furgonach“.

być niewielka załoga, składająca się z kompanii inwalidów, z kompanii piechoty liniowej i setki kozaków. Zapewniano przytem, że miasto jest jak najlepiej usposobione dla powstania, że organizacja rewolucyjna tam istnieje, że okoliczna szlachta dostarczy broni, ludzi i pieniędzy. Wobec tego Rogiński ostatecznie decyduje się pomaszerować do Pińska i zatrzymuje się w odległości 10 wiorst od miasta i posyła tam niejakiego Wołowicza, mającego koneksye wśród mieszkańców, dla zasięgnięcia języka i bliższego porozumienia się z organizacją. Współcześnie wódz polski napisał list do marszałka szlachty miejscowej, ks. Lubomirskiego, wzywając go o pomoc. Zamierzał ze swymi 130 ludźmi, których teraz liczył, uderzyć na miasto i przez Wołowicza zaproponował mieszkańcom, ażeby zebrali się poza murami cerkwi rosyjskiej. Wszystko jednak na próżno; szlachta pod różnymi pozorami odmówiła pomocy, a co do miasta, okazało się, że nie posiada ono żadnej organizacji, a do oddziału przyłączyło się zaledwie dwóch młodych ludzi: Ostromięcki, nauczyciel gimnazjum miejscowego i Królikowski uczeń VII-ej klasy. W takim stanie rzeczy o ataku na Pińsk nawet myśleć nie można było, więc Rogiński po dwudniowym tu pobycie, przerzuca się na drogę do Słucka, w kierunku kanału Królewskiego. Około mostu zwodzonego na tym kanale, wpada mu w rękę sztafeta z depeszami od naczelnika powiatu pińskiego do gubernatora. Naczelnik donosił, że wysyła do Mińska 36.000 rs., gdyż lęka się, żeby Rogiński nie wpadł do miasta i pieniędzy nie zabrał, oraz że w nocy spodziewa się przybycia trzech kompanii pułku rewelskiego piechoty i setki kozaków. Wysyłka pieniędzy miała być skuteczniejsza w godzinę po odjeździe sztafety. Oczywiście wódz powstańczy zatrzymał się, pieniądze zabrał; most spalił, a właśnie doniesiono mu, że Nostitz wkroczył do Pińska. Rogiński pomaszerował z dyrektywą na Słuck; po drodze zaglądał do dworów szlacheckich, domagał się pomocy, poparcia, ludzi. Broni miał pod dostatkiem, wiozł ją za sobą na 18 wozach, ale brakowało mu żołnierzy, a w tych stronach niezmier-

nie leniwie zaciągano się do jego szeregów. Tu i owdzie ktoś przybył i na tem wszystko się kończyło¹⁾. To winno go było przekonać, że cała jego tak śmiała wyprawa, stanowczo niema przyszłości i celu przed sobą, że tylko naraża tę garść oddanej mu młodzieży na niechybną śmierć; ale z drugiej strony, jakież było z tego położenia, w które wpadł niebacznie, wyjście? Odwrót za Bug równie był trudny, równie pełen niebezpieczeństw, jak i marsz naprzód. A może pocieszał się nadzieją, że w innych stronach tego drżemącego kraju, znajdzie większe poparcie. Liczył on, że w majątkach dawnych po Radziwiłłowskich, a wówczas należących do ks. Witgensteina, znajdzie to, czego tutaj dotąd napróżno szukał. Szedł więc dalej, kłując, myląc ślady, wykonywując marsze i kontrmarsze, i w nocy z dnia 25 na 26 lutego zatrzymał się we wsi Borkach, w powiecie słonimskim.

Borki była to nędzna wioszczyna, futor, jak w tamtych stronach nazywają, złożony z kilku chat kurnych i kilku zabudowań. Noc była jasna, księżycowa. Oddział miał ze sobą z górą 30 wozów, które ustawił na drodze i znużony, zmęczony pogrążył się w ten niezdrowy, niepokojny sen, jaki towarzyszy ludziom, wystawionym na poważne niebezpieczeństwo. Około godz. 11-tej w nocy rozległ się strzał pikiety. Porwano się do broni, z wozów

¹⁾ Raz, nocując w majątku ks. Lubomirskiego, miał osobiwe i w dziejach powstania, jedyne może zdarzenie. Oto jak o tem opowiada: „nad ranem many iść dalej... każe szykować się i zdjąć warty. Był przy mnie obożnym niejaki Zakrzewski. Idzie z nim dzielny chłopiec, Żukowski, eks-kleryk z Janowa. Ściągają warty. Właśnie jedną z nich zajmował Ostromięcki (nauczyciel z Pińska). Polecilem ściągnąć go do obozu, gdyż za chwilę wyruszamy. Wtem strzał. To ów Ostromięcki strzela i rani obu: Żukowskiego i Zakrzewskiego lotkami z dubeltówki, a sam ucieka. Dowiedziałem się następnie, że po dwóch dniach tułaczki wpadł w ręce Moskali, pomieszany na umyśle i zmarł w więzieniu. Ranni zabrali mi kilka godzin czasu zanim ich opatrzyliśmy. Powieźliśmy ich ze sobą, lecz w drodze trzeba było ich zostawić u jednego szlachcica, gdyż dostali silnej gorączki“ (A. Z pamiętników Romana, p. 92 i 93).

ustawiono rodzaj barykady, za którą oczekiwano nieprzyjaciela. Była to jedna z kolumn, wysłanych przez Nostitza dla odszukania Rogińskiego, złożona z trzech kompanii piechoty i setki kozaków, pod wodzą sztabkapitana Ewdokimowa¹⁾. Siły były nierówne; mimo to Rogiński z właściwą sobie niespożytą energią, postanawia się bronić do upartego i drogo sprzedać swe życie. „Chłopcy, zawołał do swoich, mierzyć w same piersi, nie spieszyć się, każdy z nas musi zabić dziesięciu, by ich zwyciężyć!“ Gdy nieprzyjaciół powoli wysunął się z lasu, rozpoczęła się uparta, gęsta, krwią i trupami z obu stron znaczona palba. Strzelano na bardzo bliską odległość, prawie na szerokość wozów, stąd strzały były śmiertelne. Nieprzyjaciół z powodu, jak się zdaje, konfiguracji gruntu, nie mógł atakować powstańców wszystkimi siłami; postępował dość wązkim frontem i koło taboru powstańczego z trupów swoich wkrótce wał utworzył. Ale i bohaterskich obrońców taboru coraz więcej ubywało, wielu zginęło, wielu rannych nie mogło strzelać, tak że ogień osłabł i z całego oddziału pozostało zaledwie kilkunastu zdrowych. Rogiński zdecydował się więc na odwrót; utworzył szereg ukośny, opuścił tabor, zastępujących mu kozaków rozprószył strzałami i szczęśliwie dostał się do pobliskiego lasu²⁾.

Była to zupełna i stanowcza klęska. Według raportów rosyjskich miano wziąć do niewoli 24 ludzi, a że Rogiński wycofał się zaledwie z kilkunastoma, więc reszta tej bohaterskiej młodzieży poległa na miejscu. Nieprzyjaciół miał zdobyć 18 wozów, 49 koni i znaczną ilość broni. Los Rogińskiego był niemniej smutny. Błądził on ze swą garścią strażników przez kilka dni po błotach i bagnach pińskich, przedarł się nad Prypeć zaczepiany przez chłopów,

¹⁾ Depesza Nostitza. *Berg* mylnie podaje, że pod Borkami bił się z Rogińskim, pułkownik Albtow.

²⁾ A. „Z pamiętników Romana“, powiada na podpisie pod fotografią, że Rogiński dostał się w Borkach do niewoli. Jest to błąd; w ręce nieprzyjaciela wpadł on w pięć dni później, w Turowie, w powiecie mozyrskim, o czem niżej.

przeciw którym bronić się musiał. Zatrzymawszy się w majątku Antoniego Jeleńskiego (nazwy nie przytacza) dowiadyuje się, że w niedalekim stąd Turowie, u właściciela majątku, Młyńskiego, ma się odbyć zjazd szlachty jutro rano t. j. d. 3 marca. Zostawia więc pod opieką oficyalistów miejscowych, swych towarzyszy, nadzwyczajnie znużonych, których przed chłopami ze wsi muśiano ukryć w bagnach i ostępach, a sam z jednym tylko kolegą jedzie do Turowa. Tu na nieszczęście dowiadyuje się, że żadnego zjazdu nie ma i być nie miało, a w dodatku natrafia na jakiś zatarg właściciela z mieszczanami, którzy tłumnie się zbiegli z popem na czele. Wobec tego Młyński ucieka, a Rogiński trzymany jest przez kilka godzin w oblężeniu, dopóki nie nadszedł oddział wojska rosyjskiego, uwiadomiony o wszystkim pod dowództwem Albtowa¹⁾. Ten obszedł się z nim bardzo grzecznie, odstawił do Pińska, a stąd w kilka dni sam Nostitz odwiózł go do Brześcia Litewskiego²⁾, gdzie

¹⁾ *Giller*, *Historia* I, 181, opowiada o wzięciu Rogińskiego taką romantyczną i zgoła pozbawioną prawdy historią: „W kilka dni po tej stanowczej przegranej (w Borkach, które *Giller* nazywa Horkami), Rogiński, sam jeden chodząc po lesie, myślał ratować się i w tym celu chciał nająć u chłopów furmankę do gościńca pocztowego. Ale, gdy w targu zbyt hojnie postępował, chłopci w tej okolicy, nieprzychylni powstaniu, podejrzewając go o udział w ruchu, związali i do kwatery moskiewskiej generała Nostitza w Kobryniu odstawili“. Wszystko to jest błędne; nasza relacja oparta jest na pamiętniku Rogińskiego.

²⁾ Nostitz wogóle bardzo po rycersku obszedł się z Rogińskim. Gdy tego ostatniego przyprowadzono przed generała rosyjskiego, ten powitał go temi słowy: „Panie Rogiński! szanuję pańskie męstwo; podałbym panu zaraz rękę, ale ręce twoje zbryzgane są krwią, aż po ramiona, naszych rodaków. Powstałeś Pan przeciw narodowi naszemu, przeciw Monarsze, On jeden może to Panu przebaczyć, a wówczas i my się możemy zaprzyjaźnić, a nawet“... Urwał na tem i zaczął się wypytywać czym nie zmęczony, może głodny, a jechałem bez przerwy 36 godzin i był to ranek. Weszliśmy z nim do drugiego pokoju, tu podano mi się umyć i zaczęła się z nim rozmowa o przejściu naszego oddziału i jego; otoczyli nas oficerowie i zaczęliśmy rozprawę o strategii wojennej, o szczegółach jednych

partyzanta polskiego kazał odfotografować na pamiątkę dla siebie. Rogiński odesłany do Warszawy, gdzie go pod silną strażą, gdyż był to najpierwszy dowódca powstańczy, który dostał się w ręce rosyjskie, odwieziono do cytadeli ¹⁾. Skazany na śmierć; dzięki wstawianictwu Nostitza oraz swej młodości, karę tę zamieniono na wieczne zesłanie na Sybir ²⁾.

Cała ta, blisko sześciotygodniowa kampania Rogińskiego, świadczy o jego nieugiętej energii, niezwykle zapale i dobrem zrozumieniu właściwości małej wojny, zwanej pospolicie partyzantką, acz z drugiej strony nie umiał on się liczyć z okolicznościami. Niektórzy nazwali jego działanie „tańcem św. Wita” ³⁾, na co trudno się zgodzić. Myśl przedarcia się na Litwę, wywołania tam powstania,

i drugih i epizodach często nawet śmiesznych przy naszym przejściu takiej przestrzeni. (Z rękopismu).

¹⁾ W gazecie rosyjskiej „Petersburgskija Wiedomosti” No 62 z r. 1863. pomieszczona jest korespondencja z Wilna, w której między innemi czytamy: generał-major hr. Nostitz, bawi teraz w Wilnie. Przez cały przeszły tydzień był on tutaj bohaterem dnia. Pan naczelnik kraju (Nazimow), wszystkie wyższe władze wojskowe i cywilne przyjmowały go nader gościnnie i wydawały dlań obiady i wieczory. Mówią, że przywieziony tutaj przez hr. Nostitza główny dowódca bandy buntowniczej, Rogiński (to nie jest prawdą, bo Rogiński z Pińska przewieziony został do Brześcia Litewskiego) gorzko się użala na agitatorów, którzy go podobno zwiedli, przedstawiając mu położenie kraju i środki Komisji Centralnej w świetle fałszywem, że gdyby był znał istotny stan rzeczy, za nic w świecie nie byłby przyjął dowództwa. Okoliczności gwałtem popchnęły go do ruchu, a potem sam już nie był swobodny w swych działaniach. Kazano mu iść naprzód i naprzód; najdrobniejsze nieposłuszeństwo, byłoby bezwarunkowo pociągnęło śmierć jego z rąk partyzantów polskich.

²⁾ Dzięki różnym amnestyom z Syberyi uwolniony w końcu został. Opowiada on w swych drukowanych pamiętnikach, str. 96: „po latach 35, rozgrzeszony z win młodości, odzyskałem wolność i odwiedziłem generała Nostitza, obecnie już staruszką, dożywającego dni swoich w dobrach własnych, na Ukrainie. Powitał mnie z niekłamną radością i wzruszeniem...”

³⁾ O. Aweyde, Zeznania IV, 34.

nie była tak złą myślą, jeżeli sądzić ją będziemy ze stanowiska ówczesnego. Jużciż była ona lekkomyślną, jak cały ten ruch, ale skoro się go raz rozpoczęło, należało wszystko robić, by mu wywalczyć choć pozory powodzenia. W każdym razie na pochwałę zasługuje śmiałość Rogińskiego, jego rzutność, ryzykowność kroków, jego ruchy szybkie, silne marsze i kontramarsze, napad na Prużany wreszcie. Spełnił on to, co było i jest obowiązkiem wszystkich wodzów partyzantki. Nie zamknął się, jak to inni w tej nieszczęsnej wojnie robili, w ciasnem i ograniczonym kole operacji, dzięki czemu wcześniej czy później ulegali koniecznemu rozbiciu, ale przerzucał się z miejsca na miejsce, z pod Białej Podlaskiej przedarł się aż do Pińska i za Pińsk jeszcze. Nie znalazł poparcia, na które liczył, u miejscowej ludności, do czego zapewne przyczyniło się to, że zjawił się z małą garstką żołnierzy, nie budzącą wiary ni nadziei. I w tem właśnie leży jego nieliczenie się z okolicznościami, jego, powiedzieliśmy, lekkomyślność. Po odłączeniu się Lewandowskiego, później Sagina i Ryłskiego, po porażce pod Królowym Mostem, trudno było przypuszczać, by garść stu kilkudziesięciu ludzi mogła coś zrobić. Wprawdzie z chwilą pojawienia się Rogińskiego, na Litwie poczęły obiegać najdziwniejsze pogłoski, nie wiemy czy przez niego samego, czy przez innych rozpuszczane, mogące mu na razie, jak się zdawało, pomoc przynieść, zwrócić na niego powszechną uwagę miejscowej społeczności polskiej i dostarczyć mu ludzi, broni, pieniędzy. Mówiono więc, że jest on nieprawym synem jakiegoś króla i dla tego, choć był bardzo młody, służył w armii włoskiej w stopniu pułkownika; że cesarz Napoleon sam wysłał go do Polski, by ją wyzwolił z pod jarzma obcego i koronę na swą głowę włożył; że ma ze sobą liczne wojsko, uzbrojone w karabiny i t. p. ¹⁾. Wszystko to nie wpłynęło, jak widzieliśmy, na poruszenie się Litwy. Imię Rogińskiego

¹⁾ Jagmin. Wspomnienia polskiego powstańca 1863 g. („Istoriżeskijskij Wiestnik” Tom L. 75 z r. 1892).

podawano sobie z ust do ust z tajemniczym jakimś dreszczem, ale nikt nie myślał spieszyć do tego syna królewskiego, do tej armii uzbrojonej karabinami. Rezultatem tego wszystkiego była krwawa i zupełna klęska pod Borkami, nie pozostawiająca już żadnej nadziei, której jednak Rogiński nie stracił i jeszcze myślał o dalszej walce. Typ to bezwarunkowo wyjątkowy w tej wojnie dziwnej i strasznej i z takimi więcej spotkać nam się nie przyjdzie. Nie budzi on sympatii przez to, że zboczył swe ręce krwią całkiem niepotrzebnie, ale mimowoli rodzi podziw nad tą niczem niezachwianą energią, tak rzadką w tej dobie. Niektórzy ¹⁾ robią jeszcze ten zarzut Rogińskiemu, że jego tak lekkomyślnie podjęta i krwawo zakończona wyprawa na Polesie, jak najgorzej wpłynęła na usposobienie powstańcze w tych stronach; że „niezgoda między dowódcami, nieumiejętność walczenia, nieostrożność i słabość powstania“, spowodować miała powszechną niechęć do ruchu; że w ogólności, gdyby nie ta wyprawa, powstanie w Grodzieńskim w większej sile by wybuchło. Że na szlachtę w Pińszczyźnie słabość sił Rogińskiego źle wpłynęła, to widzieliśmy z historii jego operacji; na lud zaś, który jeżeli nie wrogo, to obojętnie patrzył na ruch zbrojny polski, nawet wielkie siły powstańcze wrznięby dodatniego nie zrobiły. Można go było siłą wcielić w szeregi partyzanckie, ale entuzjazmu i miłości do polskiej ojczyzny w tych masach na pół dzikich i ospałych, nikt nie był w stanie wywołać.

Energii takiej, rzutności i śmiałości w ruchach, jakiej złożył dowody Rogiński, nie okazał wcale wojewoda podlaski, Lewandowski, jakkolwiek bezwzględnie posiadał on więcej zdolności i znajomości sztuki wojσκowej od awanturniczego komisarza podlaskiego, Lewandowski, oddzieliwszy się od tego ostatniego na skraju puszczy białowieskiej, pomaszerował z powrotem na Podlasie, na czele mniej więcej 80 ludzi, uzbrojonych nadzwyczaj nędznie, w połowie w dubeltówki, a w połowie w kosy. Przeszedłszy Bug w oko-

¹⁾ Giller, Historia I, 181.

licach miasteczka Sarnaki, dowiedział się, że nieprzyjacieli dla obrony mostu na rzece Krznie, na szosie z Brześcia Litewskiego do Białej, od strony tej ostatniej, pod wsią Woskrzen'cą, usypał szaneczek, w którym według doniesień miało stać dwa bataliony piechoty, a w rzeczy samej jedna kompania pułku Rewelskiego piechoty¹⁾. Lewandowski, chcąc swą małą garstkę przyzwyczaić i oswoić z wojną, postanowił zniemacka napaść na ów szaneczek, i jeżeli się da, zdobyć. W tym celu w noc ciemną podsunął się ku szosie brzesko-warszawskiej, schwytał sztafetę, jadącą z Brześcia z depeszą, w której komendant tej fortecy, generał Sztaden, donosił generałowi Mamajewowi w Białej, że Lewandowski przeszedł Bug i znajduje się w okolicach Zalesia (pod Piszczacem). Dowódca polski na depeszy tej napisał: „czytałem — Lewandowski“ i posłał ją dalej. Dodać tu wypada, że w ogólności wśród dowódców rosyjskich w tych stronach panował niczem nieusprawiedliwiony popłoch, do czego przyczyniało się to, że prawie każdy z garnizonów w miasteczkach, nie wiedział co się dzieje gdzie indziej, gdyż liczne drobne partye powstańców przecinały komunikacje, przejmowały depesze, psuły tel-grafy i mosty. Generał Mamajew, stojący w Białej Podlaskiej, mając dwie kompanie piechoty, dwa szwadrony kawalerii, komendę inwalidów i baterię dział, drżał ze strachu i uważając, że w razie napadu nie zdoła się obronić w mieście, wyszedł z niego i biwakował wśród zimy dżdżystej i wilgotnej na polu²⁾. Ukazanie się w tych okolicach Lewandowskiego popłoch ten zwiększyło. Sztaden, komendant Brześcia, twierdzy silnej, posiadającej przeszło dwa bataliony garnizonu i potężną artylerią, obawiał się o swój i fortecy los.

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij, 185.

²⁾ Gesket-Puzyrewskij, 184, opowiada, że „w początkach lutego (dawnego stylu) Szaniawski przysłał generałowi Mamajewowi list żelazny, który nakazywał każdemu powstańcowi w razie wzięcia do niewoli generała Mamajewa, obejść się z nim grzecznie“. Jeżeli to prawda, to taki list musiał dać inny dowódca, gdyż Szaniawski wracał wtedy z Lewandowskim z pod puszczy Białowieskiej.

Gdy się dowiedział o przejęciu jego depeszy do Mamajewa, telegrafował d. 17 lutego inną drogą do w. księcia do Warszawy, że „ukazała się silna banda i zamierza napasać na twierdzę, że część garnizonu całą noc trzymał pod bronią, że sztafeta do Mamajewa przejęta“. W parę godzin potem donosił, że „dokoła jest zagrożony“¹⁾.

Trwoga ta Sztadena zwiększyć się musiała, gdy tegoż d. 17 lutego dowiedział się o porażce, jakiej uległa załoga szanica przedmostowego pod Woskrzenicą. Atak bowiem Lewandowskiego udał się w zupełności; podsunęto się przed świtem dzięki ciemności niepostrzeżenie, wpadnięto do szanica na śpiącego i niczego nie spodziewającego się nieprzyjaciela²⁾, rozproszono go, zdobyto kilkadziesiąt karabinów, poraniono ciężko trzech oficerów; powstańcy mieli przy tym napadzie zręczność i rześko wykonanym, zaledwie jednego rannego³⁾. Mamajew w Białej już o godz. 1-ej rano dowiedział się o napadzie na szaniec

¹⁾ Loc. cit. 184.

²⁾ Szanec obstawiony był placówkami, które przy rozpalonych ogniskach się grzały, ale z powodu ciemnej nocy nic dojrzeć nie mogły. Mimo to usłyszała jedna z nich szelest podkradających się powstańców i parokrotnie pytała: „kto idzie?“ ale na odpowiedź samego Lewandowskiego po rosyjsku wygłoszoną, że „swoją“, z dodatkiem znanego duseru rosyjskiego, uspokoiła się, sądząc, że to który z towarzyszy żołnierzy włóczy się po polu szukając przysług miłosnych.

³⁾ Relacya Lewandowskiego. *Gesket-Puzyrewskij*, 185, utrzymują, że nie Lewandowski, ale Szaniawski napadł na ów szaniec przedmostowy, że miał 500 ludzi (300 kosynierów, 100 strzelców i około 100 kawalerzystów). Wszystko to jest nieprawdą. Szaniawski brał udział w tej walce, bo siedł od puszczy Białowieskiej razem z Lewandowskim, ale ten ostatni tu dowodził. Siły ich, jakśmy rzekli, wynosiły 80 ludzi ogółem. Ranni oficerowie rosyjscy nazywali się: Lubimow kapitan (miał on 11 ran od kos w głowie), porucznik Perkowski i feldwebel. Żołnierzy według *Gesketa-Puzyrewskiego* miało być 10 rannych. Lewandowski w swej relacji, powiada, że polecił kilku ludziom podążyć w stronę kwatery oficerskiej, przyaresztować ich i nie im nie robić. Na nieszczęście oficerowie ci na odgłos strzałów wybiegli i wpadli na kosynierów, którzy z nimi po swojemu się obeszli.

woskrzenicki i natychmiast wysłał na pomoc majora Kwicińskiego na czele jednej kompanii pułku kostromskiego piechoty, szwadronu ułanów smoleńskich i dwóch dział artylerii konnej. Ale Kwiciński siedł z wielkim strachem i zbliżywszy się do lasu pod Woskrzenicami, w którym rzeczywiście Lewandowski po napadzie spoczywał, obsypał ten las kartaczami i ściągnawszy rozbitą kompanię z szanicy, pośpiesznie cofnął się do Białej.

Nagły napad na szanec nad Krzną, wywołał silne wrażenie wśród dowódców rosyjskich w tych stronach, zwłaszcza, że przesadzono siły polskie, tak że w Białej garnizon nie czuł się dość bezpiecznym i domagał się posiłków. Na rozkaz generała Chruszczowa, naczelnika wojennego lubelskiego, wyruszył z pomocą Mamajewowi, major Aleksiejew z Radzyna z dwoma kompaniami piechoty. Wyjechał on d. 21 lutego na podwodach na Międzyrzec. Lewandowski, który po swym szczęśliwym ataku woskrzenickim, kręcił się ciągle w tych stronach i oddział swój powiększył do 150 ludzi, dowiedział się o tym marszu Aleksiejewa i postanowił nań uczynić zasadzkę w lesie pod wsią Sycyną. Ustawiwszy w boru swych żołnierzy, wysunął pojedyncze placówki ku Międzyrzecowi z rozkazem, by dały znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela, którego zamierzał przepuścić koło siebie, potem lewem ramieniem zająć mu z tyłu, podczas gdy Szaniawski, umieszczony na końcu linii, miał to samo zrobić prawem ramieniem naprzód i zaatakować od frontu. Niestety! placówki zasnęły i nie dały znać o zbliżającym się nieprzyjacieli, który dość wcześniej spostrzegł zasadzkę i piechota rosyjska, zeskończywszy z wozów, gęstą palną powitała powstańców, którzy pierzchnęli odrazu. Szaniawski, usłyszawszy strzały, wypadł na szosę na czoło nieprzyjaciela i ranny ciężko, w parę dni potem umarł¹⁾. Lewandowski po tej niefortunnej za-

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 186, twierdzą, że walka trwała do 3 godzin, że powstańcy stracili około 20 ludzi, Rosyjanie zaś mieli jednego rannego żołnierza, i że na koniec Szaniawski poległ na miej-

sadzce pociągnął ku Radzyniowi, w którego okolicach spotkał się z oddziałem Lelewela.

Była to osobliwsza postać i osobliwszy dowódca powstańczy, który najmniejszego nawet nie miał pojęcia o wojskowości. Stronnictwo ultra demokratyczne wydeło zaraz wtedy i później tego człowieka prostego i bez żadnego wykształcenia, na znakomitość, którą nie był i do czego nie mógł mieć żadnej pretensyi. Zrobiono zeń geniusz samorodny, jak gdyby geniusze mogły istnieć i działać skutecznie bez podstaw, które daje nauka i doświadczenie. Doświadczenia takiego on nie miał; nigdzie w żadnej wojnie nie był; miał też zwyczaj w razie spotkania się z nieprzyjacielem, umieszczać swe siły w dolinie, zostawiając przeciwnikowi wzgórze¹⁾, sądząc, że na tem polega taktyka wojskowa i kombinując w swej ciasnej głowie, że tak będzie lepiej. Zwał się właściwie Marcin Borelowski. Według jednych blacharz, według innych studniarz z fachu, w chwili wybuchu powstania liczył lat 34, był więc w pełni męskiego wieku i niewątpliwie posiadał bardzo energiczny charakter i gorącą, ślepą, nie popartą świadomością położenia i potrzeb kraju, miłość ojczyzny. Urodzony w Krakowie, po bardzo awanturniczem życiu, zjawił się w Warszawie koło r. 1859, gdzie zaraz wziął udział w ówczesnym, rozpoczynającym się ruchu powstańczym. Jako majster studniarski wszedł do spółki z inżynierem Spornym, z którym założył fabrykę pomp, co dozwoliło mu zawrzeć liczne i obszerne stosunki z klasą rzemieślniczą i wyrobniczą warszawską. Po pamiętnym na zawsze pogrzebie pięciu ofiar, gdy poczęły się tworzyć pierwsze zawiązki organizacyi, on rozesłał na prowincyą rzemieślników dla propagandy idei powstańczych i tworzenia ogniw spisku. Wydrukowania słynnej odezwy Gillera: „Posłanie do wszyst-

scu. Wszystko to nie jest prawdą. Strzelanina nie trwała i kwadrans nawet; Lewandowski prócz Szaniawskiego i kilkunastu karabinów, porzuconych przez uciekających (za co tych ostatnich kazał potem oświadczyć różgami) nikogo nie stracił.

¹⁾ *Łisicki*, Le marquis II, 357.

kich Polaków“, on dokonał. Mimo to wszystko nie należał wcale do wybitniejszych osobistości ruchu, i po tym czynie historycznym postać jego znika w szarym tłumie dzieśników i setników, z pośrodku których nigdy zapewne nie byłby się wybił na szerszą widownię dziejową, gdyby nie powstanie. Przez jedną z tych nieprzebaczonych lekkomyślności, jakich tyle dowodów dali ówcześni członkowie Rządu tymczasowego, mianowany został pułkownikiem i wysłany w Podlaskie jako dowódca osobnego oddziału. Powierzono więc człowiekowi, który nie miał najmniejszego wyobrażenia o sztuce wojennej, los i życie kilkuset ludzi, oddano mu jedną z nici ciężkiego i doniosłego zadania, oswobodzenia zbrojną ręką ojczyzny. Jak wszyscy ludzie, mało wykształceni książkowo, entuzjazmują się mocno pierwszem lepszem dziełem, które przeczytali, tak i Borelowski dorwawszy się przypadkiem jakiejś pracy historyka Lelewela, przejął się dlań takim uwielbieniem i taką czcią, że występując na pole zbrojnej walki, swe, nie mówiące imię, zmienił na nazwisko Lelewela i pod tym pseudonimem jest znany. Miał tylko jedną zaletę; był kochany przez podwładnych. Swem prostackim i rubasz-nem obejściem rzemieślnika, przypadał w sam raz do usposobienia sfer, z których przeważnie składały się oddziały powstańcze. Był dobrym organizatorem, ale nigdy samodzielny dowódca. Z natury krwawego usposobienia, nie-ulażonego wychowaniem i kulturą, należał do rzędu tych licznych, niestety! naczelników powstańczych, którzy wieszali, za najmniejszym podejrzeniem, chłopów bez litości i bez upamiętania. Stanowi to czarną, nigdy niewybaczoną plamę na charakterze Lelewela. Sztabu zwykle żadnego nie miał, jadał z ludźmi z kotła, spał razem i tem zyskiwał ich serca. Wyszedł on z Warszawy d. 8 lutego¹⁾ i w okolicach Łukowa uformował oddział, około 400 ludzi liczący, z którym miasteczko to, pozbawione całkiem załogi rosyjskiej, zajął i ogłosił Rząd narodowy.

¹⁾ *Z. Kolumna*, Pamiętka II, 24.

Tutaj to, między Łukowem a Żelechowem, we wsi Osinach, spotkał się z Lelewelem ciągnący od północy po niefortunnej zasadzce pod Sycyną, pułkownik Lewandowski. Tego ostatniego uderzyło przedewszystkiem nadzwyczajnie lichy uzbrojenie partyi Lelewela, nawet strzelb myśliwskich było niewiele, tylko kosy, piki, kije. Jedną tylko jazdą, pod dowództwem Gustawa Zakrzewskiego, który się połączył z Lelewelem, przedstawiała się jako tako. Nie zdawało się to jednak przestraszać improwizowanego dowódcy powstańczego; oświadczył on wojewodzie podlaskiemu, że wie o znacznym składzie broni w Lubelskiem, w jakimś klasztorze, leżącym tuż nad granicą galicyjską. Postanowiono tam iść wspólnie, i w tym celu Lewandowski nakreślił plan następujący: Lelewel ma pójść zachodnim bokiem województwa, wzdłuż Wisły; on zaś, Lewandowski, pomaszeruje wschodnią stroną wzdłuż Bugu. Zadanie było wogóle dość trudne. Trzeba było bowiem przebyć znaczną część kraju, z oddziałami słabymi liczebnie i źle uzbrojonymi, przemykać się wśród garnizonów rosyjskich, stojących w Demblinie (Iwangrodzie), Radzynie, Kurowie, Lublinie, Krasnostawie i Zamościu. by ostatecznie dostać się nad granicę. Mimo to, ponieważ nie było nic lepszego do roboty, a nadzieja zyskania broni zbyt pożądaną, więc do wykonania tego planu wzięto się zaraz. Lewandowski z pod Łukowa zawrócił na południo-wschód, okrążył Radzyn i posunął się ku Parczewowi, a stąd jeszcze dalej ku południowi, aż do Woli Wereszczyńskiej¹⁾,

¹⁾ Plan marszów i operacji Lewandowskiego, nakreślony przez pp. Gesketa i Puzyrewskiego i dołączony do ich dzieła o powstaniu, jest całkiem fantastyczny. Wojewoda podlaski nie szedł z pod Łukowa na Międzyrzec, nie okrążył Włodawy, nie odbywał żadnego nabożeństwa w Dębowej Kłodzie, jak to twierdzą wymienieni autorowie, i t. p. Wogóle w książce wzmiankowanej, ten ustęp powstania jest bardzo bałamutnie przedstawiony. O Szaniawskim i napadzie woskrzeńskim jużśmy mówili; jest tu dalej mowa o j.-kiejś partyi Zdzisławskiego, która, zdaje się nigdy nie istniała, o partyi Zakrzewskiego działającej samoistnie, o zgromadzeniu się pod Łukowem

gdy nagle przybywa doń Zakrzewski w 50 koni jazdy, i na wielkie zdziwienie wojewody podlaskiego donosi, że oddział Lelewela idzie jego śladem z nieprzyjacielem na karku. Okazało się, że Lelewel pierwotnie miał szczerzy zamiar zająć się wykonaniem powziętego w Osinach planu i zaraz po rozstaniu się z Lewandowskim, wyruszył z dyrektywą południową, przeszedł Wieprz pod Baranowem i w okolicach Michowa, w Kozłowskich lasach się zatrzymał. Zamiast jednak przyciąć się tutaj dla koniecznego odpoczynku, żeby niczem na siebie nie zwrócić uwagi garnizonów rosyjskich w Kurowie i Lubartowie, i korzystając z ich niewiadomości o swym tutaj pobycie, przesunąć się między nimi niepostrzeżenie, Lelewel skręca do Firleja dlatego, żeby zabrać stamtąd jakieś nędzne kilkaset rubli, czego dokonywuje z koniecznym w takich razach hałasem, i tym sposobem zwraca na siebie uwagę, zwłaszcza, że po zaborze kasy Firlejowskiej, to samo robi w Kocku. To też na wieść o tem z Kurowa występuje w d. 2 marca w nocy pułkownik Ćwieciński na czele 2 kompanii piechoty, 50 kozaków i 2 armat¹⁾ i kierując się na Michów stanowczo zagradza Lelewelowi drogę na południe i plan obu dowódców polskich w zarodku niszczy. To też studniarz warszawski, przekształcony, jak w średniowiecznej komedyi, na wodza powstańczego, nie usługuje nawet naprawić tego, co popsuł przez swą, prawdziwie mieszczańską, chciwość pieniędzy, nie próbuje zręcznym manewrem odzyskać dyrektywę południową, ale, naciskany przez Ćwiecińskiego, cofa się na wschód w kierunku Włodawy. Nazajutrz d. 3 marca, nieprzyjaciół nad wieczorem dopada straż tylną Lelewela między wsią Jedlonką i Sosnowicą, dwukrotnie daje z dział ognia i aryergardę tę rozprasza²⁾. Na szczęście

wszystkich oddziałów podlaskich, kiedy tam tylko zeszli się Lewandowski i Lelewel, o walce pierwszego pod Łutą i Hańskiem, kiedy tam bił się tylko sam Lelewel i t. d.

¹⁾ Raport Ćwiecińskiego.

²⁾ „Wiadomości z pola bitwy“ No 6, opowiadają, że Lelewel „powiadomiony o zbliżaniu się nieprzyjaciela, zajął pozycję za wsią

Ćwieciński poprzestaje na tem, głosi, że cały oddział Lelewela rozbił i tym sposobem zadania swego dopełnił; zatrzymuje się na miejscu i zamierza nazajutrz z powrotem maszerować do Kurowa, oswabadzając przez to Lelewela od nieuniknionego niebezpieczeństwa. Wtedy to, do stojącego w pobliżu, we wsi Woli Wereszczyńskiej, na drodze z Parczewa do Włodawy, Lewandowskiego, dopadł z jazdą Zakrzewski, donosząc o Lelewelu, o jego marszach i o Ćwiecińskim. Lewandowski, nie przypuszczając, by ten ostatni po dwóch wystrzałach z armat nie myślał o dalszym pościgu powstańców, postanowił dopomóc Lelewelowi i nieprzyjaciela zaatakować. Układa więc plan, żeby w nocy, Ćwiecińskiego, stojącego w Sosnowicy, zaatakować, a nazajutrz z dwóch stron na niego uderzyć. Alarm w nocy pod wodzą Zakrzewskiego szczęśliwie się udaje, Lelewel na plan wojewody się zgadza i o świcie wyrusza w przeznaczonym sobie kierunku. Jakież było jednak zdziwienie i niepokój Lewandowskiego, gdy, debuszując z lasu sosnowickiego, widzi zdala odwrót nieprzyjaciela, a o Lelewelu ani słyhu. Rozsyła na wszystkie strony podjazdy, by go odszukać, ale te nigdzie go znaleźć nie mogą. Ćwieciński zaś spokojnie odbywa swój odwrót i przybywa do Kurowa, rozsyłając raporta, że Lelewela z kretesem rozbił¹⁾.

Cóż się więc stało z tym ostatnim?

Czy wskutek tego, że zauważył odwrót Ćwiecińskiego, czy też, co prawdopodobniejsze, zadowolony, że może nieprzyjaciela zwalić na kark wojewody podlaskiego, a sa-

pod lasem“; że „bitwa trwała 2½ godziny, w których męstwo naszych i dzielność wodza świetnie okazała się. Pod ogniem 2 dział nieprzyjacielskich, zrzucony został most, a oddział pomaszerował ku Białce pod Jezioro. Pod Jedlonką nie mieliśmy zabitych i rannych, nieprzyjaciel zaś znaczne poniósł straty“. Wszystko to jest kłamstwem; całe starcie ograniczyło się na dwóch wystrzałach dział Ćwiecińskiego.

¹⁾ Opowiadanie nasze o tych operacjach oparliśmy na nadzwyczaj bałamutnych relacjach polskich i rosyjskich i zdaje się, że rzeczy tak się odbyły, jak je przedstawiliśmy w tekście.

memu tym sposobem uwolnić się od pościgu, dość, że zamiast ruszyć do Sosnowicy, zawrócił na wschód i pomaszerował do Włodawy, gdzie wabiła go wieść o znajdujących się w kasie miejskiej 12.000 rubli, nie troszcząc się wcale o to, co się stanie z Lewandowskim. Pierwszy to przykład w powstaniu niesforności i samolubstwa dowódców polskich, odąd niestety! bardzo często praktykowany. Uformowawszy oddział, uważali go oni za swoją wyłączną własność, niechętnie poddawali się pod czyjeś zwierzchnictwo, jak mogli najprędzej się od tego zwierzchnictwa uwalniali i dbali tylko o to, żeby oddział jak najdłużej zachować, nie myśląc naprawdę o wojnie. Nie było w tem ani patriotyzmu, ani uczciwości wojskowej, ani dobrego zrozumienia tak własnego jak i kraju interesu. Na Lelewelu zaraz się to okazało i ciężko ukarany został za swe zachowanie się pod Sosnowicą. Zabrawszy z Włodawy owe 12.000 rubli, wyszedł z miasta i rozłożył się najspokojniej we wsi Adamki, pozrywawszy za sobą mosty na rzece Włodawce. Pozycja pod względem taktycznym była dobra i silna, i mogła być długo broniona, gdyby w oddziale była broń lepsza i gdyby dowódca miał jaką taką głowę. Zresztą, po manifestacyjnym zaborze pieniędzy z kasy włodawskiej, szczerze mówiąc, nie było tu co robić, należało owszem jak najprędzej oddalić się z tych stron, gdyż nie ulegało wątpliwości, że nieprzyjaciel wcześniej czy później przedsięwzięcie wyprawę. Jakoż tak się stało. Wieść o ukazaniu się oddziału polskiego we Włodawie, o zabranianiu się oddziału polskiego do Radzyna, skąd d. 5 marca wyruszył major Jolszyn z dwoma kompaniami piechoty i 60 kozakami¹⁾, i okrążając Włodawę maszerował na Drozdówkę, Lejno, Wolę Wereszczyńską, Kołaczę i zatrzymał się na noc z d. 6 na 7 marca we wsi Adamki, w pobliżu obozującego w Adamkach, Lelewela. Nazajutrz d. 7 marca, Jolszyn wysłał na zwiady czterech kozaków, przebranych

¹⁾ Raport Jolszyna.

za powstańców¹⁾, którzy dostali się do obozu polskiego i rozmawiali nawet z powstańcami. Właśnie ci ostatni jedli obiad, niespodziewając się wcale napadu, gdy ukazali się kozacy i rozpoczęła się strzelanina, a zaraz też potem jedna kompania rosyjska zajęła klucz pozycji, bo młyn na rzeczce, która stanowiła obronę od czoła oddziału. Nieprzyjaciel skorzystał teraz z tego i kompania strzelecka z kapitanem Malinowskim rzuciła się z bagnietem na prawe skrzydło polskie i odparła je ku wsi Okoninek, tak że skrzydło to już w utarczce udziału nie brało. Lelewel, który naprawdę nie wiedział, jak sobie radzić i z wybornej, nadzwyczaj obronnej pozycji skorzystać nie umiał, począł się pośpiesznie cofać przez las do wsi Luty. Tu usiłował stawić czoło, ale Jolszyn deptał mu po piętach, ze wsi go wyrzucił, zabrał cały tabor. Uparty pościg ustał dopiero, gdy noc zapadła, za wsią Hańskiem; straty były znaczne, nie tyle w zabitych (raporta rosyjskie mówią o 150, polskie o 11 poległych), ile w tem, że trzy czwarte oddziału zupełnie się rozbiegło. Lelewel ciężko niewątpliwie ukarany, niestety! kosztem krwi młodzieży polskiej, ze szczątkami oddziału zagrzebał się w lasach Lubartowskich i przychajony tam, długo nie dawał znać o sobie.

Tymczasem Lewandowski, wskutek postępowania Lelewela uważając i słusznie, wyprawę w Lubelskie po ową mityczną broń, za zupełnie chybioną, z pod Sosnowicy zawrócił się i pomaszerował z powrotem w Podlaskie, w okolice Łukowa, gdzie koło 12 marca przybył i we wsi Gręzówce rozbił obozowisko. Pochód jego był dość wolny, by

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 190. Nadmienić tu wypada, że autorzy ci o starciu tem mówią, jakoby Jolszyn miał do czynienia z obu polskimi oddziałami: Lewandowskiego i Lelewela, co jest błędem. Lewandowski w tej chwili był daleko, w powrotnym marszu do Łukowa, i bił się tylko sam Lelewel. Niemniej podanie historyków rosyjskich, oparte na kłamliwym raporcie Jolszyna, jakoby Lelewel posiadał armatę, jest zgola fałszywe. To co opowiada o Lelewelu *Pułkownik Struś*, Ludzie i wypadki 1861—1865, I, 183, jest pełnem błędów i kłamstw.

miał ujść uwagi nieprzyjaciela; to też w d. 13 marca z Radzynia wyruszył przeciw niemu ten sam major Jolszyn, który rozbił Lelewela pod Adamkami i z temi samemi siłami natknął się nazajutrz na powstańców w Gręzówce. Po krótkiej strzelaninie, Lewandowski, któremu doniesiono, fałszywie zresztą, że oprócz Jolszyna maszerują nań kolumny z Garwolina, Żelechowa i Międzyrzecza, nie uważał za stosowne stawiać czoła i wycofał się do wsi Tuchowicz¹⁾, a stąd do Stanina, gdzie pozycja do przyjęcia bitwy była wyborną i nadzwyczaj silną. Tworzył ją pałac, niezamieszkały przez nikogo, otoczony zabudowaniami dworskimi i wałem ziemnym. Front tej pozycji osłaniała błotnista rzeczka Staninka, która na lewem skrzydle polskiem rozlewała się w obszerny staw. Dojść do pałacu można było tylko po długiej, około 500 kroków liczącej grobli, dość wąskiej; za rzeczką był młyn i sama wieś Stanin. Lewandowski, zdecydowawszy się przyjąć tutaj walkę, osadził się w pałacu, z łańcuchem tyralierów wzdłuż rzeczki, tak że mógł ostrzeliwać krzyżowym ogniem groblę. Kawaleryę swoją pod wodzą Zakrzewskiego, wysłał o półtorej wiorsty do wsi Jarczówki, gdzie pozycją mógł nieprzyjaciel obejść, dla strzeżenia tam mostu na Stanince. Ale Jolszyn nie myślał wcale o obejściu; przyzwyczajony do ucieczki powstańców, dumny ze świeżego tryumfu nad Lelewalem, chciał po dawnemu wziąć byka za rogi i, zbliżywszy się d. 14 marca do Stanina, uderzył na powstańców od czoła²⁾. Ci postępującego naprzód nieprzyjaciela powitali rześystym ogniem, mimo to Jolszyn, rozsypawszy jedną kompanię w tyraliery, zdołał powoli opanować wieś i młyn i porobiwszy tu strzelnice, wyparł powstańców

¹⁾ Pod Gręzówką ranny był ksiądz Brzoska, który później miał się taką sławą okryć.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 191 twierdzą, że Lewandowski miał tutaj 600 do 700 ludzi, co jest najwierutniejszym kłamstwem. Z kawaleryą Zakrzewskiego, która zresztą w starciu udziału nie brała, wojewoda podlaski mógł liczyć 200 do 250 ludzi i o wiele był słabszy od Jolszyna.

z poza rzeczki. Ale na tem skończyło się jego powodzenie. Kilkakrotnie próbując przejść groblę, zawsze był odparty ze znacznymi stratami, raz nawet udało się Lewandowskiemu rzucić nań kosynierów, którzy krwawą w jego szeregach rzeź sprawili. W końcu Jolszyn, po strzelaniu, trwającej aż do godz. 5-ej po południu, poniósłszy znaczne straty w zabitych i rannych¹⁾, cofnął się do wsi, tu opatrzył swych chorych i zawrócił skomląc, jak pies obity, do Łukowa. Później tłumaczył się, że dlatego tak długo trzymał swą kolumnę w morderczym ogniu, żeby „zachwiać siłą moralną“ powstańców, albo też żeby wywabić ich z pałacu, a potem na ich karkach zdobyć pozycją²⁾. Żaden z tych projektów się nie udał, i ostatecznie Jolszyn o wiele silniejszy od Lewandowskiego, sromotnie cofnąć się musiał.

Wiadomość o porażce Jolszyna, pobudziła gorliwość dowódców rosyjskich. Już poprzednio generał Dreyer, naczelnik wojenny siedlecki, dowiedziawszy się o pobycie Lewandowskiego w okolicach Łukowa, wysłał był z Siedlec pod majorem Ostachiewiczem kolumnę, złożoną z 2 kompanii piechoty, szwadronu huzarów, 20 kozaków i 2-ch dział gwintowanych. Kolumna ta przybyła do Łukowa tegoż wieczoru, w którym zjawił się tam, pobity pod Staninem, Jolszyn. Porażka ta, tak dalece przeraziła Ostachewicza, że nie czując się dość silnym, by stawić czoło Le-

¹⁾ „Żurnal wojennych dziejstw“ No 6, utrzymuje, że Jolszyn miał 12 zabitych i 24 rannych. Lewandowski w swej relacji twierdzi, z niewątpliwą przesadą, że wódz rosyjski tylko 30 żołnierzy zdrowych wprowadził. W „Wiadom. z pola bitwy“ No 6, jest powiedziane, że Jolszyn 12 furmanek rannych odesłał do Łukowa, część zaś pomieścił we wsi, o pół wiorsty od pałacu, że zabitych pochował w 3-ch wielkich dołach od kartofli, nie licząc 19 zabitych i 2 rannych, których na placu przed pałacem zostawił. Z polskiej strony, według relacji rosyjskich, bardzo podejrzanych, bo odparci nie mogli oczywiście wiedzieć o stratach polskich, miało być 40 zabitych i 17 rannych. Tak relacja Lewandowskiego jak i „Wiadom. z pola bitwy“, mówią tylko o 9 rannych powstańcach, co zresztą jest prawdopodobne ze względu, że walczyli oni dobrze zakryci murami pałacu.

²⁾ Gesket-Puzyrewskij, 192.

wandowskiemu, posłał do Dreyera o pomoc, a mianowicie o większą ilość artylerii¹⁾. Nazajutrz, d. 14 marca, obaj Jolszyn i Ostachiewicz z całą siłą, jaką posiadali (a więc 4 kompanie piechoty, 80 kozaków, szwadron huzarów i 2 działa), wykonali rekonesans w kierunku Stanina, ale oczywiście Lewandowskiego tu już nie zastali. Zemścili się zato na pałacu, który spalili i zrabowali doszczętnie, usprawiedliwiając później swój barbarzyński krok tem, że pałac ten „wskutek swego położenia i właściwości był wybornym schronieniem dla powstańców“²⁾. Dokonawszy tego bohaterskiego czynu, obaj dowódcy rosyjscy puścili się śladem Lewandowskiego, ale, nie mogąc, lub nie chcąc go znaleźć, zawrócili w parę dni później na swe zwykłe kwatery.

Tymczasem Lewandowski po utarczce Stanińskiej, wiedząc, że, gdyby chciał tu dłużej pozostać, ściągnąłby na siebie przeważne siły rosyjskie, zaraz tegoż samego dnia wyruszył w kierunku Żelechowa, a potem Garwolina, i tu przez kilka dni dobrze zasłużonego spoczynku używał. W Garwolinie stał garnizonem batalion saperów i setka kozaków pod wodzą pułkownika Reutlingera. Ten dowiedziawszy się o pobycie powstańców w tych stronach, zwłaszcza, że Lewandowski umieściwszy się obok szosy warszawskiej, przejmował wszystkie poczty, postanowił wyruszyć przeciw niemu i w tym celu wziął ze sobą d. 20 marca dwie kompanie saperów i 50 kozaków, resztę zostawił dla obrony miasta. Kierunek jego marszu był ku Żelechowowi. Lecz Lewandowski nie czekał na niego. Szybko cofnął się do wsi Jarczewa, a tu zręcznie obmyślanym zwrotem rzucił się ku Garwolinowi, sądząc, że wskutek wystąpienia Reutlingera, miasteczko to ma niewielką załogę, którą łatwo będzie można pokonać. Ale, niestety! zastał tu przeszło połowę batalionu, który osadziwszy się za domami prędko odrzucił słabe ataki powstańców i trzeba

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij 192.

²⁾ Loc. cit. 193.

było pośpiesznie się cofać. Odwrót ten miał się teraz ku północy. Lewandowski szedł na Zwolę, Miastków, ku Parysowi, poczem zawrócił na wschód ku Stoczkowi. Cofał się, bo wiedział, że po piętach depcze mu już Reutlinger, a co gorsza z Siedlec posuwała się nowa kolumna nieprzyjacielska, złożona z 2-ch kompanii, szwadronu huzarów, 50 kozaków i 2-ch dział artylerii konnej, pod dowództwem podpułkownika Forfanowa¹⁾. Te dwa oddziały rosyjskie połączyły się ze sobą we wsi Olszycy, i tu dowiedziały się, że Lewandowski, nadzwyczajnie znużony, spoczywa obozem w lesie pod wsią Rossy. W rzeczy samej tak było. Powstańcy nie tylko byli zmęczeni forsownymi pochodami, ale i mocno upadli na duchu wskutek niepowodzenia pod Garwolinem, zniechęceni do dowódcy, który niczem nie oddziaływał na ich wyobraźnię, głodni i zbiedzeni. Na dobitkę większa część kosynierów się rozbiegła, Zakrzewski z jazdą gdzieś się zapodział, tak że Lewandowski pod Rossami nie miał przy sobie więcej jak 130 strzelców i nie mógł marzyć o stawieniu czoła czterem kompaniom rosyjskim, popartym dostateczną ilością jazdy i artylerii. To też gdy d. 24 marca Reutlinger wkroczył do lasu, Lewandowski szybko cofać się począł. Rosyanie postępowali w kolumnach kompanijnych, z gęstym łańcuchem tyralierów na przedzie; artyleria pod osłoną szwadronu huzarów posuwała się drogą na wysokości piechoty, a kozacy bokiem obiegli las, dotarli do Rossów, by tu zaskoczyć odwrót powstańców. Ale Lewandowski, osłoniwszy się tyralierami nie myślał opuszczać lasu, dość zresztą rzadkiego, po większej części z krzaków złożonego i cofał się wolno. Pod karczmą Zielonką, niedaleko wsi Róży, usiłował się zatrzymać, ale zdemoralizowani jego żołnierze nie byli w stanie wytrzymać ataku rosyjskiego na bagnety i w nieładzie uchodzić poczęli ku drugiej karczmie w lesie, zwanej Warkoty. W czasie tego nieporządnego odwrotu, Lewandowski został ranny kulą w nogę. Zrazu, prowa-

¹⁾ Loc. cit.

dzony przez dwóch powstańców, siedł za gromadką rozbitek, ale, czując, że nie nadąży, kazał im się oddalić i został sam. Przez jakiś czas włókł się, wreszcie, widząc zbliżającego się nieprzyjaciela, schronił się pod mostek przy drodze. Spostrzeżono go tam, wywleczono i rozjuszono żołdactwo chciało go zamordować, jeden nawet pchnął bagnetem w brzuch, inni obdarli z sukien, zabrali zegarek i 60 rubli, jakie miał przy sobie dowódca. Na szczęście nadbiegł podporucznik pułku Kostromskiego piechoty, Błagowieszceński i wydarł z rąk żołnierzy ofiarę. Zawieszony do Łukowa, potem do Siedlec, leczony starannie, dzięki zabiegom oficerów rosyjskich, którzy nawet chcieli go wykraść, ocalał od śmierci i zesłany został na Syberję, skąd z czasem jednak miał wrócić i do dziś dnia (1898 r.) żyje w Warszawie.

Z jego niewolą znika z Podlaskiego jedyny człowiek z jaką taką głową, z jakim takim wykształceniem wojskowem i z charakterem szlachetnego bojownika wolności. Tego charakteru, który nieśli na sobie Langiewicz, Padlewski, Mielęcki, Rogiński, Lewandowski, który nadaje pierwszym miesiącom powstania barwę niewątpliwie podniosłą i szlachetną, późniejsi dowódcy mieć już nie będą. Pojawiać się teraz poczną ludzie bez znajomości rzemiosła wojkowego, bez talentów i bez ideałów. Włóczyć się będą od dworu do dworu, objadać szlachtę, katować i mordować chłopów i uciekać przed nieprzyjacielem, tak że nawet wytworzy się specjalny wyraz: „uciekinierzy“, na oznaczenie tych bohaterów¹⁾. Oczywiście tu i owdzie zdarzą

¹⁾ Do pewnego stopnia typem takiego przyszłego dowódcy powstańczego jest już w tej chwili Gustaw Zakrzewski. Odłączywszy się od Lewandowskiego, kręcił się w okolicach Garwolina, ekwipując ze zbytkiem swą jazdę (same siodła kosztowały po 50 rubli sztuka) i doprowadził do liczby stu koni. Kiedy Reutlinger wyruszył z Garwolina na wyprawę przeciw Lewandowskiemu, zdarzyło się, że do miasteczka tego przybył pułkownik Reinthal w dwie setki kozaków i 60 ludzi piechoty. Reinthal wyprowadził się przeciw Zakrzewskiemu, połączył się z oddziałem z Kurowa i dopadł dowódcę pol-

się wyjątki, ale ogólny charakter będzie, niestety! taki i odejmie cały urok i całą poezję tej dziwnej, lekkomyślnej a straszliwie krwawej walce.

Z kolei rzeczy przenieść się nam teraz należy w Lubelskie, gdzie niemniej bolesne i opłakane zaszły wypadki. Tutaj wogóle, jak wiemy, powstanie słabo się objawiło, prawdopodobnie wskutek tego, że organizacja powstańcza poniosła ciężki cios przez t. z. sprawę chełmską w roku zeszłym. Dopiero w lutym występują tu dwa oddziały, oba skupione w Chełmszczyźnie. Jeden z nich wysztyftował znany nam już z czynnego swego udziału w działaniach przedpowstańczych i z utarczki w Bukowej Małej, Kazimierz Bogdanowicz, dzierżawca wsi Łowczy pod Łęczną i powstańczy naczelnik powiatu Chełmskiego. Bardzo energiczny, pełen poświęcenia, szalonej odwagi i zapalanej miłości ojczyzny, cały swój majątek poświęcił i prawie wyłącznie swym kosztem oddział ów uformował. Piechota, wynosząca około 250 głów, umundurowana była jednakowo w czarne kurtki, także pasy skórzane i konfederatki różnokolorowe¹⁾. Kawalerya, której miało być 30 koni²⁾, ubrana była w granatowe spencery i burki z kapturami. Czapraki granatowe ozdobione były trupiami główkami. Uzbrojenie jednak tego oddziału, jak wogóle w początkach powstania,

skiego pod wsią Rutką, d. 26 marca, między Kockiem i Radzyniem. Sztab powstańczy z dowódcą bawił się wtedy we dworze, nie rozstawiając wcale pikiet. Kozacy w liczbie stu (Rosyjanie podzielili się na trzy kolumny (pod wodzą esaula Krasnowa, wparli powstańców na bagna i rozbili do szczytu. Zakrzewski po tej porażce, opuścił kraj i udał się do Paryża do Mierosławskiego, którego był wielbicielem.

Relacje rosyjskie o tej, małego zresztą znaczenia, utarczce, są mocno przesadzone. Powiadają one, że Zakrzewski miał 300 jeźdźców, co nie jest prawdą. W raporcie Reutlingera potyczka ta nosi nazwę pod wsią Krzywdą.

¹⁾ Berg, Zapiski.

²⁾ Loc. cit. Gesket-Puzyrewskij, 201, zrobili z tego 100 koni. Niżej o kilka wierszy jednak przyznają, że w Łowczy miał Bogdanowicz 30 tylko koni.

było bardzo mierne. Piechota miała strzelby myśliwskie, karabinów bardzo niewiele; kosynierów wcale nie było. Zato jazda oprócz lanc, posiadała szable i pistolety. Oddział ten formował się w Nadrybiu, skąd Bogdanowicz wypadł do Łęczny, zabrał tam kasę rządową i w pierwszych dniach lutego widzimy go we wsi Łowczy, między Włodawą a Sawinem. Drugi oddział powstańczy w tych stronach, sformował lekarz z Dubienki, nazwiskiem Neczaj. Oddział ten nosił miano Hrubieszowskiego i liczył około 200 ludzi¹⁾. Stał on obozem we wsi Świerze nad Bugiem, w niewielkiej odległości od Bogdanowicza, tak że w razie potrzeby oba te oddziały mogły się w ciągu kilku godzin połączyć ze sobą.

Sam Neczaj, lekarz z fachu, wychowaniec uniwersytetu kijowskiego, rodem Rusin, jak się zdaje wyznania schizmatycznego, był gorącym, zapalonym patriotą polskim. Nie młody już, bo przeszło czterdzieści lat liczący, o dużych, czarnych, melancholijnych oczach, twarzy typowo kozackiej, szukał może w burzy, jaka nad krajem się zerwała, ukojenia i zażegnania nieprzyjaznej mu w małym miasteczku opinii, za to, że żył z kobietą nieślubną. Nie znając się na wojskowości, wezwał sobie do pomocy niejakiego Oswalda Radziejowskiego, kapitana b. wojsk polskich, ozdobionego w kampanii 1831 r. krzyżem *virtuti militari*, starca steranego życiem (ur. 1806 r.), dzierżawcę wsi Holubowca w Hrubieszowskiem. Zgodził on się chętnie na propozycję Neczaja i zajął się organizacją oddziału²⁾. O pobycie powstańców w tych stronach w Lublinie nie wiadano, i dopiero w połowie lutego, do uszów na-

¹⁾ Źródła rosyjskie obliczają Neczaja na 1000 ludzi, co jest bezwarunkowo fałszem. Opowiadanie nasze opiera się na relacji rękopiśmiennej człowieka, który służył w tym oddziale.

²⁾ Źródła rosyjskie (Berg, Gesket-Puzyrewskij, Żurnal wojennych dziejstwi), utrzymują, że Radziejowski miał osobny oddział, wynoszący według jednych 500, według drugich 100 ludzi. Jest to błędem. Rzeczy tak się miały, jak opowiedzieliśmy w tekście, na podstawie autentycznych źródeł rękopiśmiennych.

czelnika wojennego Chruszczowa, doszły bardzo niejasne wiadomości o Bogdanowiczu w Łowczy. Należało coś przedsięwziąć przeciw temu powstańczemu wodzowi, i w tym celu Chruszczow d. 15 lutego wysłał z Lublina majora Rakużę z trzema kompaniami piechoty i 50 kozakami¹⁾. Rakuża pomaszerował na Łęczną ku Włodawie i skręciwszy w bok przenocował w Wereszczynie, gdzie chłop miejscowy dał mu bliższe wiadomości o powstańcach i podjął się być przewodnikiem do Łowczy.

Bogdanowicz uwiadomiony był, jak się zdaje, dość późno o marszu Rakuży, gdyż nie zjadł nawet przygotowanego w Łowczy dla swych ludzi obiadu i śpiesznie cofnął się na Bukową ku Rudzie dla połączenia się z Neczajem. Rakuża wysłał za nim w pogoń kozaków, którzy schwytali bryczkę Bogdanowicza z papierami rozmaitymi. Rosyanie dotarli tego dnia, 16 lutego, do Bukowy i tu przenocowali. Rakuża był bardzo niespokojny; w drodze zasięgał języka i dowiedział się w formie mocno przesadzonej, o trzech jakoby oddziałach powstańczych, które, zebrawszy się razem, pięciokrotnie co do liczby go przewyższają i grożą „że nadzieją mu czerwone buty i wrzucą do Bugu“, co niby miało znaczyć, że skórę zeń zedrą i utopia. Wszystko to, powtarzamy, mocno zaniepokoiło niezbyt śnać walecznego majora, tak że w Bukowy oddział swój trzymał całą noc pod bronią, lękając się ataku powstańców²⁾. Nazajutrz, d. 17 lutego, otrzymał wiadomość, że powstańcy koncentrują się pod Świerzem, i chcąc temu zapobiedz, postanowił rzucić ślady Bogdanowicza, pomaszerować wprost do Świerza i tym sposobem uprzędzić połączenie się oddziałów powstańczych. Dotarłszy do Rudki, zatrzymał się dla chwilowego spoczynku w pozycji bardzo silnej i tutaj niespodziewanie miał się spotkać z Polakami.

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 202, nazywa tę kolumnę Rakuży „słabą“. Wobec jednak 300 ludzi Bogdanowicza mizernie uzbrojonych, była ona ilościowo i jakościowo nieporównanie silniejszą. Rakuża w swym raporcie utrzymuje, że miał tylko dwie kompanie piechoty.

²⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 202.

Ci bowiem wcale nie myśleli o połączeniu się. Bogdanowicz nie szedł do Świerza, gdzie zresztą Neczaja już nie było, ale postanowił w pierwszej dogodniejszej pozycji zaatakować Rakużę. Taką pozycją wydała mu się Rudka. Wieś ta ciągnie się od zachodu na wschód, wzdłuż drogi i przytyka do stawu, koło którego znajdowały się zabudowania dworskie. Od południa za rzeczką był las, z którego właśnie debuszował Bogdanowicz. Poprzednio umówił on się z Neczajem i Radziejowskim, obozującym w tych stronach, że uderzą na nieprzyjaciela jednocześnie; Bogdanowicz od południa, Neczaj od północy, rachując na to, że przewagą liczebną zgniotą Rakużę. Niestety! Bogdanowicz zawczasem rozpoczął atak, czy też Neczaj się spóźnił, dość, że operacja cała chybiła. Rakuża ledwie rozłożył się na spoczynek, gdy z lasu od strony południowej, ukazała się najprzód kawaleria powstańcza, a za nią piechota, debuszująca trzema kolumnami. Przewidując możność dwustronnego ataku, a może wiedząc o planie polskim, rozsypał w tyraliery przeciw Bogdanowiczowi dwie strzeleckie kompanie; połowę trzeciej kompanii zostawił w odwodzie, a drugą połowę uszykował wraz z kozakami pod wodzą esaulu Greczanowskiego, na moście przy stawie, dla zabezpieczenia sobie tyłów. Kolumny powstańcze posuwały się naprzód śmiało i z wielką fantazją, ale powitane już w odległości 800 kroków niszczącym ogniem nieprzyjaciela, na który ze swych strzelb myśliwskich odpowiadać nawet nie mogły, poczęły się chwiać. Nieprzyjaciel skończył z tego i rzucił się do ataku na bagnety; powstańcy ataku tego nie wytrzymali i w wielkim nieładzie cofnęli się do lasu. Tutaj dzięki energicznym zabiegom Bogdanowicza i oficerów, udało się powstrzymać i uszykować uciekających dla dania odporu naciskowi nieprzyjaciela. Ale było już zapóźno. Pierwotna fantazja została złamaną, nieprzyjaciel rozgniony łatwym tryumfem, oskrzydłając tyralierami powstańców, nie dał się powstrzymać w zapędzie. Darł on się naprzód i wkrótce cały oddział polski szukał

ratunku w bezładnej ucieczce, ścigany na przestrzeni dwóch wiorst przeszło, tracąc mnóstwo ludzi i broni.

W tejże chwili od strony północnej ukazał się Nebuszaj. Debuszował on z lasu gęstą chmurą kolumn kosynierskich, z łańcuchem tyralierów na przedzie, z kawalerią na skrzydłach. Szedł w wielkim porządku, z marsową postawą, ale niestety! zapóźno. Rakuza, uwiadomiony przez esaula Greczanowskiego, o pojawieniu się nowego nieprzyjaciela, zawrócił z tem, co mógł zebrać, z pośrodku ścigających Bogdanowicza kompanii i już na odległość 1200 kroków rozpoczął gęstą palbę. Mimo to, jakkolwiek kolumny polskie, wyszedłszy z lasu, przechodzić musiały nagie pole, pod okiem Radziejowskiego, starego konstantynowskiego żołnierza, szły naprzód śmiało. Wzmagający się jednak ogień nieprzyjaciela, który trzeba było przyjmować z heroicznym stoicyzmem, nie odpowiadając nań wcale, zatrzymał nakoniec tę niewyćwiczoną i niezwykłą ognia młodzież. Radziejowski jednak nie chciał ustąpić; z zaciętością starego burczymuchy, klnąc i wymyślając dosadnymi słowy żołnierskiej rubaszości, zapowiadając, że kto się cofnie, to mu „tchórzliwy łeb ołowiem zmyje“, zręcznym manewrem rzucił swe kolumny do wsi, ciągnącej się po jego prawej, z tą myślą, by, zasłaniając domami i zabudowaniami nieostrzelane swe szeregi, ciągnąć dalej walkę. Ale wśród nich rozeszła się już wiadomość o porażce Bogdanowicza, co wywarło deprymujące wrażenie; przytem pierwszy zapal przeminał i rozpoczęła się bezładna ucieczka, której już żadne zakłęcia i żadne najobelżywsze wymysłania powstrzymać nie mogły. Kozacy ścigali jakiś czas powstańców, których straty raportu rosyjskie ogółem obliczają na 350 do 400 ludzi, co oczywiście jest przesadzonym, zwłaszcza, że Rakuza miał mieć tylko 4 żołnierzy ranionych¹⁾. Zdobył on 60 koni, sztandar, mnóstwo strzelb,

¹⁾ *Gesket-Puzyrewskij*, 204. Powiada on co do strat polskich, że „prawdopodobnie cyfra ta jest przesadzona, jako oparta na opowiadaniach chłopów, którzy oglądali pobojuwisko“. Relacje polskie

naboi i papierów sztabowych. Mimo jednak tego zwycięstwa wódz rosyjski czuł się w tak niebezpiecznym położeniu, tak był niepewny siebie, że zaraz nazajutrz pośpiesznie zawrócił do Lublina.

Bogdanowicz po tej niepomysłnej potyczce, sformowawszy się jako tako, wyteżonym marszem puścił się w okolice Nadrybia i rozłożył się obozem w lesie, niedaleko Zuzulina. Wieść o jego pobycie w tych lasach wkrótce doszła do Lublina, dzięki zaciętej niechęci miejscowego ludu do powstania. Chruszczow znowu wysłał majora Rakuzę z dwoma kompaniami piechoty i 50 kozakami, w kierunku Łęczny, dokąd kolumna rosyjska przybyła d. 26 lutego wieczorem. Tutaj oczywiście zasięgnął bliższych wiadomości o miejscu pobytu oddziału polskiego i nazajutrz wyruszył w kierunku Zuzulina. Szedł bardzo ostrożnie i wolno, tak że wieczorem dopiero dotarł do tej wsi, gdzie mu powiedziano, że niedawno byli tu powstańcy i sam Bogdanowicz.

W rzeczy samej tak było. Bogdanowicz czy dość późno dowiedział się o wyprawie Rakuzy, czy z innych, nam nieznanych przyczyn, dość, że dopiero tego dnia wyruszył z lasów zuzulińskich do wsi Grondy i tu się na nowo zatrzymał. Dowiedziawszy się, że Rakuza obozuje w Zuzulinie, postanowił rozpoznać jego siły i rozpoznanie, zapewne mając zamiar nagłego nocnego napadu. Nikomu się z tej myśli nie zwierzył, i siadłszy na konia, sam jeden puścił się ku Zuzulinowi. Zdarzyło się, że w tym właśnie czasie, Rakuza, zaniepokojony zapewne blizkiem sąsiedztwem powstańców, wysłał na podjazd kilku kozaków drogą do Grond, z rozkazem by posuwali się gęsiego w odległości 10 kroków jeden od drugiego. Kozacy ci wkrótce spostrzegli Bogdanowicza, który jechał polem z lewej strony drogi i puścili się za nim w pogoń. Bogdanowicz zawrócił, ale zaraz zauważył, że konia go nie uniesie, zeskokczył więc

utrzymując, że powstańcy stracili 9 zabitych i 13 rannych; nieprzyjaciela zaś miał 40 zabitych.

z niego, uderzył, by poleciał i kozaków za sobą pociągnął, a sam schował się pod mostek na drodze. Leniwa jednak szkapą, zrobiwszy parę kroków zatrzymała się i najspokojniej trawę skubać poczęła; napróżno Bogdanowicz starał się ją odpędzić, a tymczasem kozacy dopadli. Dowódzca polski parokrotnie zmierzył z rewolweru, ale ten nie dał ognia, został więc schwytany i zaprowadzony do Zuzulina¹⁾. Tu zrewidowano go natychmiast i znaleziono przy nim 1807 rubli. Nazajutrz oddział powstańczy, liczący już teraz zaledwie 70 ludzi, napadnięty przez Rakuzę, pozbawiony dowódcy, rozpierchnął się zupełnie. Rakuzę z tryumfem powrócił do Lublina wioząc ze sobą Bogdanowicza i jego adjutanta Florkowskiego, oraz kilku powstańców. Wieść o tem błyskawicą rozbiegła się po mieście. Bogdanowicz był tu doskonale znany, więc też tłumy wyległy na szosę piasecką. Orszak posuwał się wolno, a na czele tego tryumfalnego pochodu jechał pułkownik Kalikst Witkowski, późniejszy prezydent Warszawy, na koniu, zrabowanym w Łowczy, majątku Bogdanowicza. Gdy ujrzano jeńców rozległ się płacz kobiet i okrzyki mężczyzn: „cześć wam!“²⁾. Chruszczow był bardzo zadowolony ze schwytania Bogdanowicza. Donosząc o tem do Warszawy, pisał z tryumfem może zawczesnym, że „wzięcie Bogdanowicza, który wy-

¹⁾ Posiadamy w zbiorach naszych relacyą, opowiadającą nieco inaczej schwytanie Bogdanowicza. Miał on pod wieczór pojechać sam jeden do p. Teofila Węgleńskiego, dla dostania odeń żywności. Tu dowiedział się, że idą kozacy i konia swego zostawił, a siadł na podjezdka ekonomskiego i puścił się, mimo ostrzeżeń Węgleńskiego przeciw kozakom. W bok od drogi stała wielka grusza i za nią postanowił się schronić, żeby policzyć siły rosyjskie. Chłop, służący nieprzyjacielowi za przewodnika, zauważył, że „grusza jest za gruba od dołu“, więc kozacy puścili się rzecz tę sprawdzić. Wtedy Bogdanowicz począł uciekać w kierunku znanych sobie, pobliskich błot, ale podjezdek nędzny ustawał, więc zeskoczył zeń, uderzył w tej nadziei, że poleci do domu i kozaków za sobą pociągnie. Niestety? koń, jak wiadomo stanął i kozacy leżącego w brudzie Bogdanowicza wzięli. Która z tych relacji jest prawdziwą, trudno rozstrzygnąć.

²⁾ Relacje rękopiśmienne.

wierał silny wpływ na umysły mieszkańców Lublina, zachwiało wierę w moralną siłę powstania“, że „niektórzy z mieszkańców mówią już o bezcelowości i lekkomyślności działań buntowniczych“¹⁾. Zapewne też, na skutek nalegań z Warszawy, szybko się z osobą wodza powstańczego załatwił. Już d. 6 marca, Bogdanowicz o godz. 6-ej rano został rozstrzelany za koszarami świętokrzyskimi, na tak zwanych Zimnych dołach²⁾.

Najtragiczniejszy, najkrwawszy jednak los, spotkał partyę Neczaja. Kręcił się on ciągle ponad Bugiem, przebywał jakiś czas w Uściługu i w Hrubieszowie. Po utarczce pod Rudką, zawrócił w okolice Dubienki i tutaj natknął się na podjazd kawaleryjski rosyjski, wysłany z Włodzimierza Wołyńskiego. Dowodzący tamtejszym garnizonem generał Rudanowski, uwiadomił o tem Chruszczowa w Lublinie, który wydał polecenie garnizonowi krasnostawskiemu, ażeby wyruszył przeciw Neczajowi. Jakoż w dniu 20 lutego wymaszerował z tego miasta podpułkownik Ryński, na czele dwóch kompanii piechoty, szwadronu ułanów, 10 kozaków i dwóch dział artylerji konnej, wylotem na Dubienkę. Ryński posuwał się forsownie, tak że nazajutrz

¹⁾ Gesket-Puzyrewskij 205.

²⁾ O jego ostatnich chwilach, jak zwykle, różne obiegały pogłoski. Relacya rękopiśmienna, znajdująca się w naszych zbiorach, a pochodząca od krewnego Bogdanowicza, opowiada, że „choć wiedział, co go czeka, zachowywał się do końca z rezygnacyą i godnością, nie pozwolił do siebie mówić Chruszczewowi „ty“ — bo i ja tak samo do ciebie mówić będę“. Witkowski przyboczny generał, podczas przemówienia do Bogdanowicza miał się wyrazić biorąc go pod brodę: „Mamy cię ptaszku“, za co Bogdanowicz miał go w twarz uderzyć. O ile to prawda stwierdzić się nie dało. Z. Kolumna, Pamiętnik I, 21, zapewnia, że „jeszcze na placu śmierci odrzucił myśl podania się do łaski, do której go usilnie generał Chruszczow namawiał“. Opowiadają także, że bawiący podówczas w Lublinie adjutant ks. Konstantego, Kirejew, zakochany w Polce, pannie Gołuchowskiej, pragnął ocalić koniecznie Bogdanowicza i radził mu także odwołanie się do łaski cesarskiej. Ale powstaniec polski radę tę dumnie odrzucił, prosił tylko na placu kaźni, by mu oczów niezawijywano, „bo on się kul nie boi“ (Relacye ustne).

o świcie, zrobiwszy około 60 kilometrów, stanął w Dubience. Odpoczywał po tym gwałtownym i w swej gwałtowności zgola nieusprawiedliwionym marszu cały dzień i część nocy (po cóż było męczyć ludzi, by potem 16 godzin spoczywać?) i dowiedział się, że Neczaj obozuje w okolicach Świerza. Ruszył więc tam, wsadziwszy piechotę na podwody i w Świerzu udzielono mu dokładnej wiadomości, że powstańcy stoją w lesie, na południe od wsi Żalina. W rzeczy samej Neczaj tam obozował, na pozycji stosunkowo dość silnej. Las, przezeń zajmowany, otoczony był z trzech stron błotami, które można było wprawdzie przejść, ale z wielkim trudem; jedynie od północy, od strony Żalina, dostęp był łatwiejszy po drodze wąskiej i błotnistej, która okalała pozycją łukiem od północy na wschód. Do pozycji tej, pod kątem mniej więcej prostym, przytykała droga od Świerza, idąca zrazu przez gęsty las, a potem przy złączeniu się z drogą Żalińską wychodziła na nagą, błotnistą płaszczynę. Neczaj wiedział o marszu Ryńskiego i starał się wzmocnić swą pozycją przez zasieki na drodze od Świerza, ale były one niewykończone i niedbale ustawione, bo zresztą czasu na to nie było. Ryński posuwał się gwałtownie i d. 22 lutego rankiem dotarł do obozowiska Neczaja.

Rosyanie zaraz za Świerzem ustawili się w szereg bojowy. Obie kompanie piechoty, sformowane w ściśnięte kolumny, z łańcuchem tyralierów na przedzie, maszerowały lasem po obu stronach drogi, po której postępowali kozacy, ułani i artyleria. Z tyłu szedł tabor pod osłoną plutonu ułanów i piechoty. W takim szyku, Ryński debuszować począł z lasu na ową błotnistą płaszczynę. Stąd, z małego pagórka, widać było jak na dłoni, wielki, gorączkowy ruch w obozowisku powstańcem. Formowano się na gwałt, a strzelcy polscy rozpoczęli z poza zasieków gęstą, acz ze względu na odległość zgola nieszkodliwą dla nieprzyjaciela palbą. Ten zatrzymał się i wysunął naprzód działa, które z odległości stu sążni, poczęły palić kartażami. Powstańcy, niezwyčajni tego ognia, mimo to w zu-

pełnym jeszcze porządku, opuścili zasieki i szybko cofać się zaczęli ku południowi. Ryński ruszył za nimi z piechotą, a kawalerią i artylerią puścił drogą, z rozkazem zaskoczenia cofających się powstańców od czoła i zagrożenia im odwrotu. Zrazu Neczaj, jakżeśmy rzekli, maszerował w wielkim porządku po równinie błotnistej, w ściśniętych kolumnach, z łańcuchem tyralierów z tyłu, dających odpór dojeżdżającym kozakom i szybkością ruchu oswoładzając się od usiłowań piechoty rosyjskiej otoczenia jego skrzydeł. Tak doszedł do niewielkiej kępki lasu, wśród którego znajdował się dom i zabudowania leśniczego, ale tu ujrzał, że jazda rosyjska zagroziła mu drogę od czoła, kozacy od prawego, a artyleria na drodze od lewego. Gdyby wodzem tej młodzieży był człowiek wojskowy i energiczny, to odrazu by spostrzegł, że położenie jest trudne, ale mimo to możliwe do ocalenia. Można było szybkim zwrotem, zachodząc prawem ramieniem naprzód, zmienić front i uderzyć na armaty, które odprzodkowywano dopiero i których strzegła niewielka stosunkowo asekuracja jazdy, i tym sposobem, stratowawszy działa, wylotem na wschód wysunąć się z oblawy rosyjskiej. Ale niestety! Neczaj nie miał tego wojskowego rzutu oka, które wśród boju orleją nabywa przenikliwości; on tylko patrzył przed siebie i koniecznie chciał iść na południe. Wysunął się więc z lasu z szeregami mocno już zaniepokojonymi położeniem i tracącymi tę spójność i ten spokój, jaki dotąd zachowały; to też gdy kozacy i ułani z krzykiem i piskiem rzucili się na kolumny powstańcze, te pękły i w nieładzie cofnęły się do lasu. W tej chwili nadbiegła z tyłu piechota rosyjska i zamknęła obręcz osaczenia. Mimo to nie myśłano wcale o poddaniu się. Dzięki zabiegom oficerów, dzięki entuzjazmowi patryotycznemu, jaki w tej porze jeszcze przejmował szeregi powstańcze, zwrócono się przeciw piechocie nieprzyjacielskiej i gęstym powitano ją ogniem. Ale ta, upojona dotychczasowym tryumfem, z krzykiem: „hura!“ rzuciła się na bagnety i poczęła spychać uparcie się jeszcze broniące kolumny powstańcze na jazdę.

Wówczas Neczaj zwrócił się przeciw tej ostatniej, w nadziei przebicia się przez nią, i sformowawszy się jako tako, wystąpił znów z lasu i znowu niestety! nie wytrzymał jej ataku i odrzucony został z powrotem. Wtedy dopiero postanowił uderzyć na działa. Ale Ryński spostrzegł grożące stąd niebezpieczeństwo i zdołał tymczasem wzmocnić asekuracją artylerii, tak że gdy Neczaj z tej strony wysunął się w zbitych i bezładnych już kolumnach, powitany strasznym ogniem, odparty został do lasu. Teraz nie było już żadnej nadziei ratunku. Ta spłoszona masa, której dotychczasowe męstwo wyczerpało się wobec nieskutecznych usiłowań, rozproszyła się po lesie i gdy nakoniec piechota rosyjska doń wkroczyła, prawie żadnego nie napotkała oporu. Zdziczałe żołdactwo rozpoczęło formalną rzeź; przeszło 150 trupów zaległo pobojuwisko; do niewoli wzięto tylko 22, a między nimi samego Neczaja, którego w parę tygodni potem rozstrzelano w Krasnymstawie (dnia 19 marca)¹⁾.

Taki był los pierwszych oddziałów powstańczych w Lubelskiem, takie tragiczne dzieje ich dowódców. W niczem one zresztą się nie różnią od historii oddziałów w innych częściach kraju; wszędzie widzimy brak broni, brak wyćwiczenia, brak wodzów z jaką taką głową, wszędzie krew leje się strumieniami, niestety! bezpłodnie. Wprawdzie w tym heroicznym, że tak powiem, peryodzie powstania, jego naczelnicy umieją jeszcze umrzeć na po-

¹⁾ Raport Ryńskiego. *Gesket-Puzyrewskij*, 207. Ryński w raporcie powiada, że wziął do niewoli 36; sam zaś miał stracić tylko 1-go historycznego żołnierza i 3-ch raniomych. Radziejowski po tej klęsce wrócił do siebie do Holubowca, skąd przechodzący tamtędy generał rosyjski, Rzewuski (Polak), przyaresztował go i zaprowadził do Uściługa. Ponieważ Radziejowskiego z Rzewuskim łączyły stosunki towarzyskie, więc ten ostatni, odsyłając wodza powstańczego do Lublina, napisał list do Chruszczowa z prośbą o względnosc. Dzięki temu, po rocznym więzieniu, skazany został na 13 lat do katorgi. Umarł w gubernii Irkuckiej w 1877 r. Podanie więc *Gesketa-Puzyrewskiego*, 205, jakoby Radziejowski po starciu pod Rudką wyjechał za granicę, jest błędne.

bojuwisku, narażać się swą osobą, płacić głową na polu bitwy i na szubienicach za lekkomyślność ruchu; później już takich wodzów nie będzie. To też, gdzie teraz spojrzeć, czy to w Płockie, gdzie Padlewski kona pod kulami wroga, czy na Podlasie, gdzie ginie Szaniawski, a Rogiński i Lewandowski dostają się do niewoli, czy wreszcie w Lubelskie, gdzie ten sam los, tylko z zakończeniem krwawem, spotyka Bogdanowicza i Neczaja, wszędzie jest ten sam obraz. Rozlegający się po całym Królestwie jęk mordowanej młodzieży, uzupełnił się w tej porze jeszcze jednym krwawym głosem, dochodzącym z Augustowskiego.

Ta część kraju, oddzielona długą i wąską szczyją od głównego centra ruchu, Warszawy, nie wzięła prawie wcale udziału w wybuchu styczniowym. Głównym tego powodem było, że organizacja powstańcza prawie wcale tu nie istniała. W końcu 1862 r. liczba sprzysiężonych zaledwie kilkaset głów liczyła¹⁾, rozrzuconych po całym województwie. Naczelnik województwa nie został mianowany, naczelnika miasta Suwałk nie było; z pomiędzy okręgowych jeden tylko powiat kalwaryjski był obsadzony. Bronisław Szwarc, członek Komitetu Centralnego, któremu powierzona była organizacja tego województwa, nie tutaj nie zrobił, choć umiał rozprawiać wiele i grać rolę domorosłego Saint-Justa. W dodatku stronnictwo Białych, przeciwne powstaniu zbrojnemu, było tu bardzo silnie rozwinięte i wszelkie organizacje czerwone w zarodku tłumiło. Wskutek wszystkich tych przyczyn, Augustowskie nie wzięło wcale udziału w wybuchu powstania i stosunkowo dość późno doń przystąpiło, wtedy gdy już wszędzie krew lała się obficie i niezdrowa jej woń poczęła odurzać wszystkie polskie głowy i serca. Taki stan rzeczy oczywiście drażnił do najwyższego stopnia Czerwieńców; zresztą, w tem położeniu, w jakim cały kraj się znajdował, wyglądałoby to dość dziwnie, gdyby same jedno Augustowskie, wobec strasznej wojny wytopienia, wobec hasła wolności i niepodległości narodo-

¹⁾ O. Aweyde, *Zeznania III*, 243.

wej, zachowało się obojętnie i spokojnie. Komisarz wojewódzki, Józef Piotrowski, w dobie prac przygotowawczych do powstania, po większej części siedział w Warszawie, zrzadka tylko dojeżdżając do Suwałk lub Maryampola; teraz jednak postanowiono wziąć się energicznie do dzieła, poruszyć szlachtę, zachęcić ją do wzięcia udziału w ruchu zbrojnym, bo wszyscy ci panowie Czerwoni, doskonale pojmowali, że bez szlachty, bez jej pomocy, powstanie nie mogłoby dwóch dni nawet istnieć. A przytem, w przeważnej części Augustowskiego lud jest litewskim i obojętnym na sprawy i ideały polskie; jedyną reprezentantką polskości była tu szlachta i garść mieszczaństwa po miastach i miasteczkach; bez szlachty więc, która prócz tego w swym ręku posiadała większą część majątku województwa, nic tu przedsięwziąć nie można było. W tym więc celu, dla ostatecznego popchnięcia szlachty augustowskiej do powstania, Piotrowski zwołał wielki zjazd na dzień 30 stycznia do wsi Antonowa, niedaleko Pilnisk. Na zjeździe tym, na którym miało być kilkaset osób¹⁾, jeden z najbardziej wpływowych ziemian miejscowych, Cyryak Akord, niegdyś zesłany na Sybir za udział w spiskach 1846 r., należący dotąd jak najstateczniej do stronnictwa przeciwnego powstaniu, odczytał akt opuszczenia partii Białych, gdyż, jak mówił, „skoro już raz broń ujęto, nie pora stawać programy“. Za jego przykładem poszło całe zgromadzenie i jednogłośnie oświadczyło swe posłuszeństwo Rządowi Tymczasowemu i przystąpienie do powstania²⁾. Na wniosek komisarza Piotrowskiego, wybrano na naczelnika sił zbrojnych województwa, niejakiego Szwejkowskiego, byłego oficera wojsk polskich i dodano mu trzech adju-

¹⁾ *Rafał Błonski*, Pamiętnik z Augustowskiego (Polska w walce II, 365).

²⁾ Loc. cit. *Berg*, Zapiski III, 89, a za nim *Gesket-Puzyrewskij*, 334, nie wiemy na jakiej podstawie twierdzą, że na zjeździe w Antonowie, Czerwoni, „z rewolwerami w rękach“ zmusili obojętną szlachtę do czynnego akcesu do powstania. Źródła polskie nic o żadnym gwałcie nie wiedzą.

tantów, akademików, do boku. Kasyer Dyrekcyi Białych złożył do rąk Piotrowskiego kilka tysięcy rubli.

Teraz za staraniem Piotrowskiego i Rafała Błonskiego, zebrano nieco ludzi pod wsią Czystą Budą, za Maryampolem i tutaj pomocnik komisarza Walery Mroczkowski, znany w organizacyi pod pseudonimem Kamińskiego, oddał dowództwo niejakiemu Karolowi Jastrzębskiemu, dzierżawcy folwarku skarbowego Kirsna Wielka, w powiecie Kalwaryjskim. Jastrzębski służył niegdyś jako oficer w pułku moskiewskim gwardyi, za udział w związku dekabrystów w 1825 r. zdegradowany na szeregowca, obity kijami, zesłany został na Kaukaz, skąd, za okazane męstwo uwolniony, powrócił do kraju około 1840 r.¹⁾ Liczył on w tej porze 58 lat, i zaofiarowane sobie dowództwo chętnie przyjął, choć miał czworo dzieci. Oddział liczył od 120 do 130 ludzi, uzbrojonych w strzelby myśliwskie, nieco szabel i pistoletów, a nawet siekier²⁾. Istnienie tego oddziału było bardzo krótkie. W d. 2 lutego³⁾, Jastrzębski wyprowadził swych ludzi na musztrę pod niewielki lasek na czyste pole; zdarzyło się, że właśnie owego dnia, przechodziły w pobliżu po szosie kowieńskiej, dwa szwadrony huzarów Pałogradzkich, wysłanych z Kowna na rekonesans. Szynkarz, Niemiec, wskazał dowódcy rosyjskiemu miejsce pobytu powstańców, wskutek czego huzarzy natychmiast z szosy skręcili i znaleźli się przed nędznym oddziałkiem polskim. Do zdumionych i przerażonych tem nagłym poja-

¹⁾ *Berg* III, 98.

²⁾ „Powstanie w Augustowskiem“; rękopism w zbiorach autora.

³⁾ Datę powyższą podaje rękopiśmienna relacya: „Powstanie w Augustowskiem“; tęż datę znajdujemy u *Kolumny*, Pamiętka II, 96. *Berg* III, 98, a za nim *Gesket-Puzyrewskij*, 335, twierdzi, że starcie pod Czystą Budą, było d. 25 stycznia v. s. czyli d. 6 lutego. Jestto bezwarunkowo błędne. W „Dzienniku powszechnym“ No 28 z 1863 r. z d. 5 lutego, znajduje się doniesienie z Suwałk tej treści: „według urzędowego telegramu z dnia wczorajszego, wojska zniosły bandę buntowników w okolicach Pilnisk“. Tym więc sposobem starcie mogło się odbyć tylko d. 3 lutego, a najprawdopodobniej d. 2 lutego.

wieniem się nieprzyjaciela, powstańców, podjechał oficer huzarski i dobrą polszczyzną wezwał ich do poddania się. W odpowiedzi ugodzony kulą w piersi, padł na miejscu ¹⁾. Wówczas huzarzy rzucili się do ataku, starając się otoczyć dokoła garść powstańców. Ci jednak waleczny stawili opór. Bijąc ze strzelb grankulkami na niewielką odległość, nakaleczyli huzarom mnóstwo ludzi i koni, i ostatecznie przerwali się do poblizkiego lasu ²⁾. Ponieśli wszakże znaczne straty. Na pobojowisku pozostawili około 40 zabitych i rannych, których nieprzyjaciół, swoim zwyczajem, niecnie podobiał; w liczbie poległych znalazł się i Jastrzębski, zrabany szablami huzarskimi. Oddział zmniejszony liczebnie, zniechęcony, po stracie dowódcy rozproszył się na wszystkie strony.

Nieszczęśliwa ta i krwawa potyczka, sparaliżowała na razie i tak już słaby i sztucznie tylko wywołany ruch w Augustowskiem. W raportach rosyjskich o tej części kraju, drukowanych po gazetach ówczesnych, brzmi nuta zupełnego tryumfu. „Pomyślna potyczka huzarów pawłogradzkich, powiada jeden z tych raportów, z partją powstańców pod Czystą Budą, miała, jak zeznają mieszkańcy miejscowi olbrzymi wpływ na przebieg powstania w północnej części gubernii Augustowskiej. Wywołała ona taki popłoch, że pomimo iż okolica wybrzeża nadniemeńskiego jest lesistą i przedstawia szczególne przyjazne dla wojny ludowej warunki, pomimo otwartej sympatii dla buntu ze strony szlachty polskiej i litewskiej, powstańcy rozbiegli się do domów, utraciwszy nadzieję powodzenia. Wszędzie na drodze pochodu wojska, mieszkańcy radośnie je przyjmowali, zwłaszcza włościanie, którzy chcieli ugaszczać żołnierzy, zastawiali wszystko, co mieli, tak, że trzeba było pilnować, aby szeregowcy nie zanadto korzystali z tej gościnności. W chwili wymarszu wojska z noclegów, włościanie sami napraszały się z podwodami, pragnąc ulżyć

¹⁾ R. Błotński II, 369.

²⁾ „Powstanie w Augustowskiem“ rkpsm.

żołnierzom“ ¹⁾. Jeden z dowódców podjazdu rosyjskiego, pułkownik Ułan, opowiada, że w Szawlach, po mszy, zaproponował księdzu, ażeby z kazalnicy ogłosił włościanom, że powinni oni wszelkimi siłami starać się o przywrócenie spokojności, ludzi nie posiadających pasportów uważać za włóczęgów i wszystkie tego rodzaju indywidua chwytac i oddawać w ręce władz miejscowych. „Włościanie, brzmiał dalej raport, wysłuchawszy tego, po wyjściu z kościoła zebrali się na rynku i mówili: dlaczego nam nikt wcześniej tego nie powiedział? nie dopuścilibyśmy zaburzeń i byłoby spokojnie“. Jakkolwiek w tych raportach, w których słychać już nutę późniejszego, specyficznie nihilistycznego idealizowania chłopów polskiego, jakkolwiek jest w nich dużo przesady, ale jest też i wiele prawdy. W czasie owych rekoniesansów, jakie po starciu pod Czystą Budą odbywały partye kawaleryjskie po północnej części Augustowskiego, chłopowie wydali w ręce rosyjskie 17 powstańców, w tej liczbie dwóch wójtów gmin i jednego ziemianina. Wszystko to świadczyło, jak dalece ujemne i złe następstwa wywarła porażka pod Czystą Budą, i jak powstanie w tych stronach nie miało żadnego gruntu pod nogami.

Ale czyż miało ono taki grunt gdziekolwiek indziej? Czy chłop w którejkolwiek stronie kraju wziął udział w tej wojnie, co jedynie mogłoby jej nadać cechę ludowego porywu, cechę walki narodowej? Niestety! nigdzie nie widzimy powstających mas chłopskich, nigdzie nie błyska szalonym rozmachem stara raclawicka kosa. Wszystka ta młodzież, która pokotem się kładła pod Węgrowem, Małogoszczem, Miechowem, Dąrdźzewem, Dobrą, Żalinem i w innych miejscach, która nieraz dawała dowody rycerskiej odwagi i heroicznego męstwa, nie pochodziła z ludu. Owszem, chłop z początku był stanowczo wrogi powstaniu, dopóki straszny terroryzm pojedynczych dowódców i krwawe ich represalia nie wzbudziły w nim takiej grozy i obawy,

¹⁾ Raport ten czytać można w gazecie „Petersburgskija Wiedomosti“, z d. 4 marca 1863 r.

że, nie przestając być w duszy nieprzyjaznym ruchowi, pozornie zachowywał się względem niego obojętnie. Jeżeli z początku powstanie źle uorganizowane i prawie nieprzygotowane, znalazło mnóstwo nieprzyjaznych warunków, lasy огоłocone z liścia, porę zimną i dżdżystą, to z drugiej strony, niewczesna koncentracja wojsk rosyjskich i opuszczenie przez nie wielu stanowisk, zrównoważyło te nieprzychylne warunki i pozwoliło mu się rozwinąć. Na nieszczęście wśród dowódców polskich, znalazło się niewiele z jaką taką głową. Jeżeli w operacjach Langiewicza, widzimy jakiś cel, jakąś myśl przewodnią; jeżeli ruchy jego są niekiedy mistrzowsko wykonane, to o późniejszych, t. z. naczelnikach partii, nie można tego powiedzieć. Głosząc, że prowadzą małą wojnę, t. z. partyzantkę, w ogromnej swej większości nie mają oni o niej pojęcia. Jeden może Rogiński odczuwał bezwiednie istotę takiej wojny; jego rzutkość, śmiałość ruchów, energia, szybkość marszów, które go zawiodły aż w Pińszczyznę, nie powtarzają się już nigdy i nigdzie. Wszyscy ci „naczelnicy“ umieją beczynnie siedzieć gdzieś w lesie, dopóki ich nie wytropi jaka kolumna rosyjska, a wtedy cofają się, nużą ludzi i w końcu ulegają krwawemu rozbiciu. W tem cofaniu zresztą, nie zachowują kardynalnych warunków małej wojny. Zamiast szybkimi marszami przerzucić się w inną okolicę kraju, zwykle kręcą się oni w zaczarowanym kole jednego powiatu i oczywiście, wcześniej czy później uledz muszą przewadze liczebnej, wyćwiczeniu i uzbrojeniu nieprzyjaciela, który po każdej wyprawie znajdował wygodne i bezpieczne leże w garnizonowych miastach i mógł odpoczywać, podczas gdy powstańcy nie mieli ani dnia, ani godziny spokojnej i pewnej. Dowódcy polscy nigdzie nie czynią zasadzek nagłych i niespodziewanych napadów, nie wybierają do walki miejsc obronnych i silnych, lecz przyjmują ją tam, gdzie ich do tego zmusi nieprzyjaciel. To unikanie boju, tchórzliwe krycie się po lasach, nieudolność wreszcie widoczna w prowadzeniu wojny, nie jest zdolną natchnąć improwizowanego żołnierza polskiego odwagą, hartem, wynalazczością i ener-

gią. Nie umie on z niczego korzystać, ocalenie swe widzi tylko w ucieczce. Nie jest to jego wina. Wśród przyjaznych okoliczności bije on się dobrze i walecznie, a choć początkowy entuzjazm, który go pchał na działa z gołą pięścią pod Węgrowem, który mu kazał zginąć heroicznie na ulicach Miechowa, a pod Grochowiskami rzucał go na bagnety, powoli już wygasa, ale tkwi jeszcze w nim stara bitność polska, która niekiedy wybucha bohaterskim płomieniem. Wina leży wyłącznie po stronie dowódców, w trzech czwartych nieudolnych, złych i niemądrych.

Teren, na którym się ta dziwna wojna toczyła, nie był górzysty, ale posiadał jeszcze wielkie lasy, mnóstwo rzek, strumieni i bagien, tworzących nieraz wąskie przesmyki, jakby stworzone dla zasadzek i nagłych napadów. Ze strony polskiej nie jest to wojna zaczepna, jaką powinna być każda partyzantka, ale odporna. Ukrywają się w lesie, który w gwarze powstańczej nazywają „stryjem“, bić się nie chcą i głośno mówią, że idzie im tylko o przedłużenie powstania do chwili, w której nakoniec zapowiadana i oczekiwana z upragnieniem interwencja zagraniczna, nie przyniesie im zbrojnej pomocy. Rozpoczęta akcja mocarstw zagranicznych, nadaje tym nadziejom, niestety! zwodniczym, pewną cechę prawdopodobieństwa. Wprawdzie Rząd tymczasowy głośno ciągle zapowiadał, że należy na własne tylko liczyć siły. „Nie oglądajmy się, wołał, na żadną pomoc cudzoziemską, nie łudźmy się polityką zagranicznych dworów, bo polityka zachowała aż do naszych czasów tradycją pogańskiej niesprawiedliwości, egoizmu i zimnego okrucieństwa. Trzydziestoletnie męczeństwo narodu polskiego pod żelaznem berłem Mikołaja, dostatecznie świadczy, że się niczego od dyplomacyi europejskiej spodziewać nie powinniśmy. Westchnieniami i bezowocnem współczuciem ani się nakarmimy, ani więzów nie rozkujemy; trzeba na to czynów, siły i męstwa, poświęcenia i wytrwałości“¹⁾). Rozumnym tym słowom nikt jednak

¹⁾ „Wiadomości z pola bitwy“ No 1.

nie wierzył, jak nie wierzyli w nie sami ich autorowie. Dzienniki tak polskie jak i zagraniczne, brzmiały pobudką bojową i pomoc Zachodu zdawała się być blizką i niewątpliwą.

Czas już wielki, byśmy się zbliżka przypatrzeli tym nadziejom i przekonali się o ile one były uzasadnione i na rzeczywistych oparte podstawach.

ROZDZIAŁ VII.

Misya księcia Metternicha.

Sympatya powszechna w Europie dla sprawy polskiej. Propozycja angielska. Niechęć Francyi. List cesarza Napoleona do cesarza Aleksandra II. Odpowiedź tegoż. Rozmowa z Budbergiem. Ks. Ryszard Metternich. Bal w Tujleryach. Stanowisko Austrii w kwestyi polskiej. Odpowiedź hr. Rechberga na żądanie Anglii. Rozmowa hr. Russela z hr. Apponyi. Cesarz austriacki wzywa do Wiednia ks. Metternicha. Jego rozmowa z Napoleonem przed wyjazdem. Różne opinie w Wiedniu. Powrót ks. Metternicha do Paryża. Cykularz p. Drouyn de Lhuys. Rozprawy w senacie francuskim o Polsce. Mowa margrabiego La Rochejaquelein. Mowy: ks. Napoleona, Billanulta i Walewskiego. List cesarza Napoleona i jego polityka. Odpowiedź ks. Gorczakowa na notę angielską. Wpływ upadku dyktatury Langiewicza na położenie rzeczy. Prusy i Austrya. Nota hiszpańska. Zachowanie się Portugalii i Włoch. Rozmowa margr. Pepoli z ks. Gorczakowem. Meetingi. Papież i list jego do cesarza Aleksandra. Wycieczka ks. Czartoryskiego do Szwecyi. Artykuł urzędowego organu. Uczta w sali giełdowej. Nota szwedzka i duńska. Projekta not. Rozmowa hr. Rechberga z Bloomfieldem i Gramontem. Manifest o amnestyi. Pogłoski. Zapewnienia Gorczakowa. Rozmowa Russela z Brunnowem. Wręczenie i treść trzech not. Kombinacje francuskie. Uzbrojenia rosyjskie. Wyprawa eskadry Lesowskiego. Rozmowa ks. Gorczakowa z Pepolim. Myśl zwołania kongresu europejskiego. Nastrój prasy rosyjskiej. Artykuły dziennikarskie. Zachowanie się rządu. Składki. Uspokojenie społeczeństwa rosyjskiego. Odezwa „Ziemli i Woli“. M. N. Katkow i jego charakterystyka. Nabożeństwo w Moskwie. Adresy.

W chwili gdy Langiewicz, zaszczycony najwyższą godnością dyktatora powstańczego, posuwał się wahająco nad Nidę i znużony ciężarem nowego swego dostojenstwa i intrygami go otaczającymi, myślał o opuszczeniu obozu, gdy wszędzie na całym obszarze Królestwa pojawiały się klęski za klęskami, gdy Padlewski był już w przededniu ostatecznej katastrofy, a Mielecki wyparty za granicę, gdy Rogiński, Lewandowski, Bogdanowicz, Neczaj, po krwawych porażkach dostawali się do rąk nieprzyjaciela, — w chwili tej, na wielkiej scenie świata sprawa polska wchodziła w jedną z tych faz, które zdawały się zapowiadać jej najszcześniejsze rozwiązanie, być jutrzeńką swobody. Podniesiona pośrednio przez Prusy, wskutek zawarcia konwencji lutowej, kwestya polska; przeniesiona z lokalnej sprawy, za jaką pierwotnie ją uważano i za jaką w rzeczy samej uchodziła, na wielką kwestyę międzynarodową, wywołując wystąpienie Francji i Anglii, stała się w końcu lutego i w ciągu marca, jedynym wyłącznym przedmiotem powszechnoświatowego zajęcia. Dzienniki zagraniczne nią były zapełnione; wysyłano do Krakowa, Poznania i Warszawy korespondentów, by zbliżka przypatrywali się tej dziwnej walce, tym rządowi komitetów tajnych, temu dyktatorowi, wyrosłemu nagle gdzieś z puszczy sandomierskich i domagały się w ogromnej swej większości, bez względu na stronnictwa, które przedstawiały, na religię, której wyznawcami były, na język, którym przemawiały, od Petersburga niemal do Lizbony, aby tej nieszczęsnej Polsce, szarpiącej się w konwulsjach strasznego wysiłku, dano pomoc, a z nią wolność upragnioną. Wielkie ilustracye angielskie, paryskie, wiedeńskie, podawały portret dyktatora i jego niewieściego adjutanta, rysowały w konwencyonalnych nieco formach obozu polskie, rozłożone w posępnej głębi „sennego sosen uroczyska“, z dymiącymi ogniskami, z błyskami kos, z krakuskami i pawimi piórami. Najrozmaitsze podawano projekta i rady,

ożywienie było ogromne, wszyscy mówili i pisali o Polsce, a głośny tej doby dziennikarz francuski p. Emil Girardin, napisał do cesarza Aleksandra II-go i wydrukował list otwarty¹⁾, w którym domagał się, by Rosya, we własnym jakoby interesie, odseparowała się od Polski i uznała ją za państwo niezależne.

Ale poza tymi głosami, brzęcącymi szeroko po Europie, miały się teraz rozleźć daleko donioślejsze i napędlące echem polskiego jęku wszystkie nieomal zakątki świata ucywilizowanego. W chwili, gdy francuski minister spraw zagranicznych, p. Drouyn de Lhuys, zniechęcony pierwszą próbą swych usiłowań w kwestyi polskiej, z wyraźnym żalem uwiadamił świat dyplomatyczny europejski, że na teraz „rzecz całą musi zawiesić“, Anglia proponowała, by „uderzyć w istotnego winowajcę“. Wiemy już, że te propozycje angielskie, przekładane z niezwykłym naciskiem, rząd francuski odrzucił; podejrzewał w nich bowiem, nie bez słuszności, że Anglii nie idzie tu wcale o interesa polskie, ale że ma w tem własne jakieś i tajemne cele. Przyjmował więc bardzo chłodno i bardzo podejrzliwie wszelkie wywnętrzenia angielskie, tem więcej, że nosiły one cechę nacisku zbyt gwałtownego. Gabinet bowiem brytański nie poprzestawał już na tem, że wystąpił z własną notą do Petersburga, że zachęcał do tego Francję, ale pragnął, ażeby wszystkie państwa, które wzięły udział w podpisaniu stypulacyi kongresu wiedeńskiego w r. 1815, zrobiły przedstawienie zbiorowe do rządu rosyjskiego w sprawie polskiej. Hr. Russel, z rozmów, jakie miewał z hr. Apponyi, ambasadorem austriackim w Londynie, nabył przekonania, a przynajmniej udawał takie przekonanie, że „Austria powoli przychyli się do działania Anglii i Francji“. Wobec tego minister angielski pisał, że „rząd Jej Królewskiej Mości jest tego zdania, iż przyszły krok powinien polegać

¹⁾ List ten z datą 24 lutego 1863 r. czytać można we wszystkich nieomal współczesnych dziennikach, oraz w broszurze tegoż Girardina p. „L'apaisement de la Pologne“ p. 11—23.